



UUK

ZBIGNIEW NIENACKI

PAN SAMOCHODZIK I NIEWIDZIALNI

Wydawnictwo EURO, 1992



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
ROZDZIAŁ PIERWSZY	3
ROZDZIAŁ DRUGI	11
ROZDZIAŁ TRZECI.	22
ROZDZIAŁ CZWARTY	36
ROZDZIAŁ PIĄTY	47
ROZDZIAŁ SZÓSTY	59
ROZDZIAŁ SIÓDMY	70
ROZDZIAŁ ÓSMY	83
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.	95
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	108
ROZDZIAŁ JEDENASTY	120
ROZDZIAŁ DWUNASTY	132
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	147
ROZDZIAŁ CZTERNASTY.	157
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.	166
ROZDZIAŁ SZESNASTY	177
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY	188
ZAKOŃCZENIE	200

ROZDZIAŁ PIERWSZY

TAJEMNICA NOWEGO BIURKA • SAMODZIELNY REFERAT DO ZADAŃ SPECJALNYCH • KWALIFIKACJE DETEKTYWA • DLACZEGO JESTEM STARYM KAWALEREM? • POJAWIA SIĘ „KTOŚ” • METODY DETEKTYWÓW • SMUTNE PRZEWIDYWANIE • PO CO PRZYJECHAŁ JOHANN SCHREIBER? • PANNA MONIKA

Pewnego wiosennego dnia do mojego pokoju w Ministerstwie Kultury i Sztuki wniesiono drugie biurko. Zaniepokoił mnie ten fakt i natychmiast zameldowałem się u zwierzchnika, aby wyjaśnić tę sprawę.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że w pokoju tym, który jak dotąd zajmowałem samotnie, mieścił się Samodzielny Referat do Zadań Specjalnych, podległy Centralnemu Zarządowi Muzeów i Ochrony Zabytków, którym kierował dyrektor Marczak. Drzwi z niewiele znaczącym napisem zamykały dostęp do pomieszczenia z moim biurkiem i kilkoma starannie zamykanymi szafami, gdzie mieściły się skoroszyty, pełne dokumentów i notatek dotyczących zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych i prywatnych kolekcji dzieł sztuki oraz kartoteki międzynarodowych fałszerzy obrazów i handlarzy antyków. Tu, w tym małym pokoiku na Krakowskim Przedmieściu, zajmowałem się wyjaśnianiem zagadek, związanych z zaginięciem niektórych bezcennych przedmiotów zabytkowych, pracowałem nad rozwikłaniem misternie splecionych nici, które prowadziły do przestępczych gangów przemytników i zwykłych rabusiów. Zazwyczaj wykonywałem zadania o charakterze poufnym i bardzo delikatnym, gdy granica między przestępstwem a nieświadomością bywała czasami prawie nieuchwytna.

Rosły wciąż ceny zabytkowych przedmiotów na międzynarodowych aukcjach. Coraz więcej ludzi odkrywało materialną wartość zabytkowych rzeczy, chciało w nich lokować pieniądze, posiadać je, cieszyć się nimi w swych domach. Popyt na stare dzieła sztuki czynił niezwykle opłacalnym przemyt tych przedmiotów. Polska, której dobra kulturalne zostały tak bardzo zubożone przez lata wojny i hitlerowskiej okupacji, musiała się bronić przed narastającą przestępczością. Muzea, kryjące skarby kultury narodowej, otrzymywały coraz doskonalszy

system zabezpieczeń przed kradzieżami, zwiększono zainteresowanie prywatnym handlem dziełami sztuki, celnicy zwrócili większą uwagę na walizki podróżnych. Wypowiedziano walkę fałszerzom dzieł sztuki, którzy starali się wzbogacić kosztem niefachowości naiwnych zbieraczy różnego rodzaju staroci.

Walkę z przestępczością w tej dziedzinie prowadziły wyspecjalizowane komórki w Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej, urzędy celne, pracownicy muzeów. Samodzielny referat, którego byłem szefem oraz jedynym pracownikiem, także odgrywał dość poważną rolę i miał wiele zadań do spełnienia. Skoroszyty i kartoteki w moim pokoju kryły niejedną historię, godną być może pióra autora sensacyjnych powieści.

Nie muszę chyba podkreślać, że z uwagi na dość delikatny charakter tej pracy działalność referatu okryta została tajemnicą i tylko niewielu urzędników Ministerstwa Kultury i Sztuki domyślało się, co kryło się za drzwiami mojego pokoju. Dlatego też zaniepokoiłem się, gdy dwaj woźni z ministerstwa wnieśli nagle drugie biurko.

— Niech się pan przygotuje na dużą niespodziankę — powiedział do mnie dyrektor Marczak, wskazując mi miejsce w wygodnym fotelu naprzeciw jego ogromnego biurka. — Czeka pana awans. Do tej pory zajmował pan stanowisko starszego referenta. Od dziś jest pan kierownikiem Samodzielnego Referatu do Zadań Specjalnych. Cieszy się pan?

— Oczywiście! — zawołałem z entuzjazmem. — Wstawiono jednak do mojego pokoju jeszcze jedno biurko. To mnie niepokoi.

Dyrektor Marczak uśmiechnął się wyrozumiale. Miał okrągłą, pucołowatą twarz o różowych policzkach i wielką łysinę nad czołem. Na jego twarzy zawsze rysował się wyraz ogromnej poczciwości, ale był to człowiek niezwykle sprytny i przebiegły. Niejednego przestępcę wyprowadził w pole niewinnym spojrzeniem niebieskich oczu.

— Czy słyszał pan kiedy, panie Tomaszu, aby kierownik był zarazem jedynym swym pracownikiem? Czy byłoby w porządku, aby pan sam sobie wydawał polecenia i sam przed sobą zdawał sprawozdania? Skoro został pan kierownikiem, to pomyślałem także o tym, aby miał pan pracownika.

Nie czułem się powołany do kierowania innymi ludźmi. Charakter pracy był bardzo specjalny. Nowy pracownik musiałby znać się nie tylko na sztuce, jej historii, ale także odznaczać się zdolnościami detektywistycznymi. Praca wiązała się z wieloma przygodami, niekiedy bardzo niebezpiecznymi. Człowiek taki oprócz specjalistycznego wykształcenia powinien być także odznaczać się sprawnością fizyczną, odwagą i przedsiębiorczością. Winien to być człowiek samotny, nie obciążony rodziną, gdyż ten typ pracy wymagał często wielodniowych wyjazdów służbowych poza Warszawę.

Dyrektor Marczak jak gdyby czytał w moich myślach.

— Proszę się nie obawiać, panie Tomaszu. Znaleźliśmy kogoś bardzo odpowiedniego. Ów „ktoś” jest samotny, ukończył historię sztuki, odbył praktykę w Muzeum Narodowym, a także muzeum regionalnym. Umie świetnie fechtować się i jeździć konno, na mistrzostwach juniorów otrzymał pierwsze miejsce w strzelaniu z małokalibrowego karabinka sportowego. . .

W tym momencie mój kaszel przerwał wywód dyrektora.

— Pan się zaziębił? — w głosie Marczała zabrzmiała troska.

— Nie — odparłem. — Ale pozwalam sobie przypomnieć, panie dyrektorze, że w samodzielnym referacie nie jeździ się konno, nie strzela z karabinu ani z armat. Potrzebny jest raczej spryt, inteligencja i wiedza.

— Tak, tak, naturalnie — zgodził się dyrektor. — Wydaje mi się, że ten „ktoś” posiada również i te cechy. Jeszcze w szkole podstawowej zorganizował i prowadził Kółko Młodych Detektywów, które w czasie wakacji zdemaskowało bandę złodziejasków, kradnących jabłka z sadów miejscowych rolników. Nasz „ktoś” trochę się nudził pracując w muzeach, inwentaryzując i odkurzając zabytki, jak napisał w podaniu: „pożąda przygód i mocnych wrażeń”. Tak więc, panie Tomaszu, nie znaleźliśmy żadnych przeciwwskazań, aby odrzucić podanie, tym bardziej że rosną zadania w walce z przestępczością i musimy podwoić swoje wysiłki. Poza tym kandydat do pracy odznacza się niebagatelną cechą, przydatną do wykonywania zawodu detektywa. Może świetnie wprowadzić w błąd każdego przestępcę.

— Jakaż on posiada niezwykłą cechę? — zaciekałem się.

— Jest to po prostu osoba bardzo piękna — stwierdził Marczak.

Niemal zapadłem się w głębi fotela.

— A więc to kobieta. . . — wyszeptałem zgnębiony.

Z twarzy dyrektora Marczała zniknął wyraz poczciwości. Zmarszczył brwi i spojrzął na mnie surowo.

— Czyżby pan miał jakieś uprzedzenia? — oburzył się. — Nie wie pan, że kobiety niemal na każdym polu dorównują nam, mężczyznom? A może to starokawalerska nieufność każe panu wrogo odnosić się do myśli o współpracy z kobietą? Pańskie godne potępienia starokawalerstwo jest pańską prywatną sprawą. Nie pozwolimy jednak, aby uprzedzenia do kobiet miały wpływ na działalność Referatu do Zadań Specjalnych.

— Nie jestem uprzedzony do kobiet — wybąkałem.

— To czemu się pan nie ożenił? — podchwytliwie zapytał Marczak. — Czy przykład szczęśliwego pożycia małżeńskiego pańskiego szefa nie miał na pana wpływu?

Zwiesiłem głowę.

— Przecież pan wie, dyrektorze, że już parę razy o mało nie zostałem małżonkiem. Ale tak się składało, że pan mnie zawsze wtedy wysyłał w teren na długi

czas i nigdy nie mogłem tych spraw doprowadzić do końca. Nie każda kobieta chce za męża człowieka, który większą część roku spędza poza domem.

— Niech pan nie zwała winy na charakter swojej pracy — zagrział groźnie bas dyrektora. — Marynarze również wyjeżdżają dość często i to na długo, a jednak zakładają rodziny. Jest pan po prostu uprzedzony do kobiet. Ale to się musi skończyć.

To mówiąc dyrektor Marczak stuknął dłonią w biurko, dając mi do zrozumienia, że nie zamierza dłużej dyskutować na temat nowego pracownika. Zgnębiony podniosłem się z fotela, aby wrócić do swego pokoju i w samotności przemyśleć sprawę, która spadła na mnie tak nieoczekiwanie. Ale gest Marczaaka osadził mnie w fotelu.

— Chwileczkę, panie Tomaszu — uśmiechnął się chytrze, jak gdyby przewidując, że zamierzam czmychnąć z jego gabinetu. — Ta młoda osoba czeka w sąsiednim pokoju. Pragnę ją panu przedstawić. Wdroży ją pan w przyszłe obowiązki. Ona pracuje u nas już od dzisiaj.

I do gabinetu dyrektora weszła wysoka dziewczyna lat około dwudziestu czterech. Była rzeczywiście ładna, jakąś cukierkową, pomadkowo-marmoladkową urodą z reklam przekrojowej mody. Ubrana była w stylu „retro”, w długą sukienkę. Jasnoblond włosy układały się w misterne loki. Biała cera, malutkie usta w kształcie serduszka, niebieskie oczy mocno podmalowane.

— Monika — powiedziała do mnie, podając mi wiotką dłoń o ostrych paznokciach, polakierowanych na czerwono. Odnosiło się wrażenie, iż przed chwilą rozdzierała na sztuki krwawiące kawały wołowiny.

Z taką panią ewentualnie można by się wybrać do dyskoteki, ale absurdalna wydawała mi się myśl, aby ją wtajemniczać w sprawy referatu, zlecać zadania wymagające sprytu i siły fizycznej. Nonszalancki styl, z jakim mnie przywitała, ten pełen kokieterii uśmiezek, którym obdarowała dyrektora Marczaaka, był zapewne na miejscu w jakimś rozrywkowym lokalu, ale nie tutaj, w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków.

Powiedziałem z powagą:

— Tomasz jestem, starszy referent.

— Kierownik — przypomniał Marczak. — Od dziś został pan kierownikiem, a panna Monika pełnić będzie funkcję młodszego referenta.

Dyrektor Marczak wyszedł zza biurka i z ogromną galanterią podsunął panience przepastny fotel, jednocześnie posyłając mi pełne nagany spojrzenie. Zapewne to ja powinienem był podsunąć ów fotel, gdy tymczasem zgnębiony zupełnie sterczałem pod ścianą.

Monika sprawiała na mnie wrażenie osóбки, która marzy o strojach, kosmetykach, podbojach miłosnych. Nietrudno było wyobrazić sobie, że gdy skończy pracę, przed ministerstwem będzie na nią czekał sznur długowłosych młodzieńców z propozycjami najróżniejszych rozrywek. Już widziałem ją w kawiarni, jak

niefrasobliwie opowiada przyjaciółkom o swoim szefie i sprawach, którymi musi się zajmować. Na wieść, że mam taką współpracowniczkę, przed ministerstwem zaparkują swoje piękne samochody handlarze antyków. Będą jej oni proponować przejażdżki nad Zalew Zegrzyński i „party” w willach podmiejskich, aby wyłudzić wiadomość o przedsięwzięciach referatu, który miał za zadanie między innymi wnikanie w ich ciemne interesy.

Sprawałem chyba wrażenie przyciśniętego nieszczęściem człowieka, innymi słowy miałem zapewne głupi i tępy wyraz twarzy. Toteż młoda osóbką zaczęła się odnosić do mnie z zupełnym lekceważeniem. Całe jej zainteresowanie skupiało się na dyrektorze Marczaku.

— Bardzo się cieszę, że moje podanie zostało uwzględnione — oświadczyła mu z promiennym uśmiechem, z wielką gracją zakładając nogę na nogę i wyjmując papierosa ze skórzanej papierośnicy. — Zawsze marzyłam, aby pracować w charakterze detektywa. Zajęcie w muzeum jest nudne, monotonne, nie można wykazać swoich zdolności.

Pracowałem przez dłuższy czas w muzeum i byłem tym zachwycony. Nie było dla mnie nic piękniejszego niż przebywanie wśród starych, zabytkowych przedmiotów odznaczających się niezwykle pięknem. Ta panienka też była niezwykle ładna, ale ja wolałem ładne stare obrazy, meble, starą piękną biżuterię.

— Znam biegle francuski, niemiecki, angielski — szczebiotała panna Monika, zaciągając się papierosem. — Gdy jako stypendystka przebywałam w Londynie, z wielką pasją oglądałam filmy z Jamesem Bondem. Wtedy to postanowiłam zostać Bondem w spódnicy.

— A któż to jest Bond? — zapytałem z głupia frant, aczkolwiek i ja widziałem wiele filmów z Jamesem Bondem, a nawet zdarzyło mi się raz zmierzyć z nim osobiście w słynnej sprawie zaginionego pamiętnika hitlerowskiego zbrodniarza¹.

— Nie słyszał pan o Bondzie? — tym razem już wyraźne lekceważenie zabrzmiało w jej głosie. — To tajny agent 007 angielskiego wywiadu, który przeżył mnóstwo fascynujących przygód. Coś w rodzaju Stirlitza i kapitana Klossa. O tych pan pewnie słyszał lub oglądał ich w telewizji.

— Oczywiście — przytaknąłem gorliwie — ale to postacie fikcyjne. A my tu mamy szarą, nieciekawą rzeczywistość. Będzie pani urzędnikiem, młodszym referentem, a nie tajnym agentem Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków. Czy nie pomyślała pani raczej o pracy w filmie? Słyszałem, że właśnie będą kręcić film o kontrwywiadzie.

— Ach, nie! — zawołała młoda osoba. — Ja nie chcę przeżywać przygód wymaginowanych.

— Tak, tak, rozumiem panią. — Dyrektor Marczak jeszcze raz serdecznie uśmiechnął się do panny Moniki, a potem powiedział do mnie rozkazująco:

¹Chodzi o „Księgę strachów”.

— Proszę panią Monikę zapoznać z jej obowiązkami. Myślę, że będzie mogła u nas wykazać swoje zdolności.

Sztywno jak automat podniosłem się z fotela i wyszeptalem:

— Chodźmy do naszego referatu. Otrzyma pani zadanie do wykonania.

Na korytarzu panna Monika zapytała mnie:

— Jaką metodą pan pracuje? Sherlocka Holmesa, komisarza Maigreta czy Pierre Mansona?

— Pana Samochodzika — odparłem z powagą.

— A któż to jest Pan Samochodzik?

Aż przystanąłem na czerwonym chodniku, jaki leży na korytarzu w każdym szanującym się ministerstwie.

— Nie słyszała pani o Panu Samochodziku? To bardzo źle. Proszę do jutra uzupełnić luki w swoich wiadomościach o najślawniejszych detektywach i metodach ich pracy.

Gdy otwierałem drzwi pokoju, znowu zapytała:

— Czy będę miała pistolet dostatecznie mały, aby się zmieścił w mojej torebce? Lubię bowiem bardzo małe torebki.

— Pistolet? — wyjąkałem. I taki wyraz wstrętu pojawił się na mojej twarzy, że po raz pierwszy uśmiechnęła się do mnie. — Nie używamy takich staroświeckich narzędzi — wyjaśniłem. — Pistolety wyszły już z mody.

— A czego się teraz używa?

Stuknąłem się palcem w czoło.

— Głowy, proszę pani. Trzeba zmusić do działania szare komórki w mózgu.

— Ach, już wiem. To metoda detektywa Herkulesa Poirot.

— O, nie tylko — odparłem z oburzeniem. — Pan Samochodzik też używa przede wszystkim szarych komórek.

Usadowiłem pannę Monikę za nowym biurkiem. Sam zasiadłem przy swoim i długo w milczeniu przyglądałem się współpracownicze zastanawiając się, jakie zadanie powinienem jej powierzyć. Moje milczenie przedłużało się, co trochę zaniepokoiło Monikę. Zaczęła wiercić się na krześle, nerwowo zapaliła papierosa.

— Nie jest pan zachwycony moją osobą — stwierdziła.

— Nie — przyznałem szczerze i dodałem — w wydziale kadr znajduje się zapewne teczka z pani aktami personalnymi. Jest tam życiorys, wszelkie dane dotyczące pani osoby. Wolałbym jednak z pani ust dowiedzieć się o niej coś niecoś.

— Proszę pytać — wydeła pogardliwie usta.

— Ma pani narzeczonego?

— Nawet kilku.

— Co to znaczy? — zdumiałem się.

Wzruszyła ramionami.

— Kręci się koło mnie kilku młodych ludzi, nawet proponowali mi małżeństwo, ale jak na razie nie myślę o założeniu rodziny. Pan też jest kawalerem?

Udałem, że nie usłyszałem pytania.
— Ma pani przyjaciółki, koleżanki?
— Nie, nie lubię konkurencji.
— Mieszka pani sama czy z rodzicami?
— Z rodzicami, ale już wpłaciłam na samodzielne mieszkanie. Jeszcze w tym roku mam otrzymać pokój z kuchnią.
— Kim są pani rodzice?
Wymieniła bardzo sławne nazwisko w świecie aktorskim i roześmiała się głośno:
— Pyta mnie pan w taki sposób, że gotowam pomyśleć, iż zamierza pan umówić się ze mną na kolację.
Zaczerwieniłem się.
— Lubię wiedzieć, z kim mam współpracować.
I otworzyłem kluczykiem górną szufladę biurka. Rozłożyłem przed sobą tekturową teczkę i wyjąłem z niej notatkę, którą otrzymałem z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.
— Pani Moniko. Dziś wieczorem przyjedzie do Warszawy i zamieszka w hotelu „Forum” na ósmym piętrze Johann Schreiber. To obywatel niemiecki z Berlina Zachodniego. Jest właścicielem dużego salonu aukcyjnego, gdzie sprzedaje się dzieła sztuki oraz antyki. Pan Schreiber przybywa do Polski, gdyż od naszych władz uzyskał zezwolenie na odstrzał wilka w Bieszczadach. Zapłacił za to dużo pieniędzy, a nam dewizy są potrzebne. Być może pan Schreiber jest rzeczywiście zapalonym myśliwym, ale powinniśmy być czujni. Otrzymuje pani pierwsze zadanie: proszę ustalić, po co naprawdę przyjechał do Polski właściciel salonu aukcyjnego. Nie muszę chyba zaznaczać, że obowiązuje panią tajemnica służbowa.
— A jak wygląda pan Schreiber?
— Mam nadzieję, że dowiem się tego właśnie od pani.
Zgasła papierosa i powiedziawszy mi grzecznie „do zobaczenia” wyszła z pokoju zgrabnie kołyszając biodrami.
Po chwili jednak wróciła. Zajrzała przez wpółotwarte drzwi i rzekła:
— Przypomniałam sobie, szefie, że wiem jednak coś niecoś o Panu Samochodzik i jego metodach działania. Pan Samochodzik sprawia wrażenie naiwnego, ograniczonego, zabawnego dziwaka. W rzeczywistości jest sprytny, inteligentny i bezwzględny wobec swoich przeciwników. To dobra metoda. Ciekawi mnie, czy mogłabym i ja się nią posłużyć.
— I co? — zapytałem.
— Świetnie mi wyszło. Nawet pewien sprytny człowiek dał się nabrać.
— Chwileczkę, panno Moniko! — zawołałem, widząc, że zamierza zamknąć drzwi i odejść. — Proszę wrócić na chwilę do pokoju.

A gdy usiadła znowu za swoim biurkiem, otworzyłem kluczykiem dolną szufladę w biurku, wyjąłem segregator, w którym były odpisy mojej urzędowej korespondencji.

— Pani pozwoli, że zapoznam ją z treścią pewnego mojego poufnego pisma — oświadczyłem.

I przeczytałem głośno:

Do Kierownika Wydziału Kadr w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków.

W związku z propozycją zatrudnienia nowego pracownika w kierowanym przeze mnie referacie, uprzejmie informuję, że z osób wymienionych w Waszym piśmie najbardziej, moim zdaniem, nadaje się ob. Monika S., lat 24, historyk sztuki, zatrudniona do tej pory w Muzeum Narodowym. Zna trzy języki, wykazuje zdolności detektywistyczne oraz wyraża wielką chęć pracy w naszej komórce. Wnioskując z załączonej Waszej opinii ma także duże znajomości w środowisku tak zwanej „bananowej młodzieży”, handlarzy antyków i „niebieskich ptaszków”, co pozwoli nam na zasięganie informacji o nielegalnych transakcjach dziełami sztuki. Poza tym odznacza się zdolnościami aktorskimi odziedziczonymi po swoim ojcu. . .

Przerwałem czytanie.

— Myślę, że to wystarczy, panno Moniko. . .

— Tak, to wystarczy — szepnęła. — Znakomicie pan zagrał swoją rolę, szefie. Sądziłam, że dyrektor Marczak. . .

— Ach — przerwałem jej — dyrektor Marczak i ja lubimy robić sobie różne niespodzianki. I on, i ja od czasu do czasu odgrywamy przed sobą różne role, aby nie wyjść z wprawy, co ułatwia nam walkę z przestępcami.

— Rozumiem, szefie — westchnęła.

— Czuje się pani dotknięta? — zapytałem.

— Nie lubię, jak się ze mnie robi idiotkę. Jeden zero dla pana, szefie. Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze pracować.

Skinąłem głową. Ja także miałem podobną nadzieję.

ROZDZIAŁ DRUGI

LIST OD ANNY VON DOBENECK • HISTORIA UKRYCIA BEZCENNYCH ZBIORÓW • DZIWNE MILCZENIE • SZANSA JEDNA NA TYSIĄC • PANNA MONIKA W AKCJI • ARESZTOWANIE ZŁODZIEJKI • Z KIM SPOTKAŁ SIĘ ZACHODNIOBERLIŃSKI ANTYKWARIUSZ? • PODARTA SERWETKA • „FORT LYCK” I CO Z TEGO WYNIKA? • DLACZEGO MIAŁEM DOŚYĆ WSPÓŁPRACOWNICZKI?

Następnego dnia wezwał mnie dyrektor Marczak.

— Chciałbym, aby zapoznał się pan z treścią pewnego listu, który na ręce ministra kultury przyszedł do nas przed trzema miesiącami. Pragnę także usłyszeć pana sąd o przedstawionej w liście sprawie.

To mówiąc dyrektor Marczak wręczył mi napisany po niemiecku list.

Szanowny Panie Ministrze

Nazwisko moje brzmi Anna von Dobeneck, z domu Gottlieb. Mieszkam we Frankfurcie nad Menem przy ulicy Zygryda 7. Przed kilkoma dniami przeczytałam w niemieckiej gazecie artykuł o tym, jak wygląda obecnie życie na terenie dawnych Prus Wschodnich, należących do Polski. Dowiedziałam się, że w moim rodzinnym mieście, Morągu, istnieje Muzeum imienia Johanna Gottfrieda Herdera, wielkiego filozofa niemieckiego. Przez wiele lat wmawiano nam, że Polacy niszczą na terenie dawnych Prus wszelkie ślady po Niemcach, nawet tych, którzy w dawnych czasach wnieśli wkład do ogólnoludzkiej myśli. Teraz dowiedziałam się, że to nieprawda. Właśnie w Morągu, w starym ratuszu znajduje się Muzeum Herdera, który się urodził w tym mieście. A to znaczy, że ocala się od zapomnienia i otacza opieką miejsca związane z życiem i działalnością naprawdę wielkich synów narodu niemieckiego. Ten właśnie fakt skłonił mnie bezpośrednio do napisania tego listu.

Dowiedziałam się z gazety, że Muzeum Herdera jest ubogie w ekspozyty. Czy mogłabym umrzeć w spokoju wiedząc, że zabieram z sobą

do grobu tajemnicę, której wyjaśnienie może przyczynić się do wzbogacenia zbiorów tego muzeum? Myślę, że z mojej decyzji byłby zadowolony mój świętej pamięci ojciec, dr Hans Gottlieb. On to bowiem przez całe lata gromadził i kolekcjonował stare manuskrypty, listy i rękopisy sławnych ludzi oraz stare druki związane z historią dawnych Prus Wschodnich. To ja mu pomogłam w 1938 roku spakować zbiory do dwóch skrzynek i ukryć je starannie w miejscu do tego specjalnie przygotowanym. Ojca mego w rok później zmobilizowano do wojska i w 1941 roku zginął na froncie wschodnim. Tylko ja jedna wiem, gdzie są ukryte skrzynie ze zbiorami.

Ojciec mój był wziętym lekarzem, doskonałym znawcą przeróżnych ziół. Obok zainteresowania medycyną i ziołolecznictwem pasjonował się także zbieraniem listów sławnych ludzi oraz zbieraniem przeróżnych manuskryptów. Nie podzielałam tej pasji, szybko zresztą wyszłam za mąż, opuściłam dom rodzinny i przeniostałam się do męża. Ilekroć jednak przebywałam u ojca, pokazywał mi swoje zbiory. Pamiętam, że posiadał listy Herdera do Goethego; kupił je od kogoś za pokaźną sumę. Pokazywał mi także rękopis jednej z prac Schopenhauera, kilka listów Mozarta, listy pani Walewskiej z okresu, gdy przebywała ona w Kamieńcu. W zbiorach mego ojca znajdował się oryginalny szkic Davida d'Angersa do medalionu Adama Mickiewicza, zrobiony w dniach, gdy przebywał on w Weimarze. Był też sztambuch słynnej Jenny von Gustedt, która mieszkała w Gardzieniu i korespondowała ze słynnym rewolucjonistą francuskim L. A. Blanquim. W papierach po Jenny von Gustedt znajdował się jeden z ostatnich wierszy Goethego. Napisał go w podzięce za darowane mu pięknie haftowane pantofle. Zbiory mego ojca zawierały także pierwsze egzemplarze „Poczty Królewieckiej”, pisany po polsku stary egzemplarz katechizmu Seklucjana, egzemplarz dawnego polskiego podręcznika szkolnego Hieronima Małeckiego, stary kancjonał mazurski, pierwsze egzemplarze ostródzkiego „Mazura” i „Gazety Olsztyńskiej” i wiele innych starych druków polskich. Ojciec mój nie był pruskim szowinistą i zbierał wszystko, co w jakiś sposób wiązało się z historią ziemi, na której żył.

Dlaczego ojciec ukrył swoje zbiory? Historia tego jest dość zawiła. Otóż w niedalekim Neudeck w 1934 roku zmarł prezydent Rzeszy, feldmarszałek Paul von Hindenburg. Neudeck to majątek w „dobrach rycerskich” Hindenburga. Hitler przyjeżdżał tam dwukrotnie, aby zyskać aprobatę starego feldmarszałka dla swoich planów podboju świata. Traf zdarzył, że przy ostatniej rozmowie Hitlera z Hindenburgiem był obecny mój ojciec, jako lekarz nie odstępujący od to-

za umierającego feldmarszałka. Albowiem gdy zawiodły rady lekarzy z Berlina, wezwano do Neudeck także i mojego ojca, sławnego zresztą w tych stronach.

Nie wiem, jak wyglądała ostatnia rozmowa Hindenburga z Hitlerem. Ojciec nigdy na ten temat nic mi nie mówił. Hitler obwieścił potem, że Hindenburg dał mu pełne błogosławieństwo dla jego planów, ale z upływem czasu gestapo zaczęło się interesować moim ojcem, dyskretnie wypytyując, czy nie zamierza on pisać pamiętników lub nie opowiada o rozmowie Hitlera z Hindenburgiem.

Mój mąż, Johann von Dobeneck, sympatyzował z faszystami. Z uwagi jednak na moją miłość do ojca ostrzegwał mnie, że wokół ojca zagęszcza się atmosfera podejrzliwości i że najlepiej będzie, jeśli jako lekarz i pruski oficer wstąpi do wojska, co też uczynił. Spodziewając się jednak rewizji w poszukiwaniu owych rzekomych notatek z rozmowy Hitlera z Hindenburgiem i obawiając się, że gestapo znajdzie w jego mieszkaniu bogate zbiory dotyczące nie tylko kultury niemieckiej, ale także polskiej, co mogło być przeciwko niemu wykorzystane, ojciec za moją namową zdecydował się ukryć zbiory. Tak też i zrobiliśmy, starannie przygotowując kryjówkę, aby nawet przez długie lata nie ulegały one zniszczeniu.

Wybuchła wojna. Zginął mój ojciec, a później także mąż i dwaj moi synowie. Pozostałam na świecie sama i przez wiele lat żyłam w nienawiści do Polski, mąż mój bowiem został zabity w Warszawie na ulicy w lutym 1943 roku. Czas jednak zasklepia rany i wiadomość o Muzeum imienia Herdera, o stosunku Polaków do niemieckich pamiątek, wzbudziła we mnie pragnienie, aby ocalić od bezpowrotnego zapomnienia i zniszczenia pamiątki po wielkich synach narodu polskiego i niemieckiego. Zdecydowałam się więc wskazać miejsce, gdzie są ukryte zbiory mego ojca.

Stawiam jednak kilka warunków. Pod koniec 1944 roku, uciekając przed Rosjanami z Prus Wschodnich, w kryjówce mego ojca schowałam rodzinną biżuterię Dobenecków. Chcę, aby została ona zwrócona memu wnukowi Alfredowi von Dobeneck. Pamiątki dotyczące kultury niemieckiej, jak listy i wiersze Goethego — proszę o przekazanie do Domu Goethego we Frankfurcie nad Menem. Pamiątki dotyczące Herdera niech wzbogacą muzeum w Morągu, a resztę zbiorów, mających wartość dla kultury polskiej, proszę rozdzielić według Waszego uznania i ich wartości.

Oczekując z niecierpliwością na Waszą decyzję, pozostaję z szacunkiem

Anna von Dobeneck

— I co pan sądzi o tym liście? — zapytał mnie Marczak, gdy skończyłem lekturę.

Zastanowiłem się:

— Starsza pani bardzo wzruszająco pisze o wyrzutach sumienia, które się w niej obudziły oraz o trosce o polskie i niemieckie pamiątki z przeszłości. Z uznaniem też wyraża się o naszej polityce kulturalnej na polskich Ziemiach Północnych. Ale w gruncie rzeczy chodzi jej chyba o odzyskanie biżuterii, którą zamierza przekazać wnukowi.

— Jak, pana zdaniem, powinniśmy zareagować na ten list?

— Myślę, że pan i ludzie bardziej kompetentni ode mnie podjęli już decyzję w tej sprawie. Ale jeśli pan chce znać moje zdanie, wyrażę je krótko: należy przyjąć jej warunki. Pod względem prawnym wszystko co znajduje się na terenie Polski należy do naszego państwa jako tak zwane „mienie poniemieckie”. Ale jeśli nie przyjmimy warunków, być może na zawsze stracimy szansę odzyskania nie publikowanych oryginalnych wierszy i listów Goethego, Herdera, pamiątek po Mickiewiczu i innych bezcennych dla kultury przedmiotów, które są po stokroć droższe niż biżuteria Dobenecków.

— Słusznie, panie Tomaszu. Tak też zdecydowały nasze władze natychmiast po liście pani Dobeneck. Napisałem do niej w tej sprawie oficjalne pismo, niestety, jak do tej pory — a minęły od tego czasu trzy miesiące — nie ma odpowiedzi. Ciekawe, prawda?

— Owszem — przytaknąłem.

— Jak pan sądzi, dlaczego pani Dobeneck nie zareagowała na nasz list, mimo że przyjęliśmy jej warunki?

To było bardzo trudne pytanie.

— Przyczyn może być kilka — powiedziałem ostrożnie. — Pani Dobeneck mogła wyjechać za granicę na kilka miesięcy. Mógł też znaleźć się ktoś, kto wytłumaczył jej, że biżuteria Dobenecków, choć być może bardzo wartościowa, jest jednak znacznie mniej warta niż zbiory jej ojca. Ceny starych manuskryptów wzrastają przecie z roku na rok. Za list Chopina pisany z Anglii do córki George Sand uzyskano ostatnio na aukcji w Paryżu aż czternaście tysięcy franków. Pani Dobeneck wspomina o rękopisie Schopenhauera. Otóż jeden z zachodnich antykwariuszy, słynny pan Eggert ze Stuttgartu, zapowiedział ostatnio wystawienie na sprzedaż rękopisu Schopenhauera „Pererga und Paralipomena: kleine philosophische Schriften”. Cena wywoławcza manuskryptu wynosi aż ćwierć miliona marek. Na wielkiej aukcji rękopisów w Kolonii wystawiono na sprzedaż list Mozarta, w którym ten słynny kompozytor, będący właśnie na skraju nędzy, prosi o wsparcie. List sprzedano za dwadzieścia jeden tysięcy marek. W tej sytuacji być może pani Dobeneck, widząc ugodowość naszych władz, zażąda nie tylko biżuterii, ale i niektórych cennych manuskryptów. Nie jest także wykluczone, że zechce odzyskać wszystko i przyśle tu kogoś, kto po cichu wydobędzie zbiory ze

schowka i po dokonaniu ich selekcji najcenniejsze rzeczy spróbuje przemycić za granicę. Sądzę jednak, że ta ostatnia ewentualność jest raczej wątpliwa.

— Ja też tak myślę — powiedział Marczak. — To zbyt duże ryzyko. Zresztą, skoro nie uczyniła tego przez trzydzieści lat, dlaczego właśnie teraz miałyby się chwycić aż takiego środka? Tylko w kiepskich sensacyjnych filmach pokazuje się, jak to o północy na rozstajne drogi podjeżdża biały mercedes z zagraniczną rejestracją, kilku dżentelmenów wykopuje tajemniczą skrzynkę i uwozi ją w siną dal, tak jakby Polska była pustynią, na której wiatr zaciera wszelkie ślady. Smutna rzeczywistość mówi, że raczej tego rodzaju czynu dokonałby jakiś skorumpowany Polak na zlecenie obcego mocodawcy. Część rzeczy sprzedano by na miejscu, a część ostrożnie usiłowano by przemycić i to być może przy pomocy naszych obywateli. W każdym kraju znajdzie się przecież zawsze jakiś drań.

— Nie mam złudzeń, panie dyrektorze — odezwałem się. — List pani Dobeneck jest zbyt rzeczowy, zbyt handlowy, abym nie podejrzewał, że i pani Dobeneck nie próbowała tego ryzykownego środka. Tylko że on nie przyniósł rezultatu. Schowek być może jest w takim miejscu, że nie można dostać się do niego bez zwrócenia ogólnej uwagi.

— Zgadzam się z panem. Musimy jednak założyć dobrą wiarę autorki listu. Jeszcze trochę poczekamy na odpowiedź pani Dobeneck, a jeśli nie nastąpi, trzeba będzie pojechać do Frankfurtu, aby porozumieć się z nią osobiście. Pojedziemy chyba obydwaj. Chciałbym mieć pana przy sobie, ponieważ ta sprawa wygląda dość tajemniczo. A poza tym pan specjalizuje się w historiach zaginionych, ukrytych podczas wojny zbiorów. Ale to nie znaczy, że mamy teraz siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż pani Dobeneck raczy nam udzielić odpowiedzi. Czytał pan jej list? Czy są jakieś możliwości odnalezienia schowka doktora Gottlieba bez pomocy pani Dobeneck?

Jeszcze raz uważnie zapoznałem się z treścią listu.

— Powiem szczerze — oświadczyłem po namyśle. — List pani Dobeneck daje bardzo mało danych do wszczęcia poszukiwań na własną rękę. Istnieje szansa jedna na sto, a może nawet jedna na tysiąc, że uda się nam bez pomocy pani Dobeneck odnaleźć schowek jej ojca. Cóż bowiem wiemy w tej sprawie? Znamy nazwisko właściciela zbiorów: doktor Hans Gottlieb. Znamy rejon kraju, gdzie schowano zbiory: dawne Prusy Wschodnie. Pani Dobeneck wspomina, że pochodzi z Morąga, może więc to gdzieś w tamtych stronach? Ale nie każdy przez całe swoje życie mieszka w jednej miejscowości. Wiemy, że wzywano doktora Gottlieba do chorego Hindenburga, był więc lekarzem znanym i cenionym, zapewne ktoś go pamięta, ktoś będzie mógł udzielić informacji o jego osobie lub o tym, gdzie mieszkał. Być może ukrył swoje zbiory w miejscu, do którego miał łatwy i częsty dostęp, skoro, jak pisze pani Dobeneck, kryjówkę przygotowano bardzo starannie. Ale dodatkową trudność stwarza fakt, że w ukryciu zbiorów Gottlieba pomagała mu córka, która wyszła za mąż za von Dobenecka, prawdopodobnie

pruskiego junkra. Nie jest wykluczone, że to córka w którymś ze swych majątków albo pałaców przygotowała kryjówkę na zbiory ojca, a to znacznie poszerza rejon poszukiwań.

— Jedna szansa na sto? — zakpił Marczak. — Moim zdaniem nie ma żadnych szans, panie Tomaszu. Musi pan jednak wszcząć poszukiwania. Chodzi o zdobycie jak największej liczby informacji, dotyczących Gottlieba i Dobenecków. Ten materiał przyda się nam w pertraktacjach z autorką listu. Damy jej do zrozumienia, że bez żadnych wskazówek, prędzej czy później, trafimy na ślad schowka, wiemy już bowiem bardzo wiele. Być może to właśnie skłoni ją do większej ugody.

— Słusznie — przytaknąłem. — Innymi słowy mam wyruszyć na Mazury i zająć się zebraniem potrzebnych informacji.

— Tak.

— Muszę mieć trochę czasu na przygotowanie listów do kilku ludzi, którzy interesują się przeszłością tego regionu. Być może dostarczą nam oni informacji o Gottlieb i Dobeneckach. Z niektórymi postaram się porozumieć telefonicznie. Zanim pojadę na Mazury, chciałbym mieć już choćby najskromniejszy trop.

— Słusznie. A teraz proszę mi powiedzieć, jak się sprawuje i jakie zadania dał pan na początek panie Monice. Coś mi się zdaje, że będziemy mieli z niej ogromną pociechę.

— Poleciałem jej śledzić niejakiego Johanna Schreibera, właściciela salonu aukcyjnego z Berlina Zachodniego. Wczoraj wieczorem przyjechał on do Warszawy, aby w Bieszczadach zapolować na wilka. Chcę wiedzieć, czy rzeczywiście chodzi mu tylko o skórę wilczą.

— Do licha! — dyrektor Marczak aż złapał się za głowę. — Co pan wyprawia, panie Tomaszu. Zabraniam! Kategorycznie zabraniam podobnych kroków. Czyżby pan zapomniał, że nie po to zapraszamy do naszego kraju setki, ba, tysiące zagranicznych gości i turystów, aby ich tu podejrzewać o najgorsze? Nie żyjemy w państwie policyjnym, panie Tomaszu, a poza tym nie jesteśmy funkcjonariuszami milicji. Nie mamy prawa nikogo śledzić tylko dlatego, że ten ktoś posiada dom aukcyjny, gdzie sprzedaje się antyki i dzieła sztuki. A co będzie, jeśli Schreiber zauważy, że jest śledzony i da o tym znać milicji lub Ministerstwu Spraw Wewnętrznych? Wyobrażam sobie te telefony i groźne interwencje. Jesteśmy od ochrony zabytków, a nie od afer kryminalnych, panie Tomaszu. Zabraniam! Zabraniam podobnych kroków — grzmiał dyrektor Marczak.

W tym momencie na biurku Marczaaka odezwał się telefon. Dyrektor podniósł słuchawkę, a potem twarz jego robiła się na przemian to blada, to czerwona z wściekłości.

— Tak jest, obywatelu komendancie. Jest naszą pracownicą i rzeczywiście otrzymała pewne specjalne zadania do wykonania — jąkał się do słuchawki. — Zaraz wyślę naszego przedstawiciela, który wszystko wyjaśni.

Dyrektor odłożył słuchawkę tak ostrożnie, jakby była zrobiona ze szkła. Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie jak bazyliszek, aż wreszcie syknął ze złością:

— Monikę aresztowano w kawiarni hotelu „Forum”. Jest podejrzana o usiłowanie kradzieży pieniędzy. Proszę natychmiast jechać do komendy i wyjaśnić sprawę.

I dyrektor Marczak, teraz już pąsowy z gniewu, pokazał mi palcem drzwi swego gabinetu.

Pełen najgorszych przeczuć wskoczyłem do swego wehikułu, zaparkowanego przed Ministerstwem Kultury i Sztuki, i pojechałem do komendy, gdzie dość długo i wyczerpująco tłumaczyłem, że panna Monika nie jest złodziejką kawiarnianą, ale pracownicą Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków.

— Chciałam tylko wziąć podarty papierek z popielniczki na stoliku, który opuścił pewien cudzoziemiec i rozmawiający z nim Polak. On na nim coś napisał, dał do przeczytania, a potem podarł — wyjaśniła Monika.

Cudzoziemiec, właśnie Schreiber, opuszczając stolik pozostawił na nim nie tylko podarty papierek w popielniczce, ale i zapłatę za śniadanie zjedzone w towarzystwie Polaka. Kelnerka myślała, że panna Monika podeszła do nie sprzątniętego stolika, aby wziąć pieniądze. Wszczęła więc alarm. W ten sposób Monika znalazła się w komendzie.

— Ach, detektywi amatorzy. . . — pomrukiwał oficer dyżurny zwracając Monice dokumenty. — A czy chociaż udało się pani wziąć ten tajemniczy papierek z popielniczki?

— Oczywiście — wyprostowała się dumnie. — Mam go w torebce.

I pokazała nam podartą papierową serwetkę do ust.

Oficer dyżurny okazał pobłażliwą ciekawość.

— Jeśli pani pozwoli, koleżanko — zatyłował ją w ten sposób z uwagi na charakter zadania, które wykonywała — przekażę te skrawki do naszego laboratorium i za chwilę będziemy wiedzieli, co napisano na serwetce.

— Proszę uprzejmie — wyraziła zgodę Monika.

W laboratorium zlepieno skrawki, a ja tymczasem opowiadałem oficerowi dyżurnemu, czym się zajmuje prowadzona przeze mnie komórka w ministerstwie.

Przyniesiono sklejoną serwetkę, na której widniał napis *Fort Lyck*.

— Czy mówi to coś panu? — zapytał oficer.

— Nie — wyznałem szczerze.

— Mnie też nie — stwierdziła Monika.

— Wygląda to na tytuł książki o Dzikim Zachodzie — roześmiał się milicjant. — Czytałem kiedyś powieść pod tytułem „Fort Cansas”. Może ów cudzoziemiec radził Polakowi, żeby przeczytał jakąś książkę? Albo to jego adres. Tylko dlaczego serwetkę natychmiast podarł?

— Dziwne — pomyślałem głośno.

Serwetka powędrowała do kosza, a my wyszliśmy z komendy. Monika była tak zgnębiona, że nawet mój pokraczny wehikuł nie wzbudził jej zainteresowania.

— Dlaczego w książkach i filmach sensacyjnych tak łatwo bohater kogoś śledzi, a w życiu wygląda to zupełnie inaczej? — zapytała mnie w drodze do ministerstwa.

— Nie wiem — westchnąłem. — Może dlatego, że żaden z autorów czy reżyserów filmowych nigdy czymś podobnym się nie zajmował?

— Powiedział pan, że Schreiber przyjedzie wieczorem. Usiadłam w poczekalni hotelu „Forum” i czekałam na niego. Trwało to długo. On nie przyjeżdżał, a ja siedziałam i siedziałam, co wzbudziło zainteresowanie służby hotelowej. Wreszcie się zjawił. Starszy siwy pan. Był zmęczony podróżą i zaraz poszedł do swego pokoju, każąc sobie podać kolację do numeru. W pewnym sensacyjnym filmie, widziałam, że w takim wypadku kobieta detektyw przebiera się za pokojówkę albo kelnerkę. Zaproponowałam więc pokojówce z ósmego piętra, że ją zastąpię. Niestety, stanowczo odmówiła. Wobec tego poszłam do domu i postanowiłam zacząć działać od samego rana. Zjawiłam się w kawiarni hotelu „Forum” spodziewając się, że pan Schreiber zejdzie tutaj, aby zjeść śniadanie. I tak się stało. Przyszedł koło południa, miał na sobie brązowy garnitur i jaskrawozielony krawat, który bardzo rzucał się w oczy. Pomyślałam, że to może jakiś znak rozpoznawczy. I rzeczywiście, po chwili podszedł do niego jakiś mężczyzna, jasny blondyn. Obydwaj usiedli przy stoliku i zjedli śniadanie. O czym rozmawiali, nie wiem, bo siedziałam dość daleko. Zauważyłam tylko, że w pewnym momencie Schreiber napisał coś na serwetce, dał to do przeczytania blondynowi, a następnie serwetkę podarł. Skończyli śniadanie, blondyn pożegnał się i wyszedł, Schreiber zaś wziął do ręki rachunek uprzednio podany mu przez kelnerkę, położył na stoliku pieniądze i także opuścił lokal. Wtedy jak tygrysica rzuciłam się do stolika i wyjęłam z popielniczki podartą serwetkę, ale kelnerka myślała, że chcę ukraść pieniądze pozostawione przez Schreibera. Dalszy ciąg tej historii pan już zna — westchnęła. — Mój Boże, a na serwetce tylko dwa dziwne słowa *Fort Lyck*. Naprawdę nic panu one nie mówią?

— Nie — potrząsnąłem głową. — Choć wydają mi się znajome. Jakbym je już gdzieś od kogoś słyszał. Niestety, nie mogę sobie teraz przypomnieć, w jakich to było okolicznościach.

— Szkoda, bo to znaczy, że mój trud poszedł na marne. Jak pan sądzi, kim był ten blondyn?

— Może to był ktoś z biura podróży? Albo ktoś, kto będzie pilotował Schreibera w jego polowaniach na wilka? To zresztą już nie ma żadnego znaczenia. Zwijamy całą akcję. Pani otrzyma nowe zadanie.

— Jakie? — ożywiła się.

— Wkrótce wyjeżdżam w teren. Podczas mojej nieobecności będzie pani odbierać telefony i zapisywać, kto i po co do mnie dzwonił.

— A więc to tak? — krzyknęła Monika. — Mam być po prostu zwykłą sekretarką?

I rozpląkała się. A że, jak wspomniałem, miała zdolności aktorskie, więc był to płacz gigantyczny, rozpaczliwy, chwytający za serce, ze strumieniami łez i spazmami.

Podjechaliśmy właśnie pod gmach ministerstwa; akurat skończyły się godziny urzędowania i tłum urzędników opuszczał miejsce pracy. Gdyby padał deszcz albo trwała zamieć śnieżna, nikt nie zwróciłby na nas uwagi, bo każdy śpieszyłby do autobusu. Ale jak na złość było piękne, kwietniowe, słoneczne popołudnie; urzędnicy zatrzymywali się na ulicy i z przyjemnością spoglądali na świat. Każdy więc mógł widzieć płaczącą dziewczynę, która wysiadała z mojego wehikułu. A że ten i ów znał mnie osobiście, patrzyli na Monikę ze współczuciem, a na mnie z oburzeniem.

— Nie chcę być sekretarką — łkała Monika. — Postanowiłam zostać detektywem.

— Ależ tak, panno Moniko — zapewniałem ją gorliwie, szukając po kieszeniach chusteczki do nosa, aby wytarła sobie zapłakane oczy. — Zapewniam panią, że po moim powrocie do Warszawy otrzyma pani bardzo niebezpieczne zadanie.

— Nie, nie wierzę panu — zawodziła płaczliwie Monika.

Coraz więcej kolegów z ministerstwa zatrzymywało się na ulicy i przyglądało się nam. Co należało uczynić w tej sytuacji?

— Odwiozę panią do domu — zdecydowałem. — Proszę mi powiedzieć, gdzie pani mieszka?

— Nie powiem panu. Nic panu nie powiem — ryczała Monika, urządzając mi teatralną scenę przed miejscem urzędowania.

Brakowało tylko, żeby nas w tej sytuacji zobaczył dyrektor Marczak i pomyślał, że znęcam się nad swoją pracownicą.

— Zgoda. Jeśli poda mi pani swój adres, dam pani poważne zadanie.

— Naprawdę? — natychmiast przestała szlochać. — Mieszkam na Mokotowie. Może wstąpi pan do nas na obiad? Mamusia i tatuś bardzo się ucieszą z poznania tak wybitnego człowieka.

— Wolę, aby nasza znajomość utrzymywała się jedynie na płaszczyźnie służbowej — powiedziałem i tak gwałtownie ruszyłem wehikułem, że aż zapiszczały opony. — A co do pani nowego zadania, to musi pani poświęcić na nie swoje wolne popołudnia i wieczory. Natomiast w godzinach pracy, niestety, będzie pani musiała odbierać telefony.

— A co to za zadanie?

— Podobno ma pani znajomości w świecie handlarzy antyków i różnego rodzaju niebieskich ptaszków, co to nigdzie nie pracują, a jednak nieźle żyją. Proszę się zorientować, czy przyjazd Schreibera nie wzbudził ich zainteresowania i czy

nie będą usiłowali mu czegoś sprzedać. Pani zadanie nosi fachową nazwę: „penetracja przestępczego środowiska”.

— Znakomicie — ucieszyła się Monika. — Znam kilku młodych plastyków, którzy temu i owemu usiłują sprzedać podrobione płótna starych mistrzów. Znam kilku handlarzy lamp naftowych i stylowych mebli. Także zresztą przeważnie handlują falsyfikatami.

Zadowolona z nowego zadania wyjęła z torebki puderniczkę, aby wytrzeć ślady rozmazanego na policzkach tuszu do rzęs.

— Ktoś nas śledzi, szefie — stwierdziła nagle, spoglądając w lusterko puderniczki. — Jakiś młody człowiek jedzie za nami na skuterze „Jawa 50” aż od ministerstwa.

Zerknąłem w lusterko. Rzeczywiście jechał za nami młody długowłosy blondyn.

— Zaraz go zgubię — oświadczyłem z przechwałą w głosie. Należało chyba nareszcie zaimponować czymś mojej współpracownicy.

Zgubienie jawy nie wydawało mi się trudne. Rozwijała szybkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a mój samochód potrafi przekraczać szybkość dwustu kilometrów. Czy nie oglądałem zresztą dziesiątków filmów sensacyjnych, w których ukazywano, jak się takie sprawy załatwia?

Dodałem gazu, skręciłem w Aleje Jerozolimskie, później w Kruczą. Młodzieniec na skuterze zniknął mi z oczu, ale na skrzyżowaniu Kruczej i Hożej, tuż koło „Grand Hotelu” zatrzymał mnie milicjant.

— To będzie pana kosztowało sto złotych — powiedział. — Wprawdzie pana samochód wygląda tak, jakby ciągnął ostatkiem sił, ale mimo to jeździ za szybko.

Zapłaciłem mandat i pomyślałem melancholijnie, że na żadnym z oglądanych przeze mnie filmów żaden z bohaterów nie płacił mandatu, choć jeździł jak szatan.

Odwiozłem Monikę pod jej dom i zawróciłem do siebie, na Stare Miasto. Jechałem oczywiście wolno, jestem bowiem skromnie zarabiającym urzędnikiem.

Zaparkowałem wehikuł przed swoim domem i właśnie wtedy podjechał do mnie „Jawą 50” młodzieniec o długich, jasnych włosach i ponurym spojrzeniu.

— Chciałem pana ostrzec burknął do mnie młodzieniec. — Monika jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie i niech się pan od niej odczepi. Wozi ją pan po mieście pokracznym pudłem i do tego jeszcze znęca się nad nią. Widziałem, jak płakała. Pan jest sadystą.

— Przepraszam, ale co to pana obchodzi?

— Jestem jej narzeczonym — dumnie wyprężył się młodzieniec.

— Osobistym? — zaciekałem się.

— Na razie nie. Osobistym narzeczonym jest Jacek. Ale ponieważ przebywa za granicą, ja go teraz zastępuję i poczuwam się do opieki nad Moniką.

Pokiwałem smutnie głową i pozostawiwszy młodzieńca na chodniku poszedłem do swego mieszkania. Obudziły się we mnie złe przeczucia co do współpra-

cy z Moniką, która tak bardzo chciała zostać detektywem. Miała wiele talentów i urodę, ale chyba zbyt wielu narzeczonych.

Przyrządziłem sobie obiad. Potem długo w nocy czytałem i późno położyłem się spać. Po północy obudził mnie telefon.

— Jak się masz, Tomaszu — rozpoznałem głos Waldemara Batury, największego i najsprytniejszego handlarza antyków, który za moją przyczyną powędrował na jakiś czas za kratki, ale wkrótce za dobre sprawowanie opuścił warunkowo miejsce odosobnienia. — Chciałem ci uprzejmie przypomnieć, że nie zajmuję się już poszukiwaniem skarbów. Warunkowe zwolnienie z więzienia do czegoś zobowiązuje, chyba to rozumiesz.

— Oczywiście, ale dlaczego dzwonicz? I to o tak późnej porze?

— Każda pora jest dobra, aby powiedzieć sobie kilka słów prawdy — stwierdził Batura. — A ja pragnę ci wyjaśnić, że postanowiłem kroczyć drogą uczciwości i prawa. Nie znam żadnego Schreibera i nie zamierzam go poznać.

— Rozumiem — westchnąłem ciężko.

— A co się tyczy twojej nowej współpracownicy — ciągnął Batura — jest bardzo wykształcona, inteligentna i prześliczna. Gratuluję.

I odłożył słuchawkę. Nie zasnąłem aż do rana. Dusił mnie bezsilna wściekłość. Panna Monika mimo najszczerszych wysiłków z jej strony nie nadawała się do pracy detektywa-muzealnika. Ośmieszyła mnie w oczach Waldemara Batury. To z jej powodu jakiś długowłosy młodzieniec ścigał mnie na „Jawie 50”, groził i nazwał sadystą. Miałem przez nią także kłopoty z milicją. A co zyskałem?

— *Fort Lyck, Fort Lyck...* — powtarzałem bez końca.

I nagle doznałem olśnienia. Przypomniałem sobie drewnianą chatę nad jeziorem, płonący bierwionami kominek i siedzącego przed nim mężczyznę w zamszowej kurtce. Przypomniałem sobie przygody na „Moby Dicku”, moje imię, które brzmiało „Szara Sowa”. Czy to nie z ust tego człowieka o szlachetnej twarzy i ciemnych, gładko zaczesanych włosach usłyszałem kiedyś słowa *Fort Lyck*?

Wstałem z łóżka i pośpiesznie zredagowałem długi telegram.

ROZDZIAŁ TRZECI

WYPRAWA NA MAZURY • W JAKI SPOSÓB ZNIECHĘCIĆ MONIKĘ? • DZIWNY TELEGRAM • NIEDŹWIEDZI RÓG • NA WZBURZONYM JEZIORZE • CZARCI OSTRÓW • NOC PEŁNA GROZY • MONIKA PISZE OŚWIADCZENIE • MYSZY, ŻABY I SZCZURY • CO SIĘ STAŁO NA WYSPIE? • WINNETOU

Zbliżał się chłodny, kwietniowy wieczór przyśpieszony padającym nieustannie deszczem. Po niebie sunęły ogromne, czarne zwaliska chmur, silny wiatr kołysał bezlistnymi jeszcze gałęziami drzew. Na przedniej szybie wehikułu monotonnie przesuwwały się wycieraczki, dmuchawa wypędzała parę oddechów, która osiadała na szkle i utrudniała widoczność. Przed kwadransem zjechaliśmy z asfaltowej szosy w Puszcę Piską i teraz posuwaliśmy się piaszczystą drogą, na której resory samochodu skrzypiały głośno i nieprzyjemnie trzęsło. Od czasu do czasu napotykaliliśmy wielkie kałuże wody, a wówczas — na widok rozbryzgujących się wokoło czarnych skrzepów błota — robiło się jeszcze nieprzyjemniej.

— Czy to daleko? — zapytała mnie Monika, poziewując dyskretnie.

— Tylko kilka kilometrów przez las i już będzie Niedźwiedzi Róg.

— Zabawna nazwa — znowu ziewnęła.

Była chyba trochę zmęczona kilkugodzinną jazdą z Warszawy.

— Podobno żyły tu kiedyś niedźwiedzie. Zresztą na Mazurach pełno przeróżnych „rogów”. Znam miejscowości o nazwie Żabi Róg, Złoty Róg, a także Sowiróg, gdzie dzieje się akcja słynnej powieści Ernsta Wiecherta „Dzieci Jerominów”. Czytała pani tę książkę?

— Nie. I nigdy nie byłam na Mazurach.

Kochałem tę rozległą i przepiękną ziemię, pokrytą lasami i jeziorami. Spędziłem tu wiele najszcześniejszych chwil w życiu. Zawsze urzekała mnie ona swoim pięknem, tajemniczością, historią pełną dziwnych i zaskakujących wydarzeń: tych z czasów walki z Krzyżakami, tych nowszych — z okresu walki o polskość tej ziemi. I tych najnowszych, gdy na kopernikowskim zamku w Olsztynie znowu wciągnięto biało-czerwoną flagę. Urzekały mnie baśnie i legendy mazurskiego ludu, melancholia pejzażu, mgieł snujących się po jeziorach. Kto raz słyszał głośny

krzyk mew, kto wdychał zapach wody niesiony przez wiatr i zapamiętał jęk wichru na stalowych linach, opinających maszty jachtów, ten tęskni już za tą krainą i zawsze pragnie do niej powrócić.

Mogłem tej młodej panience opowiedzieć o wielu dramatycznych lub pełnych humoru przygodach, które przeżyłem na Mazurach w gronie przedziwnych a zarazem wspaniałych ludzi. Ale nie miałem na to jakoś ochoty. Monika irytowała mnie i byłem zły, że musiałem ją ze sobą zabrać. Wyobrażała sobie, że pracując w samodzielnym referacie będzie Bondem w spódnicy, co tydzień rozwiązującym nową, pasjonującą zagadkę. Ale mimo moich wyraźnych zaleceń nawet nie potrafiła właściwie ubrać się w podróż. Czy naprawdę była przekonana, że jedzie na przyjęcie towarzyskie, a nie na trudy i niebezpieczeństwa, na chłody i deszcze wiosennej mazurskiej pogody? Przeczuwałem, że czekają mnie z nią poważne kłopoty, będzie marzła w swych dżinsach i wełnianym golfie. Z ironią spoglądałem na jej staranny makijaż, który był tu zupełnie zbyteczny. Wyobrażałem sobie minę niektórych moich tutejszych przyjaciół, gdy przedstawię im tę „laleczkę” i powiem, że jest moją współpracowniczką.

Lecz dyrektor Marczak uparł się, że Monika powinna przejść „chrzest bojowy”, a może po prostu obawiał się, że pozostawiona w Warszawie, zechce na własną rękę prowadzić detektywistyczną działalność i narazi nas na nieprzyjemności. Nie nadawała się zresztą nawet na sekretarkę. Wczoraj na jej biurku odkryłem notatkę: *Czekam na Czarcim Ostrowie. Winnetou.*

— Co robi tu ta kartka? — zapytałem surowo.

— Telefonistka przekazała mi treść telegramu do pana, szefie. Ale pomyślałam, że to jakiś głupi żart i nie chciałam panu przeszkadzać, bo był pan zajęty pisaniem jakichś poważnych listów.

Złapałem się za głowę.

— Boże drogi! Przecież ja właśnie czekam na tę depeszę. . .

Niebieskie oczy Moniki zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— Czarci Ostrów? Winnetou? Chyba pan nie chce powiedzieć, że to jest z jakiejś książki? A może to po prostu taki tajny szyfr?

— Nie, proszę pani. To nie jest żaden szyfr. Mój przyjaciel Winnetou każe mi się stawić na Czarcim Ostrowie. I jutro już tam będę. Na przyszłość proszę mi podawać do wiadomości każdą najdziwniejszą nawet depeszę.

— Przecież nie wmówi mi pan, szefie, że zna pan Winnetou — broniła się Monika.

— Znam osobiście. Znam go od dawna i bywałem w jego wigwamie.

— Dlaczego się pan tak gniewa? — wzruszyła ramionami i zrobiła niewinną minkę. — Rozumiem, że chce pan ze mnie żartować, ale przecież nie jestem „pierwszą naiwną”, szefie.

Machnąłem ręką, bo ani myślałem tracić czas na wyjaśnienie, kim jest Winnetou i gdzie leży Czarci Ostrów.

— To niegrzecznie machać lekceważąco ręką, gdy się rozmawia z kobietą — zwróciła mi uwagę Monika. — Wiem, o czym pan teraz myśli, szefie. Pan się zastanawia, dlaczego każda ładna kobieta musi być głupia. Ale pan się myli, szefie. Może zrobiłam błąd nie pokazując panu tej depeszy, nie jestem jednak głupia.

I obrażona usiadła naprzeciw mnie, za swoim biurkiem. Chwyciłem za słuchawkę telefoniczną i zadzwoniłem do dyrektora Marczaka, aby go poinformować, że jutro wyjeżdżam na Mazury.

I wtedy usłyszałem od dyrektora:

— Coś mi się zdaje, że mimo świetnych warunków panna Monika nie nadaje się do pracy w samodzielnym referacie.

— Yhm — chrząknąłem potakująco.

Dyrektor milczał krótką chwilę, a potem nieoczekiwanie zapytał:

— Na Mazurach jest teraz zapewne bardzo zimno, prawda?

— Zapowiadają oziębienie i deszcze. . .

— Będzie pan jeździł po lasach, spał pod gołym niebem?

— To się może zdarzyć, panie dyrektorze.

— A może nawet będzie pan musiał pływać po wzburzonym jeziorze?

— Bardzo prawdopodobne.

— I może nie będzie pan jadł przez cały dzień, zajęty pracą?

— Tak, panie dyrektorze.

— Świetnie. W takim razie zabierze pan z sobą także pannę Monikę.

— Co takiego?! — przeraziłem się.

— A tak. To moje polecenie — i Marczak odłożył słuchawkę.

Nie mam pojęcia, czy Monika się domyśliła, o czym rozmawiałem z Marczakiem. W każdym razie gdy spojrzałem na nią, miała minę, jakby za chwilę czekała ją śmierć z rozpacz. W kącikach błękitnych oczu ujrzałem łzy, a małe usta wykrzywiły się w podkówkę.

— Czemu pani nie poszła do szkoły aktorskiej? — zapytałem.

Łzy zniknęły momentalnie. Małe, czerwono pomalowane usta znowu przybrały swój słodki kształt serduszka.

— Bo uważam, że nie mam talentu, szefie.

— Przeciwnie. Ma pani ogromny talent. Szkoda go marnować na pracę w muzealnictwie, nawet w charakterze detektywa.

I zakomunikowałem jej sucho:

— Jutro wyjeżdżamy samochodem na Mazury. Proszę się przygotować na zmienną pogodę i trudne warunki, w jakich być może zdarzy się nam znaleźć. Należy wziąć ciepłą odzież i tym podobne.

— Co to znaczy „tym podobne”? — zainteresowała się.

— Nie wiem, co młoda panienka powinna zabrać ze sobą w podróż. Nazwałem to „tym podobne”.

— Pan jest zabawny, szefie — stwierdziła.

Wyruszyliśmy z Warszawy około południa. Padał deszcz, było zimno. Wbrew moim ostrzeżeniom Monika ubrała się jak na spacer po Warszawie.

— Czy nigdy nie pomyślała pani, aby wyjść za mąż? — zapytałem ją.

— Nie umiem gotować — westchnęła.

— Ach, to przecież żadna przeszkoda — zapewniłem ją. — Gdyby wychodziły za mąż tylko te, które umieją gotować, urzędy stanu cywilnego świeciłyby pustkami.

— Niech pan nie będzie złośliwy. Ja naprawdę nie umiem gotować. A w ogóle, dlaczego pan się tym interesuje?

— Bo mam już dosyć pani narzeczonych. Ten na „Jawie 50” znowu za nami jedzie. Nie jest to wprawdzie pani osobisty narzeczony, bo osobistym jest Jacek, ale w każdym razie to jeden z narzeczonych.

Obejrzała się.

— Ach, to Romek — stwierdziła. — Dzwonił do mnie wczoraj i obiecałam, że około dwunastej wyskoczę na kawę. Czekał na mnie, biedak.

— W godzinach pracy chciała pani wyskoczyć na kawę? — oburzyłem się.

— Tak. A czy pan tego nigdy nie robi?

— Nigdy! — oświadczyłem z mocą.

— Dureń — stwierdziła.

— Co takiego? — aż mi tchu zabrakło.

— To nie było do pana, tylko do Romka. Po co się wlecze za nami? Nie może pan dodać gazu i go zgubić?

— Nie, koleżanko. Nie mam pieniędzy na mandaty, a już raz zapłaciłem sto złotych. Niech jedzie za nami, choć do Mławy. Mnie to nie przeszkadza.

— A mówił pan uprzednio, że to panu przeszkadza.

— Bo mi przeszkadzał, ale w innym sensie.

— Może pan jest po prostu zazdrosny, szefie?

— Pani wybaczy, koleżanko, ale uważam się za człowieka poważnego. Jestem zajęty pracą, mam wiele obowiązków. Irytuje mnie, że mój pracownik jest nieustannie śledzony. Jak pani chce wykonywać swoje obowiązki? Z narzeczonym na karku?

— Przecież może pan dodać trochę gazu. . .

— Niech jedzie. Nawet weselej w towarzystwie.

Deszcz padał, chłopaka na jawie opryskiwało błoto z kół pędzących samochodów. Ale jechał cierpliwie aż do krańców miasta.

— Pan nie jest prawdziwym mężczyzną — stwierdziła z przekonaniem Monika.

— A to dlaczego?

— Jedzie pan z dziewczyną, a ktoś pana ściga, bo jest o tę dziewczynę zazdrosny. Prawdziwy mężczyzna albo by przystanął i rozprawił się z tym osobnikiem, albo dodałby gazu i zostawił go daleko w tyle. A pan nic.

- Bo ja nie jadę z dziewczyną.
- Co to znaczy?
- Pani jest moją współpracowniczką — powiedziałem.
- Rozumiem. . .

Przez jakiś czas milczała udając, że ogarnęła ją senność. Za rogatekami miasta dodałem jednak gazu i wkrótce młody człowiek zniknął mi z lusterka. Po kwadransie Monika znowu się odezwała:

- Zna pan Waldemara Baturę?
- Owszem.

— Bardzo przystojny mężczyzna. Świetnie tańczy, włada kilkoma językami. Skończył historię sztuki. Jest prywatnym rzeczoznawcą w handlu antykami. O panu wyraża się z największym szacunkiem. Ma piękną mansardę na strychu wysokościovca, którą odkupił od jakiegoś plastyka. Z pracowni roztacza się wspaniały widok na Wisłę. . .

- Była pani u niego?

— Zaprosił mnie tam mój narzeczony. Rafał, plastyk. To było przyjęcie dla niewielkiego grona osób, kominkowy wieczór przy herbacie i kawie. Poszłam, ponieważ dowiedziałam się, że będą tam handlarze antyków. Pan mi przecież polecił, aby dawać baczenie na to środowisko.

- Tak.

— No właśnie. Byłam na przyjęciu i poznałam Waldemara Baturę. Dyskretnie zapytałam go, czy wie o przyjeździe sławnego antykwariusza z Berlina Zachodniego, Johanna Schreibera. Odpowiedział mi, że nic mu to nazwisko nie mówi i nie miał pojęcia o jego przyjeździe do Polski.

— Kłamie. Przynajmniej w pierwszej części swej odpowiedzi. Każdy, kto interesuje się handlem antykami, zna nazwisko Schreibera.

— Tym bardziej że podobno Batura ma ogromną wiedzę z tej dziedziny. Jest poza tym bardzo odcytany, zna świetnie historię. . .

- To wszystko prawda — mruknąłem.

- Dlatego zapytałam go, czy mówią mu coś słowa „Fort Lyck”.

— Jezus Maria! — jęknąłem. — Dlaczego mu to pani powiedziała?! Ależ to jest zdrada tajemnic naszego referatu. I to komu? Największemu naszemu wrogowi.

— Nie wiedziałam, że jest naszym największym wrogiem — zrobiła zdumioną minę małej dziewczynki, która bez pozwolenia zjadła loda — ale skoro ani pan, ani nikt inny nie mógł wyjaśnić, co znaczą słowa „Fort Lyck”, więc chciałam panu pomóc i zapytałam o to Baturę.

Byłem tak wstrząśnięty tym, co zrobiła Monika, że przez chwilę przestałem uważać i o mało nie wpakowałem się na wolno jadącą furmankę.

— Do diaska! — mruknąłem, hamując gwałtownie na śliskiej jezdni, co spowodowało, że wozem trochę zarzuciło. — I wyjaśnił pani, co znaczy „Fort Lyck”?

— On również nie wiedział. Potem zaprosił mnie do tańca, bo trochę tańczyliśmy przy magnetofonie i rzekł: „Słyszałem, że Samodzielny Referat do Zadań Specjalnych zyskał nowego, bardzo cennego pracownika. Czy to właśnie nie pani?”. Pomyślałam, że nie ma sensu się wykręcać, skoro on taki sprytny. Wówczas zwierzył mi się, że także jest trochę detektywem amatorem i przeżył mnóstwo przygód. Następnie powiedział o panu: „Tomasz to bardzo wykształcony i inteligentny człowiek. Ale okropny nudziarz. Urzędnik ministerialny, a raczej urzędas. Nie ma za grosz fantazji. Trzyma się tylko paragrafów”.

— „Urzędas”, powiedział — mruknąłem. — Bez fantazji?

— A tak — ochoczo przytaknęła Monika.

— A jednak nie wiedział, co znaczy „Fort Lyck”.

— Myślę, że jednak coś niecoś się orientował, bo dodał później: „Jeśli chcesz, moja mała, to odwiedzimy kiedyś razem «Fort Lyck». Tam jest bardzo pięknie”. Gdyby mi pan dał zezwolenie i trochę czasu, okręciłabym go sobie koło palca i wy dostałabym od niego tajemnicę „Fortu Lyck”.

Uśmiechnąłem się ironicznie. Batura był jednym z najsprytniejszych i najinteligentniejszych handlarzy antyków. Nie należał także do mężczyzn, których nawet bardzo ładna panienska mogła sobie okręcić wokół palca. Tylko chwilę rozmawiał z Moniką, a przecież zdołał wyciągnąć od niej niemal wszystko, co wiedziała.

Z Waldemarem Batura kończyłem studia historii sztuki. Uczciwość każe wyjaśnić, że był jednym z najlepszych studentów i w owym czasie przyjaźniłem się z nim, gdyż podobnie jak ja odznaczał się żyłką detektywistyczną. Na ostatnim roku studiów razem rozwiązywaliśmy zagadkę fałszerstwa dość znanego obrazu, który znajdował się w prywatnych zbiorach. A potem rozpoczęliśmy pracę w prowincjonalnych muzeach. Ja piąłem się powoli po szczeblach urzędniczej kariery, aż wreszcie osiadłem w ministerstwie. On zaś zląkomił się na lepsze zarobki; rzucił pracę w muzeum i zajął się pośrednictwem w handlu antykami. Po wielekroć wyjeżdżał za granicę, prawdopodobnie przemycając jakieś zabytkowe rzeczy. Wkrótce stał się człowiekiem zamożnym, miał ładny samochód, piękne mieszkanie, ubierał się wytwornie. Oficjalnie był rzeczoznawcą dzieł sztuki, a tak naprawdę handlował antykami. Od czasu do czasu jego detektywistyczna pasja znajdowała ujście w rozwiązywaniu zagadek historycznych, poszukiwaniu skarbów i zaginionych podczas wojny dzieł sztuki, które sobie przywłaszczał. Kilkakrotnie nasze drogi się skrzyżowały. Raz było to w „Niesamowitym dworze”, drugim razem — we Fromborku. Wpadł wtedy i poszedł do więzienia za usiłowanie przywłaszczenia klejnotów pułkownika Koeniga. Zwolniono go warunkowo. Odtąd działał ostrożniej, nie popadając w wyraźny konflikt z prawem. Widziałem w nim przeciwnika niezwykle niebezpiecznego, odznaczał się bowiem wybitnymi zdolnościami detektywistycznymi, skłonnością do przygód i niebezpieczeństw oraz wspaniałą wiedzą z dziedzin, które stanowiły także przedmiot mego zainte-

resowania. Miał jedną cechę, którą mnie przewyższał: niezwykle miłą aparycję i talent do zjednywania sobie przyjaciół, szczególnie wśród płci pięknej.

— O, nareszcie jedziemy trochę szybciej — stwierdziła z radością Monika — bo odnosiłam wrażenie, że wybraliśmy się na pogrzeb, a nie na przygodę. Bardzo lubię szybko jeździć.

— Pani narzeczony na „Jawie 50” chyba nie rozwija zawrotnej szybkości — stwierdziłem złośliwie.

— To nie jest mój narzeczony, a raczej mój prześladowca. Prześladowa mnie swoimi propozycjami małżeńskimi. Owszem, kiedyś miałam chłopaka, który pożyczał od swego ojca wóz marki „Taunus”. Jeździliśmy bardzo szybko.

— I co się stało z tym chłopakiem?

— Z nim nic się nie stało. Ale wóz rozbił i ojciec przestał mu go pożyczać. A pan skąd wziął swój wehikuł?

— Z muzeum starych samochodów — zażartowałem.

— To się czuje, gdy się nim jedzie. Mam wrażenie, że zaraz się rozsypie. Wie pan co Romek powiedział o pana wozie? Że choćby mu pan dopłacał, nie zamieniłby się z panem na swoją jawę. Pana samochód wygląda. . .

— Wiem, wiem, jak wygląda — wtrąciłem szybko, bo nudziły mnie już różne określenia i porównania, jakimi obdarzano wehikuł — wygląda jak skrzyżowanie czółna z namiotem turystycznym, przypomina larwę jakiegoś owada z podkurczonym odwłokiem i wybałuszonymi oczami.

Straciłem ochotę do dalszej rozmowy. Ten samochód dostałem przed kilkoma laty od swego wujka, zapoznanego wynalazcy. Samochód był brzydki, bo wujek sam sporządził karoserię, tu i ówdzie łątając ją zwykłym płótnem brezentowym. Mimo wielu moich wysiłków, aby nadać mu bardziej elegancki wygląd, wciąż był pokraczny, a lakier nie chciał się trzymać na błotnikach i drzwiczkach. W wielkich miastach ludzie na ogół już niczemu się nie dziwią, ale w mniejszych budził zawsze sensację i drwiny. Miał jednak bardzo wiele zalet i nie zamieniłbym go na inny, błyszczący lakierem. Choć, prawdę mówiąc, nie stać mnie było na kupno ładnego, nowoczesnego samochodu. Musiałem się zadowolić tym, który mi kiedyś darowano. Wyobraźcie sobie długie blaszane czółno, na którym ktoś rozpiął namiot. Z przodu była szyba i dwa wielkie reflektory od jakiegoś przedpotopowego grata, przypominające latarnie starego parowozu. Z lewej strony znajdował się klakson w formie trąbki, z boków celuloidowe okienka, koła były ze szprychami jak w motocyklu. Trzykołowy „Velorex” wyglądał przy nim jak wielka dama obok kuchty. Ale maska kryła wspaniałą silnik „Ferrari 410”, który mój wuj odkupił z rozbitego samochodu i wyposażył w niego wehikuł oraz wprowadził kilka wynalazków. Tajemnice wehikułu znało niewielu i dzięki temu udało mi się wyjść cało z niejednej przygody. Dlatego nie uważałem za stosowne zdradzać tych spraw pannie Monice, choć była moją współpracowniczką. Czy na długo zresztą? Z jej ankiety i życiorysu wynikało wprawdzie, że świetnie nadaje się do pracy w sa-

modzielnym referacie, ale nie uwzględniliśmy, że za papierkami kryje się żywy człowiek — ładna panienska, która chce się bawić, lubi towarzystwo, a jej uroda ściąga młodych ludzi, jak świecąca lampa wabi ku sobie wielkie ćmy.

Zatrzymaliśmy się w Piszcu, aby zjeść obiad.

— Dlaczego jest pan ciągle poirytowany? — zapytała mnie Monika.

— Czy pani nie może być trochę brzydsza? — odpowiedziałem pytaniem, wskazując wzrokiem siedzących obok nas gości w restauracji, którzy raz po raz zerkali na nią ciekawie. — Zwracamy ogólną uwagę. To nie jest dobre dla detektywa. Jeśli ktoś nas śledzi, natychmiast mu powiedzą o naszej bytności. Detektyw nie powinien się rzucać w oczy.

— O, wa — wzruszyła ramionami. — Twarzy sobie nie zmienię. Ale postaram się coś zrobić, aby pana zadowolić. Choć tak naprawdę pan też się rzuca w oczy przez swój pokraczny samochód.

Gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, wyjęła z podróżnego neseserka czarną, kudłatą perukę i naciągnęła ją na jasne loki. Wyglądała jak straszdyło, choć rzeczywistość buzia pozostała nadal ładna.

— Zmyliliśmy tropy — stwierdziła. — Do tej pory jechał pan z blondynką, a odtąd z brunetką. Mam osiem peruk. Pożyczyłam je z teatru, gdzie pracuje ojciec — pochwaliła się ukazując wnętrze neseserka.

Leżały tam same peruki: rude, czarne, beżowe, brązowe; z długimi włosami, z krótkimi, z warkoczami.

Przejechaliśmy wreszcie lasy i zobaczyliśmy pierwszą willę w Niedźwiedzim Rogu. Między drzewami prześwitywało ogromne rozlewisko Śniardw, spienione od wiosennego wiatru.

— Nie wygląda to na wioskę — stwierdziła Monika, gdy minęliśmy pierwsze zabudowania.

— Bo też i nie jest to wioska. Latem spotkać tu pani może wielu znajomych pani ojca, z Warszawy.

W Niedźwiedzim Rogu znajdowało się tylko kilka gospodarstw chłopskich. Resztę stanowiły wille; murowane lub drewniane, zbudowane z większym lub mniejszym smakiem. Ich gospodarze mieszkali i pracowali w Warszawie, tu przyjeżdżali zazwyczaj jedynie na lato lub dłuższe weekendy. Byli wśród nich kupcy, wielcy artyści, ludzie wolnych zawodów. Być może stawiali swoje wille z myślą o spokoju i odosobnieniu, ale we współczesnym świecie jest to już chyba zjawisko mało osiągalne. Wille tłoczyły się na niewysokiej skarpie nad jeziorem, oddzielone od wody wyboistą drogą i wąskim pasmem porośniętego drzewami wybrzeża. Usytuowano je na maleńkich działkach, każdy chyba wiedział, co u drugiego gotuje się na obiad i wszędzie docierał jazgot tranzystorowych aparatów radiowych. Widok na jezioro był stąd jednak bardzo piękny i może on rekompensował ciasnotę, warkot silników i kurz wzniesany przez jadące obok domów samochody. Prawdopodobnie wszyscy się tu znali jak w małym miasteczku, traciło się więc

swą wspaniałą anonimowość, którą niekiedy daje duże miasto. A na domiar złego na skraju Niedźwiedziego Rogu, tuż za willą znanego artysty plastyka, rozpościerało się pole namiotowe.

O tej porze roku, gdy wiosna jeszcze nie wybuchnęła, wille jednak stały ciemne i nieme, bez swych właścicieli. Tylko w jednym niedużym domku paliło się światło w oknach, a na brzegu leżała dopiero co wyciągnięta z wody, pomalowana na biało łódź wiosłowa. Za płotem z drewnianych sztachetek parkował nowoczesny „BMW Turbo”, o przepięknym opływowym kształcie, rozwijający szybkość ponad dwieście kilometrów na godzinę.

— Niech pani zerknie na rejestrację tego wozu — powiedziałem. Ale Monika tylko mruknęła coś niewyraźnie i skurczyła się na siedzeniu wehikułu. Po prostu zasnęła pod koniec podróży.

Zamierzałem zatrzymać wehikuł obok domku z rozjarzonymi oknami i poprosić o wypożyczenie łódki. Celem mojej wyprawy był bowiem Czarcim Ostrów, nieduża wysepka położona na północny wschód od Niedźwiedziego Rogu. Teraz, gdy zapadł zmierzch, była już ona niemal niewidoczna z brzegu i wraz z Wyspą Pajęczą rysowała się tylko w oddali jako czarna plama na horyzoncie. Chciałem płynąć łódką, aby nie ujawniać właściwości mojego wehikułu, ale skoro Monika zasnęła, nawet zabawna wydawała mi się myśl, aby dotrzeć tam wehikułem.

Pojechałem do końca Niedźwiedziego Rogu i tuż za drewnianą willą plastyka po piaszczystym brzegu zjechałem do wody. Zakołysały wehikułem fale, bryzgi piany na chwilę zakryły okna. Wiatr szedł od rufy i wehikuł, kołysząc się na fali, zaczął sunąć w stronę wyspy. Przez celuloidowe okienka zaglądały do wozu czubki fal. Samochód łagodnie pochylał się to w lewo, to w prawo, to sunął w dół, to znów wznosił się ku górze, dźwigany przez fale nadbiegające od tyłu. Kołysanie i cichy szmer motoru jeszcze bardziej usypiały Monikę. Nie budził jej nawet silny chłopot wody, rozbijanej o przód samochodu i rozbryzgującej się na szybach i na drzwiczkach.

Monika spała, a tymczasem coraz wyraźniejsza stawała się czarna plama drzew, rosnących na Czarcim Ostrowie. A mnie opadły wspomnienia. To przecież tutaj, latem ubiegłego roku, ścigałem „Moby Dickiem” groźną Miss Kapitan. To tutaj, na podwodnych skałach, które od północnego wschodu broniły dostępu do Wyspy Pajęczej i Czarciego Ostrowu, rozbił się podczas burzy jej latający holender, a my odzyskaliśmy skradzione przez Pinokia indiańskie trofea². Tutaj także poznałem tajemnicę mego najlepszego przyjaciela, który dziś kazał mi tu znowu przybyć...

Jakaś wysoka fala uniosła do góry wehikuł, a umieszczona z tyłu śruba napędowa znalazła się w powietrzu i silnik zaczął głośno wyć. Potem gwałtownie zsunęliśmy się w głęboki wodny wąwóz. Przód wehikułu zarył się w wodę, która

²Patrz powieść „Pan Samochodzik i Winnetou”.

zalała przednią szybę i chlusnęła na brezentowy dach. Wehikuł trochę odwróciło i tym razem uderzyła w nas boczna fala. Zakołysało nami mocno, potrząsnęło śpiącą Moniką, która raptem otworzyła oczy i ujrzała za szybami wzburzone fale jeziora.

— O Boże! Gdzie my jesteśmy?! — krzyknęła z prawdziwym strachem. — Śniło mi się, że płynę statkiem i statek zaczyna tonąć. . .

— Nie zatoniemy — zapewniłem ją, nadrabiając kierownicą i znowu ustawiając wehikuł tyłem do fali. Boczne uderzenia groziły bowiem silnym kołysaniem, a nawet wywrotką.

Śniardwy to przecież „mazurskie morze”, największe jezioro w Polsce. Mają siedemnaście kilometrów długości i trzynaście kilometrów szerokości, ale są stosunkowo płytkie i dlatego bardzo szybko wiatr powoduje na nich ostrą, krótką falę, niebezpieczną dla kajaków i łodzi.

— Jak się to stało, że jesteśmy na wodzie? — zdziwiła się Monika. — Czy jedziemy po dnie?

— Tak — odparłem. — Pani spała, padał deszcz, rzeki wezbrały. I oto brniemy przez rozlaną wodę.

— Pan żartuje.

— A pewnie. Ale nie boi się pani?

— Nie wiem, czy się nie powinnam bać. To pudło nie utonie?

— Mam nadzieję, że nie. Do tej pory nie zawodziło.

— Ono ma z tyłu śrubę napędową, jak motorówka?

— Tak.

— Na szczęście umiem trochę pływać — pocieszyła się Monika. — Uważam jednak, że zamiast pasów bezpieczeństwa, jak w innych samochodach, powinien pan wozić koło ratunkowe. Zrobił mi pan głupi kawał. Zasnęłam na drodze przez wieś, a obudziłam się na środku jeziora. Jak się ono nazywa?

— To Śniardwy.

— Niemożliwe! — przestraszyła się. — I dokąd płyniemy? Na drugi brzeg?

— Na Czarci Ostrów — wyjaśniłem. — O tam, już go widać. Przed nami w wieczornym mroku rysowała się wyraźnie kępa drzew, porastających wysepkę.

— Dlaczego nazywa się „Czarci”? — zapytała.

— Nikt tego nie wie. Według ludowych legend było to miejsce religijnego kultu dawnych Prusów. Pozostało po nich stare cmentarzysko. Potem Prusacy zbudowali tu twierdzę, którą w jakiś czas później rozebrano. Ludzie mówią, że w takie jak dziś wietrzne i dżdżyste noce zlatują się tu czarty. Z czartami zjawiają się duchy. . .

— Nie jestem małą dziewczynką, którą można w ten sposób nastraszyć — oświadczyła Monika. I nagle zadrzała.

— Co się pani stało?

— Zimno mi. Rozespałam się, a przez szczeliny w dachu pańskiego samochodu wieje zimny wiatr.

— To bardzo dobrze — mruknąłem.

— Pan chce, żebym się zaziębiła?

— Oczywiście, że nie — odparłem szybko. — Na tylnym siedzeniu leży mój gruby sweter.

Mnie też zrobiło się zimno, ale sweter oddałem Monice. Zgodnie z intencją Marczaka powinienem był tę pannę przemrozić, żeby zrezygnowała z pracy detektywa, ale nie miałem sumienia patrzeć, jak drży. Sam więc musiałem trząść się z chłodu. — A mówiłem, żeby się pani ciepłej ubrała — burczałem na nią.

Brzeg wyspy był blisko. Mrok gęstniał. Łomotały groźne fale, uderzające w wehikuł, syczała piana wokół nas, krople deszczu bębniły po brezentowym dachu i głośno szumiały drzewa na wyspie. Wszystko to tworzyło nastrój pełen niepokoju, a nawet grozy. Monika naciągnęła na siebie mój gruby sweter i siedziała skulona, ze strachem i obawą patrząc przez okno na gęstwą trzcin, obrastających wyspę i kołyszających się od naporu wiatru i fal.

Ominąłem północną część wyspy i zbliżyłem się od zawietrznej, pamiętając, że znajduje się tam dogodne miejsce, aby wyjechać z wody na brzeg. Po chwili koła wehikułu trafiły na twardy grunt. Wyłączyłem wtedy śrubę napędową i przesunąłem dźwignię skrzyni biegów. Samochód powoli wypełził na piaszczysty skrawek lądu, który oświetliłem reflektorami. Zobaczyliśmy nieprzenikloną gęstwą drzew, a po prawej stronie wielką kępę krzaków. Zatrzymałem wehikuł i kazałem Monice opuścić samochód. Zrobiła to niechętnie, jakby lękając się choćby przez chwilę pozostać samotnie na otoczonej złą sławą wysepce. Dopiero mój powtórny rozkaz, wydany nieco ostrzejszym tonem, spowodował skutek. Monika opuściła wehikuł i oczekiwała na piaszczystej plaży, chłostanej wiatrem i deszczem.

Wprowadziłem wehikuł w krzaki, aby pozostawał niewidoczny z lądu i wody. Tak kazał mi czynić mój instynkt poszukiwacza przygód — nie wiedziałem bowiem, w jakim celu kazał mi tu przybyć mój przyjaciel. Może i tutaj czekała mnie nowa przygoda?

Wyjąłem z wehikułu latarkę i namiotową pałatkę, która mogła służyć za perlerynę. Monikę odnalazłem pod drzewem, tuż nad wodą. Siedziała skurczona, z oczami wyrażającymi strach. Czarne włosy peruki zlepily się w mokre strąki.

— Można się pani przestraszyć — stwierdziłem. — Wygląda pani jak czarownica, która przyleciała tutaj, aby tańczyć z czartami.

— Niech pan sobie nie kpi. Czy tu jest jakiś dom?

— I dyskoteka? — zapytałem ironicznie. — Nie, proszę pani. To bezludna wysepka.

— Chyba nie będziemy tutaj nocować? Po co mnie pan tutaj przywiózł? Nie wzmówi mi pan, szefie, że ma pan w tym miejscu do wykonania jakiejś specjalne

zadanie. A może po prostu zamierza pan wypróbować moją odwagę? Od razu się poddaję. Jestem wystarczająco przerażona. Chcę wracać do domu.

— Teraz to już niemożliwe. Chodźmy.

— Dokąd mam iść? Tu przecież nikogo nie ma.

— Nie wiem. Może ktoś tu jest — powiedziałem. — Trzeba się o tym przekonać. Przecież czytała pani telegram.

— Ktoś sobie z pana zażartował. Nie istnieje żaden Winnetou.

— O Czarcim Ostrowie myślała pani podobnie. A teraz chodźmy. Szkoda czasu.

Ociągając się ruszyła za mną w głąb wysepki. Padał wciąż deszcz, wiał wiatr, szumiało jezioro. Od maleńkiej plaży prowadziła w głąb ledwie widoczna ścieżynka, którą latem wydeptali turyści, biwakujący niekiedy w tym miejscu. Ścieżka wiła się wśród krzaków i drzew, i pięła się na niewysokie wzgórze. Od czasu do czasu, zszedłszy krok ze ścieżki, wpadało się w wykroty, potykało na starych ceglach, resztkach zburzonej twierdzy.

Wyspa była maleńka. Ze szczytu pagórka znowu widać było jezioro i samotne światełko z Niedźwiedziego Rogu, z willi, przed którą stał „BMW Turbo”.

Przykucnąłem obok pnia sosny, nakrywając się pałatką. Monika jakiś czas stała w pobliżu, lecz nie ustający deszcz zmusił ją wreszcie do wejścia pod pałatkę.

— Ktoś chodzi po wyspie — szepnęła. — Słyszałam trzask łamanych gałązek.

— Wydaje się pani. To naprawdę bezludna wyspa — mówiłem uspokajająco, ale świadomość, że wyspa jest bezludna, wprawiała Monikę w jeszcze większy strach.

— Na co czekamy? — zapytała po jakimś czasie.

— Nie wiem — mruknąłem.

Wyobraźcie sobie deszczową noc, wzburzone jezioro i maleńką bezludną wysepkę. Po jeziorze hula wiatr i jęczy w gałęziach drzew. Szumi deszcz, dwoje ludzi siedzi pod brezentową pałatką i czeka nie wiadomo na co. Z gałęzi spadają krople wody i łomocą o ziemię, ciągle się wydaje, że gdzieś obok ktoś ostrożnie stąpa lub czai się w ciemnościach nocy.

— Jeśli pragnął pan przekonać mnie, że nie nadaję się na detektywa — szepnęła Monika — to osiągnął pan swój cel. Rezygnuję.

— Czy może pani złożyć to oświadczenie również na piśmie?

— Oczywiście.

Wyjąłem z kieszonki notes i długopis, zapaliłem latarkę.

— Proszę pisać — rozkazałem.

Monika, nieco drżącą ręką, napisała:

Oświadczam, że rezygnuję z pracy w Samodzielnym Referacie do Zadań Specjalnych.

— I nie żal panu, że się mnie pan pozbywa? — zawahała się przed złożeniem podpisu.

— Nie — odrzekłem twardo.
— Jest pan potworem — powiedziała. — Dlatego nie podpiszę tego oświadczenia.

I odsunęła od siebie notes.

— Żal mi, że pani chce zrezygnować z pracy — pośpieszyłem z wyjaśnieniami — ale takiej dziewczynie jak pani trudno pracować w charakterze detektywa.

— A co pan wie o mnie? — oburzyła się. — Właśnie że nie podpiszę, choćbym tu miała umrzeć ze strachu. Pan tylko udaje żal, szefie. Niech pan schowa swój notes i zgasi latarkę.

Przysunęła się do mnie i wygodniej usadowiła. Zanosilo się na to, że zacznie spać. Ale w otaczającym nas mroku ciągle coś szemrało, jakby ktoś krążył wokół nas coraz bliżej.

— O Boże! Słyszysz pan? — co chwila chwyciła mnie kurczowo za ramię.

Nagle stwierdziła:

— Pan drży? Dlaczego?

— Bo mi zimno. Oddałem pani swój sweter.

— To niech go pan weźmie z powrotem — rzekła i zaczęła go z siebie ściągać.

Nagle dziewczyna krzyknęła strasznym głosem.

— Boże drogi, coś po mnie łązi! Niech pan zaświeci latarkę...

Spełniłem jej prośbę i zobaczyliśmy w trawie kilkanaście małych, rudawych myszy leśnych, które beztrudno spacerowały po naszych nogach.

Monika z wrzaskiem zerwała się ze swego miejsca i piszcząc próbowała wejść na drzewo. Ale ja tupnąłem nogą i myszy uciekły.

— Niech pan da to oświadczenie, natychmiast je podpiszę — powiedziała, dygocąc ze wstrętu. — Jestem gotowa stawić czoła największym niebezpieczeństwom, ale wobec myszy rezygnuję z pracy. Następnym razem niech pan tu sam przyjeżdża i niech myszy pana zjedzą, jak zjadły Popiela.

— Oprócz myszy jest tu bardzo wiele żab i szczurów piżmaków — oświadczyłem, poszukując w torbie notesu. — Turyści, którzy tu kiedyś nocowali, opowiadali, że myszy zżarły im wszystkie zapasy, żaby tupwały bez przerwy w namiocie, a szczury hałasowały w przybrzeżnych trzcinach. Turyści podejrzewali, że to wina naukowców z Zakładu Doświadczalnego PAN-u, gdzie jest słynny rezerwat tarpanów. Podobno jeden z naukowców przywiózł tu kiedyś parę myszy leśnych, bo ciekaw był, jak się zachowują na wyspie. I myszy się rozmnożyły.

— Rezygnuję z pracy. Nie musi mi pan mówić nic więcej — wciąż dygotała ze wstrętu.

Gdzieś w głębi dobiegł nas przeraźliwy płacz puszczyka.

— Co to było? — jęknęła.

— Nie wiem. Proszę tu zostać, a ja pójdę na zwiady.

— Nie, nie. Nie puszcza pana. Ja tu nie zostanę sama — wczepiła się w moje ramię, a miała długie paznokcie.

— To był umowny sygnał — wyjaśniłem. — Muszę pójść na zwiady. Zostawię pani latarkę.

Wołanie puszczyka rozległo się od strony zachodniej. Ruszyłem ostrożnie na czworakach, macając przed sobą rękami, aby nie wpaść do jakiegoś dołu, pełnego cegieł i rumowisk.

Wtem za plecami usłyszałem przeraźliwy krzyk. To wołała Monika. Błyskawicznie zawróciłem i zobaczyłem dziewczynę stojącą pod drzewem i oświetlającą latarką jakąś męską postać.

— Niech biała skwaw się nie lęka — zabrzmiał łagodny głos męski. — Winnetou nie robi nikomu żadnej krzywdy. Przybył tu, aby spotkać Szarą Sowę.

— Nie, nie, niech pan odejdzie. Pan jest chyba wariatem — wołała Monika, wymachując latarką elektryczną.

— Szukam Szarej Sowy — powtórzył Winnetou.

— Nie znam żadnej Szarej Sowy. Niech pan stąd odejdzie, bo znowu będę krzyczeć.

Pod moją stopą trzasnęła sucha gałązka i Winnetou obejrzał się raptownie.

— Szara Sowa! — zawołał.

— Winnetou! — krzyknąłem.

Padliśmy sobie w objęcia. A gdy minęła chwila powitania, Winnetou oświadczył:

— Szara Sowa pytał mnie telegraficznie o „Fort Lyck”. Oto jest Fort Lyck.

I zatoczył szeroko ręką, obejmując tym gestem maleńką wysepkę na Śniardwach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

TAJEMNICA FORTU LYCK • MECENASOWA POPŁAWSKA
• CO KRYJE CZARCI OSTRÓW? • HISTORIA WINNETOU •
W OCZEKIWANIU NA BLONDYNA • NOC NA BEZLUDNEJ
WYSPIE • BŁĘKITNA MOTORÓWKA • GDZIE JEST SKARB?
• CO ROBIŁ BLONDYN • MONIKA ZMIENIA SKALP • I ZNO-
WU WALDEMAR BATURA

Winnetou zaprowadził nas w gąszcz krzaków na brzegu wyspy, gdzie leżała wyciągnięta na brzeg biała łódź, a w niej znajdował się worek z namiotem i sztucer z wymiennymi lufami.

— Tę łódź widziałem chyba w Niedźwiedzim Rogu — stwierdziłem, pomagając Winnetou rozstawić w krzakach dwuosobowy namiocik.

— Pożyczyłem ją od mecenasowej Popławskiej — wyjaśnił mój przyjaciel. — Trochę zbyt długo zasiedziałem się w Wejsunach u pana Eugeniusza. Czy mój brat, Szara Sowa, zna tę mądrą i dobrą bladą twarz?

— Nie.

— To były dyrektor szkoły w Wejsunach, obecnie już na emeryturze. Założył w swej wsi Izbę Regionalną, pełną mazurskich eksponatów z okolic Puszczy Pińskiej. Przybył w te strony już po wojnie, ale ożenił się z Mazurką i rozkochał także w tych ziemiach. Interesuje się wszystkim, co jest związane z tutejszym regionem, napisał o tej ziemi wiele artykułów i zebrał dużo ciekawych materiałów. W Izbie Regionalnej prowadzi frapujące gawędy dla wycieczek szkolnych. To u niego na ścianie wisi bardzo stara mapa tych okolic, wydrukowana w Berlinie przez syna słynnego Gizewiusza. Na tej mapie Czarcia Ostrów nosi nazwę Fort Lyck.

— Czy domyśla się, co oznacza ta nazwa?

— Lyck, to po niemiecku Ełk. Fryderyk Wielki, król pruski, zbudował na wyspce na Śniardwach maleńką fortecę z dwoma działami, które mogły doskonale blokować szlak wodny z Pisz do Mikołajek i stanowiły ogniwo w obronnym łańcuchu twierdz i fortec, jakimi otaczali się Prusacy. Na wyspie znajdowała się kilkunastoosobowa załoga, prawdopodobnie z garnizonu w Ełku, stąd też nazwa Fort Ełk, czyli Lyck. Tak w każdym razie przypuszcza pan Eugeniusz. Nazwa Czarcia

Ostrów jest znacznie wcześniejsza i niedawno została przywrócona. W każdym bądź razie Niemcy używali nazwy Fort Lyck. Mój brat, Szara Sowa, powinien zobaczyć tę mapę i poznać bladą twarz z Wejsun, która tak kocha te ziemie.

— Oczywiście, że to zrobię — oświadczyłem z nadzieją, że być może od pana Eugeniusza dowiem się także o von Dobeneckach.

— Rozmawiałem z nim o Czarcim Ostrowie — powiedział dalej Winnetou — i zanim się spostrzegłem, zapadł zmierzch. Zarzuciłem torbę na ramię i pośpieszyłem przez lasy do Niedźwiedziego Rogu, gdzie zamierzałem wypożyczyć jakiś kanu, aby dostać się na wyspę. Miałem szczęście. Okazało się, że właśnie przyjechała na weekend mecenasowa Popławska i nawet już wyciągnęła z hangaru swoją łódkę. Tę białą skwaw znam jeszcze z Warszawy. To ja poinformowałem ją, że w Niedźwiedzim Rogu są do sprzedania działki budowlane i za to zachowała dla mnie wdzięczność. W jej willi mogę zawsze liczyć na miłe przyjęcie.

— Czy także do niej należy „BMW Turbo”?

— Nie. To nie jest jej blaszany mustang. Przyjechała tu z bladą twarzą, którego nazywa Duduś. Biała skwaw jest rozwiedziona i lubi towarzystwo mężczyzn. To on ją namówił na weekend, za co Winnetou jest mu niezmiernie wdzięczny, gdyż mógł zdążyć na spotkanie z Szarą Sową.

— Nie byli zdumieni, że Winnetou chce po nocy płynąć na Czarcim Ostrów?

— Winnetou nie lubi niepotrzebnie strzępić sobie języka. Nie powiedział, że płynie na Czarcim Ostrów. Poprosił o wypożyczenie łódki i choć zapraszali na spędzenie wieczoru przy rozpalonym kominku, wyruszył, aby spotkać Szarą Sowę.

Namiocek został rozstawiony i po chwili nasza trójka skryła się w jego zacisznym wnętrzu, osłoniętym od wiatru i deszczu. Monika schowała się w ciepłym śpiworze Winnetou, zapaliłem latarkę i zrobiło się niemal przytulnie, tak jakś po domowym. Raptem Monika zdjęła z głowy mokrą perukę, a Winnetou sapnął zdumiony:

— Ufff, biała skwaw miała podwójny skalp? W czarnym skalpie wyglądała jak wiedźma, ale w jasnym jest piękna jak słońko, gdy wschodzi.

— Mam osiem takich skalpów — oświadczyła dumnie Monika.

— Ufff, aż osiem? — powtarzał zdumiony Winnetou. — I biała skwaw będzie je teraz kolejno zdejmować z głowy?

— Ach, nie — roześmiała się. — To mój prawdziwy skalp. Siedem pozostałych mam w walizce.

Winnetou popatrzył na mnie z uwagą.

— Szara Sowa bardzo się zmienił. Dawniej sam jeździł po przygodę. A teraz ma ze sobą białą skwaw, która zmienia skalpy jak mecenasowa Popławska swoje mokasyny.

— To moja współpracowniczka — wyjaśniłem oględnie — a ta wyprawa jest dla niej próbą generalną. Ma na imię Monika i chce zostać detektywem.

W oczach Winnetou rozbłysły wesołe ogniki, które spostrzegła Monika. Natychmiast poczuła się urażona.

— Pan, panie Winnetou, sądzi, że nie nadaję się na detektywa? Ale to jednak właśnie ja trafiłam, a nie pana przyjaciel a mój szef, którego nie wiem dlaczego nazywa pan Szarą Sową, na ślad Fortu Lyck.

— Jeszcze nie wiadomo, czy to cenny ślad — zauważyłem.

— Przekona się pan, że wpadliśmy na trop niezwykle interesującej historii. Tu są zapewne ukryte skarby. I Schreiber zlecił je odnaleźć blondynowi. Teraz dzięki mnie będziemy mogli im w tym przeszkodzić.

Winnetou potwierdził jej przekonanie.

— O Czarcim Ostrowie krąży wiele legend, a wśród nich o zakopanych skarbach.

Przyszła pora, aby wyjaśnić Winnetou historię poprzedzającą nasze przybycie. Uczciwość nakazywała wspomnieć, że mimo poważnego kłopotu, który mnie i Marczakowi sprawiła działalność detektywistyczna panny Moniki, rzeczywiście tylko dzięki niej dowiedzieliśmy się, iż wielki antykwariusz z Berlina Zachodniego interesuje się Czarcim Ostrowem. Bo czy pisałby na kartce *Fort Lyck*, a potem kartkę niszczył, gdyby ta mała wysepka na Śniardwach nie leżała w kręgu jego zawodowych zainteresowań? Dla Schreibera-turysty Mazury, a także Czarcu Ostrów, były pociągające tylko latem. Zresztą on wyruszał w Bieszczady, aby zapolować na wilka, a kartkę z nazwą *Fort Lyck* pokazał blondynowi, jak gdyby zlecając mu jakieś zadanie.

— Zaczekamy więc tutaj na bladą twarz zwaną Blondynem — oświadczył stanowczo Winnetou.

— Co takiego? — zaprotestowała Monika. — A jeśli on tu w ogóle nie przybędzie? A jeśli zjawi się za tydzień lub dwa tygodnie? Mamy tkwić na wyspie o chłodzie i wodzie? Czy pan, Winnetou, nie widzi, że mój szef aż trzęsie się z zimna?

Winnetou z dezaprobatą pokręcił głową.

— Szara Sowa okazał nieprzezorność, nie zabierając z sobą ciepłego swetra. Dlatego jutro rano Szara Sowa wraz z białą skwaw popłyną do mecenasowej Popławskiej i schronią się przy ciepłym kominku. Winnetou sam tu zaczeka na Blondyna.

— To nie ja okazałem nieprzezorność. Pożyczyłem białej skwaw swój sweter — broniłem się.

Monika zaczęła się śmiać.

— I pan, szefie, zaczął mówić tym dziwnym językiem? „Szara Sowa”, „Winnetou”, „biała skwaw, która zmienia skalpy”? Gdzie ja jestem?

— Przydałby się jej kieliszek koniaku. Ona jest na granicy wytrzymałości nerwowej — szepnąłem do Winnetou.

— Powinniście raczej wypić szklanę gorącej herbaty i połknąć aspirynę — pokręcił głową Winnetou. — Ale jak rozpalić ogień? Na dworze wciąż pada deszcz i gałęzie są mokre. Czy Szara Sowa ma w swym blaszanym mustangu butle z gazem i czajnik? Winnetou przyniesie te rzeczy do wigwamu.

Dałem mu klucze od wehikułu i powiedziałem, gdzie go ukryłem. Winnetou opuścił namiot, a Monika przestała się śmiać.

— Proszę mi wybaczyć, już dłużej nie mogłam wytrzymać. Taki piękny mężczyzna — westchnęła — i taki nieszczęśliwy. Czy on naprawdę wierzy, że jest Winnetou?

— Bo on jest Winnetou. Tylko nowym Winnetou. Współczesnym — odparłem.

I w krótkich słowach opowiedziałem jej dzieje mojego przyjaciela.

— Jest znakomitym grafikiem, autorem wspaniałych rysunków i ilustracji do wielu książek. Nade wszystko jednak lubi rysować Indian i ilustrować powieści Maya, Coopera i innych pisarzy, podejmujących w swych książkach historie z Dzikiego Zachodu. Zaproszony do Stanów Zjednoczonych, wsławił się tam swymi indiańskimi ilustracjami i powrócił do kraju przywożąc liczne egzotyczne pamiątki, które uzyskał zwiedzając rezerwaty Indian. W Polsce za cykl ilustracji otrzymał Nagrodę Państwową I stopnia i za uzyskaną w ten sposób dość sporą sumę pieniędzy nabył działkę nad jeziorem Zmierzchun na Mazurach, a potem postawił na niej dom z drewnianych bali i zaczął prowadzić samotny tryb życia. Stał się wkrótce jednym z wielu obrońców przyrody i naturalnego środowiska człowieka. A ponieważ miał w swym domu z bali wiele eksponatów indiańskich, lubił rysować Indian i prowadził podobny do indiańskiego tryb życia, dzieci z okolicznych wiosek nazwały go „Winnetou”. Przyjął ten przydomek i tak zrosł się z nim, że zaczął mówić indiańskim językiem z książek Karola Maya. Ci, którzy się z nim przyjaźnili — a miał wielu przyjaciół, ceniących nie tylko jego talent, ale i miłość do przyrody — przyjmowali jego język jak zaproszenie do pięknej i nieszkodliwej zabawy, przypominającej dziecinne, beztroskie lata. Wędrowcy i poszukiwacze przygód — a wielu ich spotkać można na mazurskich szlakach — cenili Winnetou i w jego domu znajdowali zawsze ciepły kąpiel i odrobinę stawy. Jego wigwam wrosł mocno w mazurski krajobraz, a sam Winnetou stał się częścią legendy, którą zrodziła ta piękna ziemia.

Był wysokim, szczupłym, przystojnym mężczyzną o ciemnych, gładko zaczesanych włosach. Miał już trzydzieści pięć lat, ale ogorzała od słońca twarz nie zdradzała jego wieku, a swoją sylwetką i ruchami przypominał chłopca. Nosił wyszarżałą kurtkę welurową i kolorowe koszule; wąskie welwetowe spodnie miał wpuszczane w długie miękkie buty. Zimą chronił go od mrozu krótki kożuszek, a latem od deszczu wojskowa peleryna. Odkąd porzucił Warszawę i zamieszkał w swym wigwamie, zarabiał bardzo mało. Ale żył skromnie, miał niewielkie potrzeby finansowe. W sezonie letnim wynajmował się jako przewodnik wycieczek,

zimą prowadził dewizowe polowania. Wiele pracował społecznie jako aktywista Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego i Ligi Ochrony Przyrody. Nad brzegami Wielkich Jezior Mazurskich, nad Jeziorakiem i w Puszczy Piskiej imię Winnetou było znane i popularne wśród żeglarzy i myśliwych, działaczy kulturalno-oświatowych, harcerzy. Jego dziwaczność przestała razić, gdy wiedziało się, jak wiele dobrego zrobił dla ochrony mazurskiej przyrody, dla prawdziwej i wielkiej turystyki. I nie przypadkiem zimą tego roku przeczytałem w gazecie, że przyznano mu złotą odznakę „Zasłużonym dla Warmii i Mazur”.

— Chciałabym zobaczyć jego wigwam — rozmarzyła się Monika. — To cudowne mieszkać w takim domu z bali, samotnie nad jeziorem. . .

Uśmiechnąłem się wyrozumiale.

— Tak się pani tylko wydaje. U niego nie ma nawet elementarnych wygod. Ani telewizora, ani radia, ani światła elektrycznego. Uciekłyby pani stamtąd już po kilku dniach.

I przypomniała mi się Krwawa Mary, która — mówiąc językiem Winnetou — chciała zostać jego skwaw, a przecież w końcu poszła na studia do Krakowa i chyba zapomniała o samotnym plastyku, który tak jej kiedyś imponował.

Winnetou przyniósł z wehikułu butlę gazową z umieszczonym na niej palnikiem, czajnik z wodą i ekspresową herbatę, którą zawsze zabierałem w drogę.

— Wspomnieliście coś o odrobinie koniaku, czyli „wody ognistej” — odezwała się Monika.

— Winnetou nie używa wody ognistej — stwierdził mój przyjaciel.

Deszcz łomotał o płótno namiotu, wiatr jęczał w gałęziach drzew na wyspie, a my siedzieliśmy w zacisznym kąciku, parząc sobie usta o krawędzie blaszanych kubków, wypełnionych herbacianym ukropem.

— Jest już dwunasta w nocy — powiedziałem, patrząc na zegarek. — Pani, Moniko, prześpi się w wehikule, a my w namiocie. Rankiem zbadamy dokładnie wyspę.

— Nie ruszę się stąd — zaprotestowała Monika. — Nie zostanę nigdzie ani przez chwilę sama. Boję się.

— Biała skwaw nie powinna szukać przygód, jeśli ma zajęcze serduszko — oświadczył Winnetou. — Uszy białej skwaw lubią zapewne głośną muzykę z ryczących pudeł albo z czarnych krążków, ale dla Winnetou i Szarej Sowy nie ma piękniejszej muzyki niż szum wiatru i łoskot fal jeziora.

— Na szczęście Monika zrezygnowała z pracy detektywa — odezwałem się, robiąc żalostną minę.

— Nic z tego — powiedziała Monika. — Jeśli tak bardzo cierpi pan z powodu pożyczonego swetra, to mogę go panu oddać. . .

Ale nie oddała. Była bardzo senna, wcisnęła się w śpiwór i natychmiast zasnęła. Zgasilem latarkę. Skurczeni, w niewygodnej pozycji, w ubraniach, zasnęliśmy i my także. Kto wie, jakie przygody miał nam przynieść dzień, który się zaczynał?

W kwietniu słońce pokazuje się już dość wcześnie, kilkanaście minut po piątej. Świt wstał pogodny, bezwietrzny, zapowiadał się słoneczny dzień. Monika miała jednak skrzywioną minę; stwierdziła, że spała w niewygodnej pozycji, wszystkie kości ją bołą, a myśl o myciu się w jeziorze napełnia ją po prostu strachem. Rzecz jasna niewiele robiliśmy sobie z jej narzekań. Niemal lodowata woda jeziora odświeżyła nas. Przyrządziliśmy skromne śniadanie i w doskonałych humorach zabraliśmy się do likwidowania biwaku. Winnetou, indiańskim zwyczajem, starannie zatarł ślady biwakowania. Rozkazał mi ukryć wehikuł głęboko w przybrzeżnych trzcinach, worek z namiotem wrzucił do łódki, a łódź wprowadził w trzciny. Dopiero teraz zaczęliśmy dokładnie penetrować wnętrze wysepki.

Czarczi Ostrów szczególnie piękny wydał się nam w wiosenny ranek, gdy ogromne rozlewisko Śniardw było puste aż po daleki horyzont, a jesień i zima zatarły nieco ślady po turystycznych biwakach. Wszystko tu tchnęło spokojem, ciszą, samotnością. O tej porze roku woda Śniardw ma delikatny, błękitny odcień. Na zachód od Czarciego Ostrowu widać wysoki brzeg Niedźwiedziego Rogu, na północy wyrasta z jeziora kępa drzew na Wyspie Pajęczej, dalej ciągnie się brzeg rezerwatu tarpanów w Popielnie. Patrząc na północny wschód widzi się zarys wielkiej wyspy o nazwie Szeroki Ostrów, a dalej jezioro podchodzi aż pod horyzont, nie widać brzegów. Śniardwy są tu jak prawdziwe morze, pofałdowane przez fale. Błękit pogodnego nieba i toni wodnej zamykają wysepkę jak gdyby w puzdrze wyłożonym niebieskim atłasem. I tylko rudawo-brunatne brzegi Niedźwiedziego Rogu i masyw Szerokiego Ostrowu przypominają o bliskości lądu i ludzi.

Prawie całą wysepkę porastają drzewa i krzaki. Na trzech niedużych polankach znaleźliśmy ślady zeszłorocznych ognisk i obrzeżone kamykami miejsca, gdzie stały namioty turystów, których latem zwabia tu nadzieja, że znajdą ciszę i odosobnienie. Jednak wysepka jest latem gwarna i rojna, tranzystory brzęczą tutaj tak samo głośno jak gdzie indziej. I tym bardziej przykro odbiera się hałas, gdy dookoła trwa cisza wielkiego jeziora.

— Winnetou nie lubi tu przyplýwać latem — powiedział mój przyjaciel. — Dlaczego blade twarze, gdy tylko znajdą się oko w oko z ciszą i spokojem przyrody, muszą krzyczeć aż do utraty tchu w piersiach? Dlaczego, gdy się kąpią, wrzeszczą i nawołują się nawzajem? Czy kąpiel w ciszy jest mniej przyjemna niż we wrzasku?

Milczałem. Kto choć raz był latem w uroczych mazurskich zakamarkach nad jeziorami, ten wie, jak spokój i urok wypoczynku potrafi zakłócić aparat radio, grupka wrzeszczących żeglarzy czy kajakowiczów, rodzinka z wrzaskliwymi dziećmi. Wiedziałem, że Winnetou zna na Mazurach miejsca, gdzie stopa rozkrzyczanej bladej twarzy nigdy nie stanęła. Nie zdradzał nikomu tych miejsc, jak prawdziwi Apacze nie chcieli nigdy wskazać złotodajnych żył. Cisza i spokój liczyły się we współczesnym świecie na wagę złota.

Czarczi Ostrów nie należał jednak do tych zakątków, choćby ze względu na bliskość szlaku żeglugowego z Mikołajek do Pizy i sąsiedztwo wczasowiska Niedźwiedzi Róg, z jego willami i polem namiotowym. Tylko późną jesienią i wczesną wiosną można było podziwiać prawdziwe piękno małej wysepki. Czy na długo jednak? Z każdym rokiem przybywało tu puszek po konserwach, papierzysk, butelek po piwie i winie. Pod stopami chrzęściły nie tylko suche gałązki, ale i rozbite szkło, kapsle od butelek, kawałki starej folii. Wiatr porozwieszał na krzakach podarte gazety, nie trzeba było zbyt dużej spostrzegawczości, aby wiedzieć, jaki gatunek papierosów lubili ci, którzy biwakowali w zeszłym sezonie.

Wyspa była naprawdę mała. Stanowiła dość wysoki pagórek, porośnięty drzewami, pełen wądołów, które tu i ówdzie obnażały brunatne cegły dawnej fortyfikacji. Pozostały z niej jedynie resztki fundamentów, doły po piwnicach, stare rowy. Wszędzie rosły już prawie stuletnie drzewa, a doły i zapadliska pokrywały szczególnie krzaki. Tylko trzy polanki, tuż nad brzegiem jeziora, nadawały się na obozowisko dla turystów, żeglarzy i motorowodniaków.

— Nie mam pojęcia, dlaczego Fort Lyck tak interesował Schreibera — oświadczyłem wreszcie, znużony zwiedzaniem wysepki. — Sprawdziliśmy prawie każdy metr kwadratowy terenu. Jeśli kryje się tu skarb, jak podejrzewa Monika, to bez dokładnego planu, gdzie został zakopany, trudno byłoby go odnaleźć.

— A może warto przywieźć aparat do wykrywania metali? — odezwała się Monika.

— Obawiam się, że zbyt dużo zakopano tu puszek po konserwach, aby aparat mógł działać prawidłowo. Co krok będzie zapewne coś sygnalizował. A wykopimy najwyżej przedzewiałe pudełko albo stare żelastwo. Proszę pamiętać, że na wysepce była kiedyś fortyfikacja.

— Błada twarz zwana Blondynem wskaże nam drogę do skarbu — powiedział mój przyjaciel. — Winnetou będzie na niego czekał choćby i miesiąc. Szara Sowa i młoda skwaw wrócą do Warszawy, dokąd Winnetou przyśle im wieść o Blondynie.

— A jeśli Blondyn już tu był? — zapytałem.

— Nie. Bo nie odkryliśmy żadnych śladów kopania w ziemi, a skarb chyba nie leżał na wierzchu.

— A jeśli przybędzie dopiero latem?

— Nie — pokręcił głową Winnetou. — Latem jest na Czarcim Ostrowie zbyt wielu turystów. Nie da się szukać skarbu bez zwrócenia czyjejs uwagi. Blondyn przybędzie albo teraz, albo nie przybędzie wcale.

— Co też jest możliwe — przytaknałem. — Nie wiemy przecież, w jakim celu Schreiber przekazał Blondynowi informacje o Forcie Lyck.

W tym momencie usłyszeliśmy warkot płynącej jeziorem motorówki. Przerwaliśmy natychmiast rozmowę i zaczęliśmy nasłuchiwać. O tej bowiem porze roku po Śniardwach pływają zazwyczaj tylko kutry rybackie, ale dudnienie ich

dieslowskich silników jest bardzo charakterystyczne. Teraz zaś najwyraźniej zbliżała się motorówka. Jeszcze jej nie było widać, bo zakrywały ją drzewa na Wyspie Pajęczej, ale po jeziorze szeroko rozchodziło się jazgotliwe brzęczenie dużego dwusuwowego silnika.

Spojrzałem na Winnetou, a on zerknął na mnie.

— Czy mój brat, Szara Sowa, nie sądzi, że na wszelki wypadek powinniśmy się ukryć?

— Winnetou zna moje myśli — odrzekłem. I zwróciłem się do Moniki:

— Proszę zdjąć buty, skarpetki, podciągnąć nogawki spodni. Maszerujemy do łódki ukrytej w trzcinach.

— Teraz? W kwietniu? Żebym dostała zapalenia płuc?

Winnetou już zdążył się rozebrać. Chwycił Monikę, podniósł do góry i przeniósł do łodzi ukrytej w trzcinach. A ja pobiegłem na szczyt pagórka i przyłożyłem do oczu lornetkę.

Zza Wyspy Pajęczej wyskoczyła błękitna motorówka. Szklana szyba osłaniała od bryzgów wody dwóch mężczyzn. Byli zbyt daleko, abym rozpoznał twarze, widziałem tylko ich sylwetki i motorówkę, która wyraźnie zmierzała w naszym kierunku.

— Czy Szara Sowa widzi numery wymalowane na hałaśliwym kanu? — zapytał Winnetou, który znalazł się tuż koło mnie.

Podąłem mu lornetkę.

— To kanu z Mikołajek — stwierdził mój przyjaciel. — Znam je. Należy do bladej twarzy nazwiskiem Rudzki. Kieruje on wypożyczalnią sprzętu sportowego. Widzę go za kierownicą. Obok siedzi jakaś druga blada twarz. Zmierzają na Czarcu Ostrów.

Zbiegliśmy z pagórka, zrzuciliśmy buty, podciągnęliśmy nogawki spodni. Po chwili ukryły nas przybrzeżne trzcinie. Wdrapaliśmy się na łódkę, gdzie siedziała już Monika.

Nie opodal, ale jeszcze głębiej w trzcinach, tkwił mój wehikuł.

Wszedłem na ławeczkę łódki i wystawiwszy ostrożnie głowę ponad trzcinę rozpocząłem obserwację.

Niebieska motorówka okrążyła wyspę i podpłynęła do brzegu w tym samym miejscu, gdzie i ja wczoraj wjechałem wehikułem. Jakie to szczęście, że fale rozmyły ślady po kołach mego samochodu, które zapewne zwróciłyby uwagę przybyszów.

Motorówka z wyłączonym silnikiem dobiła do brzegu.

— Niech pani, Moniko, wychyli ostrożnie głowę ponad trzcinami i spojrzysz na obydwu mężczyzn — rozkazałem dziewczynie.

— To on. Poznają go. Blondyn z kawiarni hotelu „Forum” szepnęła Monika. — Ma na głowie czarny kapelus, więc włosów nie widać. Ale to na pewno on.

Nasze przewidywania sprawdziły się wcześniej, niż można się było tego spodziewać. Ale czego tu szukał tajemniczy Blondyn?

— Winnetou będzie ich śledził — oświadczył mój przyjaciel, dając nam znak, abyśmy się skryli na dnie łódki.

Miałem zaufanie do swego przyjaciela. Myśliwstwo, które od lat uprawiał, a także życie w puszczy nauczyły go cichego poruszania się wśród krzaków i leśnych ostępów. Ten, kto potrafi podchodzić zwierzynę, umie także podchodzić ludzi, którzy są mniej czujni od zwierząt. Dlatego nie zaprotestowałem, gdy Winnetou niemal bezszelestnie przedarł się przez trzciny aż na brzeg, aby śledzić każdy ruch Blondyna. Krzaki i drzewa na wyspie były bezlistne i nie dawały osłony, ale dla Winnetou doskonałą kryjówkę mogła stanowić każda kupa chrustu.

Prawie pół godziny leżeliśmy na dnie łódki, leciutko kołysanej przez fale. Z wyspy nie dochodził nas żaden dźwięk; szeleściły tylko trzciny, ocierające się o burty łodzi. Potem nagle zawył silnik i po jego warkocie poznałem, że motorówka się oddala, płynąc w kierunku Mikołajek.

W kilka minut później rozchyliły się trzciny i do łódki wskoczył Winnetou.

— Błada twarz nazwiskiem Rudzki — powiedział nam — pozostała w hałaśliwym kanu, a Blondyn zwiedzał wysepkę. Chodził to tu, to tam, zaglądał w każdą dziurę. Ale chyba nie znalazł tego, czego szukał, bo widziałem, jak wzruszył ramionami i wrócił do kanu.

— Nie można mieć pewności, czy był naprawdę rozczarowany — rzekłem.

— Winnetou ma tę pewność — stwierdził przyjaciel. — Inaczej się zachowuje człowiek, który znalazł to, czego szukał a inaczej ten, co tego nie znalazł. Zresztą Szara Sowa wie równie dobrze jak ja, że tu na wyspie nie ma niczego interesującego. Ani wejścia do jakiejś piwnicy, ani otworu studziennego. Tylko doły i chaszczce.

Zastanowiłem się.

— Winnetou mówił, że motorówka należy do kierownika wypożyczalni sprzętu turystycznego w Mikołajkach. Muszę wiedzieć, kim jest tajemniczy Blondyn. Być może Rudzki nie został poinformowany, czego tamten szukał na wyspie, ale będzie chyba wiedział, z kim tu przyplłynął. Pani Moniko — zwróciłem się do dziewczyny. — Natychmiast ruszamy do Mikołajek.

— Nie wiem, czy Rudzki zechce wam udzielić informacji — Winnetou sceptycznie odniósł się do mojego pomysłu.

Ale w tym momencie głos zabrała Monika:

— A ja? Zapomnieliście o mnie? Już ja potrafię wypytać tego pana. Powiem mu, że ten Blondyn obiecał mi przejażdżkę po Śniardwach, ale gdzieś mi zniknął. Zrobię się dziewczyną, którą Blondyn poznał w kawiarni w Mikołajkach, a ponieważ nie podał imienia i nazwiska, chcę go odnaleźć.

Pomysł nie był nieprawdopodobny. We wczesnych miejscowościach łatwo zawiera się znajomości bez wielkich konwenansów. Niekiedy młodzi ludzie, któ-

rzy nawet spędzili z sobą kilka dni, poszukują się potem przy pomocy różnych znajomych albo nawet przez ogłoszenia w gazetach.

— Szara Sowa popłynie do Mikołajek, a Winnetou odprowadzi kanu do Niedźwiedziego Rogu — zdecydował mój przyjaciel. — Tam też się spotkamy.

W dwie godziny później byłem już z Moniką na ulicach Mikołajek. Zapytaliśmy o wypożyczalnię sprzętu turystycznego i Monika udała się samotnie pod wskazany adres, a ja oczekiwałem na nią w wehikule zaparkowanym na sąsiedniej ulicy. Monika naciągnęła na głowę rudy skalp, w którym wyglądała bardzo ponętnie.

Wróciła jednak rozczarowana.

— Rozmawiałam z Rudzkim, który okazał się bardzo sympatyczny i gadatliwy — opowiadała. — Chciał się nawet zaofiarować, aby zastąpić Blondyna i pokazać mi Śniardwy. Robię wielkie wrażenie w tej rudej peruczce, prawda?

— Do rzeczy, koleżanko — burknąłem.

— Tak jest, szefie. Rudzki, niestety, nie zna imienia i nazwiska Blondyna. On przyjechał do Mikołajek dziś wczesnym rankiem, prawdopodobnie z Warszawy, ponieważ ma fiata z warszawską rejestracją. Przyszedł do wypożyczalni sprzętu turystycznego i zapytał, czy ktoś, oczywiście za pieniądze, nie popływa z nim po Śniardwach. Twierdził, że w lecie odwiedzi go grupka przyjaciół z zagranicy, wodniaków, i chciałby się już teraz zorientować, gdzie będą mogli organizować biwaki, i w ogóle był ciekaw, jak wyglądają Śniardwy. Pan Rudzki miał motorówkę na wodzie, więc zgodził się wynająć ją Blondynowi. Popłynęli. W pewnej chwili Blondyn zapytał, czy na Śniardwach są jakieś wysepki. Rudzki powiedział mu o Wyspie Pajęczej, o Czarcim Ostrowie i Szerokim Ostrowie. Blondyn prosił, aby dobić do Czarciego Ostrowu, co też się stało. Obejrzał wysepkę; orzekł, że świetnie się nadaje na biwak i jeśli jego przyjaciele zdecydują się przyjechać do Polski, co nie jest wcale takie pewne, proponuje im to miejsce na kilkudniowy pobyt. Potem wrócili do Mikołajek. Blondyn zapłacił za przejażdżkę po jeziorze i odjechał.

— No cóż — mruknąłem — nie ulega wątpliwości, że celem wycieczki Blondyna był Fort Lyck i że przyplłynął tutaj z polecenia Schreibera. Odnoszę wrażenie, że Winnetou miał rację. Lustracja wysepki rozczarowała Blondyna. Zapewne nie znalazł tam tego, czego szukał, dlatego przed rozstaniem z Rudzkim zaznaczył, że nie jest pewne, czy jego zagraniczni przyjaciele w ogóle tu przyjadą latem. Jednocześnie pozostawił sobie otwartą furtkę na wypadek, gdyby Schreiber kazał mu tu przybyć powtórnie i to z jakimiś cudzoziemcami. Wówczas Rudzki nie zdziwi się, jeśli jeszcze raz poproszą go o wynajęcie motorówki. Ale to będzie przypuszczalnie dopiero latem, mamy więc trochę czasu, aby się nad tą sprawą zastanowić.

Okrężną drogą, przez Ruciane, powróciliśmy do Niedźwiedziego Rogu, gdzie miał czekać na nas Winnetou. Zatrzymałem samochód przed willą, w której wczoro-

rajszego wieczoru paliło się światło. Na podwórzu willi nie było już pięknego „BMW Turbo”, okna zakrywały okiennice. Winnetou przyszedł do nas znad brzegu jeziora.

— Mecenasowa odjechała do Warszawy — wyjaśnił. — Razem z Dudusiem wciągnęliśmy łódkę do szopy. Mecenasowa zamknęła dom i pożegnali mnie. Pomyślałem, że byłoby na przyszłość bardzo pożyteczne, gdybyś poznał mecenasową, bo z jej gościnnego domu mógłbyś obserwować Fort Lyck. Namawiałem mecenasową, aby jeszcze pozostała w Niedźwiedzim Rogu, obiecałem, że poznam ją z wielkim poszukiwaczem przygód zwanym Szarą Sową, ale Dudusiowi bardzo się śpieszyło. Miał jakieś pilne zajęcia w Warszawie. Szkoda, bo to sympatyczne blade twarze.

Coś mnie tknęło. Przypomniałem sobie wczorajszy wieczór w Niedźwiedzim Rogu, „BMW Turbo” na podwórzu mecenasowej, białą łódkę wyciągniętą na brzeg. Czy ktoś, kto przyjeżdża wiosną na tak krótki weekend, od razu wyciąga łódkę z szopy i to w deszczowy, zimny dzień, gdy na jeziorze szaleje fala?

— Mój brat, Winnetou, zna może imię i nazwisko owego Dudusia?

— Oczywiście. Nazywa się Waldemar Batura. Czy Szarej Sowie coś się stało? Czemu tak przybladł? — zaniepokoił się Winnetou.

Wycodziłem przez zaciśnięte zęby:

— Mój największy wróg, poszukiwacz skarbów i handlarz antyków Waldemar Batura był na Czarcim Ostrowie przed nami, a potem pożyczył tę samą łódkę mojemu bratu Winnetou. Odjechał spieszenie, gdy się dowiedział, że i ja za chwilę zjawię się w Niedźwiedzim Rogu.

Winnetou złapał się za głowę.

— Byłem gadatliwy jak stara skwaw.

— Jak młoda skwaw — spojrzałem surowo na Monikę. — Bo to ta młoda skwaw poinformowała Baturę, że interesuje mnie Fort Lyck.

Monika wcale się nie przejęła tą sprawą.

— Po co się pan gniewa, szefie? Przecież na tej wysepce nie ma nic ciekawego. Przekonał się pan o tym. Tam naprawdę nic nie ma.

Milczałem. Nie byłem bowiem tego tak pewien, jak ona.

ROZDZIAŁ PIĄTY

HISTORIA FORTU LYCK • CZY SKARB GOERINGA? • SZTAMBUCH PIĘKNEJ JENNY • W CIENIU TYTANÓW • CZY WARTO ZWIEDZAĆ WEJSUNY? • W MORĄGU • ZNOWU ŚLAD TAJEMNICZEGO BLONDYNA • Z WIZYTA U HINDENBURGA • GEST PREZYDENTA RZESZY • NOWY TROP

Pan Eugeniusz, gawędziarz mazurski i były nauczyciel, mieszkał w dość dużym murowanym domu w Wejsunach, położonych o siedem kilometrów od Niedźwiedziego Rogu. Obok jego domu znajdowała się mała chata mazurska, gdzie zorganizował Izbę Regionalną, szczególnie latem chętnie odwiedzaną przez młodzież, która z całej Polski ściagała w te przepiękne okolice. Historia powstania tej izby wyglądała bardzo prosto: pewnego dnia pan Eugeniusz chcąc dzieciom szkolnym uzmysłwić, jak wyglądało dawne życie w wiosce i w jaki sposób pracowali ongiś tutejsi rolnicy, poprosił młodzież, aby wyszukała na strychach wszelkie starocie. I tak wkrótce zebrano tyle przeróżnych starych narzędzi rolniczych i domowego gospodarstwa, że zdecydowano się otworzyć maleńkie muzeum, gdzie znalazło się miejsce na stare radła, brony, naczynia na zboże, żarna, łyżniki, stare dokumenty dotyczące tych okolic, a nawet bardzo starą mapę Wejsun i Śniardw.

Późnym wieczorem siedzieliśmy na brzożowych pieńkach w Izbie Regionalnej i rozmawialiśmy o historii wysepki: Monika, Winnetou, ja i pan Eugeniusz — tęgi postawny mężczyzna o pełnej pogody twarzy i wesołym spojrzeniu bystrych oczu.

— Niejaki Rosenwall, Rosjanin z pochodzenia — opowiadał nam pan Eugeniusz — odbył w 1814 roku podróż przez północne Niemcy i Holandię, i opisał to w swoim dzienniku podróży, wydanym drukiem. Ów Rosenwall pływał również i po Śniardwach, odwiedził więc dzisiejszy Czarci Ostrów. Tak pisze on o swej wizycie: *Fryderyk Wielki założył na wyspie fort zwany Fortem Lyck. Jego następcą uznał to jednak za niecelowe, polecił zburzyć umocnienia zbudowane wielkim nakładem kosztów i sprzedał materiał budowlany wraz z terenem i stojącym tu*

nadal magazynem zboża po śmiesznie niskiej cenie pewnemu pobliskiemu ziemianinowi. Teren wyspy wznosi się z wolna w kierunku centrum, a na głębokości czterech stóp pod jej powierzchnią znajduje się wiele urn z prochami, co świadczy, że miejsce to służyło niegdyś pogańskim Prusom za cmentarz. Samotny mieszkaniec wyspy, który pilnuje magazynu ze zbożem, na nasze żądanie zaczął kopać i to tak szczęśliwie, że odkrył wkrótce dwie urny. Napelnione były popiołem i nakryte płaskim kamieniem. Tyle ów Rosenwall. Co się stało z owym magazynem na zboże, trudno mi coś powiedzieć, gdyż nie ma na ten temat żadnych zapisków lub wzmianek. Być może także uległ rozbiórce albo przerobiono go na letni domek wypoczynkowy. Należał ten domek do jakiegoś bogatego ziemianina z tych okolic, a jak mówią niektórzy, używał go także hitlerowski zbrodniarz, marszałek Rzeszy Hermann Goering, który miał swój podziemny schron w okolicach Pizsa, a na Śniardwach trzymał swój luksusowy jacht. Ze schronu odbywał konno podróż do Niedźwiedziego Rogu, gdzie czekał na niego jacht. Znużony pływaniem po jeziorze niekiedy wstępował na samotną wysepkę i tam jadł kolację w owym domku letnim. Wycofujące się oddziały niemieckie spaliły domek, a w 1947 roku trzech cwaniaków przewiozło resztki cegieł i kamieni na brzeg i sprzedało ludziom jako materiał budowlany, o który w owych czasach było w naszym kraju dość trudno.

Na twarz panny Moniki wystąpiły rumieńce.

— Już wszystko wiem! — aż klasnęła w ręce, tak była zachwycona swoim odkryciem. — Na wyspie został ukryty skarb Goeringa. Tego skarbu poszukuje Schreiber przy pomocy tajemniczego Blondyna. Wiadomo, że Goering był największym rabusiem, który w całej okupowanej przez Niemców Europie kradł dzieła sztuki. Być może tutaj ukrył jakieś bezcenne zrabowane przedmioty. Trzeba dokładnie przekopać całą wyspę.

— O, to nie byłoby chyba łatwe — uśmiechnął się pan Eugeniusz.

A Winnetou, który uważnie mnie obserwował, stwierdził:

— Myśli białej skwaw są jak chmury na niebie, gdy wieje silny wiatr. Płyną szybko i wysoko. Ale wydaje mi się, że myśli Szarej Sowy szybują w zupełnie innym kierunku.

— Tak — przyznałem — Hermann Goering miał wiele innych lepszych miejsc na ukrycie zrabowanych dzieł sztuki. W jego dyspozycji były głębokie bunkry, kazamaty, twierdze i pałace. Wiele zresztą z tych zrabowanych przez niego dzieł sztuki odzyskano, a te, których nie udało się odnaleźć, najprawdopodobniej ukryte są w podziemnych sejfach banków szwajcarskich. Wielcy przestępcy hitlerowskich Niemiec nie byli tak naiwni, żeby zrabowane majątki powierzać byle jakim kryjówkom. Po co kryć w ziemi, czy jakimś bunkrze, skoro można je było przekazać do bezpiecznych banków? To tylko pomniejsze „płatki” hitlerowskie kryły swój łup naprędce i byle gdzie. „Skarb Goeringa”, to pięknie brzmi, panno

Moniko. Ale my nie piszemy sensacyjnych książek, tylko mamy do rozwiązania konkretną, dość skomplikowaną zagadkę.

Monika pogardliwie wydeła usta:

— Batura ma chyba rację. Mojemu szefowi brakuje fantazji.

— Fantazją nie wyjaśnimy zagadki — rzekł pan Eugeniusz, którego wtajemniczyliśmy w tę sprawę.

— Biała skwaw zapomina, że mojego brata zowią Szarą Sową — przypomniał jej Winnetou. — A oczy sowy widzą w ciemnościach, które jak na razie otaczają tajemnicę Czarciego Ostrowu.

Winnetou miał o mnie zbyt pochlebne wyobrażenie. Niczego nie widziałem w ciemnościach otaczających zagadkę wysepki na Śniardwach.

— Powiedział nam pan, panie Eugeniuszu — zwróciłem się do nowego przyjaciela — że Goering prawdopodobnie tylko korzystał z letniego domku na wyspie. Innymi słowy, domek ten należał do kogoś innego. Czy zna pan nazwisko owego ziemianina?

— Niestety, nie — rozłożył ręce pan Eugeniusz. — Ale postaram się zasięgnąć informacji.

— A może znane jest panu nazwisko Dobeneck?

— Nie — odparł po pewnym namyśle pan Eugeniusz.

— A Gottlieb? Doktor Hans Gottlieb? — zapytałem.

— Również nie słyszałem o takim człowieku — stwierdził pan Eugeniusz.

— No cóż, nie zawsze można mieć szczęście — westchnąłem. — Pojadę do dawnego Neudeck, gdzie przed laty zmarł Hindenburg. Kto wie, czy nie mieszka tam ktoś, kto pamięta dawne czasy i przypomni sobie lekarza, który przyjeżdżał do łóża umierającego marszałka.

— Dawny Neudeck — uzupełnił pan Eugeniusz — to dzisiejszy Ogrodzieniec. Miejscowość ta leży aż gdzieś za Hawą. Chyba teraz, po nocy, nie zamierza pan wyruszać w taką daleką podróż? Proponuję zanocować w moim domu i wyjechać dopiero jutro.

Przyjąłem zaproszenie gościnnego gospodarza, tym bardziej że Monika wyglądała na zmęczoną i dyskretnie ziewała. Spała zaledwie parę godzin i to w bardzo niewygodnej pozycji. A od świtu najpierw zwiedzaliśmy wysepkę, a potem wyruszyliśmy do Mikołajek.

Żona pana Eugeniusza podała nam kolację i zaraz potem Monika położyła się w gabinecie przemiętego gospodarza. A pan Eugeniusz, ja i Winnetou jeszcze do późnej nocy gwarzyliśmy na oszklonej werandzie jego domu.

Opowiedziałem im o liście Anny von Dobeneck, o zbiorach doktora Gottlieba oraz o konieczności zebrania informacji przed czekającym mnie wyjazdem do Frankfurtu.

— W zbiorach doktora Gottlieba znajdował się sztambuch Jenny von Papenheim, a właściwie von Gustedt — zainteresował się pan Eugeniusz. — Czy wie

pan, panie Tomaszu, że posiadam książkę zatytułowaną „W cieniu tytanów”, napisaną przez wnuczkę owej Jenny, panią Lili Braun, znaną działaczkę społeczną początku naszego wieku. Tytanami są w tej książce Napoleon i Goethe, z którymi przyjaźniła się Jenny von Gustedt podczas swego pobytu na dworze w Weimarze. Potem Jenny wyszła za mąż i osiedliła się w Gardzieniu koło Ławy. Być może właśnie tamtędy będzie pan jechał do Ogrodzieńca.

Poprosiłem pana Eugeniusza o pożyczenie tej książki i wyłączyłem się z rozmowy. Zaraz zresztą i Winnetou, i gospodarz zdecydowali się udać na spoczynek.

— Mój brat jest prawdziwą sową. Jego żywiołem jest noc — odezwał się raptem Winnetou, zapewne zdziwiony, że tej nocy nie zamierzam gasić lampki przy swoim tapczanie.

— Książka, którą mi pożyczył pan Eugeniusz, bardzo mnie zainteresowała. Czemu jednak mój brat Winnetou nie może zasnąć i niespokojnie kręci się na łóżku? Jakież zmartwienia?

— Tak — wyznał po chwili wahania. — Ostatnio wydawcy w Warszawie jakby o mnie zupełnie zapomnieli i nie przysyłają mi książek do ilustrowania. Przygotowuję wystawę swoich rysunków, obrazujących piękno Warmii i Mazur, ale ta wystawa także chyba nie przyniesie mi żadnych dochodów. Postanowiłem wynająć na lato swój wigwam. Gdyby mój brat, Szara Sowa, znał kogoś, kto lubi odosobnienie i pragnie wypocząć nad jeziorem, Winnetou odnajmie mu swój wigwam, a sam będzie nocował w namiocie, w lesie.

Wzruszenie chwyciło mnie za gardło. A więc Winnetou był w kłopotach finansowych, a mimo to poświęcał mi swój czas i był gotów pomagać mi w każdej sytuacji? Nie mogłem mu służyć pożyczką, bo sam nie miałem żadnych oszczędności, ale oczywiście byłem w stanie znaleźć chętnego na wynajęcie jego przepięknego wigwamu nad jeziorem Zmierzchun.

— Dobrze — oświadczyłem. — Znajdę ci takiego, który doceni piękno twego wigwamu. Za ciszę i odosobnienie zapłaci wysoką cenę.

Słowa te chyba uspokoiły Winnetou, bo wkrótce usłyszałem jego równy oddech, co znaczyło, że zasnął. Wtedy pograżyłem się w lekturze. Świtało, gdy odłożyłem książkę, lecz już nawet na krótką chwilę nie zdołałem usnąć, pełen wrażeń i myśli wzbudzonych przez książkę.

Tej nocy bowiem przeżyłem wspaniałą przygodę, jakbym wsiadł w wehikuł czasu, który przeniósł mnie w przeszłość na spotkanie z wielkimi ludźmi i frapującymi wydarzeniami. O, jakże mylą się ci, którzy siedząc w twardej ławce na lekcji języka polskiego myślą, jak by to było pięknie wziąć strzelbę i wyruszyć do dżungli na poszukiwanie przygody. Albo wsiąść na statek, który powiezie w podróż dookoła świata. Co do mnie — tej nocy musiałem pamięcią wrócić do szkolnej ławy i przypomnieć sobie dokładnie lekcję, którą profesorka rozpoczęła od słów: „A teraz, moi drodzy, poznamy kolejny prąd literacki i umysłowy. Nosi on nazwę «Romantyzm»”. Mój Boże, dlaczego tak niewiele z tej lekcji pozosta-

ło w pamięci? Czy kiedykolwiek mogłem przypuszczać, że do przeżycia nowej przygody potrzebna mi będzie znajomość historii literatury?...

Wielki i ożywczy prąd artystyczny o nazwie Romantyzm jak prawdziwa burza przeszedł przez wszystkie kulturalne kraje, wszędzie rodząc swych wybitnych przedstawicieli. Była to prawdziwa epoka tytanów myśli, talentu i ducha — w Niemczech takimi tytanami byli Goethe i Schiller, Herder i Wieland, w Polsce — Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid.

Z małej niemieckiej miłośnicy — Weimaru — która była siedzibą książąt z linii sasko-ernestyńskiej i rozkwitała w czasach rządów księżnej Anny Amalii i jej syna Karola Augusta, płynęły na cały świat myśli wielkiego filozofa Herdera, strofy wierszy Goethego i Schillera. To do Weimaru na spotkanie z Goethem przybył w roku 1829 wielki polski poeta Adam Mickiewicz. Goethe był już wtedy starym człowiekiem i uznaną wielkością poetycką, Mickiewicz dopiero zyskiwał sławę i uznanie. Ale w literaturze nic nie rodzi się samo z siebie, lecz wyrasta na żyznej glebie. Gdyby nie twórczość Goethego, gdyby nie przemyślenia Herdera, gdyby nie owa tak zwana „rewolucja kulturalna”, która zrodziła się w Niemczech, w czasach poprzedzających urodzenie Mickiewicza, być może talent polskiego poety nie osiągnąłby aż takich wyzyn. To właśnie w tamtych czasach powstał prąd umysłowy, który wziął swą nazwę od dramatu Kilingera „Sturm und Drang”, co znaczy „Burza i napór”. Zwrócono wtedy uwagę na ogromne wartości poezji ludowej, na pieśni, ballady i romanse; odkryto, że życie prostego człowieka warte jest zainteresowania pisarzy, przesyłano literaturę patriotyzmem i umiłowaniem ojczyzny, wskazywano, że jednostka ludzka, wybitna i ofiarna, może wnieść wiele w historię swego kraju.

W cieniu owych tytanów myśli w Weimarze urodziła się dziewczyna imieniem Jenny, córka Diany von Papenheim, dworki książęcej. Poprzez matkę, zaprzyjaźnioną z Goethem, młoda Jenny weszła w krąg wielkiej literatury, a jej dziewczęcy sztambuch zapełnił się wkrótce wierszami najwybitniejszych poetów. To ona, młodziutka i śliczna Jenny, zapisała w swej pamięci wspomnienie obiadu, na który i ją zaprosił wielki Goethe. Było to przyjęcie na cześć dwóch wybitnych Polaków: Mickiewicza i Odyńca. Zwłaszcza pierwszy z nich wydał się Jenny prawdziwym dzieckiem swej ojczyzny, niepohamowanym w entuzjazmie, ale bardzo smutnym, gdy mówił o swym zniewolonym kraju. W wieku dwudziestu siedmiu lat Jenny wyszła za mąż, została panią Jenny von Gustedt, wyjechała z Weimaru i wraz z mężem osiadła w niewielkim dworku w Gardzieniu. Z Weimaru wywiozła ze sobą nie tylko pamięć o wielu wybitnych ludziach, ale także liczne po nich pamiątki — swój sztambuch, oryginalne wiersze, jakie jej ofiarowywali poeci. Był wśród nich jeden z ostatnich wierszy Goethego, napisany na angielskim papierze i w niebieskiej kopercie, na której ręką wielkiego poety skreślono adres i nazwisko: *Fräulein Jenny von Papenheim*. Był także złoty pierścień, który młodej Jenny ofiarował Goethe — pierścień z kamieniem zaostrzonym jak lanca, podobnym do

strzałki i kawałkiem węgla w kryształach górskim. „Oto strzała, która trafiła moje serce” — powiedział Goethe, ofiarowując ten pierścień pięknej Jenny. . .

Skarb Goeringa? — pomyślałem w zadumie. — Cóż warto są góry złota wobec tak wspaniałej pamiątki po wielkim pisarzu? Na wagę złota byłby dziś sztabuch pięknej Jenny, gdzie być może widnieje autograf Byrona, a także Mickiewicza i Odyńca. Ileż wart byłby nigdy dotąd nie opublikowany ostatni wiersz Goethego? Na każdej aukcji dzieł sztuki i pamiątek ofiarowano by za niego mnóstwo pieniędzy, muzea gotowe byłyby go kupić za każdą cenę.

Usłyszałem ruch na sąsiednim łóżku. To obudził się mój przyjaciel, Winnetou.

— Szara Sowa nie spał przez całą noc — odezwał się — a pora już rozstać się i wyruszyć w drogę.

Obudziłem Monikę. Pan Eugeniusz poczęstował nas śniadaniem i nastąpiła chwila pożegnania. Winnetou zarzucił na plecy swój podróżny worek i nie zważając na deszcz wyruszył przez las do swego dalekiego wigwamu.

W potokach deszczu opuściliśmy z Moniką Wejsuny, kierując się na Ruciane, a potem na Mrągowo, Biskupice i Olsztyn aż do Morąga. Puszcza Piska i Mrągowo to jeszcze Mazury; Biskupice i Olsztyn — to już Warmia. Ciekawe to tereny nie tylko pod względem krajobrazu, ale i historycznym. To na tych ziemiach Mikołaj Kopernik administrował dobrami kapituły warmińskiej i zarządzał olsztyńskim zamkiem. To we Fromborku napisał słynne dzieło, które wstrząsnęło posadami ówczesnego świata. To ta ziemia wydała Mrongowiusza i Gizewiusza oraz wielkiego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego. To tutaj pisali swoje wiersze poeci Jan Dantyszek i Ignacy Krasicki, panowie na zamku w Lidzbarku. To tutaj żyli i działali ludzie, którzy potrafili się przeciwstawić germańskiej polityce, to tutaj głosili polskie słowo — Seweryn Pieniężny, Andrzej Samulowski i dziesiątki innych. To ta ziemia, jej jeziora i lasy tak ogromne, że zda się nie mają kresu — przesycone są poezją ludzi o spracowanych rękach, lecz niezwykle wrażliwych sercach, takich jak Kajka, Lengowski, Śliwa. . .

Na północny zachód od Olsztyna wjechaliśmy w teren, który nosi geograficzną nazwę Powiśle, cięży bowiem ku tej wielkiej rzece.

— I czego pan tu szuka, szefie? — zapytała mnie Monika.

Tym razem nie nosiła już żadnej ze swych ośmiu peruk i była zwykłą blondynką. Ale po pobycie na Czarcim Ostrowie w potokach deszczu niewiele zostało z jej misternych loczków.

— Szukam tajemniczego Blondyna w czarnym kapeluszu — odpowiedziałem żartobliwie tytułem sensacyjnego filmu, który zapewne i ona oglądała.

— Tajemniczy Blondyn pojechał zapewne do Warszawy, aby zdać relację Schreiberowi — odrzekła.

— Kto wie, dokąd on pojechał? — uśmiechnąłem się zagadkowo.

— Wydaje mi się, że pan mnie nie docenia, szefie — stwierdziła z goryczą Monika. — Gdyby pozwolił mi pan wrócić do Warszawy, zaczęłabym w ka-

wiarni hotelu „Forum” na ponowne spotkanie Schreibera i tajemniczego Blondyna. Przecież on musi zdać mu relację ze swej wizyty w Forcie Lyck.

— Może to zrobić przez telefon — zauważyłem.

— A ja wierzę, że spotkałabym tajemniczego Blondyna. Myślę, że potrafiłabym pociągnąć go za język.

— Pani przecenia znaczenie swej urody — stwierdziłem. — Czyni tak zresztą wiele kobiet i źle na tym wychodzi. A poza tym w kawiarni „Forum” uważają panią za złodziejkę. . .

— Naciągnęłabym na głowę którąś z moich peruk. Nikt by mnie nie poznał.

— To fakt, że w każdym skalpie wygląda pani inaczej — przyznałem jej rację. — Jednak sprawa, którą w tej chwili tropimy, wydaje się bardziej interesująca niż historia ze skarbem Goeringa.

— Czemu mnie pan w nią nie wprowadzi?

— Bo jak mówi mój brat Winnetou, młode skwaw mają długie języki.

Monika pogardliwie wzruszyła ramionami.

— Ten pański Winnetou wydaje się zbyt zwariowany. I pan też, szefie. Gdy się jest czas jakiś w waszym towarzystwie, zaczyna się tęsknić za zwykłymi ludźmi, takimi jak Romek.

— Nie wydaje mi się, aby normalny osobnik usiłował ścigać wehikuł „Jawą 50” . . .

— Jest zakochany, a to znaczy, że nie zawsze działa zgodnie z rozsądkiem — broniła go.

Tak rozmawiając przyjechaliśmy do Morąga, bardzo starego miasta, które w czasie minionej wojny uległo niemal całkowitej zagładzie, dwa razy bowiem przechodziło z rąk do rąk, nim na ruinach ratusza zawieszono biało-czerwoną flagę. Ale od tamtego czasu minęło już ponad trzydzieści lat, odbudowano domy i ulice, odrestaurowano stary piętnastowieczny ratusz, gdzie znalazło swe miejsce Muzeum Herdera. Jedyne ruiny w Morągu to resztki dawnego krzyżackiego zamku. Ale o przeszłości mówią również resztki murów obronnych. Tu, we wschodniej części tych murów, znajdowała się słynna wieża czarownic, gdzie poddawano torturom ofiary zabobonu i ciemnoty.

Na prostokątnym starym rynku odrestaurowanego ratusza strzegą dwie ogromne armaty. Zaparkowałem wehikuł na rynku i zaproponowałem Monice zwiedzenie Muzeum Herdera. Wielki filozof, uczeń Kanta i przyjaciel Goethego, przyszedł na świat w ubogiej rodzinie, jego ojciec był początkowo zwykłym tkaczem, potem nauczycielem, a dodatkowo dzwonnikiem w ewangelickim kościele i przez pewien czas kantorem polskiej gminy. Bieda niejedną raz gościła w domu Herderów i nie pozostało to potem bez wpływu na społeczne zainteresowania wielkiego myśliciela.

— A czy przynajmniej wie pani, kto to był Johann Gottfried Herder? — zadrwiłem przed drzwiami muzeum.

— Pamiętam z lekcji literatury. „Sturm und Drang”, początki Romantyzmu. Odetchnąłem z ulga.

— To świetnie, panno Moniko — powiedziałem — i radzę poduczyć się literatury. Mam przecucie, że w przygodach, które nas teraz czekają, nie odegrają roli szybkostrzelne pistolety z filmów o Bondzie, ile ten zwycięży, kto się wykaże lepszą znajomością historii literatury. Uroda i posiadanie nawet dwudziestu peruk nie pomoże w wyjaśnieniu zagadki, dlaczego pewna stara pani w dalekim kraju dowiedziawszy się, że tutaj oto istnieje Muzeum Herdera, napisała do ministra kultury bardzo długi list. . .

— Co było w tym liście? — zainteresowała się dziewczyna.

— Psst — położyłem palec na ustach. — Na razie niech to będzie tajemnicą.

I weszliśmy do muzeum, gdzie przedstawiłem się kustoszce jako pracownik Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków. W jej towarzystwie obejrzelśmy wszystkie eksponaty. Długą chwilę stałem przed zawieszonym na ścianie medalem z podobizną Jana Herdera, wpatrując się w szlachetny profil myśliciela.

— Z pytań, które mi pan zadał — odezwała się kustoszka — zorientowałam się, że interesują pana przede wszystkim pamiątki po Herderze. Czyżby zbliżała się jakaś nie znana mi rocznica, dotycząca Herdera? Wczoraj przyjechał tutaj także pewien pan z Warszawy i bardzo interesował się naszymi eksponatami. O tej porze roku rzadko mamy takie odwiedziny. Co innego w sezonie. . .

Znieruchomiałem.

— A jak wyglądał ten człowiek?

— Dość młody, przystojny blondyn. Miał w ręku czarny kapelusz i przybył samochodem marki „Fiat”.

— Tajemniczy Blondyn w czarnym kapeluszu — szepnęła Monika.

— Czy może mi pani powiedzieć, na co szczególną uwagę zwracał ten człowiek? — zapytałem.

— To trudno powiedzieć. Po prostu oglądał eksponaty i pytał o każdy dość szczegółowo. Wreszcie dziwnie zażartował. Powiedział, że mamy tak niewiele pamiątek po Herderze, że nawet chyba nie byłoby co tu ukraść. Rzeczywiście, nasze muzeum jest pod tym względem dość ubogie. Ale żart był niestosowny, prawda?

— To chyba nie był żart — rzekłem po pewnym namyśle. — Być może przyjechał tutaj, aby sprawdzić, czy nie dałoby się czegoś ukraść. Do Warszawy przybył bowiem cudzoziemiec, który być może kupiłby chętnie jakiś stary manuskrypt związany z dziejami kultury niemieckiej, nie pytając o pochodzenie przedmiotu. Na międzynarodowych aukcjach stale zwyżkują stare manuskrypty i listy wielkich ludzi.

— Więc to był złodziej?! — przeraziła się kustoszka. — A tak sympatycznie wyglądał. . .

Pożegnałem kustoszkę i znowu wraz z Moniką zasiadłem w wehikule, który skierowałem na szosę do Małdyt.

— Nic z tego nie rozumiem — zastanawiała się głośno Monika. — Dałabym sobie głowę uciąć, że tajemniczy Blondyn powrócił z Mikołajek do Warszawy, aby zdać relację Schreiberowi. Co ma wspólnego sprawa Fortu Lyck z Herderem?

— Może to po prostu jedna i ta sama sprawa — stwierdziłem, bo tak podpowiadała mi intuicja. A może po prostu nie wierzyłem w przypadki? Dziwny brak odpowiedzi od Anny von Dobeneck, potem przyjazd do Warszawy znanego zachodniobrzeńskiego antykwariusza, wreszcie polecenie, jakie przekazał on Blondynowi w czarnym kapeluszu, jego wizyta w Forcie Lyck a następnie niespodziewana wyprawa do Muzeum Herdera.

— Mam dosyć tej pana tajemniczości — wybuchnęła żalem Monika. — Może przynajmniej powie mi pan, dokąd teraz jedziemy?

— Z całą przyjemnością — odpowiedziałem. — Jedziemy, aby złożyć wizytę Hindenburgowi. Albo ściślej, resztkom jego domu. W historii piszą, że straszliwa w swych skutkach druga wojna światowa rozpoczęła się we wrześniu 1939 roku. Ale ja sądzę, że tak naprawdę początek jej nastąpił o wiele wcześniej i to w małej miejscowości, Ogrodzieńcu. W starym parku ujrzy pani tylko porośnięty trawą wzgórek, gdzie stał ongiś duży pałac barokowy, a w nim ostatnie lata swego życia spędził prezydent Rzeszy, marszałek von Hindenburg. Dwukrotnie odwiedzał go Adolf Hitler. W 1933 roku, podczas ostatniej wizyty, stary Hindenburg przekazał mu w tym pałacu władzę nad Niemcami. Zapewne Adolf Hitler osiągnąłby pełnię władzy i bez tego gestu starego marszałka, niemniej jednak taki gest nastąpił i stało się to właśnie w Ogrodzieńcu, który wówczas zwał się Neudeck. Czyniąc ten gest stary marszałek nie mógł przewidzieć, że w dwanaście lat później trumnę z jego zwłokami będą hitlerowcy wywozić w pośpiechu z mauzoleum pod Olsztynkiem, a pałac, w którym nastąpił ów gest przekazania władzy, zostanie zrównany z ziemią. Historia bywa okrutna dla tych, którzy czynili fałszywe gesty.

W dwie godziny później z Ławy skręciliśmy na Kisielice i zobaczyliśmy napis „Ogrodzieniec”.

— Niewiele ludzi wie — mówiłem Monice — że człowiek o nazwisku Paul von Beneckendorff und von Hindenburg, osobnik o tak długim i arystokratycznym nazwisku, wcale nie był czystej krwi arystokratą, jako że jego ojciec, choć miał wytworne nazwisko, wziął sobie za żonę zwykłą poznaniankę, niejaką Luizę Schwikart. I choć jeszcze jako dziecko przyjeżdżał do rodzowego pałacu swego dziadka w Neudeck, przecież nie mógł nawet marzyć, aby objąć go kiedyś w posiadanie. Wśród wnuków byli lepsi od niego. Ale to on, ten najmniej wyróżniany wnuk, stał się wiele lat później bardzo sławny, pokonując w pierwszej wojnie światowej nieudolnego generała rosyjskiego Samsonowa w okolicach Sębarka i Grunwaldu. Miał to być odwet za klęskę pod Grunwaldem w 1410 roku

i propaganda niemiecka nadała tej bitwie szczególne znaczenie. Hindenburg został okrzyknięty bohaterem narodowym, a potem wybrany na prezydenta Rzeszy. Jeden z historyków zwrócił mi uwagę, że nie zaprzeczając w niczym talentom wojskowym Hindenburga może warto się zastanowić, czy owym bohaterem nie stał się on niejako bezwiednie. Po prostu wojska rosyjskie zbliżały się do powiatu suskiego, zamieszkałego przez Hindenburgów i innych junkrów pruskich, takich jak Henryk XIV książę Reuss, Rodrigo hrabia zu Dohna, Konrad Karl hrabia Finck von Finckenstein, Bernard von Puttkamer i inni. Powiat suski był właśnie twierdzą junkierskiej tradycji. Paul von Hindenburg rzucił się wściekle do obrony włości swego dziadka i szczęśliwie dla siebie zadał wojsku rosyjskiemu klęskę w okolicach Wielbarka i Olsztynka, choć historycy niemieccy woleli odrobinię przesunąć miejsce bitwy aż do Tannenbergu. „Wdzięczny naród niemiecki” w 1926 roku odkupił Ogrodzieniec od rodziny prezydenta i darował mu ten majątek jako „dobra rycerskie”. Ale zwycięzca spod Tannenbergu musiał potem już w trumnie stąd uciekać... Fortuna kołem się toczy.

— Ale chyba nie przyjechaliśmy tu po to, aby stwierdzić prawdę tego przysłowia? — zauważyła Monika.

— Oczywiście, moja droga współpracowniczo — powiedziałem. — Rzec w tym, że jak powiadają niektórzy, Paul von Hindenburg niezbyt chętnie uczynił ów gest przekazania władzy Hitlerowi. A opierał się wcale nie dlatego, że przerażały go plany Hitlera zawładnięcia światem, bo do takich planów śmiało się serce starego marszałka. Ale człowiekowi, który mieszkał w swych „rycerskich dobrach” i nazywał się von Beneckendorff und von Hindenburg, czyli był podwójnym „vonem”, a miał za sąsiadów nie mniej utytułowanych ludzi, różnych książąt, hrabiów i takich samych podwójnych „vonów”, trochę nie w smak było przekazywanie władzy nad Niemcami komuś, kto nazywał się po prostu Adolf Hitler — zwykłemu kapralowi, nawet nie oficerowi. I to sprawiło, że ów gest nie wyszedł podobno staremu prezydentowi tak ładnie, jak tego życzył sobie Adolf Hitler. Traf zdarzył, że w tym momencie przy łożu umierającego prezydenta przebywał także lekarz, doktor Hans Gottlieb. Nie był on członkiem partii hitlerowskiej i ciągle istniała obawa, że komuś coś bąknie na ten temat albo — broń Boże — opíše to zdarzenie w swych pamiętnikach. Traf również zdarzył, że ów lekarz z takim samym zapałem leczył Niemców i Polaków, a także miał bogate zbiory, które — o zgrozo — mówiły także o polskości ziem zamieszkałych przez junkrów pruskich. Traf zdarzył także, iż córka owego lekarza, Anna, wyszła za mąż za junkra pruskiego i wielkiego wielbiciela Hitlera. Wpływowy i możny zięć chronił przez jakiś czas swego teścia, ale ten i tak musiał pójść na front, gdzie zginął, uprzednio jednak przy pomocy córki ukrył starannie swoje zbiory. Otóż interesuje mnie, gdzie mieszkał lekarz Hans Gottlieb, który był przy łożu umierającego prezydenta...

Zaparkowałem wehikuł na ogromnym podwórku otoczonym magazynami i oborami Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Ogradzieńcu. Wiele budynków gospodarczych było zupełnie nowych, inne przeszły gruntowny remont. Na sporym placu stało mnóstwo maszyn, raz po raz po błotnistej drodze przejeżdżały traktory, objuczone przyczepami pełnymi nawozów sztucznych.

Panienka w biurze nawet nie słyszała o jakichś Hindenburgach. Nie wiedziała też oczywiście, gdzie kiedyś stał ich pałac.

— Może magazynier będzie wiedział — doradziła nam. — On tu od wielu lat pracuje.

Rzeczywiście, magazynier wskazał nam niewysoki wzgórek otoczony resztkami starego parku. Na miejscu pysznego pałacu rosły już spore drzewka i wysokie krzaki, osłaniające głębokie wykroty. Tu i ówdzie, jak ogromne nagie żebra, sterczały z ziemi żelazne dźwigary. W głębokim dole odkryłem resztki windy, która dowoziła jedzenie z podziemnych kuchni. Z pałacu pozostał właściwie tylko... skarbiec, to znaczy wyraźny, zaznaczony prostokąt grubych murów bez dachu, do których prowadziły, grube na dłoń, żelazne drzwi. Te mury przetrwały, ale nie kryły żadnej tajemnicy. Pancerne drzwi pozostawały otwarte, zerwany strop odsłaniał dno skarbcza.

Obok na cmentarzu, w wysokiej do pasa trawie, tu i ówdzie wały się resztki nagrobków, połamanych płyt. Tylko jedna płyta z czarnego marmuru świadczyła o świetności tych, co zostali tu pochowani w glorii sławy i chwały. Krzyż w kształcie gwiazdy mówił, że leży pod nią rycerz zakonu joannitów, generał major Conrad von Beneckendorff und von Hindenburg, urodzony w 1839 roku, a zmarły w 1913 roku...

— Może stary Neuman powie coś państwu o Hindenburgu — zastanawiał się magazynier. — Ma teraz osiemdziesiąt lat, ale pracował tu jeszcze za Niemców. Podobno z synem Hindenburga służył w tej samej jednostce. Mieszka teraz w Kisielicach.

Do Kisielic były tylko trzy kilometry. Odnaleźliśmy Neumana, ale pamięć osiemdziesięcioletniego człowieka nie była zbyt sprawna.

— Pytają państwo o lekarzy, którzy przyjeżdżali do chorego Hindenburga? Ano, wielu tu ich ściągało. Z całych Niemiec. Kto by tam pamiętał ich nazwiska?

— A miejscowy lekarz nie przyjeżdżał? — zapytałem. — Nazywał się Gottlieb. Doktor Hans Gottlieb.

— A jakże — rozpromienił się staruszek. — Pamiętam go. To ja bryczką przewoziłem go z Rosenbergu, czyli Susza. Doktor Gottlieb, pamiętam. Mieszkał w Suszu, tam gdzie stoi teraz nowy pawilon kawiarni.

I to wszystko.

Monika wyglądała na jeszcze bardziej zmartwioną niż ja.

— Jeśli wrócimy do Warszawy z pustymi rękami — wzdychała — a dyrektor Marczak dowie się, że to ja naprowadziłam Baturę na trop sprawy Fortu Lyck,

zdaje mi się, że zostanę przeniesiona do innego działu. Dyrektor Marczak jest chyba bardzo zły na mnie z powodu zajścia w kawiarni hotelu „Forum”. Pan też ma mnie dosyć, prawda?

Smętnie pokiwałem głową.

— W tym wszystkim jest dużo mojej winy — przyznałem ze skruchą. — Nie powinienem był angażować niedoświadczonego pracownika do tak delikatnej sprawy jak obserwowanie Schreibera. A poza tym do tej pory przyzwyczailem się zawsze działać sam, bez asystenta. Nie ostrzegłem pani, że wszystko co wiąże się z takimi ludźmi jak Batura, może mieć duże znaczenie, trzeba trzymać język za zębami i nie działać na własną rękę. Zresztą Waldemar Batura, tak czy owak, trafiłby na trop tej sprawy, tyle tylko, że nieco później.

— On jest aż taki sprytny? — zdumiała się.

— Oczywiście. Przyjazd wielkiego antykwariusza musiał zainteresować mały światek handlarzy antyków. Jeśli należy do niego i tajemniczy Blondyn w czarnym kapeluszu, to Batura go zna, a on zna Baturę. Powiem więcej: jeśli historia Fortu Lyck kryje w sobie jakieś niejasności, to prędzej czy później będą musieli zwrócić się o pomoc do Waldemara Batury, bo to jedyny człowiek w tym światku, który potrafi rozwikłać tego rodzaju sprawy. Z powodu pani gadulstwa Batura nas wyprzedził. Ale prędzej czy później i tak spotkalibyśmy go na swojej drodze. Radzę pani daleko posuniętą ostrożność.

— Tak, szefie — pokiwała głową Monika. — Ale to chyba znaczy, że będzie pan chciał, abym pozostała pana współpracowniczką.

— To przecież pani wpadła na trop sprawy Fortu Lyck — stwierdziłem.

Na poczcie poprosiłem o błyskawiczną rozmowę z Warszawą.

— Czy są dla mnie jakieś polecenia od dyrektora Marczaka? — zapytałem jego sekretarkę.

— Nie. Ale jest list do pana z Olsztyna.

— Bardzo proszę go otworzyć i przeczytać głośno — poprosiłem.

Sekretarka odczytała mi treść listu.

— Czyżby przydarzyło się panu coś przyjemnego? — zapytała Monika, widząc moje pogodne oblicze.

— Tak jest, od swego przyjaciela, historyka z Olsztyna dowiedziałem się, że Johann von Dobeneck posiadał Gardzień z czterema folwarkami, razem około 1150 hektarów ziemi w dawnym powiecie suskim. Ten sam Gardzień, w którym kiedyś mieszkała Jenny von Gustedt.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„CZERWONA ARYSTOKRATKA” • W ZRUJNOWANYM DWORZE • CO ODKRYLIŚMY W GARDZIENIU? • TWARZĄ W TWARZ Z TAJEMNICZYM BLONDYNEM • W POTRZASKU • ZABAWA W CHOWANEGO • WYJAZD DO FRANKFURTU • ZWIEDZAMY MIASTO • NA ULICY ZYGFRYDA 7 • DZIWNA ROZMOWA Z PANIĄ DOBENECK • GRANAT Z OPÓŹNIONYM ZAPŁONEM

Zjedliśmy obiad w Suszu, w restauracji, która nazywała się „Warmianka”, choć Susz nie leży na terenie Warmii i Mazur, ale na Powiślu. Równie dobrze mogłaby się więc nazywać „Łowiczanka” czy „Krakowianka”. Ten, kto ustalał nazwy dla restauracji, raczej nie orientował się w geografii. Ale obiad był smaczny i już o czwartej po południu wyruszyliśmy do Gardzienia.

Na wschód od Susza aż do Jerzwałdu, a także na południe aż do Hławy i na północny wschód — do Starego Dzierzgonia ciągnie się ogromny kompleks leśny, pełen mniejszych i większych jezior, z którego jedno (piąte co do wielkości w Polsce) ma nazwę Jeziorak. Od Hławy do Jerzwałdu wzdłuż brzegów tego jeziora biegnie nowa asfaltowa szosa. Ma ona dziesiątki zakrętów i przez cały niemal czas przecina las, to po lewej, to znów po prawej stronie ukazując lustra mniejszych jezior.

Na jednym z takich ostrych zakrętów leży wieś Gardzień, gdzie zbudowano niedawno osadę leśną. Białe, nowe domy sąsiadują z czerwonymi czworakami starych zabudowań folwarcznych. A na niewysokim wzgórku tuż przy szosie między potężnymi drzewami stoją ruiny dworu zbudowanego w kształcie podkowy³. Ze stromego dwuspadowego dachu zleciały dachówki. Deszcze i wichury dokonują dzieła całkowitego zniszczenia. Tu i ówdzie załamały się stropy, ale dębowe schody jeszcze prowadzą na górne piętra, a przez pusty oczodół drzwi wejść można do zawalonej gruzem półokrągłej sali balowej lub może ogromnego salonu. Wszędzie leżą cegły, rozbite dachówki i stare kafle z pieców i kominków.

³Ruiny rozebrano w 1976 roku, już po napisaniu tej książki.

Gdy przyjechaliśmy tam wczesnym popołudniem, padał deszcz i Gardzień wydawał się bezludny. Na drewniane podłogi w pańskich pokojach z głośnym szumem leciała woda przez dziury w dachu, a w sali balowej koczowało stadko owiec, które schroniły się tu przed deszczem. Owce pobekiwały cichutko, smutnie szumiał wiatr w koronach starych drzew obok dworu.

Zaparkowałem wehikuł na leśnej ścieżce, aby nikomu nie rzucał się w oczy. Nie chciałem, by moja wizyta w zrujnowanym dworze obudziła zainteresowanie mieszkańców Gardzienia. Jeśli bowiem dwór ten krył jakąś zagadkę, chciałem się z nią spotkać bez żadnych świadków.

W drodze do Gardzienia opowiedziałem Monice o pięknej dziewczynie, której przed ponad stu pięćdziesięciu laty wielki poeta nazwiskiem Goethe czytał w Weimarze ostatnie sceny genialnego „Fausta”. Ta młoda dziewczyna imieniem Jenny poznała Anglika nazwiskiem Byron i zakochała się w nim bez pamięci, ale on wkrótce zginął w dalekiej Grecji. Chciała pozostać wierną tej miłości, lecz ulegając matce swej, dworcy Dianie von Papenheim, zgodziła się wyjść za mąż za Wenera von Gustedta, który kupił majątek Gardzień w dalekich Prusach w niedostępnych lasach. I oto piękna młoda kobieta, która przez kilka lat królowała w salonach Weimaru wśród najwybitniejszych i najbardziej utalentowanych ludzi swej epoki, opuściła miasto rodzinne i skazała się na samotność. Może miała już dosyć dworskiego życia? A może jej charakter żądał aktywności i poświęcenia się dla innych? Może wydawało się jej, że jako właścicielka ziemiska potrafi więcej zrobić dla prostego ludu niż jako dworka w Weimarze? W jednym ze swych listów napisała: *Nic, nawet królestwo, nie da się — dla mnie — porównać z dającą się wykonać i przewidzieć działalnością wielkiego, bogatego właściciela dóbr. Zawód ten, polegający na wprowadzaniu porządku, uszczęśliwianiu, upiększaniu, ulepszaniu kraju i ludzi, obejmujący naturę i ducha, wydaje mi się tak dobry i tak wielki, jak żaden inny.* Naiwne to było i bardzo dziewczęce pojmowanie ziemianstwa i jego roli. Przekonała się o tym na własnej skórze, ale jakże pięknie świadczy o jej charakterze i wyjaśnia decyzję wyjścia za mąż za Wenera von Gustedta, człowieka, którego zapewne nie kochała, bo jej jedyną miłością był Byron.

— Była młoda i ładna — opowiadałem Monice — przywykła do emablowania na dworze książęcym, a tu znalazła się w głuszy. Zetknęła się z nędzą ludzką i to wśród ludzi, którzy pracowali w jej majątku. A był to lud, jak opisuje, na połę polski, na połę niemiecki, żyjący w nędzy, brudzie i pijaństwie. Najbliższe przytułki dla chorych i biednych leżały o całe mile od Gardzienia, szkoła była zła, nikt się nie troszczył o duchowe życie dzieci. To ona podjęła trud walki z pijaństwem wśród pracowników swojego majątku, dostarczała zdrowej i posilnej żywności, dbała o ludzi starych i chorych. W jednym z listów do swej dawnej przyjaciółki z Weimaru napisała, że ciemni, zabobonni ludzie w tych stronach, aby uspokoić płaczące dziecko, kładą mu w usta szmatkę umoczoną w wódce. Wielkie panie z sąsiednich dworów wyśmiewały działalność opiekuńczą Jenny, ale to jej nie

zrażało. I powoli dochodziło do jej świadomości, że za nędzę i ciemnotę prostego ludu odpowiedzialni są przede wszystkim wielcy właściciele ziemscy, którzy stanowili tu władzę i prawo.

Po schodach zrujnowanego tarasu weszliśmy z Moniką do ogromnego półokrągłego salonu.

Mówiłem:

— To w Gardzieniu, może właśnie w tym salonie, dowiedziała się Jenny, że nazwisko rodowe von Papenheim nie jest jej prawdziwym nazwiskiem. Człowiek, którego do tej pory uważała za swego ojca, nie był faktycznie jej ojcem. Okazał się nim król Westfalii, Hieronim Bonaparte, który w owym czasie zamieszkiwał już w Paryżu. I Jenny pojechała do Paryża, aby odwiedzić swego prawdziwego ojca, byłego króla. A był to czas, gdy w Paryżu wrzało, nadszedł czas Wiosny Ludów. Tam zetknęła się Jenny z postępową myślą francuską, z rewolucyjnymi hasłami. Toteż wróciła do Gardzienia już jako zupełnie inna kobieta. Lecz jej mąż tymczasem został landratem powiatu suskiego i postanowił ograniczyć działalność swej żony. Jenny boleśnie przeżyła fakt, że mąż odsunął ją od wszelkich spraw publicznych. Tylko w listach do francuskiego rewolucjonisty Blanquiego zachowały się ślady jej śmiałych, jak na owe czasy, poglądów. Pisała do niego: *Nie całkiem się zgadzam z Pana ostrym odrzuceniem wszystkich idei komunistycznych. Dlaczego nie miałyby być możliwa sytuacja, której podstawą byłaby wspólnota życia i własności, zakładając przede wszystkim dobre, równomierne wychowanie?*

— Prawdziwa „czerwona arystokratka” — stwierdziła z przekąsem Monika.

— Tak. Bo proszę uwzględnić, że te poglądy wygłaszała dworka książęca i właścicielka dóbr ziemskich. Czemu jednak wyraża się pani o Jenny aż z taką ironią?

— Bo mówi pan o niej z takim zachwytem, jakby był pan w niej zakochany.

Roześmiałem się.

— Miała już wtedy pięcioro dzieci i po dwunastoletnim pobycie w Gardzieniu przeniosła się do Susza. Potem wyjechała z mężem do Berlina, a gdy mąż zmarł, zamieszkała u syna w dalekiej Kurlandii i tam została pochowana. Dopiero jej wnuczka, Lili Braun, podjęła częściowo myśl swej babki i stała się działaczką ruchu kobiecego. Gardzień zaś kupili Dobeneckowie. W wiele lat później córka lekarza z Susza, Anna, wyszła za mąż za Johanna von Dobeneck i zamieszkała także w Gardzieniu. Przyjeżdżał tu zapewne jej ojciec, przeczytał książkę Lili Braun, dowiedział się o Jenny von Gustedt i zaczął zbierać pamiątki po tej wspaniałej kobiecie, był bowiem zapalonym kolekcjonerem. Potem, jak pani już wie, Moniko, musiał swoje zbiory ukryć. Pomagała mu w tym jego córka. Może ukryto je właśnie tutaj?

Kap, kap, kap — kapąła woda do półokrągłego salonu. Za dziurami okien szumiał deszcz i bezlistne drzewa. Owce uciekły na dwór głośno pobekując, a my

z Moniką przechodziliśmy wolno z pokoju do pokoju uważając, aby nam na głowę nie spadła jakaś cegła lub dachówka.

— Tu są schody. Może wejdziemy na górę? — zaproponowała Monika.

Nagle coś stuknęło nad naszymi głowami. A potem usłyszeliśmy jak gdyby jęk.

— Co to? — przeraziła się dziewczyna.

— To wiatr. Albo jakiś ptak. . . — zgadywałem.

Ostrożnie wspięliśmy się na górę po drewnianych, próchniejących schodach.

Znaleźliśmy się w wymalowanym na żółto dużym pomieszczeniu, nad którym nie było dachu i deszcz padał bezpośrednio na podłogę.

— Boże drogi! — krzyknęła Monika.

Na podłodze, w kałuży wody leżał związany tajemniczy Blondyn. Miał zakneblowane chustką usta, a obok niego walał się czarny kapelusz.

Monika skoczyła do leżącego i usiłowała rozwiązać sznur na jego rękach i nogach. Ale ją powstrzymałem.

— Chwileczkę — powiedziałem, spoglądając w wybałuszone błagalnie oczy Blondyna. — Najpierw z nim porozmawiamy.

To mówiąc wyjąłem mu knebel z ust.

Tajemniczy Blondyn kilkakrotnie odetchnął głęboko, oblizał spieczone wargi, a potem zaczął się szarpać.

— Co się gagicie jak durnie?! — wrzasnął na nas. — Uwolnijcie mnie z tych sznurów. Napadli mnie tu jacyś bandyci. No jazda! Uwolnijcie mnie!

— Spokojnie — upomniałem go. — Czy nie uważa pan, że w dobrym towarzystwie należy się sobie przedstawić?

— Idźcie do diabła! — wrzasnął Blondyn. — Co to za głupie żarty? Nie widzicie, że ktoś na mnie napadł? Uwolnijcie mnie natychmiast!

— Chwileczkę — zrobiłem uspokajający gest ręką. — Tylko bez nerwów, bo to może tylko zaszkodzić pańskiemu zdrowiu. Pan nas nie zna, ale my pana znamy z widzenia. Czy może nam pan powiedzieć swoje nazwisko? W jakim celu przyjechał pan do Gardzienia?

Tajemniczy Blondyn przestał się rzucać w więzach.

— Jesteście z tej samej bandy — stwierdził. — No dobrze, powiem wam wszystko, ale uwolnijcie mnie, bo jestem cały mokry od deszczu. Czuję, że dostanę zapalenia płuc.

W tym momencie przez wybite okna usłyszeliśmy pisk hamulców i odgłos silników przynajmniej dwóch samochodów, które zajechały przed zrujnowany dwór.

Rozejrzałem się na wszystkie strony, a potem ku zdumieniu Moniki chwyciłem knebel i mimo protestów Blondyna wcisnąłem mu go z powrotem do ust. Następnie wzięłem Monikę ze rękę i ostrożnie przeszedłem z nią do drugiego pokoju. Schowaliśmy się tam za załomem muru.

— Ani słowa. Proszę nawet nie oddychać — nakazałem szeptem Monice.

Wkrótce usłyszeliśmy szmer na dole, potem skrzyp starych schodów. Chyba trzech mężczyzn wspinało się na górę, rozmawiając ze sobą półgłosem.

Mężczyźni weszli do pokoju, gdzie leżał związany tajemniczy Blondyn.

— No i co, panie kolego? — poznałem głos Waldemara Batury. — Nie jesteś z cukru, więc się nie roztopiłeś. Ale deszcz, knebel i więzy napędziły ci chyba rozumu do głowy i skłoniły do mówienia. Mokłeś i ziębłeś, a my tymczasem zjedliśmy smaczny obiadek w Hawie. Gdybyś inaczej z nami zaczął gadać, zjadłbyś go także w naszym towarzystwie. Ale ty, Piękny Lolo, nic nie rozumiesz ze współczesności. Skończyły się już czasy, gdy każdy handlarz antyków w Polsce mógł pracować na własny rachunek. Gdy siedziałem w więzieniu, miałem czas to i owo przemyśleć. Doszedłem do wniosku, że jeśli się będzie działać w pojedynkę, zawsze się w końcu wpadnie w ręce milicji albo Samochodzika. Postanowiłem stworzyć syndykat handlarzy antyków i sam mianowałem się królem w naszej branży. A ty pozostałeś głuchy na moje propozycje i wolałeś pracować na własną rękę. Dlatego zwracaliśmy na ciebie szczególną uwagę. Od razu nam się rzuciło w oczy, że skontaktowałeś się ze Schreiberem i dostałeś od niego jakieś polecenia. Rudy Janek śledził cię od Warszawy aż do Mikołajek, potem był świadkiem, jak wynająłeś motorówkę i popłynąłeś na Śniardwy. Jechaliśmy za tobą aż do Morağa i tutaj, do Gardzienia. Teraz wiesz, że nie wolno działać samotnie, bo można dostać po karku. Ale za twoim pośrednictwem także ów Schreiber powinien się dowiedzieć, że jeśli w Polsce chce się coś zdziałać na naszym polu, to najpierw należy się w tej sprawie zwrócić do króla handlarzy antyków, Waldemara Batury. No i co, będziesz gadał, po co cię wysłał tu Schreiber?

— Będzie gadał, bo kiwnął głową — posłyszałem drugi głos.

Uwolnili Blondyna z knebla. Donośnie zabrzmiał jego chrapliwy głos:

— Wszystko powiem, panie Batura. Ale w drugim pokoju ukrywa się jeszcze jakiś facet z dziewczyną. . .

Nie miało już sensu kryć się za murem. Wróciliśmy z Moniką do pokoju, gdzie na podłodze leżał tajemniczy Blondyn, a obok niego stali Waldemar Batura, Rudy Janek i jakiś trzeci młody człowiek.

— Witajcie — powiedziałem z udaną beztroską. A Monika dygnęła jak pensjonarka.

— Cześć, Tomaszu — powitał mnie Batura. I wyjaśnił swoim „kolegom” i tajemniczemu Blondynowi: — To jest właśnie Samochodzik, który pracuje w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków i ma na oku wszystkich handlarzy antyków.

Rudy Janek, który był rzeczywiście rudy jak wiewiórka i rosły jak olbrzym oraz drugi młody człowiek chcieli się rzucić na mnie, ale Batura powstrzymał ich.

— Bez awantur, przyjaciele — oświadczył z uśmiechem. — Nie lubię aktów brutalności i terroru. Ludzie kulturalni i inteligentni zawsze mogą się z sobą porozumieć.

Wyjął nóż i przeciął sznur oplątujący Blondyna. A potem, gdy Piękny Lolo gramolił się z podłogi i rozprostowywał ścierpnięte mięśnie rąk i nóg, zwrócił się do mnie:

— Byłeś, Tomaszu, świadkiem koleżeńskiego nieporozumienia, które zresztą, jak widzisz, zakończyło się pomyślnie. Nikt nie ma do nikogo o nic pretensji. Nic się nie stało, prawda, Lolo?

— Tak jest, nic się nie stało — oświadczył szybko Piękny Lolo. — To były tylko koleżeńskie żarty. Oni mnie związali dla zabawy.

— Tak jest — przytaknął Batura. — Bawiliśmy się w chowanego. A teraz, chłopaki, proszę zejść na dół i zająć miejsce w samochodach. Twój samochód, Lolo, stoi w lesie, prawda? Otóż twój wóz odprowadzi do Warszawy Rudy Janek, Zenek pojedzie swoim wozem, a ty, Lolo, będziesz mi towarzyszył. Chcę z tobą pogadać o tym i owym, bo nie lubię podróżować samotnie.

Kpili sobie z nas w żywe oczy. Ale co mogłem zrobić? Jak powinienem był postąpić? Widziałem człowieka w więzach i z kneblem w ustach, ale ten człowiek twierdził, że to tylko zabawa.

— A pani, Moniko, jak zwykle piękna i interesująca — oświadczył Batura mojej współpracownicy. — Tomasz ma szczęście, co tu ukrywać. Ale jeszcze raz przypominam, że w moim towarzystwie zaznałaby pani więcej przygód. Do zobaczenia, przyjaciele.

I skłoniwszy się nam uprzejmie Waldemar Batura w towarzystwie swej bandy i Pięknego Lolo zszedł po schodach, a ja nie uczyniłem żadnego gestu, aby ich zatrzymać. Co dałby bowiem taki gest? Nieważne, że było ich czterech, a ja jeden, i do tego z Moniką. Skoro bowiem Piękny Lolo nie wnosił żadnych pretensji, to nie jest przestępstwem odwiedzanie zrujnowanych dworów. Waldemar Batura okazał się tym razem panem sytuacji.

Usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwiczek i warkot zapuszczanych silników.

Wkrótce po samochodach bandy Batury pozostał tylko niewyraźny ślad na błotnistej drodze.

Kap, kap, kap — padał deszcz z dziurawego dachu do półokrągłego salonu w dawnym domu Jenny von Gustedt.

— Gdyby Waldemar Batura nie nadjechał ze swoją bandą — westchnęła Monika — dowiedzielibyśmy się od Pięknego Lolo, jakie zadanie dał mu Schreiber. Był skłonny mówić, bo wziął nas za członków bandy Batury.

— Niech się pani nie martwi — pocieszałem ją. — I tak wiemy już bardzo wiele. Myślę, że do Warszawy nie wrócimy jednak z pustymi rękami. Dyrektor Marczak zapewne z dużym zainteresowaniem wysłucha naszej opowieści.

— I pozostawi mnie w pana referacie? — zapytała uszczęśliwiona.

— Sądzę, że mimo wszystko zasługuje pani na to.

Odszukaliśmy wehikuł na leśnej drodze i przed północą byliśmy już w Warszawie.

Dyrektor Marczak ze zmarszczonymi surowo brwiami wysłuchał mojego sprawozdania z podróży do Fortu Lyck i Gardzenia. Wyraźnie zaniepokoił go fakt, że najprawdopodobniej istniał ścisły związek między przyjazdem zachodnioberlińskiego antykwariusza, Fortem Lyck i zbiorami doktora Gottlieba. Decyzję podjął szybko, był to bowiem człowiek niezwykle przedsiębiorczy.

— Jutro wyjeżdżamy do Frankfurtu nad Menem, aby osobiście porozumieć się z Anną von Dobeneck — oświadczył.

Z kasy pancерnej, która stała w jego gabinecie, wyjął nasze paszporty, które — jak się okazało — były już ostemplowane wizą Republiki Federalnej Niemiec. Następnie zlecił sekretarce zamówienie biletów na pociąg.

— Panna Monika będzie czuwać nad bieżącymi sprawami pańskiego referatu — rozkazał, co znaczyło, że docenił jej wkład w tę sprawę i przestał się nosić z zamiarem przesunięcia jej do innego działu.

Powiadomiłem o tym Monikę, co sprawiło jej ogromną radość.

— Błagam panią — oświadczyłem, żegnając ją — proszę tylko nie działać na własną rękę. Może pani mieć dużo adoratorów, ale niech nie wystają przed gmachem ministerstwa i nie śledzą nas. A poza tym trzymać język za zębami! Nikt nie może wiedzieć, że wyjechaliśmy z Marczakiem do Frankfurtu.

I tak oto już następnego dnia wieczorem wysiedliśmy z dyrektorem na dworcu kolejowym we Frankfurcie nad Menem i taksówkarzowi kazaliśmy się zawieźć do jakiegoś skromnego hotelu, albowiem Ministerstwo Kultury i Sztuki wyposażyło nas w niewielkie środki finansowe.

Frankfurt to miasto duże i nowoczesne, położone w sercu Europy, na przecięciu wielkich szlaków komunikacyjnych. Ze względu na wielką liczbę przedsiębiorstw handlowych i banków, a także na rokrocznie odbywające się targi, przebywa tu wielu przyjezdnych, na ulicach ciągnie nieprzerwany korowód samochodów.

Ominęliśmy hotele pierwszej klasy, takie jak „Savoy”, „National” czy też „Frankfurter International” i zamieszkaliśmy w skromnym, choć wygodnym hotelu „Arabella”. Byliśmy zmęczeni podróżą i zaraz położyliśmy się spać. Rankiem dyrektor Marczak wyszukał w książce telefonicznej numer Anny von Dobeneck (słusznie przewidywaliśmy, że osoba o tak arystokratycznym nazwisku posiada telefon) i zadzwonił.

Telefon odebrał wnuk pani Anny, Alfred von Dobeneck. Tak się w każdym razie przedstawił Marczakowi, który na wstępie rozmowy wyłuszczył, kim jest, skąd przyjechał i w jakiej sprawie chciałby rozmawiać z panią von Dobeneck.

— Babcia jeszcze śpi — poinformował Marczaka Alfred von Dobeneck i obiecał, że gdy tylko się obudzi, zadzwoni do nas natychmiast (rzecz jasna, zapisał sobie nazwę hotelu i numer telefonu pokoju, w którym zamieszkaliśmy).

W godzinę później dotrzymał obietnicy.

— Moja babka, pani Anna von Dobeneck, oczekuje was o godzinie osiemnastej w swej willi przy ulicy Zygfryda 7 — powiadomił Marczaka.

Prawie cały dzień dzielił nas od tej wizyty. Zjedliśmy więc śniadanie i wyruszyliśmy na zwiedzanie miasta i jego zabytków. Zaczęliśmy od centrum, to jest dzielnicy Romerberg. Nazwa „Romerberg” pochodzi od „Domu Rzymianina”, albowiem jeden z właścicieli domu odbył przed laty pielgrzymkę do Rzymu. Ten właśnie „Dom Rzymianina”, starą miejską kamieniczkę, w 1405 roku uczyniono Ratuszem Miejskim, a w miarę jak miasto rozrastało się i zyskiwało na znaczeniu, rada miejska powiększała ratusz o sąsiednie kamieniczki, co jest czymś wyjątkowym, gdyż zazwyczaj w każdym mieście wznoszono specjalny budynek. Z czasem w pobliżu owych połączonych kamieniczek, stanowiących ratusz, zbudowano wiele rezydencji bogatych mieszczan oraz wiele kantorów kupieckich.

Z Ratusza powędrowaliśmy starym szlakiem koronacyjnym cesarzy do katedry Św. Bartłomieja. W roku 1944 prawie całe stare miasto, a także słynna katedra frankfurcka zostały zrujnowane. Na gruzach wzniesiono nowoczesną dzielnicę, ale katedrę odbudowano. Jest ona z czerwonego piaskowca i mimo wysmukłych elementów wydawała się nam wielka i ciężka.

W katedrze, na prawo od ołtarza przedstawiającego Zaśnięcie Marii Panny, przez małe drzwiczki weszliśmy do niewielkiego sanktuarium, kaplicy elektorskiej, gdzie od XII wieku elektorzy niemieccy wybierali cesarzy i składali im hołd. Piękno i prostota tej sali budziły mój zachwyt, nie mogłem jednak opędzić się od myśli, że wybierani tu cesarze tak często prowadzili przeciw Polsce politykę ekspansji.

Teraz pomaszzerowaliśmy przez Stary Most na drugą stronę rzeki Men, do Sachsenhausen, dawniej dzielnicy rybaków i ogrodników. I tu wojna nie oszczędziła wielu starych kamieniczek. Ocalało ich tylko kilka na dawnej ulicy Trzech Króli. Na parterach nad drzwiami zobaczyliśmy zielone gałązki — znak, że mieszczą się tu restauracyjki i jadłodajnie, gdzie podają tradycyjne potrawy i napoje. Oczywiście nie omieszkaliśmy z Marczakiem zajrzeć do takiej jadłodajni. Przy prostych stołach można było wypić napój cidre, spróbować słynnych frankfurckich kielbasek lub tak zwanej Gelbwurst, to jest wieprzowej kielbasy z szafranem.

Ominąwszy fontannę Trzech Króli znaleźliśmy się w pobliżu Muzeum Sztuki Użytkowej. Zwiedzanie bogatej kolekcji muzeum zajęło nam sporo czasu i dopiero późnym popołudniem powróciliśmy na Stare Miasto przez tak zwany Eiserner Steg, czyli żelazną kładkę, most położony w pobliżu byłego Brodu Frankońskiego, od którego wzięło nazwę całe miasto. W okresie podboju Franków tu właśnie przy brodzie przez rzekę Men powstała obronna osada nazwana z czasem Frankfurtem.

Spacer zmęczył nas porządnie, ale zarazem sprawił wielką przyjemność, tym bardziej że dzień był pogodny. Świeciło słońce, w powietrzu czuło się już wiosnę,

na skwerach i placach zaczynały się zielenić kasztany, a rzeka Men niebieszczyła się pięknie.

Należało jednak wciąż pamiętać, że nie przyjechaliśmy tu w charakterze turystów, ale aby załatwić konkretną i ważną sprawę. Pośpiesznie zjedliśmy obiad w hotelowej restauracji i gdy słońce zaczynało chować się za dachy domów, zamówioną przez portiera taksówką (nie chcieliśmy błędzić po nie znanym mieście) kazaliśmy się zawieźć na ulicę Zygfryda 7 w okolicy Ogrodu Zoologicznego, w małą uliczkę, gdzie po obu stronach asfaltowej jezdni, za wysokimi żelaznymi parkanami, stały w ogrodach bogate wille.

Dom oznaczony numerem 7 także znajdował się w małym ogrodzie. Wysokie, żelazne, zakończone ostro kraty broniły wstępu. Drzwi przy bramie otwierały się automatycznie, gdy w willi zwalniano elektryczny zatrząsk w zamku.

Wyłożona betonowymi płytkami droga zaprowadziła nas przed lśniąco lakierem dębowe drzwi. W rozległym hallu czekała na nas młoda pokojówka, zdaje mi się że Hiszpanka, na co wskazywał jej akcent.

— Pani von Dobeneck oczekuje panów w swojej sypialni. Jest chora — poinformowała nas i poprowadziła za sobą.

Na schodach panował półmrok, jakby oszczędzano tu światło elektryczne. Mrok pogłębiały ciemne boazerie, którymi wyłożono ściany klatki schodowej.

Sypialnia była ogromna, z wielkim kominkiem i szerokim tapczanem, umieszczonym między dwoma oknami, zasłoniętymi ciężkimi kotarami. Na tapczanie leżała starsza pani okryta szczelnie kołdrą. Na głowie miała biały czepek, spod którego wymykały się kosmyki siwych włosów. Twarzy dokładnie nie widziałem, bo pokojówka wskazała nam krzesła przy drzwiach, a lampa na stoliku tuż koło drzwi nie sięgała blaskiem do tapczanu. Sypialnia była starannie wysprzątana, nigdzie nie dostrzegłem porzuconego szlafroka ani żadnego lekarstwa na nocnym stoliku.

— Od tygodnia trapi mnie grypa — odezwała się pani Dobeneck dość młodym i miłym głosem. — W tym roku jest bardzo ostra i zaraźliwa. Dlatego lepiej będzie, jeśli panowie zachowają pewne środki ostrożności.

— Ależ tak, naturalnie — przytaknął dyrektor Marczak, gdyż i u nas grypa przebiegała ostro, z wielkimi powikłaniami.

Przycupnęliśmy na krzeselkach w dość dużej odległości od tapczanu. Marczak szybko zreferował cel naszej wizyty. Przypomniał o liście pani Dobeneck i o odpowiedzi, jakiej udzieliły polskie władze.

— Przystaliśmy na pani warunki — stwierdził — i powiadomiliśmy o tym panią. Niestety, minęły trzy miesiące i nie wskazała nam pani miejsca, gdzie są ukryte skrzynie ze zbiorami. Zdecydowaliśmy się więc przyjechać do Frankfurtu, aby osobiście wyjaśnić tę sprawę i doprowadzić ją do końca.

Odpowiedź nie nadchodziła dość długo. Pani Dobeneck milczała, być może starała się dobrać takie słowa, które by nas nie uraziły.

— Odradzono mi kontynuowanie tej sprawy — wyrzekła w końcu bardzo cicho, jakby odrobinę zawstydzona.

— Kto pani odradził? Dlaczego? — zdumiał się Marczak.

— Nie mam żadnej gwarancji, że zwrócicie mi rodzinną biżuterię. I to całą — podkreśliła.

Dyrektor Marczak zaniemówił na moment, tak nim wstrząsnęło to oświadczenie.

— Pani chyba zapomniała, że to Ministerstwo Kultury i Sztuki oficjalnie przyjęło pani warunki. Zwrócimy pani całą biżuterię — również podkreślił to słowo. — Skrytkę otworzymy komisyjnie i dokonamy inwentaryzacji odnalezionych w niej przedmiotów. Zresztą nie ma żadnych przeciwwskazań, aby i pani wzięła w tym udział.

— Jestem już stara i nie mogę podróżować — padła odpowiedź.

— Więc może wnuk? Albo ktoś upoważniony — podsunął Marczak.

— Alfred nie zgodzi się wyjechać do waszego kraju. Jesteśmy do niego uprzedzeni, nie muszę chyba wyjaśniać dlaczego.

— Tak, nie musi pani — odparł ze złością Marczak. — Ale od tego czasu minęło trzydzieści lat. Porozumiały się rządy naszych krajów, więc i osoby prywatne też mogą się porozumieć. Pani odzyska biżuterię rodzinną, a my trochę zabytkowych przedmiotów, związanych nie tylko z naszą, ale i niemiecką kulturą. Zgodnie z przyjętymi warunkami przedmioty stanowiące wartość dla kultury niemieckiej przekazemy do Muzeum Goethego we Frankfurcie. Przyjęliśmy warunki, aczkolwiek wszystkie te rzeczy zgodnie z prawem jako mienie poniemieckie należą do narodu polskiego.

— Nie mieliście innej możliwości. Jeśli wam nie wskażę kryjówki, nie odnajdziecie jej — zaśmiała się cicho pani Dobeneck. — Ale ja zmieniałam zdanie. Skrytka jest znakomicie zabezpieczona, przedmioty nie ulegną zniszczeniu, jeśli nawet poleżą jeszcze kilka lub kilkanaście lat.

Dyrektor wzruszył ramionami:

— Na co pani liczy? Ależ to nonsens, proszę pani. Bez naszego udziału nigdy nie odzyska pani rodzinnej biżuterii.

Pani Dobeneck znowu milczała, jakby szukając słów, które nas nie obrażą.

— Jestem stara i być może nie doczekam tej chwili — rzekła po jakimś czasie. — Ale tajemnicę schowka przekazałam Alfredowi. On jest młody i może czekać. Żałuję, że naraziłam panów na kłopot i kosztowną podróż do Frankfurtu, choć nie poczuwam się w tym wypadku do winy, ponieważ nie zachęcałam panów do tego. Należało właściwie zrozumieć moje milczenie.

Dyrektor Marczak podniósł się gwałtownie z krzesła, a ja uczyniłem to samo. I mnie także gniew jeżył włosy na głowie.

— Zanim powiem pani „do widzenia” — zabrałem głos — pragnę panią ostrzec, że osobnicy, którzy rozpoczęli poszukiwanie schowka, wkrótce zostaną zatrzymani i poniosą zasłużoną karę.

— Nikogo nie upoważniłam do poszukiwań — odparła z oburzeniem pani von Dobeneck.

Wzruszyłem ramionami:

— Być może mówi pani prawdę. Ale na wstępie rozmowy wspomniała pani, że radziła się kogoś w sprawie ukrytych zbiorów. Otóż prawdopodobnie ten „ktoś” albo sam rozpoczął poszukiwania, albo też miał zbyt długi język. Muszę panią powiadomić, że przedwczoraj w pani byłym pałacu w Gardzieniu spotkałem dwie zwalczające się grupy poszukiwaczy skarbów i handlarzy antyków.

Pani Dobeneck aż usiadła na swym wielkim łożu.

— Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego. To mnie niepokoi, panowie...

Po chwili jednak znowu położyła się na łożku. Mruknęła:

— Niech sobie szukają. Schowek jest zupełnie gdzie indziej i nikt go nie odkryje bez moich wskazówek.

— W Forcie Lyck także niczego nie ma — stwierdziłem.

Pani Dobeneck spojrzała na nas z wyrazem pełnym zdumienia.

— Tak, łaskawa pani — skinąłem głową. — Dlatego radzę jeszcze raz przemyśleć całą sprawę.

Zobaczyłem, że pani Dobeneck wyciągnęła rękę w kierunku stolika i przycisnęła niewidoczny dla nas guzik dzwonka. Po chwili w drzwiach stanęła pokojówka.

— Proszę wyprowadzić tych panów — oświadczyła pani Dobeneck.

Skłoniliśmy się chłodno i w milczeniu opuściliśmy sypialnię. Odniosłem wrażenie, iż moje ostatnie słowa o Forcie Lyck były jak granat z opóźnionym zapłonem, pozostawiony w pokoju starej pani. Minie chwila, on wybuchnie i rozprysnie się dobry humor pani Dobeneck.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

KTO WIERZY W DUCHY? • CO MYŚLĘ O PANI DOBENECK?
• POSZUKIWANIE NA STRONICACH GAZET • KOGO STAĆ
NA PROCES SĄDOWY? • ZAGADKA WILLI PRZY ULICY
ZYGFRYDA 7 • GRETA HERBST, DETEKTYW PRYWATNY
• PODEJMUJEMY RĘKAWICĘ • ZŁODZIEJE DZIEŁ SZTUKI
• PIERWSZE WZMIANKI O NIEWIDZIALNYCH • BEŻOWY
MERCEDES

— Oszustka! Złośliwa wariatka! — pieniał się dyrektor Marczak, rozglądając się po ulicy w poszukiwaniu taksówki, która by nas zawiozła z powrotem do hotelu. — Zakpiła z nas. Naraziła nasze państwo na koszty, zabrała nam tyle czasu. I jeszcze się z nas śmiała. Czemu nie zabrał pan głosu i nie powiedział tej babie, co pan o niej myśli?

Tak bowiem już jest w życiu, że każdy szef lubi swój gniew wyładować na podwładnych. A że ja byłem pod ręką, nie ominął mnie zły humor Marczaka.

— No co? Dlaczego nie powiedział pan tej babie, co pan o niej naprawdę myśli? — grzmiał do mnie Marczak.

— Bo nie wiem, panie dyrektorze, co o niej myśleć — wzruszyłem ramionami.

— Jak to, pan nie wie? Jej się marzy powrót do Polski, nowa wojna — wykrzykiwał Marczak. — I pan naprawdę nie wie, co o niej myśleć?

— Nie wiem — wyznałem szczerze. — To znaczy różne myśli krążą mi po głowie. Ale nie są tak precyzyjne, abym mógł wyrazić opinię o tej pani.

Nie wiem, co bym teraz usłyszał od swego zwierzchnika, ale zapewne nic miłego. Na szczęście w uliczce pokazała się wolna taksówka.

— Do hotelu „Arabella” — rozkazał Marczak.

— Nie — sprostowałem — do redakcji „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Taksówka ruszyła gwałtownie, dyrektor Marczak niemal przygniótł mnie ciężarem swojej korpulentnej osoby.

— Chyba nie zamierza pan udzielać w tej sprawie informacji gazetom? — dyszał mi do ucha. — Pan chyba zdaje sobie sprawę, że przebywamy tutaj w taj-

nej misji. Chce pan ujawnić, że pertraktujemy z takimi ohydnyimi ludźmi jak ta Dobeneck? Nie możemy się kompromitować.

— Ach nie, dyrektorze — nareszcie uwolniłem się od ciężaru jego osoby. — To właśnie ja pragnę uzyskać pewną informację.

— Jaką, jeśli można wiedzieć?

— Właśnie że jeszcze nie wiem jaką. Po prostu zamierzam przejrzeć komplet gazet za ostatnie pół roku.

— Ale dlaczego?

Wskazałem palcem plecy kierowcy taksówki, dając Marczakowi do zrozumienia, że nie powinniśmy toczyć w taksówce dyskusji na tak dyskretny temat.

Marczak westchnął ciężko:

— Jestem znakomitym szefem, ponieważ potrafię być cierpliwy.

Lecz gdy wysiedliśmy z taksówki przed redakcją, natychmiast złapał mnie za guzik płaszczka i mocno trzymając zażądał:

— A teraz nich pan mówi to, co pan myślał o pani Dobeneck. Chyba mam prawo znać te myśli, skoro jestem pana szefem. Chodzi mi, rzecz jasna, o te myśli, które przychodzą panu do głowy w godzinach opłaconych przez ministerstwo. Zabrałem pana, aby pan myślał, panie Tomaszu. Intensywnie myślał, panie Tomaszu. I dzielił się ze mną swoimi myślami.

— Tak jest, dyrektorze — zgodziłem się. — Otóż będąc u pani Dobeneck zastanawiałem się, ile też ona ma lat.

— Chwileczkę — zamyślił się Marczak. — W swym liście wspomina, że gdy pomagała ojcu ukryć zbiory, była już mężatką. Jej synowie zginęli na froncie. Ma teraz dorosłego wnuka, bo dorosły męski głos usłyszałem w telefonie. No cóż, zapewne liczy sobie co najmniej siedemdziesiąt lat, jeśli nie więcej...

— Zadziwiająco młodo brzmiał jej głos...

— Hm — chrząknął Marczak, robiąc mądrą minę.

— W wieku siedemdziesięciu lat grypa to bardzo niebezpieczna choroba. Czy wyobraża pan sobie, jak wygląda u chorej stolik przy łóżku? Leżą na nim dziesiątki lekarstw, szklanki po herbacie, bulionach i tak dalej. A tymczasem stoliczek przy tapczanie był pusty. I w ogóle sypialnia sprawiała wrażenie, jakby w niej nikt nie mieszkał i nie sypiał. Nawet nocnych pantofli brakowało przy łóżku.

— Może ma świetną pokojówkę...

— Ale czy musi wołać pokojówkę, gdy zechce łyknąć soku lub herbaty? Szklanka z czymś takim powinna stać przy łóżku chorej, trapionej przez grypową gorączkę.

— Dokąd pan zmierza, panie Tomaszu? — zapytał.

— Do redakcji — odrzekłem.

I ujawszy dyrektora pod ramię wraz z nim znalazłem się w lokalu redakcji „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Mimo dość późnej pory bez trudu i zbędnych wyjaśnień otrzymaliśmy do przejrzania wszystkie numery z minionego półrocza.

Zajęliśmy miejsce w niewielkiej poczekalni, rozłożyliśmy na stoliku zszywkę i pochyliliśmy się nad zadrukowanymi płachtami. Uwagę swoją skierowałem przede wszystkim na stronicę z ogłoszeniami.

— Czy może mi pan powiedzieć, czego konkretnie pan szuka? — niecierpliwił się Marczak, gdy przejrzałem już numery gazety z listopada, grudnia i stycznia.

— Proszę, niech pan tu zerknie — zawołałem radośnie, wskazując palcem duży nekrolog zamieszczony w numerze z 5 lutego.

Dyrektor Marczak przeczytał:

Po długich i ciężkich cierpieniach zmarła nasza ukochana babcia Anna von Dobeneck z domu Gottlieb.

Dalej nekrolog zawierał informacje o wieku zmarłej (miała siedemdziesiąt trzy lata) oraz o terminie i miejscu pogrzebu. W podpisie zawiadomienia o śmierci widniało nazwisko jej wnuka, Alfreda von Dobeneck.

— Innymi słowy, przed godziną rozmawialiśmy z duchem zmarłej — stwierdził Marczak.

— Słusznie — przytaknąłem. — O ile rzecz jasna wierzy pan w duchy.

— Nie wierzę.

— Ja także. Stąd wniosek, że pani Anna von Dobeneck napisała list do Polski na krótko przed swoją śmiercią. Być może była już wtedy poważnie chora. Odpowiedź od władz polskich nadeszła, gdy stara pani umierała. Może nawet nie doręczono jej odpowiedzi. Oto przyczyna jej milczenia.

— Ale po co ta obecna maskarada? — oburzył się Marczak. — Dlaczego jej wnuk, Alfred, gdy do niego zadzwoniłem, nie powiadomił nas o śmierci swej babki, tylko dokonał mistyfikacji z jakąś podstawioną osobą? Dlaczego chciał nam wmówić, że pani von Dobeneck zmieniła swoją decyzję?

Zastanowiłem się.

— Należałoby chyba porozumieć się z jakimś prawnikiem. Być może pani Dobeneck nie pozostawiła testamentu i tym samym cały jej majątek, o ile takowy posiadała, odziedziczył wnuk Alfred. Cały majątek z wyjątkiem skrzyń pozostawionych w Polsce. Być może list przesłany przez panią Dobeneck do Polski prawnicy zachodniemieccy mogliby uznać za ostatnią wolę zmarłej, dotyczącą tej właśnie sprawy. A w takim razie ów Alfred Dobeneck nie miałby żadnego prawa do zbiorów swego pradziada, jedynie do rodzinnej biżuterii. Alfred Dobeneck doskonale orientuje się, że zbiory pradziada są stokroć więcej warte niż biżuteria rodzinna. Dlatego pragnął nas odprawić w przekonaniu, że to pani Dobeneck zmieniła swoją decyzję. Innymi słowy chodziło mu o to, abyśmy nie zasięgnęli opinii żadnego prawnika.

— Myślę, że Alfred von Dobeneck usiłuje zawładnąć całymi zbiorami — przytaknął Marczak.

— Zapewne porozumiał się już w tej sprawie z właścicielem wielkiego salonu aukcyjnego Schreiberem i ten wyjechał do Polski, aby zbadać, czy istnieje możli-

wość odnalezienia zbiorów i przetransportowania ich do Niemiec. Z drugiej strony Alfred von Dobeneck chce mieć możliwość wznowienia pertraktacji, choć już zapewne na korzystniejszych dla siebie warunkach. Na przykład, zażąda w zamian za zabytki dotyczące polskiej kultury otrzymania nie tylko biżuterii rodowej, ale także zabytków związanych z niemiecką kulturą, które następnie sprzeda w salonie aukcyjnym Schreiberera. Chce, abyśmy pozostawiali jeszcze długo w nieświadomości co do faktu śmierci starej pani i nie radzili się żadnego tutejszego prawnika. Jestem pewien, że postępowanie spadkowe jeszcze trwa i Alfred lęka się, aby ktoś się do niego nie wtrącił.

— Ma pan rację, panie Tomaszu — zgodził się Marczak. — Sęk jednak w tym, że my nie zwrócimy się do żadnego prawnika i nie wniesiemy naszych roszczeń, ponieważ nie mamy na to upoważnienia od naszych władz, a także brakuje nam pieniędzy. Czy pan sobie wyobraża, jakiego honorarium zażąda tutejszy prawnik? Otrzymaliśmy dewizy na kilkudniowy pobyt we Frankfurcie, opłacenie hotelu i kilku taksówek. To wszystko, panie Tomaszu. Nawet gdybyśmy tu nic nie jedli i nic nie pili, spali na dworcu, to i tak będzie to za mało na opłacenie adwokata.

— Może pan zatelefonować do ministra i wyłuszczyć mu sprawę.

— Słusznie. Ale czy mamy prawo narażać nasze władze na kosztowny proces z Alfredem von Dobeneck? Cóż z tego, że wygramy proces i sąd uzna list pani Dobeneck za jej ostatnią wolę w tej sprawie. Wygramy, ale pozostaniemy z pustymi rękoma. Nie wiemy przecież, gdzie są skrzynie ze zbiorami, a sąd nie wskaże nam miejsca, bo prawdopodobnie tajemnicę pani Dobeneck zna tylko jej wnuk. Zgodnie z naszym prawem i tak jesteśmy właścicielami tych skrzyń.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

— Nie pozostaje więc nic innego, jak czekać na list od jej wnuka.

Marczak wzruszył ramionami.

— Nie będziemy czekać na list Dobenecka. Postawi on inne warunki niż jego babka, a nasze władze nie wyrażą zgody. Co innego bowiem przekazać część zbiorów do muzeum we Frankfurcie, a oddać Dobeneckowi jedynie biżuterię, a co innego oddać mu i biżuterię i część zbiorów, na których on zechce zrobić majątek.

W ponurym nastroju opuściliśmy redakcję i udaliśmy się pieszo do hotelu. Było oczywiste, że nasza misja we Frankfurcie zakończyła się fiaskiem. Nie przeżywałbym tego aż tak bardzo boleśnie, gdyby nie świadomość, że Alfred Dobeneck zakpił sobie z nas, przedstawiając nam jakąś młodą osobę jako swoją babkę. Wziął nas za durniów, których łatwo wyprowadzić w pole. Gotów byłem nie pić i nie jeść przez kilka dni, byle przyczynić się do zakwestionowania spuścizny po pani Dobeneck. Ale zdawałem sobie sprawę, że honorarium adwokackie przewyższało znacznie kilkudniowe diety urzędnika mojej rangi.

Dyrektor Marczak myślał chyba podobnie, bo już w pobliżu hotelu zatrzymał się nagle, a jego twarz rozpromienił uśmiech.

— Do licha — rzekł — przecież nie tylko my jesteśmy spadkobiercami pani Dobeneck. Część zbiorów otrzymać ma Muzeum Goethego we Frankfurcie. Powinniśmy jutro złożyć wizytę w muzeum i poinformować o tej sprawie. Może muzeum zechce wziąć na siebie koszty procesu o część spuścizny po pani Dobeneck?

Miałem ogromną ochotę ucałować różowe policzki dyrektora. To był świetny pomysł. Marczak miał dyrektorską głowę. Trudno było od niego wymagać, aby zdemaskował fałszywą panią Dobeneck, od tego ja mu towarzyszyłem. Ale gdy w grę wchodziły kwestie prawne, Marczak znakomicie sobie radził i znajdował wyjście z najbardziej skomplikowanej sytuacji.

— Pan jest genialny, dyrektorze — stwierdziłem szczerze.

— Tak pan myśli, panie Tomaszu? — ucieszył się Marczak — po tym, jak pan wpadł na trop mistyfikacji z panią Dobeneck, już sądziłem, że jestem do niczego i powinienem pójść na emeryturę. Nawet mi do głowy nie przyszło, że rozmawialiśmy z „duchem”.

— Bo wziął pan na siebie cały ciężar rozmowy z panią Dobeneck — wyjaśniłem obłudnie. — Rozmowa zbyt pana absorbowwała, aby mógł pan zwracać uwagę na drobiazgi.

— Tak, tak, zapewne — odetchnął z ulgą Marczak.

Aż do późnej nocy omawialiśmy z dyrektorem w hotelowym pokoju wszystkie szczegóły tej sprawy i następne przedsięwzięcia. Pragnęliśmy wejść w posiadanie zbiorów doktora Hansa Gottlieba, a jednocześnie nie wolno było nam wciągać w tę historię oficjalnych polskich czynników. Gdyby tę sprawę ujawniła prasa i dowiedziała się o niej opinia społeczna tak w Polsce jak i w RFN -ie, być może ten i ów opacznie zrozumiałby fakt, że pertraktujemy z ludźmi, którzy chcą wskazać kryjówkę, ale żądają zwrotu kosztowności, ba, nie są być może osobami zasługującymi na szacunek. Kto wie, jaką rolę odgrywali w Polsce Dobeneckowie, skoro jeden z nich został zabity na ulicach Warszawy przez polski ruch oporu. Co innego, gdyby tę sprawę przejęło w swoje ręce muzeum we Frankfurcie, które zgodnie z ostatnią wolą pani Anny von Dobeneck — miało także otrzymać część zbiorów jej ojca. Muzeum było oficjalną niemiecką placówką kulturalną, miało moc prawną na terenie RFN-u. Z politycznego punktu widzenia o wiele lepiej było pozostać w cieniu tej placówki i sprowadzić się do roli tych, którzy pragną dopomóc niemieckiemu muzeum w uzyskaniu ciekawych eksponatów, przy okazji oczywiście odzyskując przedmioty związane z polską przeszłością kulturalną.

Następnego dnia zadzwoniliśmy do Muzeum Goethego i po krótkiej rozmowie z kustoszem, doktorem Gunterem, umówiliśmy się na spotkanie o jedenastej w jego gabinecie.

I tak oto znaleźliśmy się na nie istniejącej już dzisiaj Schnurgasse, gdzie ongiś były warsztaty sukienników i wznosiły się wspaniałe kamienice. Ale czas mija i tam, gdzie kiedyś Rada Cesarskiego Miasta polowała na sarny i jelenie, stoją dziś

nowoczesne domy, otaczające gotycki budynek mieszkalny. Postawił go zamożny człowiek, radca cesarski Johann Kasper Goethe i tutaj w 1749 roku urodził się jego syn, najśłynniejszy później poeta niemiecki. Trzykondygnacyjny dom, pieczołowicie odnawiany, stanowi dziś cel wielu wycieczek. Wnętrza i meble pozostały w stylu epoki Goethego. Tuż obok mieści się muzeum pełne bogatych zbiorów poświęconych poecie i środowisku, w jakim żył.

Zarówno muzeum jak i Dom Goethego należą do Freies Deutsches Hochstift, czyli Towarzystwa Przyjaciół Poety. W salonach Domu Goethego co trzy lata ogłaszana jest Nagroda Goethego, którą otrzymuje wybitny filozof lub artysta. Kiedyś dostał ją słynny rzeźbiarz współczesny — Kolbe, którego rzeźba dziewczyny zdobi podwórzec muzeum.

Kustosz, doktor Friedrich Gunter, przypominał ogromnego ptaka. Jego czarna marynarka z długimi połami wyglądała jak złożone skrzydła. Chód miał także ptasi, podskakiwał zabawnie i kolebał się na wszystkie strony, to w lewo, to w prawo przekrzywiając swoją małą głowę. Ale głos miał ciepły, przyjemny, oczy zdradzały wielką inteligencję.

— Listy Goethego do Diany von Papenheim, listy Herdera do Goethego, rękopis pracy Schopenhauera? — pomrukiwał radośnie, czytając list Anny von Dobeneck skierowany do polskiego Ministerstwa Kultury i Sztuki. — Kto wie, jakie przeogromne skarby kryją skrzynie doktora Gottlieba? I część tych zbiorów byłibyście skłonni przekazać naszemu muzeum?

— Tak — kiwał głową Marczak. — Mam w tej sprawie odpowiednie pełnomocnictwa. Chcemy tylko zatrzymać niektóre pamiątki związane z Herderem, aby wzbogaciły muzeum w Morągu oraz wszystkie pamiątki dotyczące polskiej kultury. Biżuterię gotowi jesteśmy przekazać Alfredowi von Dobeneck.

Doktor Gunter uderzył pięścią w lakierowany na czarno blat swego biurka.

— A ja uważam, że on nie powinien nic dostać. To łajdak! Jeśli jest prawdą, że pani Anna Dobeneck zmarła, a on podstawił na jej miejsce jakąś inną osobę, to za takie oszustwo powinien pójść do kryminału!

— Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu, który jest jeszcze w lesie — wtrąciłem. — Nie wiemy, gdzie są schowane skrzynie doktora Gottlieba. Miejsce to знаła tylko pani Dobeneck. Należy sądzić, że informacje przekazała swojemu wnukowi. Bez jego pomocy nie odnajdziemy zbiorów. Mimo że postąpił po łajdacku, wydaje mi się, że powinniśmy z nim pertraktować.

— Słusznie — przytaknął Marczak. — Gra idzie przecież o wielką stawkę. Rzecz jednak w tym, że my nie możemy dalej prowadzić tych pertraktacji. Ale może to zrobić Muzeum Goethego we Frankfurcie, które zgodnie z wolą zmarłej powinno otrzymać część odnalezionych zbiorów. Jesteście tak samo zainteresowani jak i my. Muzeum we Frankfurcie powinno także, moim zdaniem, wnieść zastrzeżenie do sądu, aby zgodnie z ostatnią wolą zmarłej jej wnuk Alfred nie czuł się właścicielem zbiorów doktora Gottlieba. Być może Alfred von Dobeneck

na wieść o takim zastrzeżeniu stanie się skłonny do ustępstw i wskaże nam kryjówkę.

— Tak, tak — pomrukiwał doktor Gunter i chyba po raz dziesiąty uważnie przeczytał list pani Dobeneck. — Całkowicie podzielam wasze stanowisko, panowie. Rzecz jednak w tym, że ciągle obracamy się na gruncie podejrzeń, a to za mało, aby wystąpić na drogę prawną. Czytaliście nekrolog informujący o śmierci Anny von Dobeneck. Ale Frankfurt jest duży. Być może żyła tu osoba o podobnym nazwisku. Poza tym musimy wiedzieć, czy to na pewno wnuk pani Dobeneck kryje się za tą aferą. Być może istnieją jeszcze inni spadkobiercy spuścizny po starszej pani. I warto wiedzieć, czym tłumaczyć dziwne postępowanie Dobenecka, jeśli to on jest inicjatorem maskarady, która odbyła się w willi przy ulicy Zygfyryda 7. Dlatego wydaje mi się słuszne zwrócić się po dokładne informacje do znanego mi biura detektywistycznego. Nie jest to sprawa dla policji, jak na razie bowiem historia ta nie nosi wyraźnych cech przestępstwa kryminalnego. Z uwagi na ewentualne przyszłe pertraktacje z Dobeneckiem tym bardziej musimy zachować historię w tajemnicy. Znam godną zaufania osobę, panią Gretę Herbst, która ma biuro detektywistyczne i z powodzeniem oraz taktem prowadziła już dla nas kilka spraw. A ściślej, robił to jej mąż, który zginął zabity przez bandytów podczas pertraktacji o okup za obrazy skradzione z pewnego muzeum. My, muzealnicy, mamy więc pewne zobowiązania wobec żony i dlatego od czasu do czasu zlecamy jej różne zadania.

— Jeszcze jedna kobieta detektyw — mruknąłem.

— A widzi pan? — zatriumfował Marczak — tutaj także kobiety są detektywami. A tak się pan opierał przed przyjęciem do pracy panny Moniki.

Gunter wykręcił jakiś numer, chwilę rozmawiał, a potem powiadomił nas, że pani Herbst zaraz się zjawi, aby przejąć sprawę. Nie mieliśmy nic przeciw temu, zapewne było to rzeczywiście najlepsze wyjście z sytuacji. Ani ja, ani dyrektor Marczak nie mogliśmy w obcym kraju zabawiać się w detektywów i wyjaśniać prawdziwe motywy działania Alfreda von Dobeneck. Pan Gunter także nie miał czasu ani umiejętności detektywistycznych. A skoro, jak zaznaczył, gotów był uiścić honorarium pani Herbst, przyjęliśmy z entuzjazmem jego propozycję.

Greta Herbst miała około trzydziestu lat. Była wysoką, długonogą brunetką o pięknie zarysowanych ustach, wielkich oczach i wyskubanych brwiach. Miała dyskretny makijaż i wyglądała raczej na wielką damę, a nie prywatnego detektywa. Wyznaję, że jej uroda natychmiast wzbudziła we mnie mieszane uczucia. U ludzi mojego pokroju, to jest zatwardziałych kawalerów, piękna kobieta zawsze wywołuje nieufność, popłoch, a zarazem ogromne zainteresowanie. Gdzieś w głębi duszy tkwi obawa, że właśnie taka dojrzała, ładna i samodzielna kobieta zaprowadzi mnie kiedyś do urzędu stanu cywilnego i weźmie w niewolę.

Greta Herbst weszła do pokoju drobnym, kobiecym krokiem. Jej ruchy były harmonijne i pełne wdzięku. Ubrana była w niebieskawy, nieprzemakalny lśniący

płaszczyk z kapturem — tego dnia zresztą znowu było pochmurno i od czasu do czasu pokapywało. Na nogach miała wysokie granatowe botki, a na ramieniu nosiła czarną dużą torbę typu „konduktorka”. Podała rękę panu Gunterowi, który był jej dawnym znajomym, mnie i Marczakowi tylko skinęła głową.

Gunter wyłuszczył jej sprawę, pokazał list od pani Dobeneck, potem opowiedział o niefortunnych rezultatach naszej frankfurckiej misji. Podał także naszą interpretację wydarzeń.

Pani Herbst nie zadawała żadnych dodatkowych pytań. Wyjęła tylko notes i zapisała fakty, które ją zainteresowały.

— Chcemy mieć materiał, aby wnieść pozew sądowy o uznanie listu pani Dobeneck za jej ostatnią wolę, dotyczącą zbiorów jej ojca — powiedział na koniec pan Gunter. — Nie wykluczamy jednak pertraktacji z Alfredem von Dobeneck, o ile to on kryje się za tą sprawą i przystanie na warunki, jakie uprzednio postawiła jego babka.

— Na kiedy mam przygotować materiał? — zapytała rzeczowo pani Herbst.

Gunter spojrzał pytająco na nas, a dyrektor Marczak pośpieszył z odpowiedzią:

— Jak najszybciej. Choćby na jutro lub pojutrze. Przebywamy tutaj służbowo, każdy dzień pobytu kosztuje nasze ministerstwo mnóstwo pieniędzy w dewizach. Oczywiście postaramy się wykorzystać ten czas na jakieś pożyteczne zajęcia. Odwiedzę kilka antykwariatów i galerię z dziełami sztuki, może wpadnę na jakąś aukcję. A co do pana Tomasza — zawahał się — wydaje mi się celowe, aby pani pomógł. Pracuje on w ministerstwie na etacie detektywa i być może z korzyścią zapozna się z metodami pracy detektywów na Zachodzie.

— A zarazem będzie miał baczenie i na mnie, prawda? — z uprzejmym, choć może nieco ironicznym uśmiechem dodała pani Herbst.

Dyrektor Marczak chrząknął nerwowo, tak się zakłopotał. A może zrobiło mu się głupio, że tak od razu na wstępie okazaliśmy pani Herbst swój brak zaufania. Ale przecież chodziło o wielką stawkę — skrzynie ze zbiorami o nieoszacowanej wartości.

— Zgoda — stwierdziła sucho pani Herbst. — Postaram się załatwić sprawę jak najszybciej. A teraz proszę o zaliczkę. Pan wie, ile kosztuje dzień mojej pracy, dyrektorze? — zwróciła się do Guntera.

Dyrektor Muzeum Goethego wypisał czek. Nie wiem, na jaką sumę opiewał, bo nie śmiałem zapytać.

— Nie mam teraz żadnej napiętej sprawy, więc za waszą wezmę się natychmiast — dodała pani Herbst, chowając czek do torby. — Czy będzie mi pan towarzyszył od zaraz, czy do sprawy włączy się pan później? — zwróciła się do mnie.

— Od zaraz — zerwałem się z krzesła, czując na sobie nakazujące spojrzenie Marczaka.

— W takim razie proszę się ubrać i iść za mną — oświadczyła.

Narzuciłem płaszcz, wcisnąłem na głowę kapelusz.

Na ulicy przed Domem Goethego stał czarny mercedes, ropniak.

— Pojedziemy najpierw do mojego biura — wyjaśniła pani Herbst. — Ubiorę się nieco inaczej, wezmę odpowiednie dokumenty i prospekty. Mam fikcyjne pełnomocnictwo pewnej firmy produkującej lodówki. To mi pozwala, pod pretekstem sprzedaży tych lodówek, chodzić po mieszkaniach i rozmawiać z różnymi ludźmi. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli w charakterze komiwojażerki odwiedzę kilka willi, sąsiadujących z domem pani Dobeneck. Sąsiedzi chyba wiedzą, kiedy i na co umarła starsza pani, kto po niej dziedziczy dom, kim jest młody Dobeneck. To nam ułatwi dalsze działanie.

Niegłupio to pomyślała. Zerknąłem na nią z uznaniem, ale zajęta prowadzeniem wozu chyba nawet tego nie zauważyła.

Przejechaliśmy most nad Menem i znaleźliśmy się w dzielnicy wysokościowców. Zaparkowała wóz pod jednym z tych wysokich domów. Trzy szybkościowe windy wiozły lokatorów na górne piętra.

— Wyobrażam sobie, ile tu kosztuje komorne — powiedziałem. — Czy zawód prywatnego detektywa jest taki intratny?

— Ależ skąd! Kiedy żył mój mąż, świetny detektyw, powodziło nam się bardzo dobrze. Wynajęliśmy to mieszkanie i mieliśmy także własne biuro w innym lokalu. Zatrudnialiśmy trzech pracowników. Ale po śmierci męża nie potrafiłam sprostać zadaniu. Współpracownicy odeszli, zlikwidowałam biuro. Wkrótce będę musiała także wyprowadzić się stąd do znacznie skromniejszego lokalu. Moje zarobki starczą mi jedynie na życie.

Cichobieźna winda zawiozła nas na szóste piętro. Weszliśmy do luksusowo urządzonego apartamentu, złożonego z dużego salonu, który stanowił teraz biuro detektywistyczne pani Herbst, oraz sypialni i ładnej kuchni.

— Napije się pan czegoś? — zapytała.

— Dziękuję — odrzekłem, nie chcąc sprawiać jej kłopotu. — A jakimi sprawami zajmuje się pani biuro?

Na chwilę usiadła w dużym, wygodnym fotelu obok niewielkiego, niskiego stolika. Wyglądała na zmęczoną.

— Przeważnie sprawy rozwodowe. Małe, głupie, niekiedy wstrętne historyjki. Brzydzę się tą pracą. Gdy żył mój mąż, zajmowaliśmy się wielkimi sprawami.

— Jakie to były sprawy?

— Mój mąż specjalizował się w walce ze złodziejami dzieł sztuki. Byłam mu bardzo pomocna, ponieważ ukończyłam historię sztuki.

— Tak jak i ja — dorzuciłem.

Uśmiechnęła się do mnie. Ale był to trochę żałosny uśmiech.

— Po ukończeniu historii sztuki nie tak łatwo o pracę w naszym kraju. Pozostają więc przy zawodzie prywatnego detektywa.

Zdawałem sobie sprawę, że swoim pytaniem okaże być może niedelikatność, ale interesowało mnie wszystko, co wiązało się z kradzieżami dzieł sztuki.

— Pan Gunter wspomniał, że mąż pani zginął na posterunku, to znaczy w walce ze złodziejami dzieł sztuki. Jak to było, proszę pani?

Potrząsnęła swoimi krótko przyciętymi, czarnymi włosami.

— Niechętnie wracam myślą do tamtych dni. Ale może ta historia przyda się panu? Pan pozwoli, że jednak zrobię mocnej kawy. Pracowałam przez całą noc i jestem trochę senna.

Wyszła do kuchni i po jakimś czasie przyniosła dwie filiżanki czarnej kawy. Z największym zainteresowaniem wysłuchałem jej opowieści.

— Wie pan chyba równie dobrze jak i ja — mówiła — że z roku na rok wzrasta liczba kradzieży dzieł sztuki z państwowych i prywatnych kolekcji. Ofiarą złodziei i włamywaczy padają słabo zabezpieczone kościółki w Bawarii, we Włoszech i we Francji, a także świetnie zabezpieczone galerie na całym świecie. Złodzieje i włamywacze kradną nawet najbardziej znane dzieła sztuki, aby potem po cichu odsprzedać je nieznanym nabywcom, gdyż w niektórych krajach prawo w tej dziedzinie jest dalekie od doskonałości. Sprawy o kradzieże dzieł sztuki szybko ulegają przedawnieniu. Wystarczy skradziony obraz czy rzeźbę przetrzymać w ukryciu pięć lub osiem lat, aby potem stać się właścicielem. Skradzione obrazy znajdzie pan w wielu prywatnych galeriach milionerów. Wszyscy wiedzą, że pochodzą z kradzieży, ale prawo jest bezradne. Zrabowane dzieła sztuki kupują zresztą nie tylko milionerzy. Z roku na rok rosną one w cenie, nic więc dziwnego, że kto tylko dysponuje jakimś kapitałem, stara się go umieścić w dziełach sztuki, a liczba tych dzieł jest przecież ograniczona. Zwiększony popyt zachęca przestępców. I to jest przyczyną, że z każdym rokiem ocenia się skradzione dzieła sztuki na kilkaset milionów dolarów. W ubiegłych latach walka ze złodziejami dzieł sztuki i rabusiami zabytków była stosunkowo prosta — ciągnęła pani Herbst. — Działali w pojedynkę albo w małych grupach. Po dokonaniu przestępstwa musieli ukryć swój towar, znaleźć na niego nabywcę, przemycić dzieło sztuki za granicę. Na każdym z tych etapów istniała szansa ich wykrycia, schwytania, odebrania łupu. Ostatnio jednak kradzieże nabrały zupełnie innego charakteru. Robi się to, aby wymusić okup na właścicielu lub towarzystwie ubezpieczeniowym, w którym ten obraz został ubezpieczony. I tak na przykład złodziej kradnie bardzo znany obraz wartości miliona dolarów. Byłoby mu trudno znaleźć kupca, więc po prostu zwraca się do właściciela lub towarzystwa ubezpieczeniowego z propozycją zwrotu dzieła sztuki w zamian za dziesięcioprocentowy okup, co w wypadku miliona dolarów jest także ogromną sumą. Następują tajne pertraktacje między złodziejem a towarzystwem ubezpieczeniowym, które woli wypłacić sto tysięcy niż milion dolarów. Pertraktacje są oczywiście tajne, bez powiadomienia policji. Wkrótce dzieło sztuki wraca do właściciela lub galerii, a złodzieje zyskują poważne kwoty i nie narażają się na ryzyko przemytu czy sprzedaży lu-

pu. Właśnie mój mąż zajmował się takimi tajnymi pertraktacjami między znanym towarzystwem ubezpieczeniowym a różnego rodzaju złodziejami dzieł sztuki. Bo trzeba panu wiedzieć, że skończył się także czas, gdy złodzieje mogli działać pojedynczo lub małymi grupkami na własny rachunek. Kradzieże dzieł sztuki stały się tak intratne, że prawdopodobnie zainteresowała się tą sprawą sycylijska mafia i zmusiła złodziei do podporządkowania się jednolitemu kierownictwu, które rozdaje im zadania i przejmuje większą część zysków. Prawdopodobnie mafia ma we wszystkich zachodnich krajach swoją organizację, która nosi nazwę Niewidzialni. Dysponuje wieloma środkami i oczywiście ogromnymi sumami pieniędzy. Potrafi poradzić sobie z każdym niesubordynowanym członkiem. Walka z potężną organizacją jest znacznie trudniejsza niż z pojedynczą grupką złodziei. Stworzyła ona bowiem warunki do ukrycia dzieła sztuki i trzymania go tak długo, aż właściciel czy towarzystwo ubezpieczeniowe pójdą na ugodę. Złodzieje otrzymują od organizacji pieniądze na dokonanie przestępstwa i nie muszą się martwić, co zrobić z łupem. W Londynie, który stał się międzynarodowym rynkiem handlu dziełami sztuki, powstała w Scotland Yardzie specjalna komórka do walki z tego rodzaju przestępczością. Nosi ona kryptonim C-13, a na jej czele stoi Raymond Connor. Poznałam w ubiegłym roku tego angielskiego policjanta, który w ślad za przestępcami przybył do Frankfurtu i chciał skorzystać ze znajomości mego męża w świecie przestępczym. Niestety, mój mąż już wówczas nie żył. Pan Connor rozmawiał ze mną dość długo i wyraził przekonanie, że centrala organizacji Niewidzialnych na Republikę Federalną Niemiec mieści się właśnie we Frankfurcie i kieruje nią niejaki Heinrich Bucher, były handlarz obrazów. Oczywiście, on także komuś podlega, ale ani nazwisko, ani rysopis głównego szefa Niewidzialnych nie są policji znane. Wiadomo tylko, że jego prawą ręką jest niejaki Marlon Mendoza, Włoch, Hiszpan czy Francuz, nikt tego dokładnie nie wie, bo posługuje się wieloma paszportami. Osobnik to szczególnie niebezpieczny, gdyż pociąga go ryzyko, sam bierze udział w najtrudniejszych akcjach, sam rozprawia się z niewygodnymi lub nieposłusznymi członkami gangu. On to prawdopodobnie zemścił się na moim mężu za to, że o pertraktacjach między złodziejami a towarzystwem ubezpieczeniowym poinformował policję i kilku członków bandy schwytano. To właśnie za Mendozą przybył aż z Londynu Raymond Connor i szukał go we Frankfurcie, ale bezskutecznie. Heinrich Bucher zapewnił mu tu opiekę i dobre miejsce do ukrycia się. A Bucherowi niczego nie można udowodnić, zawsze jest czysty jak łąza, nie bierze udziału w żadnej niebezpiecznej akcji. Po prostu kieruje. . .

— Obiło się pani o uszy nazwisko Schreiber?

— Nie, ale sprawdzę w kartotekach mego męża — oświadczyła.

Otworzyła sejf ukryty w ścianie, chwilę przewracała w leżących tam teczkach. Wreszcie wyjęła jakąś niewielką notatkę.

— Schreiber jest antykwariuszem w Berlinie Zachodnim. W 1970 roku był oskarżony o paserstwo. Kupił kilka skradzionych obrazów. Nie udowodniono mu, że uczynił to świadomie i uwolniono od kary.

— Czy jest zapalonym myśliwym? W tej chwili przebywa w Polsce, poluje na wilka.

Wzruszyła ramionami.

— Niestety, nic nie wiem o jego prywatnych pasjach. Czy ma pan wobec niego jakieś podejrzenia?

— Przed tygodniem Schreiber przyjechał do Warszawy, aby zapolować na wilki nad naszą południową granicą. Wiemy jednak, że spotkał się z pewnym handlarzem antyków w Warszawie i zlecił mu jakąś misję, związaną chyba ze sprawą Dobenecków. Ów handlarz odwiedził pozostający w ruinie dwór, który był kiedyś własnością Dobenecków.

Pani Herbst zerwała się z krzesła.

— To bardzo zły znak. Wielu antykwariuszy związanych jest z Niewidzialnymi. Być może na ich usługach pozostaje także Schreiber. Jeśli tak, to nasze poczynania nie mają chyba większego sensu. Być może Alfred von Dobeneck przekazał całą sprawę Niewidzialnym, zlecając im odnalezienie schowka ze zbiorami i przemycenie ich do RFN-u. Ze sprzedaży zbiorów otrzyma potem jakąś kwotę, resztę zabiorą Niewidzialni. Oni są potężni, świetnie zorganizowani. I ani pan, ani ja nie damy im rady.

— Rezygnuje pani? — zapytałem.

— A pan? — odpowiedziała pytaniem.

Wzruszyłem ramionami.

— Schowek ze zbiorami jest na terenie Polski. Być może Niewidzialni, korzystając z informacji Dobenecka, odnajdą go. Ale nie sądzę, aby zdołali wywieźć zbiory. Wyjaśnię krótko: będą się obawiali działać sami i zlecą tę sprawę komuś z naszych handlarzy antyków. A my ich dobrze znamy i umiemy obserwować.

— W porządku — skinęła głową. — W takim razie spróbujmy zmierzyć się z Niewidzialnymi. Mam z nimi, jak pan wie, nie wyrównane rachunki.

To mówiąc podeszła do okna i z wysokości szóstego piętra przez chwilę uważnie spoglądała na ulicę.

— Zdaje mi się, że już nie muszę się przebierać — odezwała się po chwili. — Mogę włożyć inną sukienkę i inny płaszcz. Niestety, nie mam innego samochodu. A obok mojego wozu na ulicy wciąż parkuje beżowy mercedes z nowej serii S. Jechał za nami od Muzeum Goethego i zapewne teraz czeka, aby ruszyć w ślad za nami. Nie zdołam mu uciec, bo on ma 225 koni i szybkość 210 kilometrów na godzinę.

Zaciekawiony podeszedłem do okna i również zerknąłem na ulicę. Rzeczywiście, obok wozu pani Herbst stał beżowy mercedes. Ale parkowało także wiele

innych samochodów. I z góry widać było tylko dachy wozów, kierowcy pozostawali niewidoczni.

— Czy podejrzewa pani, że obecność tego wozu ma coś wspólnego z naszą sprawą?

— Nie wiem — roześmiała się pogodnie, jak gdyby świadomość, że jest śledzona, nie budziła w niej niepokoju. — Ale przecież zaraz się o tym przekonamy. Narzuciła niebieski płaszczyk i zjechaliśmy windą na dół.

ROZDZIAŁ ÓSMY

UCIEKAMY PRZED NIEWIDZIALNYMI • WYBIEG PANI HERBST • DZIWNE POSTĘPOWANIE DETEKTYWA • W „JASKINI LWA” • NOWE PODEJRZENIA • NIEOCZEKIWANY ZWROT W SPRAWIE • ALFRED VON DOBENECK • UMOWA • GDZIE JEST SCHOWEK? • ZAPROSZENIE • KTO MA SŁABOŚĆ DO PŁCI PIĘKNEJ? • NIESPODZIANKA W WEIMARZE

W beżowym mercedesie z przodu siedział kierowca, a dwóch mężczyzn na tylnym siedzeniu. Ich twarze pozostawały niewidoczne, zauważyłem jednak kierowcę — nosił czarny beret baskijski i miał wydatny haczykowany nochal.

Zajęliśmy miejsca w samochodzie pani Herbst.

— Proszę ich dyskretnie obserwować — powiedziała. — Chciałabym, aby moje podejrzenia okazały się płonne.

Niestety, gdy tylko ruszyła od krawężnika, beżowy mercedes zrobił to samo, a potem wciąż jechał za nami w niewielkiej odległości.

— Znam dobrze Frankfurt i postaram się ich zgubić — oświadczyła pani Herbst.

Ale było to zadanie niewykonalne. Jechaliśmy po bardzo ruchliwych ulicach, gdzie trudno manewrować i zwiększać szybkość, padał drobny deszcz i asfalt był śliski.

— Jak pani sądzi, kim są ci, którzy nas śledzą? — zapytałem.

Odpowiedziała bez namysłu:

— Jeśli Alfred von Dobeneck przekazał sprawę w ręce Niewidzialnych, to oczywiście natychmiast powiadomił ich o waszym przybyciu do Frankfurtu. Bez trudu ustalili hotel, w którym się zatrzymaliście i obserwują każdy wasz krok. Są ciekawi, co zrobicie, gdy pani Anna von Dobeneck lub rzekoma pani Dobeneck, powiadomiła was, że rezygnuje ze wskazania schowka.

— Czy domyślają się, że porozumieliśmy się z Gunterem, a ten wynajął panią jako detektywa?

— To jasne. Myślę, że mnie tak samo dobrze znają, jak znali mego męża. Wiedzą więc, że nie zrezygnowaliście. Obawiam się, że w tej sytuacji mogą być niebezpieczni i zechcą utrudnić mi śledztwo.

— Lęka się pani?

— Nie — odparła twardo.

Dodała nieco gazu i zaczęła kluczyć po ulicach Frankfurtu. Dwukrotnie przejeżdżaliśmy mosty na Menie, potem wracaliśmy w to samo miejsce i znowu skręciliśmy w jakieś zaułki i boczne ulice. Ale beżowy mercedes ciągle pozostawał za nami w niewielkiej odległości.

— Nawet nie kryją się, że nas śledzą — stwierdziłem.

— Być może chcą nas nastraszyć. O, potrafią być groźni. Ale pan chyba nie należy do tchórzliwych. A jaką pan ma specjalność? — zapytała. — Zajmuje się pan włamaniami do muzeów, kościołów, skarbców?

— O nie. To u nas należy do milicji — wyjaśniłem. — W tego rodzaju śledztwach biorę udział jedynie jako ekspert, rzeczoznawca z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki. Przede wszystkim zajmuję się poszukiwaniem zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych.

— Ach tak — mruknęła pani Herbst.

I wydaje mi się, że przez moment pojawił się na jej ustach wyraz lekceważenia. Zapewne doszła do wniosku, że jako detektyw jestem zupełnie „zielony”, nie wiem co znaczy prawdziwa walka z rabusiami dzieł sztuki, zorganizowanymi w potężne gangi.

— Jest tylko jeden sposób, aby ich zmylić — oświadczyła nagle. — Zatrzymam się przed dużym domem towarowym, który ma wyjście na drugą ulicę. Pan pozostanie w moim wozie, potem go zamknie i wróci do hotelu. A ja wyjdę na drugą ulicę, wezmę taksówkę i pojadę na Zygfrieda 7. Następnie przyjdę do hotelu i spotkam się z panami. To jedyny sposób, aby pomieszać im szyki.

Po chwili zajechała przed ogromny dom towarowy i zaparkowała w długim szeregu samochodów. Ja pozostałem w wozie, a pani Herbst zniknęła w ruchomych drzwiach. Ale zanim to uczyniła, przed wejściem, na oczach siedzących w beżowym mercedesie gangsterów odegrała małą scenkę. Zadana nieco płaszczyk i sukienkę, i wskazując dziurę w pończosze, dała im do zrozumienia, że musi kupić nową parę pończoch.

Ale gangsterzy nie byli głupcami. Beżowy mercedes natychmiast ruszył i skręcił w prawą uliczkę, chyba tę, na którą zamierzała wyjść pani Herbst. Postanowiłem ją ostrzec i wyskoczyłem z wozu. Zamknąłem go i wbiegłem do domu towarowego, szukając wyjścia na drugą ulicę.

Na parterze w ogromnej sali, podobnie jak u nas w „Supersamie”, sprzedawano produkty żywnościowe. Mnóstwo pań z metalowymi koszykami zagradzało mi drogę. Nie wiedziałem, w którą ruszyć stronę, wszędzie widziałem półki z towarami i stojaki pełne produktów żywnościowych. Wreszcie minąłem kasy i zo-

baczyłem drugie oszklone drzwi. Znalazłem się na małej, prawie pustej uliczce. Przez moment widziałem tył beżowego mercedesa, który skręcał w ulicę biegnącą w lewą stronę. Właśnie do rogu tej ulicy dochodziła pani Herbst, ale beżowy mercedes minął ją, nie zatrzymując się i zniknął za rogiem.

Pani Herbst musiała widzieć wyprzedzającego ją beżowego mercedesa. Zrozumiała także chyba, że jej wybieg nie udał się. A jednak nie przystanęła, nie zawróciła, ale nawet jak gdyby przyśpieszyła kroku i po chwili także zniknęła za rogiem. Zdumiony tym postępkami niemal biegiem rzuciłem się w ślad za nią. Dopadłem rogu ulicy i ostrożnie wyjrzałem, kryjąc się za skrzynką na listy.

Pani Herbst oddalona ode mnie o trzydzieści metrów przeszła szybkim krokiem jezdnię wąskiej ulicy i zniknęła w oszklonych drzwiach obscurnego sklepiku z napisem „Heinrich Bucher. Kupno i sprzedaż obrazów”.

Bucher? Czy nie to właśnie nazwisko wymieniła pani Herbst, opowiadając mi o działalności gangów rabujących dzieła sztuki? Niejaki Heinrich Bucher podejrzany był o to, że kieruje działalnością Niewidzialnych we Frankfurcie. W takim razie pani Herbst poszła do „jaskini lwa”. Ale w jakim celu?

Z początku zamierzałem podejść do sklepiku i przez szybę zajrzeć do wnętrza. Na szczęście wrodzona ostrożność powstrzymała mnie przed tym krokiem. Pani Herbst mogła zauważyć mnie z wnętrza.

Po sekundzie błogosławiłem swoją przezorność. W uliczkę wjechał beżowy mercedes i zaparkował tuż przed sklepikiem. Wsiadło dwóch mężczyzn (kierowca z haczykowatym nosem pozostał na swoim miejscu) i także zniknęli w sklepiku.

Czekałem ukryty za skrzynką na listy. Minęło pół godziny i znowu miałem ochotę ruszyć z miejsca i zajrzeć do wnętrza przez okno wystawowe. Lecz praca detektywa nauczyła mnie cierpliwości, która została nagrodzona.

Raptem otworzyły się drzwi i wyszła z nich pani Herbst w towarzystwie jakiegoś elegancko ubranego mężczyzny z siwymi włosami. Otworzył on przed nią tylne drzwi mercedesa, a gdy wsiadła, zamknął je i sam usiadł obok kierowcy. Beżowy mercedes ruszył zaraz dość ostro i skręcił w ruchliwą arterię, która zamykała wylot uliczki.

Przez krótki moment zastanawiałem się, czy pani Herbst nie została po prostu uprowadzona. Ale przecież dobrowolnie przyszła tutaj i nic nie wskazywało, aby ów siwy pan zmusił ją do zajęcia miejsca w beżowym mercedesie.

Teraz dopiero wolnym krokiem przespacerowałem się w kierunku sklepiku, przedfilowałem przed wystawą i oszklonymi drzwiami.

Na zakurzonej wystawie zobaczyłem oprawiony w złoczone ramy brzydki landszaft — wielkie jezioro z trzema białymi łabędziami. Zapewne obraz ten miał tylko odstraszyć klientów. Bucher prawdopodobnie znał się na obrazach, ale sklepik był po prostu meliną gangsterów, ich punktem zbornym.

Przez oszklone drzwi nie widziało się wnętrza, bo szyby pokrywała gruba warstwa brudu.

I znowu przez moment zastanawiałem się, czy nie przycisnąć klamki i nie wejść do środka, udając naiwnego, który chce kupić obraz, choćby ten okropny landszaft z wystawy. Obawiałem się jednak rozpoznania. Dwaj gangsterzy, którzy wysiedli z beżowego mercedesa, jeszcze tu byli, a oni zapamiętali moją twarz. O mojej wizycie w melinie bandy dowiedziałyby się być może i pani Herbst, jeśli znajdowała się w zмовie z gangsterami. A wszystko wskazywało na to, że tak właśnie było.

Czy nie lepiej dalej grać przed nią rolę „zielonego” detektywa z Polski i zgodnie z poleceniem wrócić do hotelu? — pomyślałem.

Cóż zresztą ciekawego mógłbym zobaczyć w sklepiku? Zapewne we frontowej części znajdowała się mała salka, gdzie wisiało kilka tandetnych obrazów, a panienka, na usługach gangu, ze znudzoną i odpychającą miną miała za zadanie odstraszać nieświadomych niczego klientów. Zamaskowane drzwi prowadziły na zaplecze, urządzone jak nowoczesne biuro, w którym urzędował szef gangu na miasto Frankfurt.

Pomaszerowałem więc do hotelu „Arabella”, gdzie czekał na mnie dyrektor Marczak. Opowiedziałem mu o dziwnym postępowaniu pani Herbst. Moja relacja bardzo go zaniepokoiła.

— A doktor Gunter tak bardzo jej ufa — zafrasował się. — I co teraz będzie, panie Tomaszu?

— Należy po prostu czekać, aż znowu się pojawi pani Herbst i opowie nam zmyśloną lub prawdziwą historię — odpowiedziałem.

— Jak do tej pory nie ma żadnych podstaw, aby ją podejrzewać o najgorsze. Nie znamy metod pracy tutejszych prywatnych detektywów. Próbowala zmylić śledzących, a kiedy jej się to nie udało, być może postanowiła pójść do „jaskini lwa”, do siedziby gangu, aby wyjaśnić sprawę i dojść z nimi do jakiegoś porozumienia. Nauczona gorzkim doświadczeniem wie, że z gangiem sprawy nie wygra, należy raczej porozumieć się. Bądźmy cierpliwi, dyrektorze.

— Słusznie, panie Tomaszu — zgodził się Marczak. — Ale bądźmy również bardzo przezorni. I oczywiście ani słowa nikomu, że podejrzewamy panią Herbst o podwójną grę.

Jeszcze przez półtorej godziny rozmawialiśmy o tej sprawie, wałkując ją na wszystkie strony, gdy odezwał się telefon, który tym razem ja odebrałem.

— Mówi Greta Herbst — rozpoznałem głos. — Dzwonię z willi pana Alfreda von Dobeneck. Przekonałam go, aby porozumiał się z panami, bo jeśli tego nie uczyni, narazi się na kłopoty związane z postępowaniem spadkowym po zmarłej. Bardzo proszę, przyjedźcie panowie na ulicę Zygryda.

— A pan Gunter? Nie możemy niczego przedsięwziąć bez niego — powiedziałem.

— Dzwoniłam również do niego. Obiecał tu przyjechać. Wydaje mi się, że stanie się najlepiej, jeśli panowie od ręki załatwią całą sprawę.

Przekazałam Marczakowi treść rozmowy telefonicznej i zaraz opuściliśmy hotel.

— Czemu ma pan tak niewyraźną minę? — zapytał mnie Marczak. — Przecież potwierdziły się pana przypuszczenia. Pani Herbst porozumiała się z Niewidzialnymi, a ci zapewne poinformowali ją, że nie są zainteresowani w poszukiwaniach schowka na terenie Polski, bo to dla nich zbyt niebezpieczne. Wtedy pani Herbst nawiązała kontakt z młodym Dobeneckiem i przekonała go, że lepiej, jeśli przystanie na warunki, jakie nam postawiła jego babka. Być może nie bez wpływu pozostała także informacja, którą przedstawił pan rzekomej pani Dobeneck. Alfred Dobeneck pojął, że zbyt wiele osób interesuje się schowkiem i on może na tym wyjść jak najgorzej.

Potrząsnąłem głową.

— A jednak myślę, dyrektorze, że jak to się u nas mówi, coś tu „nie gra”. Najpierw Alfred Dobeneck próbuje nas oszukać i wykręcić się od współpracy z nami, potem śledzi nas beżowy mercedes z gangsterami, a nagle okazuje się, że gangsterów to nic a nic nie obchodzi, Dobeneck zaś skłonny jest do współpracy. Czyżby pani Herbst była czarodziejką?

— No cóż — westchnął Marczak — myślę, że za chwilę wszystko się jakoś wyjaśni.

W kwadrans później ta sama hiszpańska pokojówka wprowadziła nas do urządzanego luksusowo gabinetu na parterze. Zza mahoniowego ogromnego biurka wyszedł ku nam młody człowiek lat około dwudziestu czterech o długich włosach i końskiej twarzy. Z fotela podniosła się niewysoka tęga brunetka o okrągłej buzi i rumianych policzkach. Wczoraj musiała pokryć twarz dużą ilością pudru i włożyła siwą perukę, aby udawać starą panią Dobeneck. Niemal natychmiast rozpoznałem w niej „chorą”, z którą rozmawialiśmy w sypialni.

Na kanapie pod dużym oknem siedziała pani Herbst, a obok niej, jak ptak na gałęzi przycupnął doktor Gunter, który przybył tu na chwilę przed nami.

Młody Dobeneck powitał nas z chłodną grzecznością, niską brunetkę przedstawił jako swoją narzeczoną. Nie raczył nawet wytłumaczyć się z wczorajszej maskarady i od razu przystąpił do rzeczy.

— Pani Herbst — oświadczył, zajmując znowu miejsce za wielkim biurkiem — przekonała mnie, że źle czynię, nie stosując się do ostatniej woli mojej zmarłej babki. Wprawdzie jestem jedynym spadkobiercą i wkrótce skończy się postępowanie spadkowe, to jednak nie życzę sobie żadnego hałasu wokół spraw mojej rodziny. A poza tym pragnę jednak uszanować wolę zmarłej, której tak wiele zawdzięczam. Pozwoliłem sobie więc sporządzić umowę, którą zawarę z panami z Polski. Ja wskażę miejsce ukrycia zbiorów, a panowie odnajdą je i zwrócą mi

rodzinną biżuterię, sobie zatrzymując rzeczy związane z polską kulturą, a frankfurckiemu muzeum przekażą rzeczy związane z niemiecką kulturą.

— Niektóre rzeczy, jak na przykład pamiątki po Herderze — wtrącił się Marczak — mogą być zaliczone zarówno do polskiej, jak i niemieckiej kultury. Co zrobimy w tego rodzaju sytuacji?

— Moja babka zdecydowała, że pamiątki po Herderze wzbogacą muzeum w Morągu — przypomniał młody Dobeneck. — Lecz pozostaje jeszcze jedna kwestia. Otóż do umowy z panami wprowadziłem klauzulę, że mam prawo wyznaczyć obserwatora, który weźmie udział w otwarciu schowka i jego inwentaryzacji.

Dyrektor Marczak chrząknął groźnie, dotknięty do żywego brakiem zaufania ze strony Dobenecka. Powiedział jednak spokojnie:

— W porządku. Zgadzam się. Kto będzie tym obserwatorem?

— Prawdopodobnie ja sam i moja narzeczona, panna Berta von Strachwitz. Jutro wystąpimy o wizy. Mam nadzieję, że nie będzie przeszkód i przybędziemy do Warszawy już za kilka dni. Lecz jeszcze jedno. Również i pan Gunter ma zastrzeżone w umowie prawo do wydelegowania swego przedstawiciela.

Marczak rzucił Gunterowi nieżyczliwe spojrzenie, ale kustosz Muzeum Goethego tylko wzruszył ramionami:

— Nie skorzystam z tego prawa. Niemniej jednak niech pozostanie uwidocznione w umowie. . .

— Zgoda — stwierdził sucho Marczak. — Nie widzę przeszkód, aby wreszcie zająć się schowkiem.

Dobeneck podał mu tekst umowy, napisanej na maszynie. Marczak uważnie go przeczytał, potem złożył swój dyrektorski, zamaszty podpis na trzech egzemplarzach umowy. To samo uczynił potem młody Dobeneck oraz doktor Gunter. Następnie jeden egzemplarz Dobeneck zatrzymał przy sobie, drugi wręczył Marczakowi, trzeci otrzymał Gunter.

— Teraz chcielibyśmy znać miejsce ukrycia skarbów — oświadczył uroczyście Marczak.

Młody Dobeneck podniósł się zza biurka, wyjął z kieszeni klucz i podszedł do stojącej w rogu gabinetu dużej kasy ogniotrwałej. Włożył klucz do zamka i otworzył kasę. Wyjął z niej złożony we czworo mały arkusik papieru i podał go Marczakowi, a ten z kolei przekazał go w moje ręce.

Grubym flamastrem czyjeś nie nazbyt zręczne palce wyrysowały kształt znanej mi wysepki na Śniardwach. Aby nie było wątpliwości, napisano *Fort Lyck*. Na planie wysepki od strony zachodniej zauważyłem niewielki prostokąt z krzyżykiem pośrodku.

Zrobiłem zdumioną minę, a potem roześmiałem się głośno. I położyłem Dobeneckowi na biurko kartkę z planem.

— To jest wyspa Czarci Ostrów na jeziorze Śniardwy, panie Dobeneck — oświadczyłem. — Byłem tam przed kilkoma dniami. Nic tam nie ma. Żadnego schowka.

Dobeneck wzruszył ramionami.

— Pan się myli. Ten plan narysowała własnoręcznie moja babka, która uczestniczyła w ukryciu skarbów i naszej biżuterii. Na wyspie aż do 1944 roku znajdował się letni dom mojego pradziadka, doktora Gottlieba. Korzystał z niego nawet Goering podczas przejazdów na jeziorze. Letni dom zbudowano na fragmencie fundamentów dawnego fortu, między innymi wykorzystano pod nim starą piwnicę. Dom się spalił, ale piwnica ocalała.

— Doktor Gottlieb — powiedziałem — mieszkał w Suszu. To dziwne, że zbudował letni dom aż nad Śniardwami.

— Sugeruje pan, że wskazałem niewłaściwe miejsce? — oburzył się Dobeneck. — Otóż owszem, mieszkał w Suszu. Ale po śmierci Hindenburga przeniósł się do Pizy. Wydzierżawił wyspę i zbudował drewniano-ceglany dom letni. A ponieważ pozostawał w konflikcie z władzami hitlerowskimi, co go zmusiło do ukrycia skarbów, zezwolił Goeringowi korzystać ze swego domku; wydawało mu się, że w ten sposób jego zbiory będą bezpieczniejsze.

— Rozumiem — przytaknąłem głową. — Jednak w tej chwili ani po owym domku, ani po piwnicach nie ma nawet śladu. Gruz i resztki murów rozebrano i wywieziono jako materiał budowlany w pierwszych latach po wojnie.

— Wierzę panu — burknął Dobeneck — ale wolę przekonać się o tym osobiście. Dlatego proszę, aby panowie czekali na mój przyjazd, pomogli mi odwiedzić wyspę i umożliwili obejrzenie wskazanego przez babkę miejsca. Jeśli rzeczywiście okaże się, że zbiory zniknęły, będę musiał pogodzić się z faktem straty rodzinnej biżuterii.

W tym momencie do rozmowy wtrącił się milczący dotąd doktor Gunter.

— Obawiam się, że niestety będzie właśnie tak, jak pan teraz mówi, panie Dobeneck. Schowek został przez kogoś odnaleziony, a zbiory zabrane. Gdy czytałem list pani Anny Dobeneck, uderzył mnie w nim fragment poświęcony sztambuchowi Jenny von Gustedt. W zbiorach pana pradziadka miał być ponoć jeden z ostatnich wierszy Goethego, napisany właśnie dla Jenny von Gustedt, jako podziękowanie za darowane mu przez tę dziewczynę haftowane pantofle. Otóż trapiła mnie wciąż myśl, że gdzieś już czytałem o tej sprawie. Natychmiast przetworzyłem przeróżne czasopisma i wreszcie znalazłem. W 1960 roku Muzeum Goethego w Weimarze opublikowało ten wiersz, informując, że jest to świeży nabytek. Wiersz ten zaczynał się od słów:

*Zupełnie skromnie zbliżam się tu dziś
Gdzie otaczają cię dary piękniejsze.
Jednakże, Panie, sam gest policz mi,*

*Jako że przynoszę ci miłość i uwielbienie.
Wtedy gdy wyżsi, Panie, dary znoszą z dróg
Użycz mi jedynie miejsca u twych stóp.*

Wynika z tego, że zbiory doktora Gottlieba zostały przez kogoś odnalezione jeszcze przed 1960 rokiem, a niektóre rzeczy już sprzedane, jak na przykład ów wiersz.

Młody Dobeneck wyglądał na załamane go.

— To niemożliwe — szepnął, podpierając głowę dłonią.

— Niestety, i ja także podejrzewam, że taka jest prawda — burknąłem. — Umowa, którą zawarliśmy z panem, nie ma praktycznie żadnej wartości.

— Nie, nie — krzyknął młody Dobeneck. — Muszę się o tym przekonać. Dopiero wtedy uwierzę, że stało się to najgorsze.

— Nie stawiam przeszkód — oświadczył Marczak. — Będziemy w Warszawie czekali na przyjazd państwa. Pojedziecie na Czarci Ostrów.

Pani Herbst wstała z kanapy.

— Wydaje mi się, że moja rola została skończona. Panowie zdołali się porozumieć, pozwolicie więc, że pożegnaj was i wrócę do domu. Jestem bardzo zmęczona.

— Ja także już odchodzę — rzekł pan Gunter. — Dziękuję pani za jej trud. Pani pozwoli, że odwiozę ją taksówką.

Dyrektor Marczak uznał również, że nie mamy o czym mówić z Dobeneckiem. Skłoniliśmy się jego narzeczonej oraz jemu.

— Panie Dobeneck — oświadczyłem mu na odchodnym — nasza umowa pozostaje w mocy. Nie chcę jednak, aby pan nas uważał za głupców. Dopóki miał pan nadzieję, że schowek na wyspie jest nie naruszony, dopóty nie chciałem pan z nami w ogóle rozmawiać. Ale człowiek przez pana upoważniony był w Forcie Lyck i może właśnie dziś rano telefonicznie poinformował pana, że schowka odnaleźć nie można, bo go już nie ma. Ktoś go zdołał opróżnić. I dlatego raptem zmienił pan swoją postawę w stosunku do nas. Oczywiście, po powrocie do kraju postaramy się wyjaśnić, jaki był los zbiorów pańskiego pradziadka.

I dumnie opuściłem gabinet młodego Dobenecka. Wszyscy zresztą zaraz wyszliśmy z willi. Na ulicy wręczyłem pani Herbst klucze od jej wozu, pozostawionego przed domem towarowym.

— Wydaje mi się, że utrafił pan w sedno — uśmiechnęła się do mnie pani Herbst. — Gdy zjawiłam się u Dobenecka, przyjął mnie niemal z radością. Mogę dodać, że młody Dobeneck, choć odziedziczył po babce dość spory majątek, jest jednak tak zadłużony na skutek niefortunnej gry w karty, że po sprzedaży majątku babki wystarczy mu zaledwie na opłacenie wierzycieli. Dlatego bardzo zależy mu na bizuterii rodowej.

I wzięwszy mnie za rękę odeszła nieco na bok.

— Wydaje mi się, że jestem panu winna pewne wyjaśnienie — powiedziała uśmiechając się zalotnie. — Kiedy panowie wracają do Warszawy?

To pytanie usłyszał dyrektor Marczak.

— Mamy pociąg dopiero jutro wieczorem — rzekł.

— Proszę więc odwiedzić mnie jutro około pierwszej w południe. Adres pan zna, prawda? — szepnęła i mocno ścisnęła moją rękę.

A ja doznałem uczucia, że jej dłoń ścisnęła nie moją rękę, lecz moje serce. To była bardzo piękna kobieta, a one czynią na mnie zawsze wielkie wrażenie.

— Dobrze, przyjdę — wydusiłem z siebie. I wydaje mi się, że się zarumieniłem jak młody chłopiec.

Na szczęście było już ciemno i na ulicy pojawiła się taksówka, którą zatrzymał doktor Gunter. Pani Herbst i kustosz wsiedli do niej i odjechali, a ja z Marczakiem jeszcze przez krótką chwilę czekaliśmy na następną taksówkę.

W recepcji hotelu „Arabella” poprosiłem o rozkład jazdy pociągów międzynarodowych. Przejrzałem go i oświadczyłem zwierzchnikowi:

— Pojedziemy nie wieczorem, ale jutro nocnym pociągiem. Musimy być w Weimarze, panie dyrektorze.

Marczak w lot zrozumiał, o co mi chodzi i poklepał mnie po plecach.

— To oczywiste, panie Tomaszu. Trzeba się dowiedzieć, od kogo muzeum kupiło manuskrypt wiersza, który znajdował się w zbiorach doktora Gottlieba.

Tej nocy spałem bardzo źle. Wciąż jawiła mi się w pamięci piękna twarz Gerty Herbst. Widziałem jej trochę smutne niebieskie oczy i brzmiał mi w uszach ciepły, kobiecy głos. Moja nieufność do niej topniała, a budziło się współczucie i pragnienie bliższego poznania. Wyobrażałem sobie, jak bardzo jest nieszczęśliwa po starcie męża, ile odwagi i samozaparciu wymagało podjęcie pracy detektywa i poruszanie się w przestępczej dżungli, jaką był na Zachodzie świat rabusiów dzieł sztuki. To surowe i bezwzględne prawa tej dżungli nauczyły ją postępowania, które mogło budzić moją nieufność, byłem bowiem przyzwyczajony do zupełnie innych metod pracy.

Widziałem niemal, jak rzuca pracę detektywa i przyjeżdża do Polski. Widziałem ją krzątającą się w mojej małej kawalerce na Starym Mieście, siedzącą ze mną w wehikule, w drodze po nowe przygody...

Rano bolała mnie głowa i byłem senny, ale dyrektor Marczak, nie zdając sobie zupełnie sprawy z moich nastrojów, postanowił wykorzystać ostatni dzień naszego pobytu we Frankfurcie, aby zwiedzić miasto. I od wczesnego rana włókł mnie ze sobą najpierw na tereny byłego królewskiego pałacu Hohenstaufów, a potem do dzielnicy handlowej. To tutaj wśród ogromnych magazynów i banków, między rozległym parkiem a linią tramwajową, która przebiega na dwóch poziomach, stoi pomnik trzech mężczyzn: Gutenberga i jego dwóch pomocników, Fusta i Schöffera. Rozwój Frankfurtu, jego wiedzy i techniki, nastąpił dzięki tym trzem ludziom.

Frankfurt od wieków słynie nie tylko z targów Merkurego, ale i Targów Książki, które i obecnie mają międzynarodowe znaczenie.

Okolo pierwszej w południe oświadczyłem Marczakowi, że z zaoszczędzonych na obiadach pieniędzy chciałbym kupić komuś mały upominek i wskazałem w centrum miasta ogromne wystawy licznych sklepów.

— No, dobrze — mruknął Marczak. — Ja też odwiedzę tutejsze księgarnie. Spotkamy się w hotelu.

Szybkim krokiem pomaszzerowałem do luksusowego wieżowca, w którym mieszkała pani Herbst. Myślę, że czekała na mnie, bo gdy tylko przycisnąłem dzwonek, zaraz otworzyła mi drzwi.

Była w ładnym, białym szlafroku. Na podłodze leżały dwie otwarte walizki, w których układała jakieś swoje kobiece fatałaszki.

— Wyjeżdża pani? — zainteresowałem się.

— Tak. Otrzymałam nowe zadanie — odparła.

Nie pytałem ani dokąd wyjeżdża, ani jakie jest to zadanie, bo chyba nie należy pytać o to detektywa, którego praca związana jest zawsze z tajemnicą i dyskrecją.

Usadowiła mnie w głębokim fotelu, poczęstowała kieliszkiem dobrego koniaku. W zasadzie nie biorę do ust alkoholu, ale przecież nie znajdowałem się już „na służbie”. Moja wizyta u pani Herbst miała charakter prywatny.

— Pan się chyba nie gniewa na mnie, że pozostawiłam pana przed domem towarowym? — uśmiechnęła się.

— Ależ nie. Każdy ma swoje metody pracy — oświadczyłem, bo rzeczywiście w tej chwili nie czułem do niej żadnej urazy.

— Musiałam ustalić, kto i dlaczego mnie śledzi — powiedziała, kosztując ostrożnie koniaku. — Poszłam do Buchera, o którym wiem, że na naszym terenie rządzi Niewidzialnymi i po prostu zapytałam go, czy to jego ludzie obserwują mój samochód.

— I co? — spytałem ciekawie.

— Oświadczył, że on nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Zastanowiłam się i doszłam do wniosku, że beżowy mercedes należy chyba do kogoś innego. Jak pan wie, prowadzę przede wszystkim sprawy rozwodowe. To pewien mąż śledził mnie, ponieważ dowiedział się, że jego żona zaangażowała mnie do swej sprawy rozwodowej.

— Rozumiem — uśmiechnąłem się pogodnie i odstawiłem kieliszek koniaku, który nagle przestał mi smakować.

Widziałem przecież na własne oczy, że beżowy mercedes zajeżdżał przed sklep Buchera, a potem elegancki, siwy pan odjechał tym mercedesem z panią Herbst. Jej wyjaśnienia były po prostu kłamstwem. I choć ona wyglądała tak bardzo uroczko, jej oczy patrzyły na mnie z ogromną życzliwością, to przecież stałem się raptem czujny i bardzo ostrożny.

— Wróciłam potem pod dom towarowy — powiedziała — ale pana już nie było. Mój samochód był zamknięty. Wzięłam taksówkę i pojechałam do Dobenecka. Nie smakuje panu koniak? — zainteresowała się.

— Nie lubię alkoholu. Wolałbym kawę — wyjaśniłem.

Wstała z kanapy i poszła do kuchni, a ja rozglądałem się po jej pięknie urządzonej apartamencie i ze smutkiem pomyślałem, że nigdy nie spotkamy się w Warszawie, nigdy nie zobaczą jej w moim mieszkaniu, ani nie będę z nią jechać swoim wehikułem.

Zapałem papierosa i zacząłem nerwowo przechadzać się po pokoju. Na małym biurku zobaczyłem fotografię jakiegoś przystojnego mężczyzny, zapewne męża pani Herbst. Potem rzucił mi się w oczy rozłożony na biurku arkusik papieru, na którym wyraźnie widniało moje imię i nazwisko. Ktoś powie, że postąpiłem niezbyt ładnie, ale wziąłem do ręki ten arkusik i przeczytałem napisaną na maszynie notatkę.

Informacja od Schreibera. Tomasz zwany Panem Samochodzikiem jest zręcznym detektywem zatrudnionym w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Znakomity fachowiec w swej dziedzinie, między innymi rozpracował znanego we Francji „Fantomasa” oraz odnalazł pamiętnik Haubitza, wyprowadzając w pole agenta 007. Bardzo niebezpieczny, gdy przybiera maskę niezaradnego i naiwnego. Bardzo wrażliwy na urodę kobietę, co ewentualnie można wykorzystać.

Usłyszałem stukot pantofelków pani Herbst i szybko zająłem swoje miejsce w fotelu. Ale nad biurkiem pozostał mały obłok dymu z papierosa, który być może spostrzegła. Zauważyłem, że zmrużyła oczy jak kot, a potem rzuciła mi krótkie, pełne niepokoju spojrzenie.

— Proszę, oto kawa — znowu uśmiechnęła się zalotnie.

— Dziękuję — ja także uśmiechnąłem się promiennie.

Usiadła na kanapie, odsłaniając zgrabne nogi.

— Szkoda, że pan już wyjeżdża — westchnęła. — Jest pan bardzo miły i wydaje mi się, że pozostalibyśmy przyjaciółmi. Gdy pana poznałam, odniosłam wrażenie, że jest pan po prostu muzealnikiem. Ale jeden z moich przyjaciół, który często bywa w Polsce, wyprowadził mnie z błędu. To nie pan ode mnie, ale ja od pana mogłabym się wiele nauczyć w zawodzie detektywa.

— Och, pani znajomy zapewne przesadził — stwierdziłem, robiąc skromną minę — ja też żałuję, że muszę wyjechać i zapewne nie zobaczymy się już nigdy w życiu.

— To nie jest wcale takie pewne — roześmiała się. — A poza tym, czy pan naprawdę żałuje faktu naszego rozstania?

— Naturalnie — odparłem z powagą. — Pani jest bardzo piękna. A ładne kobiety czynią na mnie wielkie wrażenie, po prostu tracę przy nich głowę. Dlatego pani pozwoli, że się pożegnám.

To mówiąc dopiłem kawy i wstałem z fotela.

— Szkoda, że pan już odchodzi — szepnęła pani Herbst, ale nie usiłowała mnie zatrzymać.

Całując na pożegnanie jej dłoń, powiedziałem:

— Będę żył nadzieją, że się jednak jeszcze kiedyś spotkamy. . .

— Być może — mocno uściśnięła moją dłoń.

W nocy wsiedliśmy z Marczakiem do międzynarodowego pociągu i po jednej przesiadce, późnym rankiem, wysiedliśmy na dworcu kolejowym w Weimarze.

Był prześliczny słoneczny wiosenny dzień. Na niebie ani jednej chmurki, mocno grzało słońce, drzewa już były niemal całkiem zielone.

— Niech pan patrzy, dyrektorze — wskazałem parking przed hotelem. — Czy to nie jest czarny mercedes pani Herbst?

— Nigdy nie widziałem jej samochodu. . .

— Ale ja go widziałem, a nawet nim jechałem. Ten sam, dyrektorze. Zapamiętałem numery rejestracyjne. Stęskniłem się za nią i chętnie ją zobaczę, ale myślę, że skoro jechała przez całą noc, teraz zapewne położyła się spać.

— Co to ma znaczyć, panie Tomaszu? — zaniepokoił się Marczak.

— Nie wiem, dyrektorze. Albo zakochała się we mnie, albo przyjechała, aby w Muzeum Goethego dowiedzieć się, kto sprzedał wiersz Goethego dedykowany Jenny von Gustedt. Innymi słowy, w tym samym celu co i my.

— Zakochała się — prychnął pogardliwie Marczak. — Pan chyba niezbyt często zagląda do lusterka. Jak pan myśli, z czyjego polecenia ona tu przyjechała?

Wzruszyłem ramionami:

— Zapytamy ją przy najbliższej okazji. I zapewne powie nam prawdę — roześmiałem się ironicznie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- ŚWIETNOŚĆ WEIMARU • HISTORIA WIERSZA POETY •
- W POSZUKIWANIU PIONTKA • W ERFURCIE • LIST OD KUSTOSZA • DOM GOETHEGO W WEIMARZE • SEN CZY JAWA?
- ZNOWU PIĘKNY LOLO • POŻEGNANIE ANTYKWARIUSZA
- DZIWNA PROPOZYCJA OD BATURY • NOWE PODEJRZENIA
- POŚREDNIK OD WYNAJĘCIA NIERUCHOMOŚCI

Weimar to małe, ale pełne uroku miasto. Turysta niemal co krok spotyka się w nim z kulturalną świetnością dawnych Niemiec. Godzinami można krążyć po pełnych piękna starych uliczkach, przy których stoją zabytkowe domy, gdzie ongiś mieszkali wielcy artyści. Budynki te, jak na przykład domy Goethego, Schillera czy Liszta — zamieniono na muzea, odtwarzając wnętrza w taki sposób, jakby owi wielcy ludzie dopiero co je opuścili albo byli w nich jeszcze.

Przy ulicy Fraunplan rzuca się w oczy zabytkowa fasada domu, w którym przez wiele lat żył i gdzie umarł Johann Wolfgang Goethe. Stylowy dom składa się jakby z dwóch części. W jednej mieszczą się wspaniale urządzone salony i pokoje, w których Goethe przyjmował gości jako minister księstwa Weimaru, a w drugiej — gdzie żył i pracował jako wielki, ba, może największy poeta niemiecki. Obydwie te części różnią się krańcowo. W pierwszej panuje przepych, pełno jest rzeźb antycznych i innych dzieł sztuki. Widać tam wspaniałe obrazy Cranacha i Rubensa, okazy włoskiej majoliki z XVI wieku, rysunki, portrety przyjaciół, wspaniałe meble. A w drugiej — uderza niezwykła skromność i prostota. Ogromna biblioteka pełna jest rzadkich i cennych książek z najróżniejszych dziedzin, świadczących o szerokich zainteresowaniach Goethego. Niezwykle skromnie prezentuje się sypialnia Goethego: tylko proste łóżko, fotel i mały stolik — nic więcej.

Dom-muzeum odwiedza codziennie wielu turystów z całego świata, bo też i imię poety sławne jest wszędzie. Kustosz urzęduje w małym gabinecie tuż obok drzwi wejściowych.

W samo południe zameldowaliśmy się u niego. Przyjął nas z wielką serdecznością. Doktor Wilhelm Kraft znał się bowiem z Marczakiem osobiście, kilkakrot-

nie spotykali się na różnych zjazdach i sympozjach, a poza tym między placówkami muzealnymi Weimaru i muzeami w Polsce trwała od lat ścisła współpraca.

— Interesuje was wiersz Goethego do Jenny von Gustedt? — zdumiał się doktor Kraft. — Mam go właśnie przed sobą. Przed godziną była u mnie pani Greta Herbst z Frankfurtu nad Menem, także w tej sprawie. Przysłał ją do mnie mój dobry znajomy, doktor Gunter, kustosz Domu Goethego we Frankfurcie.

— Żelazna kobieta — mruknąłem z uznaniem o pani Herbst.

— Doktora Guntera zainteresowały okoliczności, w jakich jeden z ostatnich wierszy Goethego trafił w nasze ręce — mówił dalej kustosz. — Jenny von Papeenheim na ostatnie urodziny Goethego darowała mu własnoręcznie haftowane pantofle, a on na ten podarunek odpowiedział jej wierszem. Sprawa ta nie byłaby aż tak ważna, gdyby nie fakt, że najprawdopodobniej jest to jednocześnie jeden z ostatnich wierszy poety. Trzeba trafu, że w 1960 roku zgłosił się do nas pewien człowiek z pytaniem, czy zainteresuje nas kartka z wierszem, pod którym widnieje podpis Goethego. Natychmiast zorientowaliśmy się, że to jest właśnie ów wiersz. Zapłaciliśmy temu człowiekowi dość sporą sumę za oryginał i wiersz natychmiast opublikowaliśmy.

— Czy dowiedzieliście się, skąd ów człowiek miał ten wiersz i czy nie był w posiadaniu jeszcze innych starych rękopisów? — zapytał Marczak.

— Ależ tak, oczywiście. Wypyaliśmy go bardzo szczegółowo. Otóż przed wojną i jeszcze jakiś czas po wojnie, do 1951 roku, mieszkał on na terenie Mazur, w dawnych Prusach Wschodnich. Był żonaty z Polką i za jej namową zdecydował się pozostać w Polsce. Ale gdy żona jego zmarła, poprosił o zezwolenie na przeniesienie się na teren Niemieckiej Republiki Demokratycznej, gdzie żyła jego rodzina, bracia i siostry. Zezwolenie otrzymał i zamieszkał w Erfurcie. Opowiadał, że jeszcze kiedy mieszkał w Polsce, u jednego ze swoich znajomych odkrył kiedyś na strychu skrzynię z mnóstwem starych papierów. Nic mu te papiery nie mówiły, oprócz tego właśnie wiersza z podpisem Goethego. O Goethem bowiem, jako wielkim poecie niemieckim, coś niecoś słyszał. Zabrał więc kopertę z wierszem i nie przywiązując do niej wielkiej wagi trzymał ją w swym domu, a potem wraz z innymi swoimi rzeczami przywiózł do Erfurtu. W jakiś czas potem dowiedział się od kogoś, że w pobliskim Weimarze istnieje Muzeum Goethego.

— Jak się nazywa ów człowiek? Jaki jest jego adres w Erfurcie? Gdzie mieszkał, nim przyjechał do NRD? — zarzuciłem kustosza pytaniami.

Uśmiechnął się.

— O to samo pytała i pani Herbst. Wyszukałem więc stare rachunki z 1960 roku i mogę panom podać jego nazwisko, podobnie jak podałem je pani Herbst. Otóż człowiek ten nazywa się Kurt Piontek, mieszka w Erfurcie przy ulicy Wilhelma Piecka 10. Ale, na litość boską, wyjaśnijcie mi, co spowodowało aż tak żywe zainteresowanie tym człowiekiem?

Dyrektor Marczak w krótkich słowach opowiedział kustoszowi o liście pani Anny von Dobeneck, o zbiorach doktora Gottlieba, o wyspie Fort Lyck, naszej podróży do Frankfurtu i umowie, jaką zawarliśmy z Dobeneckiem.

— Na Czarcim Ostrowie nie ma już schowka — uzupełniłem opowieść Marczaka. — Zaraz po wojnie ktoś trafił na niego i zabrał skrzynie ze zbiorami. Z listu pani Dobeneck wynika, że w zbiorach doktora Gottlieba był ów wiersz Goethego do Jenny von Papenheim. A więc znajomy owego Piontka musiał być tym, który dobrał się do schowka. Być może w jego domu, w skrzyni i na strychu, znajduje się reszta zbiorów doktora Gottlieba. Piontek zabrał przecież tylko jedną kopertę z wierszem, bo zainteresowało go nazwisko Goethego. Ale może reszta bezcennych manuskryptów pozostała tam jeszcze?

Doktor Kraft zerwał się z krzesła.

— Natychmiast jedziemy do Erfurtu. Biorę swój służbowy samochód i wyruszamy. Szkoda każdej chwili!

W kwadrans później Wartburgiem doktora Krafta pędziliśmy szosą do niedalekiego Erfurtu, bardzo starego i pełnego zabytków miasta, które do dziś słynie z hodowli kwiatów i nasion. Na wzgórzu Petersberg już w VII wieku założono klasztor, a na wschód od wzgórza w czasach Karola Wielkiego powstało żywotne i ruchliwe miasto, które otoczono murami. W miarę jak rozrastało się, przybawało i murów. Do dziś pozostały po nich zielone pasy, tak zwane ringi, o promieniu ponad kilometra.

Erfurt ma wiele zabytków sztuki romańskiej i gotyckiej, kilkadziesiąt kościołów, a wśród nich słynną katedrę i połączony z nią kamiennymi stopniami kościół Św. Sewera, w stylu wczesnego gotyku. Wnętrza tych kościołów — to prawdziwe muzea.

Marzyłem, aby korzystając z pobytu w Erfurcie zwiedzić Muzeum Jana Sebastiana Bacha oraz słynne „miasto lalek”, tak zwany Mon Plaisir. Jest to zbiór lalek zamieszkujących miniaturowe pokoje i sale-makiety. Lalki ubrane w stroje dworskie i mieszczańskie w stylu rokoko obrazują życie w tamtej epoce.

Ale przecież nie byliśmy tu w charakterze turystów.

Na ulicy Wilhelma Piecka, przed domem numer 10 stał czarny mercedes pani Herbst. A ona sama właśnie wychodziła z klatki schodowej.

— Nic z tego, panowie — oświadczyła nam na powitanie. — Kurt Piontek już od pięciu lat spoczywa na tutejszym cmentarzu. Jego bratanek nie potrafi wyjaśnić, skąd jego stryj miał oryginał wiersza Goethego.

To mówiąc wyjęła ze swej torebki jakiś list i podała go Marczakowi. Dyrektor przeczytał go uważnie, a potem pozwolił mi zapoznać się z jego treścią.

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze — pisał doktor Gunter — już po rozstaniu się z Panami zdecydowałem, że jednak nie wolno nam rezygnować z poszukiwań zbiorów doktora Gottlieba i zleciłem pani

Herbst dalszą pracę nad tą sprawą. Oczywiście nasze muzeum opłaci jej pracę. Zgodnie z podpisaną umową mam prawo wystać swego przedstawiciela do poszukiwań schowka, niniejszym więc wyznaczam do tego celu panią Gretę Herbst. Nie czynię tego dlatego, broń Boże, że nie mamy do Was zaufania, ale chcę Wam po prostu trochę pomóc. Pani Herbst to znakomity detektyw i osoba godna zaufania, posiada duże doświadczenie w rozwiązywaniu różnych tajemniczych spraw. Jestem pewien, że okaże się przydatna. Serdecznie Was pozdrawiam i życzę sukcesów.

Friedrich Gunter

— No cóż — mruknął dyrektor Marczak, niezbyt życzliwym okiem obrzucając panią Herbst. — Cieszę się z naszej dalszej współpracy. Pozwolę sobie jednak wyrazić zdumienie, że nie pojechała pani do Warszawy, ale do Weimaru i Erfurtu.

Pani Herbst wyjaśniła szczerze:

— Odniosłam wrażenie, że panowie zbagatelizowali informację doktora Guntera o pojawieniu się wiersza Goethego i postanowiłam wyjaśnić tę sprawę. Chciałam przyjechać do Warszawy już z jakimś tropem. Nie lubię brać pieniędzy za darmo.

— Rozumiem — kiwnął głową Marczak. — Przyjmuję do wiadomości pani wyjaśnienia i zabierajmy się do roboty. Co pani ustaliła?

— Powiedziałam już: Kurt Piontek nie żyje od pięciu lat. Jego bratanek nie umie nic powiedzieć na temat wiersza. Ustaliłam tylko, że Kurt Piontek przyjechał do NRD z polskiej miejscowości Eulenwinkel, leżącej prawdopodobnie w dawnych Prusach Wschodnich. Gdzieś w pobliżu, a może w tej samej miejscowości, mieszkał lub może mieszka nadal znajomy Piontka, który miał na strychu skrzynie ze starymi manuskryptami. To wszystko, panowie. Wydaje mi się, że tę miejscowość bez trudu odnajdziemy na jakiejś starej mapie.

— Nie trzeba jej szukać — oświadczyłem. — Eulenwinkel, to Sowiróg, wioska opisana w „Dzieciach Jerominów” Ernsta Wiecherta. Byłem tam kiedyś. Wioska ta już nie istnieje. W czasie wojny została doszczętnie spalona. Rosną tam tylko krzaki i dziczące drzewa owocowe, a być może posadzono las.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Wreszcie pani Greta Herbst powiedziała:

— Być może Piontek mieszkał nie w samym Sowirogu, ale w pobliżu, w jakimś małym przysiółku lub po prostu gdzieś na uboczu?

— Owszem, to prawdopodobne — skinąłem głową.

Marczak i doktor Kraft udali się na rozmowę z bratankiem Piontka, czym okazali chyba brak zaufania do pani Herbst. Ale ja pozostałem na ulicy. Pani Herbst była zbyt wytrawnym detektywem, aby nie wyciągnąć z bratanka Piontka wszystkich szczegółów, dotyczących jego zmarłego stryja. Nie sądziłem też, aby w sytuacji, gdy każdą jej informację można było w każdej chwili sprawdzić, próbowała

nas oszukać lub skierować na błędną drogę. Cóż zresztą mogłaby na tym zyskać? Dla każdego było oczywiste, że nie zejdziemy z odnalezionego tropu, a wiódł on do Polski, gdzie my byliśmy gospodarzami. A poza tym działała przecież z upoważnienia kustosza Guntera, który był zainteresowany we współpracy z nami. Ale czy pracowała tylko dla Guntera?

Greta Herbst jak gdyby odgadywała moje myśli, a może po prostu domyślała się, że wpadła mi w oczy kartka na jej biurku. Odezwała się:

— Propozycja dalszej pracy nad sprawą Dobenecków sprawiła mi ogromną radość. Zgodziłam się to robić nawet za pół darmo. Podejrzewam, że, wbrew pozorom, zamieszani są w tę historię ludzie, którzy są moimi śmiertelnymi wrogami. Może pan być pewny, że nie zawiodę waszego zaufania, a jeśli to i owo w moim postępowaniu będzie budziło pana nieufność, przysięgam, że to będą tylko pozory, gdyż w tej historii chcę rozegrać także i własną sprawę.

— Rozumiem — kiwnąłem głową.

— Wczoraj, gdy pan był u mnie, chciałam panu powiedzieć, że wkrótce znowu się spotkamy. Ale otrzymałam informacje, że jest pan wybitnym detektywem i odezwała się we mnie zawodowa próżność. Nie przypuszczałam, że także pojedziecie do Weimaru i chciałam po przybyciu do Warszawy zaimponować wam odkryciem nowego tropu. Dałam panu jednak do zrozumienia, że wkrótce się zobaczymy...

— Owszem. Tak to zrozumiałem, choć nie przeszło mi przez myśl, że nastąpi to aż tak prędko — wyznałem. — Pojmuję także więcej, niż to się pani wydaje. Dlatego przypuszczam, że będzie nam się dobrze pracowało.

— Dziękuję panu — uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, którą mocno uściskałem, a ona odwzajemniła mi się uściskiem, od którego serce moje żywiej zabiło. Przypomniałem sobie jednak, że zgodnie z opinią, którą wydali o mnie ludzie chyba niezbyt mi życzliwi, mam słabość do ładnych kobiet i natychmiast przywołałem się do porządku.

W dwie godziny później powróciliśmy wszyscy do Weimaru. Pani Herbst poszła zaraz do swego pokoju, aby wypocząć — przez całą noc prowadziła samochód i nie spała do tej pory ani odrobinię. A my skorzystaliśmy z okazji, aby zwiedzić Dom Goethego, gdzie wielki poeta żył przez prawie pięćdziesiąt lat.

Najdłużej zatrzymałem się w tak zwanej Żółtej Sali, która ongiś służyła jako jadalnia. Tutaj w 1829 roku Goethe przyjmował obiadem polskich poetów: Mickiewicza i Odyńca, o czym pozostała notatka w sztambuchu pięknej Jenny.

W próg pokoju wmontowano napis: *salve*, co znaczy: witaj. Nad głowami ujrzałem piękny barokowy plafon, w środku jadalni stół otoczony krzesłami, na których, być może, siedział Mickiewicz.

Na obiedzie w 1829 roku w tej sali był także zapewne David d'Angers, którego Goethe poprosił o wyrzeźbienie medalionu głowy polskiego poety. Znamy ten

medalion. Ale zanim powstał, artysta musiał zrobić najpierw szkic, może podczas owego obiadu? I ów szkic znajdował się w zbiorach doktora Gottlieba...

Późnym popołudniem, gdy dyrektor Marczak udał się na krótką chwilę do hotelu, poszedłem sam do parku, gdzie znajdował się letni domek Goethego. Odwiedziłem pracownię poety — mały, niezwykle skromny pokoik. Proste mebelki, coś w rodzaju kantorka, w którym, stojąc lub pólsiedząc na wysokim zydlu, pisał Goethe wspaniałe strofy swoich wierszy. Błaznany piecyk na trzech wysokich nogach dostarczał ciepła w chłodniejsze dni.

A potem usiadłem na ławeczce w parku i pomyślałem, że być może pod tymi samymi drzewami szła kiedyś uroczą Jenny von Papenheim, aby zanieść staremu poecie wyszywane przez siebie pantofle. Na myśl przychodziły mi jej szlachetne dziewczęce rysy i piękny zarys ramion, które widziałem na jej portrecie, bogatą suknię z wielkimi bufami, spiętą na piersiach ozdobną broszą. Oczy pełne dziwnego smutku i rozmarzenia, w małej dłoni jakiś list, a może kartka z wierszem Byrona. Małe usta o delikatnym, subtelnym zarysie...

Westchnąłem ciężko. To była prawda, że każda ładna kobieta, nawet ta z portretu sprzed ponad stu pięćdziesięciu laty, budziła we mnie zainteresowanie.

Ale Goethe także się nią interesował, nazywając siebie żartobliwie jej „najstarszym adoratorem”. Gdy mu przesłała swój autoportret, odpisał jej wierszem:

Wolałbym zobaczyć Ciebie we własnej osobie, lecz mógłbym chyba tylko stracić. Kto śmiałby podnieść wzrok, aby go utrwalić w Twoich oczach.

Wspomniałem rozsypujący się ze starości dwór w Gardzieniu, krople kapiące do półokrągłej sali balowej, beczenie owiec, które schroniły się do świetnych ongiś pokoi.

I raptem jakbym ujrzał ducha. W uliczce biegnącej obok parku zatrzymał się na chwilę polski fiat z warszawską rejestracją i wysiadł z niego Piękny Lolo. Miał na głowie swój czarny kapelusz i był w białym prochowcu.

Lolo rozglądał się, jakby na kogoś czekając. Nagle wsiadł do wozu, włączył kierunkowskaz i szybko odjechał. A po sekundzie minął mnie czarny mercedes, w którym zobaczyłem panią Gretę Herbst. Jej samochód pojechał w tym samym kierunku co i fiat Lola.

Przetarłem oczy. Czy śniło mi się to wszystko? Czy nie uległem grze wyobraźni?

Piękny Lolo i pani Herbst? Tutaj? W Weimarze?...

A potem uświadomiłem sobie, że żyję w drugiej połowie XX wieku, gdy działają telefony międzynarodowe, z Polski do NRD jedzie się bez paszportu. Gdyby na przykład pani Herbst zadzwoniła wczoraj do Warszawy, do Schreibera w hotelu „Forum”, a on skontaktował się z Pięknym Lolem, to ten mógłby się dziś znaleźć

w Weimarze, zadzwonić do pokoju pani Herbst w hotelu „Elephant” i umówić się z nią na spotkanie za miastem.

Szybkim krokiem wróciłem w stronę hotelu i zjrzałem na parking. Nie było tam czarnego mercedesa.

Zapytałem portiera o numer pokoju pani Herbst.

— Ta pani zwolniła już swój pokój — oświadczył mi portier.

— Wyjechała? Dokąd? — spytałem zdumiony.

— Nie wiem dokąd. Ale zostawiła list. Do niejakiego pana Tomasza — wyjaśnił.

— To właśnie ja — powiedziałem.

Podał mi kopertę, którą z niecierpliwością rozerwałem.

Drogi Panie Tomaszu — napisała Greta Herbst. — Niespodziewane okoliczności zmusiły mnie do natychmiastowego wyjazdu do Polski. Przepraszam, że wyjechałam bez pożegnania. Pukałam do Pana pokoju, ale Pana nie było. Spotkamy się więc już w Warszawie. Do rychłego zobaczenia.

Greta Herbst

Opowiedziałem dyrektorowi Marczakowi o tym, co widziałem siedząc na ławeczce w parku.

— Pani Herbst i Piękny Lolo? — zdumiał się Marczak. — Boże drogi, zupełnie mi się mąci w głowie. Zaczynam coraz mniej rozumieć w tej sprawie. A może pan się myli i na Czarcim Ostrowie jest jednak schowek ze zbiorami?

— Nie, panie dyrektorze. Z całą pewnością nie ma tam skarbów. Zresztą sam się pan przekonał, że wiersz Goethego, który był w zbiorach, Kurt Piontek sprzedał muzeum w Weimarze.

— W głowie mi się mąci. Mam w umyśle zupełny zamęt. . . — jęczał Marczak.

Nocnym pociągiem opuściliśmy Weimar i nazajutrz rano znaleźliśmy się w Warszawie. Na Dworcu Głównym ruch był ogromny, z trudem przepychaliśmy się przez tłum ludzi, śpieszących do międzynarodowych pociągów. Z głośnika raz po raz płynęły informacje dla podróżnych: „Pociąg pośpieszny do Paryża przez Berlin Zachodni, Frankfurt nad Menem, odjeżdża z peronu. . .”

Bezwiednie spojrzałem na ów peron i pociąg, który za kilka godzin przejeżdżać będzie przez miasto, gdzie nie tak dawno przeżyłem przygodę i zatrzymałem się tak raptownie, że idący za mną Marczak po prostu wpadł na mnie.

— Co się stało? — oburzył się dyrektor.

— Niech pan spojrzy na sąsiedni peron — poprosiłem go. — Widzi pan w otwartym oknie wagonu sypialnego starszego pana, który rozmawia z żegnającą go dziewczyną i wysokim mężczyzną?

— Ten wysoki mężczyzna to Batura — stwierdził niechętnie Marczak, który pamiętał kłopoty, jakie nam kiedyś sprawił ów poszukiwacz skarbów i antyków.

— A młoda dziewczyna w niebieskiej peruczce to przecież nasza panna Monika — dodałem ponuro.

Marczak spojrzął na zegarek.

— Czy ona nie powinna już być w ministerstwie?

— Jeszcze pół godziny pozostało do rozpoczęcia urzędowania — uspokoiłem go. — Szkoda jednak, że nie zainteresował pana osobnik, którego zegnała miła para.

— A któż to jest?

— Podejrzewam, że pan Schreiber. Zapewne zdołał już upolować wilka i teraz wraca do Berlina Zachodniego.

— W głowie mi się mąci... — szepnął Marczak. — Monika i Batura? I do tego Schreiber.

Chwyciłem Marczaka pod rękę i wyprowadziłem z dworca. Musiałem go trzymać, bo mój dyrektor sprawiał wrażenie, jakby się napił czegoś mocnego. Ciągłe powtarzał: „W głowie mi się mąci. Mam w niej zupełny chaos”.

W kwadrans później na biurku w Referacie do Zadań Specjalnych znalazłem list od pana Eugeniusza z Wejsun.

Drogi Panie Tomasz — pisał. — Zgodnie z Pańską prośbą dowiadywałem się o rodzinę Dobenecków. Wiadomo mi, że biskup Hiob von Dobeneck, który był biskupem pomezzańskim i miał siedzibę w Prabutach, wzorem ówczesnych papieży — Aleksandra IV i Juliusza II — prowadził od 1505 roku bardzo wystawne życie, a jego dwór w Prabutach przeżywał wtedy okres świetności. Potem, gdy w 1510 roku wojska polskie maszerując na Królewiec spaliły przedmieścia Prabut i chciały przystąpić do oblężenia zamku, biskup grzecznie skapitulował. Wkrótce zresztą biskupstwo pomezzańskie w wyniku reformacji przestało istnieć. Dobeneckowie jednak zdołali zachować dość duże dobra w okolicach Prabut i w dawnym powiecie suskim. To wszystko, co tyczy tej sprawy. A jeśli chodzi o Czarci Ostrów, to okazuje się, że do 1949 roku były tam resztki spalonego letniego domu, należącego do lekarza z Pizsa, doktora Hansa Gottlieba. Resztki domu rozebrano i cegły przewieziono po lodzie na brzeg.

Gdy skończyłem lekturę listu, była za pięć minut ósma. Otworzyły się drzwi i weszła Monika.

— Witam, szefie! — zawołała radośnie — Nareszcie wrócił pan z wielkiego świata. Czy mogę pana ucałować na przywitanie?

— Nie — oświadczyłem ponuro. — Nie mam żadnych słabości wobec osób płci słabej, obdarzonych urodą.

— A ja myślałam, że jest inaczej.

— Wiem, że pani inaczej myślała. Wiem także, iż podzieliła się pani swoimi myślami ze Schreiberem. A on wysłał o mnie informacje do Frankfurtu, że wprawdzie jestem zdolny i nieprzekupny, ale mam słabość do ładnych kobiet.

— Pan się myli, szefie — oburzyła się Monika. — Ze Schreiberem w ogóle nie rozmawiałam na pana temat. Może to Batura zasugerował mu taką opinię o panu?

— A co panią łączy ze Schreiberem? — zapytałem ostro.

— Nic — wzruszyła ramionami. — Któregoś dnia zadzwonił do mnie Batura i zaprosił mnie na przyjęcie do swojej pracowni. Powiedział, że będzie tam również Schreiber.

— A więc obydwaj już się spiknęli... — mruknąłem.

— Zdecydowałam ze względów służbowych przyjmując to zaproszenie. Chciałam poznać bliżej człowieka, który być może jest naszym wrogiem.

— No i co?

— Roztoczyłam przed nim swoje uroki i niemal zakochał się we mnie. Jestem zarozumiała, prawda?

— Owszem. I czego się pani dowiedziała?

— Był bardzo zadowolony z pobytu w Polsce. Upolował wilka i zabrał jego skórę, płacąc sporo w dewizach. Opowiadał mi trochę o swej pracy, o kłopotach, które ma z Niewidzialnymi. Słyszał pan o Niewidzialnych?

— Aż za wiele.

— A ja myślałam, że pan dowie się o nich dopiero ode mnie — zmartwiła się Monika. — I to była ta rewelacja, którą miałam dla pana. Batura powiedział mi, że historia z Fortem Lyck w ogóle nie miała sensu, ponieważ schowek, który się tam znajdował, został już przez kogoś bardzo dawno opróżniony. Jednym słowem wiele hałasu o nic. Uważam, że takie utrzymywanie kontaktów towarzyskich z ludźmi, którzy zajmują się handlem antykami, może być dla nas bardzo pożyteczne. W rozmowie towarzyskiej coś im się może wymknąć i w ten sposób dowiemy się o ich poczynaniach.

— Przy okazji pani też się coś wymknie o naszej działalności i będzie to korzyść obopólna.

— O, wa. Pan mnie uważa za gadatliwą — obraziła się.

Zapytała oficjalnie:

— Jakże ma pan teraz dla mnie zadanie?

— Bardzo przyjemne. Jeszcze dziś lub jutro przybędzie tu młody i przystojny mężczyzna wraz ze swą uroczą narzeczoną. Nazwisko jego brzmi Alfred von Dobeneck. Zajmie się pani nimi, zawiezie ich pani na Mazury, wynajmie motorówkę w Mikołajkach, popłynie na Czarci Ostrów, aby pan Dobeneck mógł się przekonać naocznie, że schowka już tam nie ma. Wolno pani się z nimi zaprzyjaźnić,

chodzić na tańce, a nawet rozkochać w sobie owego Dobenecka i wyjść za niego za mąż ku strapieniu jego narzeczonej, panny von Strachwitz. Na okres wesela damy pani dwa dni bezpłatnego urlopu, a jeśli zechce pani wraz z małżonkiem wyjechać na stałe do Frankfurtu nad Menem, nie będziemy stawiali przeszkód.

— Fiuuu, nareszcie jakaś konkretna praca, szefie.

I zasiadła przy telefonie, aby dowiedzieć się, czy w którymś z warszawskich hoteli nie zarezerwowano telegraficznie pokoju dla pana Alfreda von Dobeneck i jego narzeczonej.

W południe zadzwonił do mnie Waldemar Batura.

— Muszę się z tobą zobaczyć — oświadczył. — Znajdź chwilę czasu i wyskocz na kawę w „Bristolu”. To ważna sprawa.

Batura już czekał na mnie, nerwowo paląc papierosa.

— Tomaszu — odezwał się do mnie z powagą. — Zapomnijmy o dawnych urazach i zawrzyjmy chwilowe przymierze. Sytuacja jest groźna. Czy słyszałeś o Niewidzialnych?

— Owszem.

— Nastraszyłem Pięknego Lola i ten przyznał mi się, że jest na usługach Niewidzialnych. Podobno Niewidzialni chcą rozszerzyć swoje pole działania na nasz kraj. Mało im okradania kościołów i muzeów w krajach zachodnich. Ty wiesz, że ja uważam się za króla handlarzy antyków. A oni dali mi do zrozumienia, że odtąd moje królowanie się tu skończy, bo Niewidzialni przejmują całą sprawę w swoje ręce. Jednym słowem zamierzają mnie zdetronizować. Otóż proponuję ci chwilowe przymierze. Nie potrzeba nam cudzoziemców, którzy będą nasze dzieła sztuki szmuglować za granicę. My, jak wiesz, działamy także trochę niezbyt zgodnie z prawem, ale ze szmugłem skończyliśmy. Żadne cenne dzieło sztuki nie ma prawa wyslizgnąć się z kraju. Koncentrujemy się na wyszukiwaniu starożytności i ich handlu, co wam się może nie podobać, i zapewne słusznie, ale przecież kraj się przez to nie zubaża, bo to wszystko pozostaje u nas. Ale Niewidzialni będą robić inaczej. Proponuję ci więc chwilowe przymierze, to znaczy wymianę informacji na temat Niewidzialnych. Jeśli będzie możliwość, damy im po łapach, aby raz na zawsze wiedzieli, że w Polsce nie mają czego szukać. Zgoda?

Uśmiechnąłem się. To była zaskakująca propozycja. Nigdy nie przypuszczałem, że nadejdzie chwila, gdy Batura zaproponuje mi coś takiego. I oto ja, który tyle lat strawiłem na walce z handlarzami antyków, miałem się teraz z nimi sprzymierzyć? Ale Niewidzialni byli strasznym gangiem.

— No cóż — mruknąłem po chwili namysłu — przymierza z tobą nie zawrę, bo to byłoby wbrew moim zasadom. Ale bardzo chętnie będę z tobą wymieniał informacje na temat Niewidzialnych. Jeśli rzeczywiście spróbują działać w Polsce. Ale czy to pewne?

— A ty myślisz, po co tu przyjechał Schreiber? To jeden z Niewidzialnych. Przybył do Polski, aby zbadać, czy mogą tutaj rozwinąć skrzydła. I podobno wytypowano już osobę, która będzie montować siatkę Niewidzialnych w Polsce.

— Domyślasz się, kto to jest?

— Niestety, nie. Wiem tylko tyle, że prawdopodobnie będzie to kobieta. Coś na ten temat bąknął Piękny Lolo.

— Kobieta? — zmarszczyłem brwi.

— Tak. Z całą pewnością kobieta. Tylko nie wiem, czy ta kobieta jest Polką i mieszka w naszym kraju, czy też dopiero przyjedzie, aby zmontować gang Niewidzialnych. Dlaczego tak zbladłeś, Tomaszu?

Zapalając papierosa stwierdziłem, że ręce mi się trzęsą ze zdenerwowania.

— Dziękuję ci za informację — szepnąłem, zbierając się do wyjścia.

Batura popatrzył na mnie uważnie.

— Tomaszu, ty coś kryjesz przede mną. Powiedz mi prawdę. Przyrzekłeś wymienić ze mną informacje. Ja ci dałem ważną wiadomość i oczekuję wzajemności.

To było wbrew moim zasadom, ale powiedziałem:

— Wczoraj przybyła do Warszawy kobieta nazwiskiem Greta Herbst. Niemka z Frankfurtu nad Menem. Jest z zawodu prywatnym detektywem. Bardzo sprytna i ma niewątpliwie kontakty z Niewidzialnymi.

— Dziękuję ci za tę wiadomość — rzekł Batura.

Przez sekundę zauważyłem na jego twarzy jak gdyby wahanie.

— No mów... — zachęciłem go.

Popatrzył mi w oczy i zapytał cicho:

— Co ty właściwie wiesz o Monice, Tomaszu?

Aż podskoczyłem na krześle.

— Monika? Co ty gadasz, Waldek?

— Czy nie wydaje ci się dziwne, że ona zgłosiła się do pracy w twoim referacie w tym samym czasie, gdy Niewidzialni postanowili rozszerzyć na Polskę pole swej działalności? Ta dziewczyna wygląda na sprytniejszą, niż się może wydawać. Jest poza tym piękna i łatwo zawiera znajomości. Ma talent aktorski po swoim ojcu i umie świetnie udawać. Pomyśl, jakie cudowne możliwości dla Niewidzialnych dawałaby praca w twojej komórce.

— Nie, nie, to nieprawdopodobne... — szeptałem.

Pożegnałem Baturę i przygnębiony, jakbym dźwiżył jakiś wielki ciężar, powlokłem się do swego biura.

A na dworze było tak pięknie. Świeciło słońce i drzewa na Krakowskim Przedmieściu zaczynały obsypywać zielenią.

Ze swego biura zatelefonowałem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do człowieka, który z ramienia tego ministerstwa dyskretną opieką otaczał polskie zabytki i muzea. To od niego właśnie otrzymałem informację o przyjeździe do

Polski Schreibera. Byłem mu teraz winien sprawozdanie ze swych przygód we Frankfurcie i w Weimarze.

Spotkaliśmy się w mojej kawalerce na Starym Mieście i aż do późnej nocy omawialiśmy sprawę zbiorów doktora Gottlieba i unieszkodliwienia Niewidzialnych. Nie wolno nam było dopuścić do tego, aby na terenie Polski stworzyli oni swoją straszliwą organizację.

Jeszcze tej nocy przez telefon nadałem telegram do Winnetou, a następnego dnia wieczorem Winnetou zapukał już do moich drzwi. Czekał tu na niego starszy, tęgi, łysawy, nobliwie wyglądający mężczyzna.

— Mój brat, Winnetou — powitałem przyjaciela — prosił mnie, abym wyszukał mu kogoś, kto zechciałby wynająć jego wigwam. Oto człowiek — wskazałem mu starszego pana — który zajmuje się pośrednictwem w tego rodzaju sprawach. Zostawisz mu tylko klucze od domu i upoważnienie, a już on wynajdzie ci klienta, który zapłaci najlepszą cenę.

— Poszukuję domu położonego w miejscu odosobnionym — oświadczył pośrednik.

— Tak jest położony mój dom — odrzekł Winnetou.

— Czy ma dobre zamknięcia drzwi i okien?

— Drzwi są zamykane na patentowy zamek, a okna mają grube okiennice.

— Czy dom jest pusty?

— Pozostały w nim tylko najpotrzebniejsze sprzęty. Mam dość bogate zbiory indiańskiego folkloru, ale licząc się z tym, że wynajmę dom na lato, zbiory przenieśliśmy do sąsiada, leśniczego.

— A dojazd?

— Dawniej do mnie można było albo dopłynąć łodzią, albo dojść jedynie piechotą przez bagna. Ale ostatnio zreperowano mostek na leśnej drodze i także można dojechać samochodem.

— Znakomicie — ucieszył się pośrednik. — Właśnie czegoś takiego potrzebuję. Proszę więc napisać upoważnienie, zostawić klucze i adres, pod który mam wysłać panu zawiadomienie o wynajęciu domu. Uprzejmie proszę również, aby powiadomił pan swego sąsiada leśniczego oraz innych znajomych w okolicy, że dom swój zdecydował się pan wynająć na lato, być może nawet cudzoziemcom, którzy opłacą pańską podróż zagraniczną.

— Nie mam zamiaru wyjeżdżać za granicę. . .

— To nic — uśmiechnął się pośrednik. — Ale w ten sposób najłatwiej mi załatwić podobną transakcję. Rzecz jasna nie będzie się pan pojawiał ani w swoim domu, ani w okolicy.

— Rozumiem — skinął głową Winnetou.

Napisał upoważnienie, położył na stole klucze od swego wigwamu, podał adres pana Eugeniusza, do którego pośrednik miał przysłać wiadomość o wynajęciu domu. Starszy pan schował to wszystko do teczki, uklonił się uprzejmie i wyszedł.

— Mój Boże — zawołał nagle Winnetou. — Przecież ja nie znam nawet nazwiska i adresu tego człowieka.

— Nie szkodzi — uspokoiłem go. — Wystarczy, że ja go dobrze znam i wiem, gdzie go szukać.

Teraz, gdy sprawa wynajęcia domu Winnetou była w dobrych rękach, opowiedziałem swemu przyjacielowi o przygodach w RFN-ie i Weimarze. Następnie ustaliliśmy plan dalszego działania i umówiliśmy się na następne spotkanie.

Rano Winnetou opuścił Warszawę powracając na Mazury, a ja w gazetach, które codziennie sekretarka Marczaka kładzie na moim biurku, znalazłem ogłoszenie:

*Z powodu wyjazdu za granicę dom na Mazurach w Złotym Rogu,
oazę spokoju i odosobnienia, wynajmę na dobrych warunkach. Oferty
Biuro Ogłoszeń nr 333333, Warszawa.*

Pośrednik miał chyba ogromne wpływy w redakcjach, bo stwierdziłem, że ogłoszenie to błyskawicznie ukazało się we wszystkich czołowych gazetach na terenie całego kraju. I odtąd, mimo że ogłoszenia tego rodzaju bywają drogie, a to było w ramce i rzucało się w oczy, pojawiało się prawie przez dziesięć dni.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

KTO KOCHAŁ PUSZCZĘ PISKĄ? • SPORY HISTORYKÓW •
SOWIRÓG I „DZIECI JEROMINÓW” • CZOŁGI W SOWIROGU
• VON BALK, DOBENECK I INNI • KŁÓTNIA NAD JEZIOREM
• CZAS RUSZYĆ NOWYM TROPEM • PODEJRZLIWOŚĆ MO-
NIKI • OBOZOWISKO NAD JEZIOREM NIDZKIM • GDZIE SA
„DWIE GRACJE”? • WIADOMOŚĆ O WIELKIM BOBRZE

O Puszczy Piskiej napisano wiele. Wspaniały opis lasów, jezior i ludzi, którzy tu ongiś mieszkali, pozostawił Melchior Wańkowicz w swej słynnej książce „Na tropach Smętka”. Literacki portret tej okolicy dali Jerzy Putrament w powieści „Puszcza” i Igor Newerly w „Archipelagu ludzi odzyskanych”, gdzie w relacji z podróży kajakiem po Jeziorze Nidzkim znaleźć można wyjaśnienie dramatów, które tutaj się zdarzyły. W niewielkiej leśniczówce Pranie, położonej nad brzegiem Jeziora Nidzkiego, przebywał kilkakrotnie słynny poeta Konstanty Ildefons Gałczyński i utrwalił na zawsze w swojej poezji niezwykle uroki tej ziemi.

*Tu, gdzie się gwiazdy zbiegły
w taką kapelę dużą
domek z czerwonej cegły
rumieni się na wzgórzu:
To leśniczówka Pranie,
nasze jesienne mieszkanie.*

Długa jest lista pisarzy, których pióro starało się odtworzyć piękno lasów i jezior Puszczy Piskiej. Z kart ich powieści i ze strof wierszy wychyla się leśny krajobraz, melancholia jezior, tragizm jej dawnych mieszkańców. Ich książki — to kronika tej ziemi, opowieść o urodzie, elementarz, z którego można się nauczyć miłości do Mazur.

Piękno Puszczy Piskiej a także zawiła i dramatyczna historia żyjących tu ludzi, pociągały nie tylko pisarzy polskich, ale także niemieckich. Największym z nich, a jednocześnie jednym z największych pisarzy niemieckich naszej doby był Ernst

Wiechert, autor książki „Dzieci Jerominów”, którą nie bez racji nazwano epopcją Puszczy Piskiej.

Ziemia ta należała ongiś do plemion pruskich i fakt ten na zawsze utrwalił się w tajemniczo dla nas brzmiących nazwach jezior i wiosek, w nazwiskach wielu mieszkańców. Prusowie nie byli ani Germanami, ani Słowianami — lecz Bałtami, tworzącymi odrębną grupę etniczną i językową. Odznaczeni bitnością i dawali się we znaki wyprawami łupieżczymi na tereny zamieszkałe przez Polaków. Wtedy to jeden z książąt mazowieckich wezwał zakon rycerski Najświętszej Marii Panny, aby osiedlwszy się na rubieżach Polski rozprawił się z wojowniczymi Prusami. Krzyżaków z początku nie było wielu i tylko dzięki pomocy książąt polskich, czeskich i innych udało się im pokonać niektóre plemiona pruskie i stworzyć załazek państwa zakonnego. Lecz czas mijał, państwo zakonne rosło w potęgę, rozbudowywało się na terenach wydartych Prusom, wreszcie niemal doszczętnie wygubiło pradawnych mieszkańców tych ziem. Aż przyszedł taki dzień, gdy ufni w swoją potęgę krzyżacy mnisi obrócili się przeciw Polsce, rabując Pomorze Gdańskie i grożąc zaborem innych ziem. Plany ich zostały pokrzyżowane przez Jagiełłę i Kazimierza Jagiellończyka. Lecz w wiele lat później, gdy z różnych przyczyn Polska stała się krajem słabym, a państwo krzyżackie stało się państwem świeckim, jeszcze raz wyciągnęli ręce ku Polsce i jako trzecia wroga nam potęga, państwo pruskie, dokonali rozbiorów naszego kraju.

Lecz wróćmy na chwilę do przeszłości. Krzyżacy, wytępiwszy rdzenną ludność, musieli znaleźć kogoś, kto by im uprawiał rolę i zajmował się rzemiosłem. Zaczęli więc sprowadzać kolonistów niemieckich, napłynęła także, przeważnie z Mazowsza, rolnicza ludność polska. I tak powstał swoisty tygiel narodowościowy, bo znaleźli się tu nie tylko Niemcy i Polacy, ale także Tatarzy, Holendrzy, sprowadzeni do osuszenia bagien, rosyjscy przeciwnicy reform w Kościele prawosławnym. Po latach w wielkich majątkach ziemskich siedzieli potomkowie dawnych rycerzy krzyżackich, dumni panowie o niemieckich nazwiskach, a dookoła zamieszkiwała ludność polska i inna. Można dać setki przykładów, że ci tak różni przecież ludzie potrafili przez wiele dziesiątków lat żyć w spokoju i zgodzie, żenili się między sobą, szanowali swoje obyczaje. Ale owi wielcy panowie, w których wciąż odzywała się zaborcza krzyżacka krew i którym marzyły się podboje, zawsze krzywo patrzyli na wszystko, co miało jakikolwiek związek z Polską i polskością. To oni rozpoczęli prześladowania tych, którzy czuli się Polakami i chcieli nimi pozostać.

Stąd właśnie, z dawnych Prus Wschodnich wyruszyły w 1939 roku hordy hitlerowskie. I gdy faszyzm niemiecki doznał klęski, cztery wielkie mocarstwa, które przewodziły w walce z hitlerowską potęgą, zdecydowały, że Prusy Wschodnie, gniazdo jadu nienawiści — muszą przestać istnieć, ludność niemiecką zaś należy przesiedlić w głąb Niemiec. I tak się stało. Ci, którzy nie umieli żyć w pokoju i poszanowaniu wzajemnych tradycji, musieli odejść na zawsze.

Ale przecież przeszłości nie da się wymazać z kart historii. Będziemy zawsze pamiętać, że na tej ziemi urodziło się i wyrosło wielu wspaniałych synów narodu niemieckiego, takich jak Herder, jak wynalazca szczepionki przeciw dyfterytowi Emil Behring lub wielki pisarz Ernst Wiechert, piewca Puszczy Piskiej. Jego książka została przetłumaczona na język polski, pomaga nam zrozumieć i jeszcze bardziej kochać ten kraj.

Podobnie jak Reymont osadził akcję swych „Chłopów” w prawdziwej wsi Lipce, choć bohaterów i ich sprawy wprowadził tam na mocy swej wyobraźni literackiej, tak Wiechert wprowadził swych bohaterów do prawdziwej wsi Sowiróg. Jakże wygląda ten jego Sowiróg? Jest bogaty pan von Balk, w gruncie rzeczy dobry i uczynny dla ludzi, lecz jakże czujny i wrogi, gdy we wsi w okresie plebiscytu, który miał zdecydować, do kogo będzie należeć Puszcza Piska — do Niemiec czy do Niepodległej Polski, pojawiają się agitatorzy polscy. I są mieszkańcy wsi — prości ludzie, Jerominowie, Piontki, Gonsiory, Daidy, Goguny, Glumeidy — nazwiska polskie i staropruskie, lecz także i niemieckie — Grunheidy, Tatar Czwallinna, ruskie — Bojary. A więc owa mieszanina narodowościowa, na ogół ciemna i zacofana, którą potem już na siłę hitlerowcy próbowali całkowicie zniemczyć.

Wiechert urodził się w leśniczówce w Pierśławku. Dom ten istnieje do dzisiaj. Wrażliwy pisarz ukochał lud tej ziemi, obce mu były nienawiść i szowinizm narodowy, dlatego jego opowieść o Puszczy Piskiej stała się nam bliska. Bliscy także są nam bohaterowie jego Sowirogu, który pozostał już tylko nazwą na mapie, bo przewaliła się przez niego burza dziejowa. Jak pisze w postłowie sam autor: *Trzeci tom tej książki ciężkimi i straszhliwymi literami napisała historia i żadna twórczość literacka nie ma prawa opromieniać blaskiem tych okropności.*

Ernst Wiechert dobrze wiedział, kto stał się sprawcą tych okropności, przed którymi wzdragało się jego pióro. Był więźniem hitlerowskiego obozu śmierci w Buchenwaldzie i swoje przeżycia opisał w innej wstrząsającej książce zatytułowanej „Las umarłych”. Nie miał on także żadnych wątpliwości, jaki stosunek miała mazurska ludność do tych, którzy w 1939 roku wjechali do Sowirogu na czołgach ze swastykami, aby zaatakować Polskę. Opisuje tę scenę na ostatnich stronach „Dzieci Jerominów”:

Zapadł pierwszy łagodny zmierzch, gdy wrócił do wsi. Ludzie stali jeszcze zgromadzeni tak jak szli i patrzyli nieprzychylnymi oczyma na pierwsze czołgi, które trafiły do Sowirogu, na ową rogatą bestię, która wynurzyła się z morza. Dla nich nie było to nic innego, a działa, groźnie wzniesione ku górze, stały się znakiem, który Bóg dał bestii. Młodzi ludzie, stojący w wieżyczkach, śmiali się do nich, dumni i pewni potęgi, co pod nimi porusza się niepowstrzymanie na stalowych gąsienicach. Ale twarze ludzi z Sowirogu nie drgnęły. Nie było

im do śmiechu. Więc milkły powoli żarty, a młodzi zwycięzcy pomyśleli z urazą i lekceważeniem, że przyjechali do wsi dzikusów, żyjących z dala od prącego naprzód życia. A niektórzy myśleli, że może to już polska wieś, i że spokojnie można by skierować na początek działa na te szare, nieprzyjazne chaty.

I te słowa brzmiały ciągle w mej pamięci, gdy pewnego majowego dnia przyjechałem swym wehikułem do nie istniejącej już dziś wioski Sowiróg. Nie byłem sam. Towarzyszył mi czarny mercedes pani Grety Herbst i eleganckie volvo, w którym siedzieli Albert von Dobeneck i jego narzeczona, Berta von Strachwitz. Lecz co ciekawe — o ironio — tylko ja, Polak, starałem się spojrzeć na ten skrawek ziemi oczami wyobraźni wielkiego niemieckiego pisarza. Szukałem na jeziorze wyspy, na której umarł stary Michał Jeromin i drogi, po której młody Jons odszedł do miasta, aby zostać lekarzem ubogich ludzi. Ci, co mieli przed nazwiskiem owe „von”, myśleli tylko o biżuterii, która zginęła ze schowka na Czarcim Ostrowie.

Wyjąłem z kieszeni kartkę papieru, na której pan Eugeniusz z Wejsun zrobił szkic sytuacyjny wioski i kółeczkiem zaznaczył miejsce, gdzie prawdopodobnie zamieszkiwał kiedyś Kurt Piontek.

Zszedłem nad brzeg jeziora, które o tej porze roku miało przejrzystą, niebieską barwę, nieco głębszą i ciemniejszą od czystego nieba. Dopiero w porze kwitnienia traw jeziora mazurskie stają się nieco zielonkawe.

Przybrzeżne trzciny obrastały jezioro rudawym pasmem, ale wyżej już była młoda zieleń krzewów i drzew. Powietrze pachniało wodorostami i czymś nieokreślonym, ale wyczuwalnym — cudownym zapachem wody i lasu.

Przedarłem się przez krzaki młodej wierzby i odnalazłem kamienny prostokąt, pozostałość po fundamentach drewnianej chałupy.

— Tu mieszkał Kurt Piontek — oświadczyłem pani Herbst i Dobeneckowi. — Była to drewniana chałupa, kryta trzcina.

Trudno oczywiście dziś powiedzieć, z kim się przyjaźnił Piontek, do kogo chodził, u kogo znalazł stary wiersz Goethego.

Alfred von Dobeneck miał wyraźnie złą minę i z niechęcią przyjął moją informację. Było dla niego coraz bardziej oczywiste, że jego biżuteria ulotniła się, a czas zatarł wszelkie tropy, które wiodły do schowka. Panna Strachwitz okazywała obojętność — no cóż, ona zdaje się była bogata i nie musiała się przejmować stratą biżuterii narzeczonego. Tylko pani Herbst słuchała mnie z uwagą i zmarszczonymi brwiami, jak gdyby zastanawiała się nad czymś bardzo pilnie.

— To była kiedyś ludna wioska — stwierdził wrogo Dobeneck. — A teraz widzę pustkowie.

— To prawda — przytaknąłem. — Ale to zrobiła wojna, którą rozpętali także i Dobeneckowie.

— Pan nie ma prawa tak mówić — oburzył się.

— Pański ojciec był wyższym oficerem hitlerowskim. Pański dziad również był wyższym oficerem niemieckim.

— Wojnę wywołał Hitler — wzruszył ramionami Dobeneck. — Ale wy nie mieliście prawa wysiedlać stąd Niemców, zabierać im majątki i ziemie.

Odpowiedziałem spokojnie:

— Cztery wielkie mocarstwa, panie Dobeneck, rozkazały w Poczdamie, aby wysiedlić stąd ludność niemiecką. Nie było jej tu zresztą już tak wiele. To gauleiter Prus Wschodnich, Koch, kazał im wszystkim się stąd ewakuować i setki tysięcy ludzi zamarzło i zginęło podczas panicznej ucieczki przed Armią Czerwoną. Wysiedlono stąd jednak von Balków i Dobenecków, tych wszystkich, którzy nie umieli żyć w przyjaźni z polską ludnością.

— Kto to był von Balk? — zainteresował się Dobeneck.

— Właściciel Sowirogu, okolicznych lasów i jezior z powieści niemieckiego pisarza Ernsta Wiecherta. Von Balk czuł się Niemcem, tak jak i pan, panie Dobeneck. Miał do tego prawo. Ale czy miał prawo zmuszać polską ludność, owych Piontków, Gonsiorów i innych, aby także czuli się Niemcami, zamykać polskie szkoły, zabraniać nabożeństw w języku polskim, zamykać polskie gazety i polskie wydawnictwa, aresztować ludzi, którzy czuli się polskimi patriotami? Tu było dość miejsca i dla was, i dla nas. Ale wy zaczęliście sączyć jad nienawiści, chcieliście nie tylko Mazur, lecz i całej Polski, ba, całego świata. To się nie może powtórzyć, panie Dobeneck. Tak, Sowiróg już nie istnieje, ale pan sam widział nowe wsie, nowe miasta, które wyrosły na terenie, który był zacofany gospodarczo i ubogi. Za władzy niemieckiej Prusy Wschodnie to był kraj dziki, ciemny, zacofany. Teraz jest krajem kwitnącym.

— Nas nie da się wymazać z kart historii — odrzekł dumnie Dobeneck.

— Nikt tego nie usiłuje zrobić. Ale historia źle o was mówi — stwierdziłem. — Chciałbym jednak, aby pan wiedział, że pozostał tu Herder, Behring, Wiechert i wielu innych. Wy, Dobeneckowie, chcieliście, żeby — jak pisze jeden z polskich pisarzy — nawet każdy kamień na Mazurach mówił do was po niemiecku, a my otwieramy muzeum Herdera, dumni jesteśmy, że w Ławicach urodził się Emil Behring, publikujemy książki Ernsta Wiecherta. Dla was każdy Polak był zły. My umiemy odróżniać Niemca, który wniósł wkład do kultury światowej i dorobku myśli ludzkiej, od tych, którzy uczyli nienawiści i zachęcali do gwałtu. Pan dobrze wie, dlaczego jestem tutaj razem z panem. Pan szuka swojej biżuterii, a ja pamiątek niemieckiej i polskiej kultury. Chcemy wydobyć na światło i obnażyć z przeszłości wszystko, co było na tej ziemi wspaniałe i godne uwagi; nieważne, czy uczynił to Polak, czy Niemiec. Interesujemy się historią Jenny von Gustedt tak samo jak historią pani Walewskiej, która spędziła kilka miesięcy w Kamieńcu, w dawnym powiecie suskim. My nie chcemy wymazać przeszłości, bo z niej czerpiemy swoje racje, swoją siłę, uczymy się lepiej kochać

i rozumieć tę ziemię. O Herderze uczyłem się w polskiej szkole i kocham wiersze Goethego, a wy paliliście na stosach wiersze Mickiewicza. Niemiec Wiechert także pozwala mi zrozumieć i kochać Mazury, choć tak dobrze pisze o von Balku. Czy zdobyliście się na to, aby wydać „Na tropach Smętka” Wańkowicza? Pan by mi nigdy nie dopomógł szukać rękopisu Gizewiusza czy Kętrzyńskiego, a ja chcę znaleźć listy Herdera, wiersze Goethego. I powiem panu, dlaczego tak jest. Bo wy zawsze czuliście się tu obcymi, każde polskie słowo zagrażało waszej egzystencji. A my czujemy się tu gospodarzami i w naszym obszernym domu znajdziemy miejsce dla Jenny von Gustedt, dla Herdera i dla Behringa.

Skończyłem to swoje trochę przydługie przemówienie. Nie sądzę, aby moje słowa trafiły do duszy Dobenecka. Ale nie chciał ze mną polemizować. Panna von Strachwitz odezwała się polubownie:

— Nie kłóćmy się o przeszłość. Ważna jest terażniejszość. Czy istnieje szansa odnalezienia biżuterii i starych manuskryptów?

— Nie wiem — bezradnie rozłożyłem ręce. — Wydaje mi się, że trzeba się jeszcze nad tym zastanowić.

— Tak — wtrąciła się pani Herbst. — Poszliśmy chyba w złym kierunku. Trzeba śledztwo zacząć od nowa. Należy przede wszystkim ustalić nazwiska ludzi, którzy brali udział w rozbiórce domu na wyspie.

— Słusznie — spojrzałem z uznaniem na panią Herbst.

To była jednak bardzo sprytna kobieta. Imponował mi jej sposób myślenia.

I mnie trapiła myśl, że idziemy w fałszywym kierunku. Poprosiłem listownie pana Eugeniusza z Wejsun, aby wywiedziało się w Niedźwiedzim Rogu i okolicach, czy ktoś pamięta nazwiska ludzi, którzy przed laty rozbierali budynek na Czarcim Ostrowie. Teraz czekałem na odpowiedź.

— Wątpię, aby udało się ustalić choć jedno nazwisko — odezwała się milcząca dotąd Monika.

Ją również obrzuciłem uważnym spojrzeniem. Musiałem stwierdzić, że od czasu podróży z Dobeneckiem na Czarcie Ostrów moja współpracowniczka bardzo się zmieniła. Odniosłem wrażenie, że waży każde słowo, jest dziwnie czujna i ostrożna.

Czyżby podejrzenie, które w kawiarni hotelu „Bristol” wysunął Waldemar Batura, okazało się słuszne? A może to przyjazd pani Herbst tak na nią podziałał? Monika, która chciała zostać detektywem, zetknęła się z kobietą, która już była prawdziwym detektywem i raz po raz zaskakiwała swoim sprytem i przenikliwością. A przy tym odznaczała się nieprzeciętną urodą.

W moim samochodzie, w drodze z Warszawy do Sowirogu, Monika zaczęła mi nawet robić coś w rodzaju wyrzutów o charakterze służbowym. Jechałem pierwszy, za mną toczył się samochód pani Herbst, na końcu zaś wóz Dobenecka. A Monika, odwracając się często do tyłu, powtarzała:

— Dlaczego pani Herbst trzyma się tak blisko pańskiego wozu? Przekona się pan, że gdy się coś przydarzy, nie zdąży zahamować i uderzy w tył wehikułu.

— Jest dobrym kierowcą — tłumaczyłem. — Wiem o tym, bo z nią jeździłem po Frankfurcie.

Stwierdziła z przekąsem:

— Domyślam się, że spędził pan w jej towarzystwie wiele przyjemnych chwil...

— To nie były przyjemne chwile — odparłem.

— Szkoda — mruknęła — bo ona się panu bardzo podoba, prawda?

— Tak.

— I co pan w niej widzi pociągającego?

— Łączy urodę ze sprytem i inteligencją. A poza tym jest to kobieta poważna, a nie obciążona licznymi narzeczonymi. Myślę, że woli ładnie urządzone mieszkanie niż dyskotekę.

— Ja też już nie chodzę do dyskoteki, szefie — oświadczyła. — Ale od czasu, gdy Schreiber wysłał o panu opinię, że jest pan zbyt wrażliwy na urodę kobiecą, traktuje mnie pan jak gońca, którego można wysłać byle gdzie i z byle kim, choćby z takim Dobeneckiem. Nie okazuje pan jakoś czujności wobec pani Herbst, która, jeśli się nie mylę, też jest ładną kobietą.

— Co pani ma na myśli?

— Pozwoliłam sobie zadzwonić do Muzeum Goethego we Frankfurcie i zapytałam kustosa, pana Guntera, o którym mi pan opowiadał, czy nie ma jakichś nowych poleceń dla swego detektywa, czyli pani Grety Herbst. I pan Gunter wyraził swoje zdziwienie, że pani Herbst jest w Polsce. Innymi słowy list od Guntera do dyrektora Marczaka został po prostu sfalszowany.

— Co takiego?! — aż mi tchu zabrakło.

Byłem zaskoczony do tego stopnia, że bezwiednie przycisnąłem hamulec.

Na szczęście pani Herbst była rzeczywiście kierowcą o szybkim refleksie i zatrzymała swój wóz o kilka centymetrów za moim tylnym zderzakiem.

Po chwili ruszyłem dalej, ale w lusterku wstecznym zauważyłem, że pani Herbst wzruszyła ramionami nie pojmując, dlaczego ni stąd ni zowąd zatrzymałem gwałtownie swój samochód.

— Czemu mi mówi pani to dopiero teraz? — zapytałem.

— Bo i ja mam swoje detektywistyczne ambicje — odparła. — Postanowiłam mieć panią Herbst na oku i w odpowiedniej chwili zdemaskować ją. Ale zrobiło mi się pana żal i dlatego zdecydowałam się pana uświadomić. Niech się pan trzyma z daleka od tej kobiety, Panie Samochodzik.

— Nie lubię, gdy ktoś tak mnie nazywa — mruknąłem. A potem dodałem: — Zdaje mi się, że i od pani też się należy trzymać z daleka.

— No trudno, przeboleję — wzruszyła ramionami.

I pozostała obrażona aż do Sowirogu. A tutaj w czasie rozmowy w sprawie dalszego śledztwa oświadczyła:

— Nazwisk tych ludzi, którzy rozbierali letni dom na Czarcim Ostrowie, chyba nie da się tak łatwo ustalić. Mimo to powinniśmy tu pozostać. Możemy zrobić kilka wycieczek w najbliższe okolice Sowirogu i wypytać miejscowych ludzi, czy któryś z nich nie przyjaźnił się z Piontkiem, czy nie ma na strychu skrzyni ze starymi papierami.

— Nie przyzna się — pokręciła głową pani Herbst. — Przecież chodzi także o biżuterię.

— A właśnie, że może się przyznać — upierała się Monika. — Ta historia już uległa przedawnieniu. Minęło dwadzieścia pięć lat. Jeśli ktoś znalazł schowek i przywłaszczył sobie jego zawartość, nie można już go za to ukarać.

— Słusznie — przytaknęła panna von Strachwitz. — Pozostańmy więc tutaj do jutra i zróbmy, jak radzi panna Monika. Mamy przecież namioty i sprzęt kempingowy w samochodach.

Monika wyraźnie chciała pozostać w Sowirogu. Czyżby naprawdę sądziła, że ktoś przyzna się do odnalezienia i obrabowania schowka? Zauważyłem, że Monika raz po raz rzuca niespokojne spojrzenia w stronę pobliskiego lasu, jakby wypatrywała kogoś. Ale nie mogła przecież wiedzieć, że i ja pragnę tutaj na kogoś zaczekać.

— Zgoda — oświadczyłem. — Weźmy się więc do budowy obozowiska.

Ale tak prawdę mówiąc nie było z tym wiele roboty. Samochody miały rozkładane siedzenia, które tworzyły bardzo wygodne tapczany. Zdecydowałem, że Monika będzie spała w wehikule, sobie zaś postawię namiocik, do którego zresztą wprosił się młody Dobeneck, jako że jego volvo miała zająć panna von Strachwitz.

A wokół nas od lekkich podmuchów wiatru marszczyło się jezioro, szumiały cicho nadbrzeżne krzaki. Powoli minęło południe i nadszedł wieczór — w maju słońce zachodzi po godzinie dziewiętnastej, a więc dzień już jest stosunkowo długi.

Na jeziorze pokazali się pierwsi turyści, przeważnie kajakowicze. Płynęli znanym szlakiem turystycznym od strony Wiartła aż do Rucianego, a potem przez Guziankę na Bełdany i na wielkie rozlewisko Śniardw.

Spacerowałem samotnie nad brzegiem rozkoszując się młodą zielenią oczerętów i obserwując pierwsze kłosa zarodnikowe skrzypu bagiennego. W niewielkich zatoczkach wśród pływających zielonych liści zauważyłem drobne białe kwiatki jaskrów wodnych.

Wieczór był wyjątkowo ciepły, toteż odezwały się żaby, wypełniając ciszę głośnym rechotaniem, które to milkło, to znów wybuchało wrzawą, jakby tym koncertem kierował jakiś dyrygent.

— Pięknie tu — usłyszałem za swymi plecami głos panny Berty von Strachwitz.

— Tak — przyznałem.

— Nie żałuję, że tu przyjechałam, choć nie wierzę, aby udało się Alfredowi odzyskać rodzinną biżuterię. Mnie zresztą w ogóle na tej biżuterii nie zależy, ale Alfred ma długi i został bez pieniędzy.

— Może zacząć pracować... .

— On? — zaśmiała się — przecież nie ma żadnego wykształcenia. Stara pani von Dobeneck chciała, aby został prawnikiem, ale Alfredowi nie w głowie była nauka.

— A pani? — zapytałem z ciekawości, że tak niezbyt pochlebnie wyraża się o swoim narzeczonym.

— Moi rodzice są bogaci — powiedziała, jakby to wszystko tłumaczyło.

Nie była ładna. Miała zbyt grube nogi i przysadzistą sylwetkę, długi nos i wąskie usta, ale oczy patrzyły bystro i wyrażały dużą inteligencję. Dobeneck należał do mężczyzn bardzo przystojnych — może jej się podobał i dlatego została jego narzeczoną, bo o jego charakterze i wiedzy zdaje się nie miała zbyt wygórowanego zdania.

— Niech mi pani wyjaśni — odezwałem się — dlaczego wtedy we Frankfurcie urządziliście tę maskaradę, w której i pani wzięła aktywny udział?

Roześmiała się:

— Nie domyśla się pan? Miałam pana za sprytnego detektywa.

— Sądzę, że pani narzeczonego usiłował na własną rękę dobrać się do schowka, ale otrzymał z Polski wiadomość, że schowek opróżniono. I pozostała jedyna nadzieja, że to my wpadniemy na trop zaginionych zbiorów i zwrócimy mu biżuterię.

— Tak — przyznała z uśmiechem.

— Nie będę pytać, kim był człowiek, który przekazał wam informacje z Polski, bo wiem, że i tak nie powie mi pani prawdy. Ale przecież mógłbym się od pani dowiedzieć, czego on szukał w Gardzieniu?

— Ach, nie ma w tym niczego podejrzanego. Po prostu Alfred poprosił, aby zrobiono mu fotografię jego rodzinnego domu. No cóż, Alfred bywa niekiedy bardzo sentymentalny. Myślę, że to właśnie świadczy o jego charakterze.

— Owszem — przytaknąłem bez większego przekonania. Znałem kilku bardzo sentymentalnych ludzi, którzy potrafili być niezwykle bezwzględni i okrutni. Pamiętniki i relacje o największych zbrodniarzach hitlerowskich prezentują nam ich jako ludzi sentymentalnych, którzy lubili muzykę, kochali ptaszki, głaskali swoje dzieci po główkach, a jednocześnie tysiące, ba, miliony wysyłali do komór gazowych.

— Czy dużo pan zarabia? — nieoczekiwanie zapytała mnie panna von Strachwitz. — Wnioskując po pana staroświeckim samochodzie nie otrzymuje pan wysokiej pensji.

— Zarabiam mało — przytaknąłem — ale ten, kto was poinformował, że schowek na Czarcim Ostrowie został opróżniony, przekazał chyba także i opinię o mnie. Jestem nieprzekupny, ale wrażliwy na urodę kobiecą.

— A ja nie jestem ładna — westchnęła z udanym ubolewaniem.

Zapał już zmierzch, gdy powróciliśmy do naszego obozowiska.

Pani Herbst myła garnki nad wodą. Monika wracała właśnie od strony lasu z samotnego spaceru. „Czemu poszła do lasu, a nie nad jezioro?” — zastanawiałem się przez chwilę, ale nie mogłem znaleźć w tym niczego podejrzanego. Nie każdy przecież, podobnie jak ja, woli wodę niż las.

Nadeszła noc. Księżyc miał kształt sierpa i rzucał na ziemię zimny, zielonkawy blask.

— Dobranoc — powiedziała do nas pani Herbst i pierwsza poszła spać. Potem to samo zrobiła Monika, a także Berta von Strachwitz.

Młody Dobeneck połknął jakąś pigułkę nasenną i także zaszył się w śpiworze w moim namiocie. Gdy po kwadransie i ja znalazłem się obok niego, spał już mocno, cicho pochrapując.

Leżałem i rozmyślałem. Słyszałem rechotanie żab, ale wreszcie i żaby umilkły. Kilkakrotnie spoglądałem na fosforyzującą tarczę zegarka, najpierw o dziesiętej w nocy, potem o dwunastej. Mimo chrapania Dobenecka zaczynałem już drzemać, gdy wreszcie usłyszałem oczekiwany głos puszczyka, który dochodził od skraju lasu. A więc Winnetou zjawił się z informacją od pana Eugeniusza.

Cicho wymknąłem się z namiotu i już na zewnątrz pośpiesznie naciągnąłem na pidżamę welwetowe spodnie i bluzę. Ubierając się bezwiednie zerknąłem do swego samochodu i ku memu zdziwieniu stwierdziłem, że nie ma w nim Moniki. Głośny rechot żab zagłuszył chyba szmer otwieranych drzwiczek samochodu.

Ostrożnie na palcach minąłem mercedesa. Pani Herbst także nie było. Kołdra leżała odrzucona na bok, widziałem prześcieradło i poduszkę.

Tylko panna Berta von Strachwitz spokojnie spała w samochodzie Dobenecka.

„Do licha — pomyślałem — gdzie się podziały nasze dwie Gracje?”

Znowu usłyszałem płacz puszczyka na skraju lasu. Nie pozostało mi nic innego, jak udać się tam, gdzie czekał na mnie mój przyjaciel.

Las rósł o sto metrów od naszego obozowiska. Przebyłem szybko przestrzeń porośniętą trawą i krzakami, i usłyszałem ciche „pssst”. Z mrocznego cienia gęstej ściany drzew wyłoniła się szczupła sylwetka Winnetou.

Mój przyjaciel wziął mnie w milczeniu za rękę i poprowadził do głębokiego wykrotu, który pozostał po jakimś zwalonym drzewie. Przykucnęliśmy w dole i wtedy Winnetou zapalił latarkę, a potem podał mi złożoną we czworo kartkę.

Przeczytałem:

*Drogi Panie Tomaszu. Bez trudu ustaliłem nazwiska tych, którzy
zimą 1949 roku rozebrali jakiś budynek na Czarcim Ostrowie. Wielu*

ludzi w Niedźwiedzim Rogu i Głodowie ich pamięta. To było takich trzech cwaniaków, którzy z województwa warszawskiego przybyli na te tereny i chcieli się szybko dorobić. Jeden z nich miał traktor i przycepe, rozbierali stare domy i handlowali cegłą. Gdy w 1949 roku zima mocno skuła Śniardwy, pojechali po lodzie na Czarcim Ostrów i rozebrali tam jakiś budynek, materiał przewieźli na brzeg. Od tego czasu już się w tej okolicy nie pokazali. Jeden z nich nazywał się Krostek i podobno z tego materiału budowlanego postawił sobie piękną willę w Łodzi. Drugi nazywał się Makulski i podobno kupił i odbudował pięknie jakieś gospodarstwo niedaleko Wojnowa, ale uprzednio mieszkał w Zamordejach i to być może on kontaktował się z owym Piontkiem, bo to tylko kilka kilometrów od Sowirogu. Trzeci z tych osobników, nazwiskiem Wągrowski, osiadł aż gdzieś koło Ostródy. Każdy z nich, jak powiadają, dorobił się niezłego majątku, co wskazuje na to, że być może odnaleźli na Czarcim Ostrowie jakiś skarb. Ale z drugiej strony w owym czasie były duże trudności z materiałami budowlanymi, oni mieli traktor i mogli się dorobić na niedozwolonym procederze rozbierania starych budynków i handlu ceglami.

Starannie złożyłem list i schowałem go do kieszeni bluzy.

— Czeka mnie wiele roboty — stwierdziłem.

— Wiem. Czytałem mówiące pismo naszego przyjaciela — odrzekł Winnetou. — Szara Sowa może liczyć na pomoc Winnetou.

— Dziękuję ci — uściśkałem mocno przyjaciela, bo jego udział w poszukiwaniach mógł być bezcenny. Znał dobrze Mazury, a także wielu tutejszych mieszkańców.

Winnetou uśmiechnął się zagadkowo, a potem rzekł:

— Wiem, o kim pomyślał mój brat, Szara Sowa. Pożałował, że nie ma wśród nas Wielkiego Bobra, przed którym ludzie łatwo otwierają domy i serca. On by się przydał w poszukiwaniu tropów trzech białych twarzy.

— Tak — skinąłem głową. — Myślałem o Wielkim Bobrze. Ciekawe, czy wyruszył on już na mazurskie szlaki swoim elektrycznym mustangiem?

Winnetou uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Wielki Bóbr jest na szlaku od początku kwietnia. Winnetou go spotkał.

— Naprawdę? — uradowałem się.

— Spotkałem wczoraj Wielkiego Bobra u pana Eugeniusza. Opowiedziałem mu o kłopotach Szarej Sowy i przewidując, że Szara Sowa zechce szukać Makulskiego, wysłałem Wielkiego Bobra do Wojnowa. Nikt lepiej od niego nie potrafi szukać zaginionych tropów.

Byłem szczęśliwy. Więc znowu wkrótce spotkam Wielkiego Bobra. Miałem także pewność, że nie umknie jemu uwadze żaden ślad po Makulskim.

Tak to już bowiem jest, że niemal każda piękna kraina rodzi osobników ogromnie zakochanych w swoim regionie, gotowych poświęcać mu swój cały czas, uwagę i wysiłek. Należał do nich pan Eugeniusz, nauczyciel z Wejsun, należał do nich artysta-plastyk o przydomku Winnetou, zaliczał się również do nich i człowiek, którego przewaliliśmy Wielkim Bobrem. Niektórzy być może uważali ich za dziwaków, bo zamiast gonić za groszem, gotowi byli od świtu do nocy poświęcać swój czas sprawom regionu, dzieląc się swoją wiedzą z turystami, z pisarzami, z naukowcami. Ale w moim pojęciu byli to po prostu społecznicy, których urzekło piękno ojczystej ziemi.

Wielki Bóbr był emerytowanym pocztowcem. Wyremontował pocztowy wózek, napędzany elektrycznym silnikiem. Wózek obudował — miał na nim łożo do spania, kuchnię gazową, garnki, zapasy żywności, prostownik do ładowania akumulatora. I od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni przemierzał ojczyste drogi. Z upoważnienia Zarządu Głównego Ligi Ochrony Przyrody interesował się zabytkami i pomnikami przyrody, ich stanem i opieką. I niejedną wspaniałą cis, dąb czy stara sosna ocalały dzięki interwencjom i trosce Wielkiego Bobra. W iluż to domach przyjmowano go gościnnie, w iluż domach pozwalano mu naładować wyczerpany przez drogę akumulator. Za tę gościnność odwdzięczał się opowiadaniem o przeżywanych przygodach, o pięknych zakątkach, o ciekawych ludziach, których spotkał.

I ten oto człowiek postanowił pomóc mi w moich kłopotach i wyruszył swym elektrycznym wózkiem do Wojnowa, zamieszkałego przez nieufnych i ostrożnych w swych sądach starowierców. Byłem pewien, że potrafi on zdobyć ich zaufanie i uzyskać potrzebne informacje.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NOCNY POWRÓT MONIKI • DZIWNY TURYSŃCI • BATURA,
PAN FELUŚ I INNI • BANDA NIEWIDZIALNYCH • CO RO-
BIĆ W NOWEJ SYTUACJI? • BŁĘKITNA PIDŻAMA MONIKI
• DLACZEGO WSZYSCY CHCĄ MNIE POŻEGNAĆ? • BLON-
DYN W VOLKSWAGENIE • CO ROBI ZAZDROSNY MAŻ? •
GUBIĘ BLONDYNA

— Czy mój brat, Winnetou, oczekując na mnie na skraju lasu, nie widział żadnej białej skwaw? — zapytałem.

— Nie — odparł zdecydowanie. — Żadna biała twarz nie szła tędy, odkąd Winnetou zjawił się, aby spotkać Szarą Sowę.

Opowiedziałem przyjacielowi o tajemniczym zniknięciu dwóch pań.

— Mój brat, Szara Sowa, chyba nie podejrzewa o nic złego białą skwaw, która zmienia skalpy? — zmartwił się Winnetou.

— Niestety, to młoda skwaw. Język jej być może jest podwójny.

Winnetou zamyślił się, a potem rzekł:

— Mamy dopiero maj, a tak wielu turystów przebywa już na Mazurach. Gdy szedłem wzdłuż jeziora na spotkanie z Szarą Sową, widziałem aż dwa obozowiska nad brzegiem w pobliżu Sowirogu. Być może w jednym z tych obozów odnajdziemy którąś ze skwaw.

Zerwałem się ze swego miejsca.

— Winnetou ma rację. Idziemy, przyjacielu! Niech Winnetou poprowadzi mnie do tych obozów. Podkradniemy się do nich jak węże.

I po chwili wyszliśmy z ciemności leśnych na oświetloną łąkę zwaną Biesy, która kiedyś była zapewne bagnem. To być może właśnie gdzieś tutaj utonął wesoły Gogun ścigany przez Kozaków w powieści „Dzieci Jerominów”. Jakiś czas szliśmy skrajem łąki, aż zbliżyliśmy się do piaszczystej drogi prowadzącej do Sowirogu.

— Padnij! Ktoś nadchodzi! — doszedł mnie ledwie słyszalny szept Winnetou.

Skryłem się za dużym krzakiem tarniny, a obok przycupnął mój przyjaciel. Miał on o wiele bystrzejszy wzrok od mojego, toteż znacznie wcześniej niż ja

dostrzegł ciemną sylwetkę ludzką, idącą drogą od lasu w stronę jeziora. Ów „ktoś” posuwał się szybko, od czasu do czasu oświetlając latarką ziemię pod nogami, aby nie wdepnąć w liczne kałuże. Nie świecił jednak ciągle, jakby chciał oszczędzać baterie lub obawiał się, że światło może zostać przez kogoś dostrzeżone. Toteż raz po raz wpadał w kałuże i usłyszeliśmy, jak syczy ze złości.

Gdy był już blisko nas, znowu wdepnął w błoto. Usłyszałem jego „do licha” i rozpoznałem głos Moniki. Zabłysnęła na chwilę latarka i wtedy upewniłem się, że to Monika. Była ubrana w pidżamę, na którą narzuciła ciepłą kurtkę. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna poszła spać, ale potem nagle zerwała się, w pośpiechu narzuciła tylko kurtkę i wyruszyła do lasu.

— Może ona śledziła drugą skwaw? — zwrócił mi uwagę Winnetou, kiedy Monika zniknęła w ciemnościach.

To było prawdopodobne. Być może Monika zauważyła, że pani Herbst wymyka się w nocy z obozu i poszła za nią. Świadczyłoby to, że pani Herbst udała się w stronę lasu, a nie do obozowiska turystów, którzy biwakowali nad jeziorem.

Przyśpieszyliśmy teraz kroku, bo czas mijał nieubłaganie, wskazówki mego zegarka informowały, że minęła już pierwsza w nocy. — Psssst! — syknął ostrzegawczo Winnetou.

Znaleźliśmy się już nad brzegiem jeziora, mniej więcej półtora kilometra od naszego obozu. Rósł tutaj dziesięcioletni młodnik, tworzący gęstą i zwartą ścianę. Lewy skraj młodnika dochodził niemal do samej wody, ale bardziej na prawo, wzdłuż niewysokiej skarpy biegła szeroka droga.

— Nieco dalej jest dość duża polana — szeptem poinformował mnie Winnetou. — I tam znajduje się pierwsze obozowisko turystów.

Mój przyjaciel wziął mnie za rękę i krok za krokiem, wolno i ostrożnie, nie wywołując szelestu poszliśmy drogą przez młodnik, który skończył się po stu metrach. Potem otworzyła się duża polana, za którą znajdował się chyba starodrzew, bo widziałem czarną ścianę wysokich drzew.

Stały tutaj dwa samochody, a obok wokół turystycznego stolika z lampą gazową siedziało trzech mężczyzn. Na stoliku leżała duża karta papieru, którą studiowali z największą uwagą.

Winnetou puścił moją rękę i położył się na ziemi, a potem skrajem młodnika zaczął się czołgać przez wysoką trawę, aby znaleźć się najbliżej miejsca, gdzie siedzieli turyści. Zrobiłem to samo i czołgałem się jego śladem.

— Ja pojedę przez Uktę do Wojnowa, a Janek i Felek wyruszą do Łodzi i ustalicie miejsce zamieszkania Krostka — rozpoznałem głos Batury i domyśliłem się, że mają przed sobą mapę samochodową Polski.

— A może lepiej zająć się najpierw odszukaniem Wągrowskiego, który mieszka gdzieś koło Ostródy? — dorzucił jeden z mężczyzn.

— Nie ty tu rządzisz, tylko ja — burknął Batura. — I dosyć dyskusji, chłopaki. Trzeba zaraz wyruszyć w drogę. Każdy w swoją stronę.

To mówiąc Batura zwinął mapę i przeciągnął się.

Teraz światło lampy gazowej wyraźniej oświetliło pozostałych. Rozpoznałem Rudego Janka, którego już miałem „przyjemność” oglądać w zrujnowanym dworze w Gardzieniu. Trzeciego z bandy też już chyba niejednokrotnie widziałem, ale dłuższą trwało chwilę, zanim uświadomiłem sobie, w jakich to nastąpiło okolicznościach. No tak, to był najpewniej Pan Feluś, który kiedyś na słynnym Bazarze Różyckiego miał stragan ze starzyzną, sprzedawał stare świeczniki, mosiężne klamki do drzwi, klucze, zamki, lampy naftowe i innego rodzaju rupiecie. Teraz chyba został członkiem bandy Waldemara Batury, który uważał się za króla handlarzy antyków, co świadczyło, że u Pana Felusia nastąpił wzrost ambicji zawodowych.

Dotknąłem ręką Winnetou, który czołgał się przede mną i dałem mu znak, że pora wycofać się na drogę. Było oczywiste, że już nie zobaczymy tu ani nie usłyszymy niczego ciekawego.

— Ufff — sapnął Winnetou, gdy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od obozu Batury — Duduś i jego ludzie mają te same informacje, które zdobył dla nas pan Eugeniusz. Wiedzą o Krostku, Makulskim i Wągrowskim.

— Nie dziwi mnie to — stwierdziłem. — Po prostu podobnie jak i pan Eugeniusz wypytywali mieszkańców Wejsun i Niedźwiedziego Rogu, i dowiedzieli się o trzech cwaniakach, którzy rozebrali spalony dom na wyspie. Zresztą, Batura chyba zna się z mieszkańcami Niedźwiedziego Rogu, bywa przecież u mecenasowej Popławskiej.

— Jak daleko stąd jest drugi obóz, o którym wspomniał Winnetou? — zapytałem.

— Pół kilometra dalej nad brzegiem jeziora.

— Pójdziemy i tam — zdecydowałem natychmiast. — Nie będę zdziwiony, jeśli i tamci „turyści” okażą się dobrymi znajomymi.

Ale wśród czterech drabów, którzy właśnie kończyli zwijanie obozu i ładowali swoje rzeczy do dwóch polskich dużych fiatów z warszawską rejestracją, tylko jeden okazał się znajomy: Piękny Lolo, czyli tajemniczy Blondyn w czarnym kapeluszu.

Obozowali na starej bindudze, to jest w miejscu, gdzie kiedyś zwożono i zsuwano do jeziora pnie drzew. Na bindugę prowadziła przez las szeroka droga, a że bindugi chyba już dawno nie używano, tu i ówdzie wyrosły już na niej kępy krzewów i młode drzewa. Także i brzeg jeziora był już trochę zarośnięty młodymi olszynami i olchami, które dały nam dobrą osłonę.

Tą grupą dyrygował średniego wzrostu grubas, zupełnie łysy, o głosie piskliwym i ostrym jak bat.

— Ruszać się! Żywiej, panowie! Prędeziej! — komenderował swoimi podwładnymi. — Przyjdzie taki dzień, że zdążymy się dobrze wyspać, ale teraz musimy się śpieszyć. Słyszeliście, co ona mówiła? Jeśli nie wyruszymy stąd zaraz, na gło-

wę zwali się nam Samochodzik. On ma w tych okolicach swoich szpiegów. Kto wie, czy któryś z nich już w tej chwili nas nie śledzi?

— Nie przesadzajcie, kierowniku — odezwał się Piękny Lolo. — Spotkałem ja tego Samochodzika. Wcale nie jest taki sprytny, jak o nim mówią. Waldek Batura go wykiwa. I powiem panu szczerze, kierowniku, że bardziej obawiam się Batury niż Samochodzika. Wczoraj wieczorem, gdy pytałem w Niedźwiedzim Rogu, kto rozbierał spalony budynek na wyspie, dowiedziałem się, że o to samo pytał już wcześniej Waldemar Batura. Ale o Samochodziku nikt tam nie słyszał.

Grubas roześmiał się piskliwie:

— Niczego innego nie pragnę, Lolo, jak spotkać się z Baturą. Ona kazała rozprawić się z Baturą szybko i po cichu, żeby nam w niczym nie przeszkadzała, bo dopóki Batura uważa się za króla handlarzy antyków ciągle nam może grozić niebezpieczeństwo. Na szczęście drzew w lesie nie brakuje. Przywiążemy do drzewa Baturę i jego chłopaków, zagrozimy im porządnie i wyślemy do domu. Zrozumiano?

— Rozumiem — zgodził się Lolo. — Ale niech się panu nie wydaje, że Batura to mały chłopczyk, który da się łatwo przywiązać do drzewa. On ma swoją bandę.

— My będziemy silniejsi — odparł chępliwie grubas. — Ona jednak poleciła mi dobierać ludzi bardzo starannie. To stała metoda Niewidzialnych. Lepszy jeden sprytny człowiek niż pięciu głupców.

— A jak ona wygląda? Czy jest młoda i ładna? — zainteresował się Piękny Lolo.

— Nie bądź za ciekawy, chłopcze — zgromił go grubas. — Widziałeś ją przecież.

— Wcale jej nie widziałem, kierowniku. Wyszła z lasu, zagwizdała jakąś melodyjkę, której nawet nie zapamiętałem. A pan kazał nam siedzieć przy samochodach i nie pozwolił pójść za sobą.

— Bo tak właśnie trzeba — oświadczył grubas. — To jest metoda Niewidzialnych. Wy macie prawo znać tylko mnie i ode mnie przyjmujecie rozkazy. Ja znam tylko ją i od niej otrzymuję rozkazy. Ona zaś także zna tylko jednego z Niewidzialnych, jemu przekazuje informacje i od niego dostaje rozkazy. Dzięki temu nawet jeśli któryś z Niewidzialnych wpada w ręce policji, wystarczy, że następny ukryje się i policja staje się bezradna. Dlatego nazwano ich Niewidzialnymi. Ale dość gadania, chłopaki. Gotowi jesteście? A co do Batury, mam już pewien sprytny plan, który wkrótce wprowadzimy w życie i nauczymy go szacunku dla Niewidzialnych. No, jazda, odjeżdżamy!

Warkot zapuszczanych silników zagłuszył jego ostatnie słowa. Banda wsiadła do samochodów, zabłyśły światła reflektorów i omiotły bindugę, ześlizgując się aż po powierzchni jeziora.

Samochody zawróciły i skierowały się na leśną drogę. Po chwili zniknęły w lesie, binduga pogrążyła się w mroku i ciszy.

— Ładna historia — powiedziałem, zapalając papierosa. — Okazuje się, że nazwiska i adresy ludzi, którzy odnaleźli zbiory doktora Gottlieba, znamy nie tylko my, ale i banda Batury, a także banda Niewidzialnych. Czy mój brat, Winnetou, nie sądzi, że zaczyna się robić coraz tłoczniej wokół tej sprawy? A ja, jak pan Zagłoba, bardzo nie lubię tłoku.

— Winnetou myśli, że obydwie bandy wezmą się za łby i zrobią miejsce dla Szarej Sowy — pocieszał mnie przyjaciel.

— I zaczęła działać jakaś ona — stwierdziłem ze złością. — Jakaś ona rozkazuje grubasowi.

— Szara Sowa dysponuje aż dwiema białymi skwaw — zaśmiał się Winnetou. — Dwie białe skwaw zachowywały się tej nocy bardzo podejrzanie.

Winnetou żartował sobie, a ja byłem naprawdę zaniepokojony. Powiedziałem do przyjaciela:

— Cała moja nadzieja w tym, że żadnej z tych band nie uda się chyba tak łatwo uzyskać dokładnego adresu Makulskiego. Wielki Bóbr jest w Wojnowie i zapewne trafił na właściwy trop, którego oni dopiero będą musieli szukać. Nawet jeśli pojedziemy do Wojnowa około południa i tak się skontaktujemy z Makulskim wcześniej niż oni.

— Ale Batura rozdzielił swoją bandę na dwie części i jedną grupę wysłał do Łodzi — zwrócił mi uwagę Winnetou. — W ten sposób, być może, uda mu się wcześniej niż nam wpaść na trop drugiego z trzech osobników, owego Krostka. Kto wie, czy tamten trop nie okaże się cenniejszy niż ten w Wojnowie?

— Pomyślałem i o tym — odrzekłem. — Gdybym miał zaufanie do Moniki, wysłałbym ją do Łodzi. Ale w tej sytuacji pozostaje mi jedynie dyrektor Marczak. Zadzwońię dziś do niego i poinformuję o wszystkim.

Nie było czasu na narady. Uścisnąłem dłoń Winnetou i po chwili mój przyjaciel ruszył w stronę Wojnowa, aby spotkać tam Wielkiego Bobra. A ja poszedłem wzdłuż brzegu jeziora, by przed świtem znaleźć się w swoim namiocie.

Cicho jak duch przekradłem się między samochodami. Księżyc właśnie zniknął, zrobiło się bardzo ciemno i to ułatwiło mi wślizgnięcie się do namiotu. Mimo mroku udało mi się jednak stwierdzić, że obie panie, które tej nocy gdzieś zniknęły, leżały już w samochodach. Także pan Dobeneck spał dalej smacznie, cichutko pochrapując.

Wsunąłem się do śpiwora i zerknąłem na fosforyzujące wskazówki zegarka. Dochodziła trzecia. Najdalej za pół godziny powinien nastąpić świt. Pomyślałem, że może nie warto już zasypiać i zacząłem zastanawiać się nad sytuacją. Ale mój umysł nie chciał pracować i po minucie zasnąłem bardzo mocno. Tak mocno, że zbudziło mnie dopiero potrząsanie za rękę.

— Niech się pan zbudzi, szefie — wołała do mnie Monika. — Już siódma rano. Wszyscy są na nogach, a pan śpi jak niemowlę.

Ale i ona chyba dopiero niedawno się obudziła, bo była jeszcze w pidżamie, a jasne loczki na głowie pozostawały w wielkim nieładzie. Natomiast Dobeneck, panna Strachwitz i pani Herbst nie zważając, że woda jest lodowata, myli się już nad brzegiem jeziora.

Dzień zapowiadał się pogodnie, niebo było bezchmurne, wiał ciepły wiatr. Monika ładnie wyglądała w swej błękitnej pidżamie, chyba wiedziała o tym i dlatego w niej paradowała. Wyglądała jednak na niewyspaną, poziewywała i przeciągała się.

— Wspaniałe powietrze na tych Mazurach. Spałam jak kamień — tłumaczyła się przede mną ze swej senności.

A we mnie aż zagotowało się ze złości, bo przypomniałem sobie, że była pierwsza w nocy, gdy wracała z nocnej przechadzki. Zerknąłem na nogawki jej pięknej pidżamy i powiedziałem, udając zdziwienie:

— Ale pani chyba nie jest lunaticzką, prawda?

— Nie — odparła odrobinę zaniepokojona.

— Nogawki pidżamy ma pani opryskane żółtawym błotem, co oznacza, że odbyła pani w niej długi spacer. Błoto już zdążyło zaschnąć, a więc ten spacer nastąpił w nocy. Przypomina to sobie pani?

— Nie — pokręciła głową, ale jej niepokój wyraźnie rósł.

— Żółtawe błoto widziałem na drodze do lasu — medytowałem, jak sroka w gnat wpatrując się w nogawki błękitnej pidżamy. — Nie ulega wątpliwości, że spacerowała pani nocą w stronę lasu.

— Odbyłam spacer nie w nocy, tylko wieczorem. Przed snem — przypomniała sobie Monika.

— Ech, pani sobie dworuje ze mnie — pogroziłem jej palcem. — Wieczorem omijałaby pani kałuże, a więc musiało być ciemno.

Monika wzruszyła ramionami.

— I to wszystko wyczytał pan z nogawek mojej pidżamy? — spytała pełna podejrzeń.

— Jestem przekonany, że Sherlock Holmes odgadłby nawet, z kim się pani spotkała tej nocy.

Niepokój Moniki wzrósł niepomniernie, ale starała się go nie okazać i całą sprawę obróciła w żart.

— W takim razie szybko ubiorę sukienkę — powiedziała i czmychnęła do mojego wehikułu, żeby się przebrać.

A ja zadowolony z niepokoju, który ją zaczął dręczyć, wziąłem się do golenia i mycia. Zastanawiałem się chwilę, czy podobnej rozmowy nie odbyć z panią Herbst, ale doszedłem do wniosku, że lepiej, aby nie domyślała się, że wiem o jej nocnej przechadzce.

Przed śniadaniem zbliżyła się do mnie pani Herbst i zapytała, jakie mam plany na dzisiejszy dzień.

— Pojedziemy do Wojnowa — oświadczyłem. — Udało mi się zdobyć nazwisko człowieka, który brał udział w rozbiórce letniego domku doktora Gottlieba. Orientuję się mniej więcej, gdzie on mieszka.

Pani Herbst popatrzyła na mnie z uwagą.

— Od dawna zna pan to nazwisko i adres? Dlaczego nie pojechaliśmy tam jeszcze wczoraj, tylko niepotrzebnie nocowaliśmy tutaj, w Sowirogu?

— Nie wiem, czy przyjazd tutaj był niepotrzebny — oświadczyłem wykrętnie. — Lubię mieć przed oczami całość zagadnienia.

— Ale w tej sprawie liczy się każda godzina — okazała wyraźnie zniecierpliwienie.

— Czyżby? Nie widzę powodu do pośpiechu.

— A Niewidzialni? Zapomniał pan o Niewidzialnych?

— Oni pozostali za granicami naszego kraju. Zresztą, sama pani powiedziała po swej wizycie u Buchera, że ich ta sprawa zupełnie nie interesuje.

— No tak, rzeczywiście — zacisnęła wargi, zła, że ja tak przyparłem ją do muru. Ale po chwili zastanowienia nagle się rozpogodziła i oświadczyła: — Może najlepiej będzie, jeśli każde z nas uszanuje cudze metody pracy?

— Zgadzam się — przytaknąłem.

— W takim razie pan ruszy w swoją stronę, a ja w swoją. Jeśli uda mi się trafić na jakiś interesujący trop, zatelefonuję do dyrektora Marczaka w Warszawie, a on już da panu o tym znać. Zgoda?

Zawahałem się. Do czego zmierzała ta sprytna kobieta? Dlaczego chciała mnie zostawić z tropem, prowadzącym do Wojnowa? Czyżby odnalazła jakiś inny, ciekawszy trop, który wiódł gdzieś indziej? Nie mogłem powiedzieć jej „nie”, bo na to nie pozwalała mi ambicja detektywa, więc tylko rozłożyłem bezradnie ręce i rzekłem obłudnie:

— No cóż, zrobi pani, jak zechce, choć wyznaję, że w pani towarzystwie czuję się znacznie pewniej.

— Poradzi pan sobie znakomicie i beze mnie — uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po policzku, jak bym był małym chłopcem, który nie powinien się martwić, że mamusia na jakiś czas wyjedzie z domu.

W czasie skromnego śniadania, które przyrządziły Monika i panna von Strachwitz, młody Dobeneck zwrócił się do mnie:

— Jak pan sądzi, czy istnieje nadzieja, że odzyskam swoją biżuterię?

Pokręciłem głową:

— Wydaje mi się, że nadzieje są nikłe. . .

Mówiłem szczerze. Byłem przekonany, że co jak co, ale biżuteria na pewno już rozpułyła się w ciągu tych trzydziestu lat.

— Zrezygnujemy więc z dalszych poszukiwań — Dobeneck smętnie zwiesił głowę.

— Wracają państwo do Warszawy? — zapytałem — bo jeśli zamierzacie to uczynić, może zabierzecie również pannę Monikę. Jest potrzebna w Warszawie.

— Nie — zaprotestowała moja współpracowniczką. — Nie zgodzę się pozostawić pana samego, szefie.

— O Boże, naprawdę chce pani zostać ze mną?

— A co w tym dziwnego?

— Tak się składa, że dzisiaj wszyscy pragną mnie pożegnać. Pani Herbst poinformowała mnie przed chwilą, że chce ruszyć w swoją stronę. Opuszczają mnie panna Strachwitz i pan Dobeneck. Więc pomyślałem, że i pani wolałaby wrócić do Warszawy?

— Omylił się pan — odparła Monika.

A ja pomyślałem: „Wszyscy chcą mnie zostawić, tylko Monika pragnie mi towarzyszyć”. I nie wiedziałem, czy jest przez to jeszcze bardziej podejrzana, czy też właśnie wobec niej powinienem pozbyć się podejrzeń.

— Nie możemy zabrać pani Moniki — rzekł Dobeneck. — Postanowiliśmy, korzystając z okazji, zwiedzić Mazury, moje rodzinne okolice. Stare sentymenty, pan chyba rozumie.

— Doskonale pana rozumiem — kiwnąłem głową. — Nie zaglądałem wprawdzie do pańskiej metryki, ale o ile się orientuję, nie tutaj się pan urodził.

— Oczywiście, że nie. Urodziłem się we Frankfurcie nad Menem. Ale stąd pochodzi moja rodzina — odparł dumnie młody Dobeneck. — I na tym właśnie polegają moje sentymenty.

— Nawet bez sentymentów Mazury są tak piękne, że warto je poznać — odpowiedziałem i zabrałem się do jedzenia.

W Rucianem, przed urzędem pocztowym, gdzie zaparkowałem swój wehikuł, rozstaliśmy się. Uścisnąłem prawicę pani Herbst, która swoim starym mercedesem odjechała w stronę Warszawy (tak to w każdym razie wyglądało). Również i panna Berta oraz Dobeneck powiedzieli mi „do widzenia” i ruszyli w stronę Mrągorowa. Zostawiłem Monikę w wehikule, a sam poszedłem do urzędu pocztowego i zamówiłem „błyskawiczną” z Warszawą.

Na „błyskawiczną” też musiałem trochę czekać. Stałem przy oknie i patrzyłem na ulicę. Zwróciłem uwagę, że tuż za wehikułem zaparkował czerwony volkswagen z warszawską rejestracją, którego prowadził młody blondynek o kędzierzawej, bujnej czuprynie. Zapewne Monika wpadła mu w oko, bo wysiadł z wozu i zaczął z nią rozmawiać przez okienko uchylone w wehikule. Z początku nie zdziwiło mnie to, bo Monika była dziewczyną zwracającą uwagę, ale po chwili zauważyłem, że na zaczepki młodzieńca reaguje ze złością. Nawet z dużej odległości widziało się, że wymyśla młodemu człowiekowi, a nawet grozi mu pięścią. Potem wymownie zerknęła na urząd pocztowy, w którym się znajdowałem i wtedy młody człowiek wsiadł do samochodu i odjechał. A ja otrzymałem połączenie z Marczakiem.

Rozmowa trwała dość długo, zapłaciłem za nią mnóstwo pieniędzy, ale zaopatrzyłem się w rachunek, aby po powrocie do Warszawy uzyskać zwrot kosztów. Następnie wróciłem do wehikułu i poprowadziłem wóz w kierunku Ukty.

Swoim zwyczajem przez jakiś czas jechałem w milczeniu, sprawiając wrażenie, że całkowicie pochłania mnie prowadzenie samochodu. Bardzo uważnie jednak obserwowałem Monikę, zastanawiając się już nie wiem po raz który, jaką rolę spełnia ona w Referacie do Zadań Specjalnych. Do tej pory dość rzadko błądziłem w ocenie ludzi — ale przecież każdy z nas jest omylny i tym razem moja początkowa ocena Moniki mogła okazać się fałszywa. Sądziłem dotąd, że jest ona po prostu trochę zbyt pewna siebie. Ale co do jej uczciwości — nie tliły się we mnie żadne podejrzenia. Teraz jednak coraz więcej faktów świadczyło przeciw niej i niejasne wątpliwości, które jak ziarno zasiał we mnie Waldemar Batura, powoli zaczynały kiełkować.

Być może Monika z kobiecą intuicją wyczuła mój nastrój, bo raptem się odezwała:

— Od powrotu z Frankfurtu bardzo się pan zmienił, szefie.

— Naprawdę?

— Stał się pan bardzo podejrzliwy. I to szczególnie wobec mnie.

— Hm — chrząknąłem z zakłopotaniem.

— Jakiś wariat wydał o panu opinię, że jest pan wrażliwy na kobiece wdzięki i od tej pory w stosunku do każdej ładniejszej kobiety staje się pan nieufny. Natychmiast pan podejrzewa, że ta osoba chce pana usidlić, wyciągnąć od pana jakieś tajemnice, oszukać, wyprowadzić w pole.

— Tak myślę — przytaknąłem nieszczerze. — A poza tym to nie wariat wydał o mnie taką opinię, ale człowiek, który mnie dobrze zna. Rzeczywiście jestem wrażliwy na urodę kobiet.

— To nieprawda. Przysięgam panu, że to nieprawda — gorąco zaprzeczyła Monika.

Nie musiałem na szczęście roztrząsać dalej tego tematu. Od pewnego czasu widziałem w lusterku wstecznym jadącego za nami, wciąż w tej samej odległości, czerwonego volkswagena.

— Czy nie wydaje się pani, że ktoś nas śledzi? — zmieniłem temat rozmowy. Obejrzała się za siebie i przecząco pokręciła głową.

— Myślę, że to znowu objawia się tylko pańska podejrzliwość. Któż by nas śledził i w jakim celu?

— Ten czerwony volkswagen pozostaje w tej samej odległości...

— Jest pan przewrażliwiony — powiedziała lekceważąco.

Zwolniłem celowo bieg wehikułu i volkswagen również zwolnił.

— No, widzi pani — triumfowałem.

— Zdaje mi się, że widziałam ten samochód w Rucianem, gdy pan był na poczcie. Siedział w nim jakiś młody człowiek i zobaczywszy mnie w samochodzie posłał mi całusa. Zapewne jedzie za nami, bo chce mnie poznać.

Ani się zająknęła recytując te kłamstwa.

— A może mu to umożliwimy? — zaproponowałem. — Zatrzymam się, pani wysiądzie i wyjaśni mu, że jesteście małżeństwem.

— Też pomysły, szefie — zachichotała. — Nikt nie uwierzy, że jestem pańską żoną. Swoje starokawalerstwo ma pan wypisane na twarzy.

— Nikt nie ma wypisanego na twarzy swego starokawalerstwa — stwierdziłem i zjechałem na pobocze szosy, zatrzymując wehikuł.

Zaskoczyło to kierowcę volkswagena. Zwolnił, ale nie zjechał na pobocze.

— No, proszę, niech pani odegra swoją komedię — zaproponowałem dwuznacznie. Lecz Monika pojęła jedynie, że ma odegrać rolę żony zazdrosnego męża, gdy ja miałem na myśli komedię z udawaniem, że ona i ten młody człowiek zupełnie się nie znają.

Odsunęła boczną szybę w wehikule i dała kierowcy volkswagena znak ręką, aby się zatrzymał. A gdy zjechał na pobocze i stanął, wysiadła z samochodu i ujmując się pod boki oświadczyła z oburzeniem.

— Dlaczego pan wciąż jedzie za nami? Nie lubimy, gdy nas ktoś śledzi.

Przystojny, młody blondynek o kędzierzawej czuprynie wysunął głowę przez boczne okienko i uśmiechając się od ucha do ucha powiedział:

— Jadę za państwem, bo nie mogę oderwać oczu od pani. Nigdy w życiu nie widziałem tak interesującej dziewczyny.

— Co takiego? — udała oburzenie Monika. — A czy pan wie, że jestem mężatką? Tu obok siedzi mój mąż.

— Pani jest żoną tego pana w samochodzie? — zaśmiał się głośno kędzierzawy blondynek. — On ma starokawalerstwo wypisane na twarzy. Niech pani mnie nie buja, tylko ewentualnie przesiądzie się do mojego samochodu. To wstyd, żeby taka piękna kobieta jechała w takim odrapanym wraku.

Monika udała, że oburzenie na chwilę odebrało jej mowę. Pochyliła się ku mnie i zapytała szeptem:

— Słyszysz pan, co on mówi? Puści mu pan to płazem?

Podrapałem się w głowę.

— A co powinienem zrobić? Może mi pani coś doradzi?

— Niech pan go zboksuje. Jest pan przecież zazdrosnym mężem.

— Ale nie aż do tego stopnia. Proszę wsiadać do samochodu. Dość tych żartów.

Dziewczyna pogroziła pięścią blondynowi i posłusznie usiadła w wehikule. Ruszyłem z miejsca, blondynek chwilę odczekał, a potem znowu powlókł się za nami.

— Nie przypuszczałam, że jest pan tchórzem, szefie — stwierdziła Monika. — Myślałam, że zna pan przeróżne chwytty dżudo i chłopaka rozłoży na obie łopatki. Na pana oczach zaczepiają porządną kobietę, a pan ani drgnie.

Wzruszyłem ramionami i nic się nie odezwałem.

Poczytała to za przyznanie się do winy i znowu mnie zaatakowała:

— Mimo wszystko ten młodzieniec nie jest głupi. Powiedział o panu, że ma pan starokawalerstwo wypisane na twarzy. Jakby pana znał.

— Albo jakby o mnie wszystko wiedział.

— Co pan ma na myśli? — zapytała podejrzliwie.

Ale ja nie udzieliłem jej żadnych wyjaśnień, bo tak prawdę mówiąc słowa tego blondynka bardzo mnie poirytowały. Szczególnie dotknęło mnie, że wehikuł nazwał wrakiem. Docisnąłem więc pedał gazu i silnik „Ferrari 410 Super Amerika” zaczął okazywać swoją potęgę.

— Proszę zapiąć dokładnie pas bezpieczeństwa — rozkazałem Monice.

Strzałka szybkościomierza zaczęła powoli pełznąć w prawo. Osiemdziesiąt, sto, sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

W Ukie jednak z wolniłem, gdyż nie wolno z dużą szybkością przejeżdżać przez miasteczka i wsie. I znowu zobaczyłem z tyłu czerwonego volkswagena.

— Niech pan będzie ostrożny, bo to pańskie pudło gotowe się rozsypać — ostrzegła mnie Monika.

Przełknąłem w milczeniu tę uwagę. Za Uktą nie skręciłem na Mikołajki, tylko pojechałem na Mrągowo. Szosa była pusta i biegła bez ostrych zakrętów. Znowu więc dodałem gazu. Dwanaście cylindrów mojego silnika zaczęło napędzać koła wehikułu, dwa gaźniki tłoczyły benzynę. Sto czterdzieści, sto sześćdziesiąt, sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Strzałka szybkościomierza wciąż pomalеньku przesuwiała się w prawo. . .

— O rany, szefie. Pan chyba zaraz wzniesie się w powietrze — jęknęła zdumiona Monika.

Drzewa w lesie, obrastające szosę, zlewały się już w jedną czarno-zieloną ścianę. Samochód zdawał się połykać wstęgę asfaltu, wiatr głośno wył w uchylonych wywietrznikach. Volkswagen oczywiście pozostał w tyle.

Wjechaliśmy między pola, na których rosło zboże, potem znowu zaczął się las. Zwolniłem nagle i skręciłem w pierwszą przesiekę, która rzuciła mi się w oczy. Zatrzymałem wehikuł za kępą krzaków, które osłaniały nas od szosy.

Z naszego miejsca widać było szosę. I chyba z szosy, gdyby jechano po niej wolno, można było nas zauważyć. Ale volkswagen pędził z szybkością co najmniej stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Kierowca musiał patrzeć przed siebie, a nie rozglądać się na boki. Toteż po chwili minął nas w strasliwym pędzie i pojechał na Mrągowo, sądząc, że może zdoła nas dopędzić w Pieckach.

Zauważyłem, że gdy blondynek minął nas, Monika odetchnęła z ulgą, a potem taka ją ogarnęła radość, że nagle chwyciła mnie za szyję i pocałowała w policzek.

— Mimo wszystko, szefie, jest pan cudowny! — zawołała.

Wyjechałem z przesieki, zawróciłem w kierunku Ukty i stamtąd pojechałem na Wojnowo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

HISTORIA STAROBRZĘDOWCÓW • KLASZTOR W WOJNOWIE • SPOTKANIE Z WIELKIM BOBREM • DLACZEGO ŻONA MAKULSKIEGO ZACHOWUJE SIĘ TAK DZIWNIE? • KTO KRYJE SIĘ W ZAGRODZIE? • PERTRAKTACJE Z NIEWIDZIALNYMI • ZAKAPTURZENI HOBBYŚCI • ODNAJDUJEMY PIERWSZA SKRZYNKĘ

Wojnowo, wieś zamieszkała przez staroobrzędowców zwanych „filiponami”, to egzotyczna wysepka ruskiego folkloru, położona w samym sercu polskich Mazur. Skąd wzięli się tutaj ludzie, wyznający surowe zasady swej wiary? Jakie koleje losu przygnały ich z dalekiej ojczyzny, kazały karczować lasy Puszczy Piskiej i na zrębach zakładać wioski i przysiółki?

Aby zrozumieć historię ich wędrówki i osiedlenia się na Mazurach, trzeba się cofnąć daleko w przeszłość, aż w lata 1652-1658, gdy to w Rosji patriarcha Nikon rozkazał zrewidować niektóre księgi kościelne i zreformować wiele obrzędów religijnych ówczesnego prawosławia. Nie wszyscy wierzący pogodzili się z tymi reformami i tak zrodził się w Kościele prawosławnym rozłam, czyli „raskoł”. Tych, którzy trzymali się dawnych ksiąg i dawnych obrzędów — nazwano staroobrzędowcami i zaczęto ich prześladować. Wielu z nich, aby móc swobodnie wyznawać zasady swej wiary, przeniosło się na teren Królestwa Polskiego, przeważnie w okolice Suwałk i Sejna. Ale minął jakiś czas i surowe zasady staroobrzędowców wywołały — bo musiały wywołać — konflikt z władzami administracyjnymi. Tak na przykład staroobrzędowcom nie wolno było nosić nazwisk, lecz tylko imiona (bardzo wielu miało te same imiona), nie wolno im było rejestrować się, służyć w wojsku. Konflikt więc z władzami polskimi zaczął się zaostrzać z roku na rok i staroobrzędowcy zaczęli myśleć o dalszym przeniesieniu się w takie strony, gdzie nikt nie zacznie im stawiać podobnych żądań. A był to już początek XIX wieku.

W tym czasie król pruski Fryderyk Wilhelm III był bardzo zainteresowany zaludnieniem zaniedbanych pod każdym względem Mazur, gdzie w wyniku wojen napoleońskich ludność zmalała o czternaście procent. Koloniści niemieccy

nie chcieli mieszkać na glebach słabych, zalesionych, wśród bagien i jezior, a na osiedlanie się Polaków patrzono już od dawna z niechęcią, gdyż i tak stanowili większość ludności wiejskiej. Tak więc król pruski zgodził się przyjąć do siebie staroobrzędowców, zezwalając, aby ci, którzy nabędą ziemię, byli zwolnieni od służby wojskowej. Staroobrzędowcom wydawało się, że wśród dzikich ostępów leśnych, bagien i jezior, znajdą wymarzone miejsce dla wyznawania i zachowania czystości wiary. I tak to około roku 1830 staroobrzędowcy zaczęli napływać na Mazury z okolic Sejn, Suwałk i Augustowa, aby przeżyć jeszcze jedno rozczarowanie.

Tylko niewielu z nich stać było na kupno ziemi, co zwalniało od służby wojskowej; nabywał ziemię w ich imieniu jeden, dwóch — a reszta po prostu się osiedlała, w wielu wypadkach przybywając nawet bez paszportu, przez „zieloną granicę”. Wkrótce doszło więc znowu do konfliktów między miejscową pruską władzą a staroobrzędowcami, których oskarżono o ukrywanie przeróżnych podejrzanych osobników. Staroobrzędowcy stanowili bowiem społeczność otwartą, nie kierowali się żadnymi względami narodowościowymi; każdy mógł do nich przystać, kto godził się wyznawać zasady ich wiary. Trudno dziś dociec, czy oskarżenia władz pruskich miały jakieś podstawy. Faktem jest jedynie, że staroobrzędowcy, z których wielu urodziło się na Białostocczyźnie, dobrze mówili po polsku i do Polaków zachowali ogromną przyjaźń. To właśnie w wioskach staroobrzędowców znajdowali schronienie polscy żołnierze, uczestnicy nieudanego powstania listopadowego. Mimo wysokich nagród, jakie Prusacy wyznaczali za wydanie powstańców, nie zdarzył się ani jeden wypadek, aby wydano w ich ręce polskiego patriotę, który uciekł tutaj przez granicę z zaboru rosyjskiego.

Staroobrzędowcy mniej znali się na rolnictwie, ale za to potrafili zakładać wspaniałe sady, trudnili się rzemiosłem. Ich wsie były zamożne. Do dziś przykładem takiej wioski jest właśnie Wojnowo niedaleko Ukty. Można tu zobaczyć ładne drewniane domy i łaźnie parowe. Staroobrzędowcy aż do dziś zachowali dawną gwarę nowogrodzko-pskowską, w ich izbach znajdują się stare ikony, których starodawnym zwyczajem nie wolno odnawiać, przybijając gwoździami do ściany. Ich obyczaje są bardzo interesujące i dużo można by o nich pisać — jedno jest pewne: są to ludzie niezwykle dobroduszni, uczciwi i pracowici. Prawosławni mnisi wpajali im zasadę, że kto raz spróbuje wódki, ten zbeczcześci siebie na trzydzieści lat, rzadkie są wśród nich wypadki pijaństwa czy kradzieży.

Turystów w Wojnowie interesuje przede wszystkim klasztor, zbudowany na maleńkim półwyspie nad jeziorem Duś. Postawiony on został w drugiej połowie XIX wieku, jego biała wieża i białe mury widoczne są z daleka. Jest to klasztor żeński, ale niewiele już w nim przebywa mniszek, bo też i niewielka jest społeczność staroobrzędowców.

Przed laty byłem tu kiedyś. Największe wrażenie zrobił maleńki uroczy cmentarzyk położony nad jeziorem na terenie żeńskiego klasztoru. Gromadka bezi-

miennych mogił i prawosławnych krzyży na wzgórku nad jeziorem, jakiś dziwny nastrój unoszący się nad tym miejscem, nie zmacony niczym spokój i wspaniała cisza — na zawsze już pozostały w mej pamięci.

Ale tego dnia nie było mi już dane znowu odwiedzić zabytkowego klasztoru w Wojnowie. Tuż przed wioską, w przydrożnym rowie czekało na nas dwóch mężczyzn. Gdy tylko mój wehikuł ukazał się na szosie, obydwaj wstali i zaczęli kiwać ręką, abym się zatrzymał.

Byli to Winnetou i Wielki Bóbr, w ogromnym kapeluszu na głowie.

— O Boże, znowu ten Indianin? — wykrzyknęła Monika. — A drugi wygląda jak Sam Hawks. Czy pan, szefie, postanowił ożywić wszystkich bohaterów książek Karola Maya?

Zatrzymałem wehikuł i uścisnąłem Wielkiego Bobra, z którym nie widziałem się prawie od roku. Z zadowoleniem stwierdziłem, że sympatyczny emeryt pocztowy nic się nie zmienił w ciągu tego czasu, jego twarz była ogorzała i wyglądała zdrowo, a oczy błyszczały wesołością i pogodą. Tylko wielki kapelusz był trochę bardziej wyszarzały i trochę mocniej tu i ówdzie obwisły kresy runda, co świadczyło, że Wielki Bóbr chyba sporo podróżował. Zapewne i na jego elektrycznym wózku sporo też przybyło różnego rodzaju znaczków i nalepek z miast, które odwiedził. Ale wózka nie widziałem.

— Zaparkowałem swój wehikuł na podwórzu znajomego gospodarza Fiedosija — wyjaśnił natychmiast Wielki Bóbr widząc, że pytająco rozglądam się po szosie. — Musimy się śpieszyć, a mój wózek jest zbyt powolny.

— Czy wiecie już, gdzie mieszka Makulski? — zapytałem niecierpliwie.

— Wiemy. I jak mówi Wielki Bóbr, musimy się śpieszyć — powiedział Winnetou. — Czekając na was w przydrożnym rowie obserwowaliśmy przejeżdżające samochody. Wydaje mi się, że w jednym z nich siedział Waldemar Batura. Makulski ma gospodarstwo na skraju lasu w pobliżu drogi żelaznego konia, która biegnie ze Szczytna do Rucianego-Nidy. Musimy jechać w kierunku na Karwicę Mazurską.

Wiadomość o Baturze bardzo mnie zaniepokoiła. Wprawdzie w rozmowie ze mną zobowiązał się do lojalności i współpracy, ale czy można było wierzyć człowiekowi, którego dwukrotnie naraziłem na poważne kłopoty, a raz nawet wsadziłem za kratki.

Przedstawiłem Monikę Wielkiemu Bobrowi i obydwaj mężowie wskoczyli na tylne siedzenia wehikułu. Natychmiast ruszyłem w drogę, kierując się ku Karwicy Mazurskiej. Po lewej ręce mignęła nam cerkiew prawosławna w Wojnowie, potem przemknęliśmy między drewnianymi domkami wioski. Po prawej ręce zobaczyliśmy klasztor na niewielkim wzgórzu — i wkrótce zagłębiliśmy się w lasy.

Był piękny, słoneczny dzień — ciepły, przesycony wonią młodej zieleni pól i łąk. Gdy mijaliśmy wioskę, owiewał nas zapach kwitnących bzów, w lesie białe konwalie wychylały się z trawy, żółciły się janowce i jastrzębce, kwitły poziomki.

Las rozbrzmiewał ptasimi głosami, bo prawie wszystkie ptaki zdążyły już przylecieć z ciepłych krajów, niektóre złożyły już nawet jajka i gdy samiczki siedziały w gniazdach, samce przepięknie śpiewały. Zobaczyłem nawet tych najopieszalszych przybyszów — wilgę i kraskę.

Po kilku kilometrach jazdy przez lasy znaleźliśmy się na rozstaju dróg. Tutaj zatrzymałem wehikuł.

— W lewo szosa prowadzi na przystanek kolejowy w Karwicy — wyjaśnił Wielki Bóbr — natomiast leśna droga w prawo zawiedzie nas prosto do zagrody Makulskiego. To duże gospodarstwo, całe z czerwonej cegły. Ludzie z Wojnowa opowiadali mi, że Makulski sprowadził się tutaj w 1950 roku, nabył zdewastowane gospodarstwo i odbudował je bardzo pięknie. Skąd miał na to pieniądze, tego nie wiedzą, ale przypuszczają, że dorobił się handlując rozbiórkową cegłą. Teraz gospodarstwo prowadzi jego syn, Michał.

— A on?

— Umarł przed rokiem. Miał siedemdziesiąt trzy lata — powiedział Wielki Bóbr.

Smutnie pokiwałem głową. Zapomniałem, że śledzę zdarzenia sprzed blisko trzydziestu laty. Ludzie, którzy w tamtym czasie byli w sile wieku, teraz się postarzel. Należało się liczyć z faktem, że nie tylko umarł Kurt Piontek, ale i Makulski. Kto wie, czy żyli jeszcze Krostek i Wągrowski, odkrywcy schowka doktora Gottlieba na Czarcim Ostrowie.

Zajrzałem do mapy.

— Z tego miejsca do Sowirogu — stwierdziłem — przez lasy i jezioro jest nie więcej niż dziesięć kilometrów. Prawdopodobnie Piontek znał się z Makulskim i odwiedzał go.

Zagroda Makulskiego wyglądała okazale, duże kwadratowe podwórze obudowane było murem, długą stajnią, oborą, owczarnią i stodołą. Na podwórze wjeżdżało się przez bramę z daszkiem z czerwonej dachówki. Ale droga do gospodarstwa była zaniedbana, pełna dołów.

Zagroda stała na skraju lasu, dalej rozciągały się pola, aż po widoczny z daleka nasyp kolejowy.

Zajechaliśmy na podwórze tuż przed małym ganek. Nikt nie wyszedł nam na spotkanie, choć z okien, domu widać było, jak zbliżaliśmy się drogą. Głośno także ujadają psy, zamknięte w owczarni.

Wysiedliśmy z wehikułu i całą czwórką wkroczyliśmy na ganek. Zapukałem do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Przycisnąłem klamkę, drzwi się otworzyły. Weszliśmy do dużej sieni, gdzie było kilkoro drzwi. Wydawało mi się, że jakieś głosy dochodzą mnie z pierwszych drzwi po prawej stronie, tam też zapukałem i usłyszałem wreszcie ciche „proszę”.

Znaleźliśmy się w dużej kuchni wiejskiej, z wielkim piecem, stołem jadalnym, kredensem. Przy stole siedziała kobieta lat chyba około trzydziestu i dwoje

dzieci — pięcioletnia dziewczynka i ośmioletni chłopiec. Cała ta trójka patrzyła na nas z wyraźnym strachem.

— Czy jesteście... z milicji? — zapytała kobieta, jak gdyby z pewną nadzieją w głosie.

— Nie — odparłem — a pani może czeka na milicję?

— Tak tylko zapytałam — wyjąkała kobieta.

Wyglądała na przestraszoną. Również i dzieci patrzyły na nas z przerażeniem.

— Mamy pewną sprawę do pani męża — wyjaśniłem, uśmiechając się pogodnie, aby uśmierzyć jej strach.

— Męża nie ma w domu. Wyjechał wozem do Ukty — wyrecytowała, nie patrząc na nas, ale na dzieci, wzrokiem nakazując im milczenie.

Wielki Bóbr zbliżył się do okna i wyjrzał na podwórze.

— Wozem pojechał? — zdumiał się. — Przecież widzę wóz koło stodoły?

— Mamy dwa wozy. Pojechał drugim, po nawozy sztuczne — pośpieszyła z wyjaśnieniem kobieta.

Zauważyłem, że ręce jej drżą ze zdenerwowania i ciągle nakazująco spogląda na dzieci.

— A kiedy wróci mąż? — zapytałem.

— Wieczorem. Późnym wieczorem. Jeśli panowie mają do niego jakąś sprawę, to może przyjedziecie jutro rano — recytowała jak wyuczoną lekcję.

Uśmiechnąłem się znowu.

— A pani nie jest ciekawa, jaką sprawę mamy do męża?

— Nie. Ja o niczym nie chcę wiedzieć — niemal krzyknęła, jakby broniąc się przed nami. — Mąż mnie w swoje sprawy nie wprowadza, ja o niczym nie wiem. I w ogóle to ja nie mam czasu. Niech panowie już sobie jadą.

— Czemu się pani tak denerwuje? — wzruszyłem ramionami. — Jeśli nie ma męża, to przyjedziemy jutro rano.

Odetchnęła z ulgą jak ktoś, kto zrzuca z pleców jakiś wielki ciężar.

— Czy nikt nie przyjeżdżał dziś do męża samochodem? — zapytał Wielki Bóbr.

— Nikogo nie było. Tylko panowie — odrzekła kobieta. Mrugnąłem znacząco do Wielkiego Bobra, aby już nie pytał i dałem pozostałym znak, aby wyszli z kuchni.

— Do widzenia pani — powiedziałem. — Przyjedziemy jutro rano.

— Tak, tak, bardzo proszę — rozpogodziła się kobieta.

Wsiadliśmy do wehikułu i wyjechałem z podwórza na pełną wądołów drogę.

— Czy mój brat, Szara Sowa — odezwał się milczący dotąd Winnetou — potrafi powiedzieć, ile samochodów przyjechało dziś do zagrody bladej twarzy nazwiskiem Makulski?

— Przynajmniej trzy — stwierdziłem.

— Szara Sowa jest bystry — mruknął z uznaniem Winnetou.

Monika zaśmiała się.

— Już wiem, kogo mi brakowało w naszym towarzystwie.

— Kogo? — zainteresowałem się.

— Old Shaterhanda — zawołała, śmiejąc się. — Ciekawa jestem, skąd wy możecie wiedzieć, ile samochodów odwiedziło dziś Makulskiego?

— To nietrudno odgadnąć — wyjaśniłem. — Samochody wjeżdżały w kałuże wody i w błoto, a potem na suchym miejscu pozostawiały ślady opon.

— Hm — chrząknęła Monika — może i macie rację. Ta kobieta zresztą zachowywała się bardzo podejrzanie. Czego się bała? I czy rzeczywiście chcecie tu powrócić dopiero jutro?

— Nie, miła panienko — powiedział Wielki Bóbr. — Gdy wychodziliśmy z domu Makulskiego, słyszałem wyraźnie rżenie koni w stajni. Makulski nigdzie nie wyjechał. Jest w domu. Ukrywa się przed nami.

— Wielki Bóbr się myli — pokręciłem głową. — Makulski nie ukrywa się przed nami, ale znajduje się w rękach Niewidzialnych albo Batury. Oni są w domu. Wiążą Makulskiego i dlatego ta kobieta tak bardzo chciała, żebyśmy odjechali. Oni jej zagrozili, że jeśli zdradzi przed nami ich obecność, rozprawią się z jej mężem. Czy nie wyczuliście, z jaką nadzieją zapytała, czy nie jesteśmy z milicji? Bo milicji prawdopodobnie zdradziłaby swoją sytuację, ale nam nie ufała. Dlatego zdecydowałem opuścić jej dom. Nie chcę ich narażać na niebezpieczeństwo.

— Ale chyba nie pozostawimy Makulskich w rękach bandziorów? — zauważyła Monika.

— Oczywiście, że nie — przytaknałem i raptem skręciłem wehikułem w taki sposób, że stanął on w poprzek leśnej drogi, prowadzącej do szosy. Las w tym miejscu rósł gęsto i nie było mowy, aby przejechać między drzewami, a wehikuł tarasował drogę. Od tej chwili nikt nie mógł ani podjechać samochodem do zagrody Makulskiego, ani jej opuścić.

— A jeśli istnieje jeszcze inna droga? — zatroskał się Wielki Bóbr.

— Nie widziałem innej drogi — powiedziałem — a poza tym musimy zaryzykować.

Monika popatrzyła na mnie ze szczerym zdumieniem.

— Chyba nie zamierza pan, szefie, walczyć z bandytami? Jeśli jest tak jak pan przypuszcza i w domu Makulskiego urzędują bandyci, to powinniśmy chyba zawiadomić milicję.

Winnetou przecząco pokręcił głową:

— Biała skwaw, która zmienia skalpy, chyba nie sądzi, że bandyci będą tu czekać, aż przyjedziemy z milicją. Musielibyśmy najpierw wrócić do Ukty, a w tym czasie bandyci stąd uciekną. I to prawdopodobnie z łupem. Ze zbiorami doktora Gottlieba.

To mówiąc Winnetou wyjął z pokrowca swoją strzelbę i stanął obok wehikułu.

— Panno Moniko — zacząłem spokojnie wyjaśniać sytuację — milicjanci to ludzie bardzo poważni. Nie będą się bawić z bandytami, prowadzić uprzejmych rozmów, tylko otoczą zabudowania Makulskiego i każą bandytom opuścić dom. Potem zabiorą ich do aresztu. Niestety, nie wiemy, kim są bandyci. Może to Batura, a może Niewidzialni. Inaczej zachowują się ludzie, gdy grozi im areszt, a potem sąd i więzienie, a inaczej, gdy będą mieli do czynienia z nami. Może gdy odetniemy im drogę ucieczki, skłonni będą do pertraktacji? Aresztowanie Niewidzialnych nic nam nie da. To pionki, które nawet nie wiedzą, kto nimi dowodzi. Mnie zależy na tym, aby dotrzeć do ich szefa, czy też... szefowej — powiedziałem spoglądając na Monikę.

A ona aż w ręce klasnęła, tak była zdumiona.

„Albo jest niewinna, albo to najznakomitszy talent aktorski” — pomyślałem.

— Przypuszcza pan, szefie, że Niewidzialnymi rządzi kobieta?

— Właśnie tak przypuszczam — skinąłem głową.

W tym momencie drogą leśną od strony szosy nadjechał czarny mercedes pani Herbst i zatrzymał się, bo stojący w poprzek wehikuł uniemożliwiał dalszą jazdę.

— Dzień dobry! Co za miłe spotkanie — powitałem panią Herbst z radosnym uśmiechem. — Umówiliśmy się, że będziemy szanować własne metody pracy i każde z nas ruszy innym tropem. A tymczasem znaleźliśmy się w tym samym miejscu. A może śpieszy się pani na spotkanie z przyjaciółmi, którzy znajdują się w zagrodzie Makulskiego?

Pani Herbst zacisnęła usta, wyraźnie poirytowana moim żartobliwym tonem.

— Nie wiem, o czym pan mówi, panie Tomaszu — odparła. — Otrzymałam informację, że Kurt Piontek przyjaźnił się z człowiekiem nazwiskiem Makulski, który ma tutaj swoje gospodarstwo. Chciałam porozmawiać z tym człowiekiem.

— W jakim języku? — zapytałem. — Przecież pani nie zna polskiego.

— Sądzę, że on umie po niemiecku, skoro przyjaźnił się z Piontkiem.

— To wcale nie jest aż takie pewne — wzruszyłem ramionami. — Piontek prawdopodobnie znał język polski, skoro miał żonę Polkę, przez wiele lat mieszkał na tych ziemiach. Zresztą on nie żyje.

— Kto?

— Makulski. Stary Makulski. Jest tylko jego syn.

— W takim razie na co czekamy? — zdumiała się pani Herbst. — Jedźmy, aby z nim porozmawiać.

Zrobiłem smutną minę.

— Już ktoś inny z nim rozmawia. I jestem prawie pewien, że nas nie zechce dopuścić do udziału.

— Niepotrzebnie tracimy czas — oświadczyła. — Jeśli ktoś już jest u Makulskiego, to trzeba chyba zacząć działać.

— Owszem — skinąłem głową i zacząłem wydawać rozkazy.

Monice i pani Herbst nakazałem pozostać przy wehikule zagradzającym leśną drogę. Wyjąłem kluczyki ze stacyjki i w ukrytym sprytnie miejscu w wozie odłączyłem akumulator od rozrusznika. Teraz trzeba by chyba dźwigu, aby przesunąć z miejsca mój wehikuł.

Poleciłem Winnetou i Wielkiemu Bobrowi, aby poszli za mną i w krótkich słowach omówiłem z nimi plan działania. A potem Winnetou ruszył w las, w lewą stronę, a Wielki Bóbr w prawą. Ja zaś pomaszerowałem do zagrody Makulskiego.

Wesoło pogwizdując omijałem kałuże błota i wody i wreszcie wkroczyłem na wymarłe podwórze.

Stanąłem na środku, zwinąłem dłonie w trąbkę i zawołałem:

— Nie ma sensu bawić się w chowanego. Was jest zapewne kilku, a ja przybyłem sam. Chyba nie stchórzycie przede mną i któryś wyjdzie do mnie na rozmowę?

Nikt nie zareagował na wołanie. Ujadały tylko psy zamknięte w owczarni i w oknie od kuchni ukazała się przerażona twarz żony Makulskiego.

Znowu zawołałem:

— Jeśli ktoś nie wyjdzie do mnie na rozmowę, to moi przyjaciele zawiadomią milicję. Wszystkie drogi stąd są zablokowane samochodami. Zagrodę otaczają uzbrojeni ludzie...

Jeszcze przez chwilę nie dostrzegłem żadnego ruchu na podwórzu, aż wreszcie skrzypnęły odrzwia stodoły i wyszedł z nich ostrożnie gruby mężczyzna w kapturze, który zasłaniał mu twarz.

— Co widzę? — stwierdziłem z ironią. — I u nas zaczynają się już upowszechniać stroje terrorystów z Zachodu.

W zamaskowanym osobniku rozpoznałem grubasa, który dowodził grupą Niewidzialnych. Kaptur okrył twarz, ale wydatne brzuszysko było wyraźne.

— Nie jesteśmy terrorystami — oznajmił piskliwym głosem.

— Tym lepiej, tym lepiej — zatarłem ręce, udając zadowolenie. — Jeśli jeszcze się okaże, że jesteście także inteligentni, na pewno się dogadamy.

— O co panu chodzi? — zapytał ponuro.

Zrobił ręką jakiś ruch i ze stodoły wyszło jeszcze trzech tak samo zamaskowanych drabów. Rozpoznałem wśród nich Pięknego Lolo. A więc to była ta sama grupa, którą napotkaliśmy nocą na bindudze.

Otoczyli mnie dość szerokim kołem. Ich było czterech, a ja sam. Ale zdawali sobie chyba sprawę, że nie przyszedłem tutaj, uprzednio nie zabezpieczywszy się w jakiś sposób. Dlatego zachowali dystans i ostrożność.

— Chcę wam dać szansę, panowie — powiedziałem. — Zagroda jest otoczona, drogi zablokowane. Jeśli pozostawicie w spokoju Makulskiego i to, co prawdopodobnie u niego znaleźliście, puścimy was wolno.

Piękny Lolo parsknął pogardliwym śmiechem.

— Ja tego faceta znam, panie kierowniku — rzekł do grubasa. — To jest właśnie Samochodzik.

— Domyśliłem się tego — mruknął grubas.

— Tak jest — przytaknąłem. — Towarzyszy mi dwóch uzbrojonych przyjaciół. Dlatego musicie wybrać: chcecie mieć do czynienia z nami czy z milicją?

To mówiąc gwizdnąłem głośno i natychmiast zza owczarni rozległ się przeźliwy krzyk Winnetou:

— Ihiihiihiihihi. . .

A potem padł strzał z jego strzelby.

— Słyszycie? — zapytałem.

I drugi raz gwizdnąłem, tym razem dwukrotnie. Zza stodoły rozległ się tubalny głos Wielkiego Bobra:

— Czuwam tu, szefie. . .

— W porządku — krzyknąłem. — Niech pan jednak nie strzela, bo szkoda nabojów.

Wielki Bóbr i tak nie miałby z czego strzelić, ale skoro usłyszeli strzał ze strzelby Winnetou, to mieli prawo sądzić, że i drugi mój przyjaciel jest również uzbrojony.

— Jesteście otoczeni — powtórzyłem grubasowi. — Na drodze w lesie ustawiłem w poprzek mój wehikuł. Nie wydostaniecie się stąd. Chyba że spróbujecie uciekać pieszo i pod gradem kul.

— Mamy w swoich rękach dwóch jeńców — odrzekł grubas. — Makulskiego i niejakiego Baturę. Wydaje mi się, że powinien pan jednak wziąć to pod uwagę.

— Z Baturą możecie robić, co się wam podoba — lekceważąco machnąłem ręką — ale Makulskiego musicie zostawić w spokoju. Zresztą, w ogóle nie ma o czym mówić. Albo chcecie mieć na karku milicję, albo zgodzicie się na nasze warunki.

Grubas nagle nabrał podejrzeń.

— A dlaczego do tej pory nie zawiadomiliście milicji?

— Milicja po prostu was zamknie i na tym skończy się wasza rola. Ale ja zamierzam po waszym tropie dostać się do waszego szefa. Wiem, że należycie do Niewidzialnych.

Jeden z zakapturzonych gwizdnął głośno, tak był oburzony moimi słowami.

— Słyszysz pan, panie kierowniku? On myśli, że my go grzecznie zaprowadzimy do szefowej. . .

— Cicho — krzyknął na niego grubas.

— Ach, więc macie szefową? — udałem zdumienie.

— Niech go pan nie słucha. On żartuje — burknął grubas.

— Wnioskuje, że ma pan o nas niewłaściwą opinię. Wspomniał pan o Niewidzialnych. Czytałem w gazetach, że Niewidzialni działają na Zachodzie i zajmują się kradzieżami i rabunkiem dzieł sztuki. My z taką działalnością nie mamy nic

wspólnego. Po prostu jesteście grupą hobbystów i tak nas proszę nazywać. Nasze hobby, to zbieranie przeróżnych staroci. Kolekcjonujemy starą biżuterię, stare monety, listy różnych wielkich ludzi, białe kruki wydawnicze i tym podobne. Słyszeliśmy, że Makulski ma na strychu jakieś starocie, które mogą się zniszczyć i w trosce o dobra kultury przyjechaliśmy do niego. Jesteśmy hobbystami, niczym więcej.

— Szkoda czasu na próżne gadanie — stwierdziłem. — Zgadza się na moje warunki, czy wolicie spotkanie z milicją?

— A co, może nie wolno mieć hobby?

— Hobby to nic złego. Ale żeby zaraz terroryzować ludzi, więzić ich? Gdy zjawi się tu milicja, Makulski na pewno złoży na was oskarżenie o napad.

— Jaki napad? Co za napad? — oburzył się grubas. — Czy pan nie wie, jak wielką namiętnością odznaczają się niektórzy hobbysci? Być może zachowaliśmy się tu trochę niegrzecznie. Ale czy wie pan dlaczego? Bo oburzył nas fakt, że Makulski przeróżne stare dokumenty trzymał po prostu w zwykłej skrzynce na strychu. Mogły zgnić, spróchnieć, mogły je pogryźć myszy. Jak to zobaczyliśmy, to taka nas ogarnęła wściekłość, że zwiąaliśmy faceta i mieliśmy mu nawet dać dobrą nauczkę, lecz zrezygnowaliśmy, bo papiery nie wyglądają na specjalnie wartościowe. My szukamy starej biżuterii, monet, listów wielkich ludzi i białych kruków wydawniczych, a to są po prostu komplety dawnych polskich gazet.

— Pokażcie mi je — zaproponowałem.

— Oczywiście, zaraz to zrobimy — zgodził się grubas. — Sam się pan przekona, że nie ma o co kopii kruszyć i straszyć nas milicją. Nasze informacje były dobre, to znaczy stary Makulski znalazł rzeczywiście jakąś biżuterię. Ale miał dwóch współników. Podzielili się biżuterią i znalezionymi dokumentami. Stary Makulski sprzedał swoją część biżuterii i pobudował zagrodę, a papiery pozostawił w skrzynce na strychu. Same stare gazety, nic więcej. I dwie książki. No, może one są nawet i cenne, ale chyba nie aż tak bardzo, żeby o nie kopie kruszyć. Odkryliśmy też kartki rękopisu z tekstami starych polskich piosenek. Nas to nie interesuje.

— Pokażcie — powtórzyłem.

Grubas namyślał się dłuższą chwilę. Sytuacja była dla mnie jasna. Musiał wybrać — pertraktować ze mną, czy też narazić się na spotkanie z milicją. Zagroda była otoczona przez uzbrojonych w strzelby dwóch mężczyzn, a nie miał podstaw, aby sądzić, że nie zagroziłem wehikułem drogi przez las.

— Wy jesteście mądre chłopaki, prawda? — zwrócił się do swoich kompanów.

— Tak jest, panie kierowniku — zakrzyknęli niemal chórem, radzi, że ma o nich tak dobrą opinię.

— Pan Samochodzik też jest inteligentny — dodał grubas. — A inteligentni ludzie, jak słusznie już wcześniej zauważył Pan Samochodzik, zawsze potrafią się dogadać. To co znaleźliśmy u Makulskiego, nie wydaje się aż tak wartościowe,

żeby się za łby brać. Was jest trzech, a nas czterech. My też mamy taką i owaką broń. Rezultat naszych zmagañ może być jednak opłakany dla kaŹdej ze stron.

— PokaŹcie te papiery — rozzłóściłem się.

— W porządku. Przynieście je tutaj — rzucił grubas swoim kompanom.

Posłusznie wynieśli ze stodoły nieduŹą skrzynkę. Podnieśli wieczko i zobaczyłem kłęb poŹółkłych papierów i kilka starodruków. ZauwaŹyłem „Katechizm” Seklucjana z 1549 roku, „Postyllę” Hieronima Małeckiego z 1574 roku, komplet egzemplarzy „Przyjaciela Ludu Łęckiego” z 1842 roku, komplet gazety „Prawdziwy Ewangelik Polski” z 1859 roku.

Roześmiałem się.

— Z czego się pan śmieje? — zapytał grubas zaniepokojony moim śmiechem.

— Gdybyście zdołali te stare dokumenty przemycić, na przykłał do RFN-u, to wasi mocodawcy nie tylko nie daliby wam nagrody, ale po prostu przepędzili.

— A dlaczego?

— Bo to są stare książki i gazety, które świadczą, Źe na terenie Warmii i Mazur od wieków rozwijała się polska kultura. SpóŹrzcie! To komplet „Mazura” wydawanego w OstróŹdzie w 1880 roku. A tu komplet „Mazura” wydawanego w Szczytnie w 1910 roku.

Grubas napuszył się i dumnie spojrział na swoich kompanów.

— Wiedziałem, Źe to nas nie zainteresuje. Myśleliśmy, Źe Makulski będzie miał jakieś stare książki niemieckie i listy wielkich ludzi. Panu te papierzyska się przydadŹą, ale nam nic po nich. JeŹli więc pan nie ma nic przeciwko temu, to my zwijamy nasz interes. Bierz pan tę skrzynkę, Makulskiego i Baturę. A my wyruszmy do domu.

Z tych kilku zdañ wypowiedzianych przez grubasa mogłem wywnioskować, Źe szefowa Niewidzialnych nie miała wiele czasu na werbunek odpowiednich osób. Zapewne najbardziej przydatni byliby ludzie, którzy choć trochę orientowali się w handlu antykami, w historii sztuki i w ogóle historii. Do takich osobników zaliczał się Batura. MoŹe odrobinę orientował się takŹe Piękny Lolo, ale raczej znał się bardziej na starych lampach niŹ na książkach czy dokumentach. Zwerbowała więc pierwszych lepszych kryminalistów i dała im instrukcję, Źe mają zdobyć stare książki, listy i dokumenty niemieckie oraz biŹuterię i monety. Bandydzi znaleŹli dokumenty i książki polskie — i tu kryła się tajemnica, Źe tak od razu skłonni byli ze mną pertraktować.

— A moŹe chcecie mnie oszukać? — zastanawiałem się głośno. — Ukryliście inne książki i dokumenty, a mnie chcecie wtrynić stare gazety? Przyprowadźcie mi tu Makulskiego. Niech on wyjaśni tę sprawę.

— Jak pan sobie Źyczy — wzruszył ramionami grubas.

Dwoch Niewidzialnych wyprowadziło ze stodoły młodego Makulskiego, który miał zwiąŹane z tyłu ręce i usta owinięte szalikiem. Zdjęli mu teraz szalik, Źeby mógł mówić.

— To prawda, co ten pan mówił — zaczął szybko Makulski, myśląc zapewne, że ja też jestem bandytą, tylko jeszcze gorszym niż ci czterej. — Ojciec biżuterię sprzedał i za te pieniądze postawił zagrodę. Niewiele wiem o tej sprawie, bo byłem wtedy bardzo mały. Było ich trzech, znaleźli trzy skrzynki na wyspie, zabrali je i podzielili się skarbem: biżuterią, papierami, książkami. Ojciec wziął polskie książki, bo nie znał niemieckiego ani żadnego innego języka. A tam były książki i po niemiecku, i po francusku, różne papierzyska w obcych językach. Tylko jeden niemiecki list zaplątał się między polskie papiery i stary Piontek z Sowirogu ten list sobie zabrał na pamiątkę, bo powiedział, że pochodzi od jakiegoś wielkiego niemieckiego poety. Książki i papiery ojciec chciał kiedyś sprzedać w Ukcie, ale mu powiedzieli, żeby je oddał na makulaturę. Ojciec jednak wołał je zostawić na strychu.

Makulski był mężczyzną około trzydziestki, szczupłym, drobnym. Wyglądał na niezbyt rozbudowanego, ale może sprawiał tylko takie wrażenie. Być może hobbyści porządnie go nastraszyli, zanim wskazał im skrzynkę z papierami.

— A gdzie Waldemar Batura? — zainteresowałem się.

— Także w stodole. Czy mam go uwolnić? — zapytał grzecznie grubas.

— Nie. Ja to sam zrobię — zdecydowałem. — Niech sobie trochę poczeka na chwilę wolności. A tymczasem, panowie, zabierajcie się.

Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. Prędko otworzyli drzwi stodoły i po chwili wyprowadzili żółtego fiata. Drugi ich samochód, także fiat, znajdował się za stodołą, przykryty dla niepoznaki snopkami słomy. Tam także odkryliśmy samochód Batury.

Uwolniłem z więzów Makulskiego i poleciłem mu udać się do mieszkania. Przywołałem Winnetou i zleciłem mu zaopiekowanie się skrzynką z papierami. A sam pomaszerowałem na leśną drogę i zjechałem wehikułem w bok, aby Niewidzialni mieli wolny wyjazd na szosę.

— Wszystko w porządku — poinformowałem Monikę i panią Herbst. — Dogadaliśmy się z Niewidzialnymi. Oddali łup i pozwoliliśmy im opuścić zagrodę.

— A więc Niewidzialni pojawili się tutaj — stwierdziła pani Herbst. — A pan nie dawał wiary ostrzeżeniom. Moim zdaniem, źle pan zrobił dając im wolność w zamian za łup. Czy przynajmniej jest aż tak cenny?

— Zależy dla kogo — odparłem. — Dla nich był mało wartościowy, dlatego oddali go nam bez oporu. Ale dla nas jest cenny. Bardzo cenny. Aha — nagle jakbym sobie coś ważnego przypomniał — jeden z Niewidzialnych zdradził się, że kieruje nimi kobieta.

— Kobieta? — zdumiała się pani Herbst, a potem jej czoło przecięła zmarszczka, jak gdyby zastanawiała się nad czymś głęboko.

Po kilku minutach zobaczyliśmy nadjeżdżające samochody z zakapturzonymi mężczyznami.

— Wyglądają jak z kiepskiego filmu kryminalnego — Monika pogardliwie wydeła usta.

Samochody zatrzymały się tuż koło nas.

— Niech pan nie sili się na zapamiętanie numerów rejestracyjnych naszych wozów — krzyknął ku mnie grubas, wychylając się z okna samochodu. — Zrobiliśmy sami kilka tablic i w czasie akcji przykręcamy fałszywe.

Uważnie obserwowałem grubasa, czy nie wymieni porozumiewawczego spojrzenia z panią Herbst albo z Moniką. Ale on w ogóle nie zainteresował się paniami.

— Mam nadzieję, że nie spotkamy się nigdy więcej — zawołał na pożegnanie grubas. — Niech się pan nie łudzi, że zaprowadzimy pana do naszego szefa. To ja jestem szefem, Panie Samochodzik. Żadni Niewidzialni nie istnieją. My jesteśmy samodzielną grupą, która zajmuje się zbieraniem staroci. Takie nasze hobby.

Kiwnąłem głową, że przyjmuję do wiadomości jego oświadczenie. Obydwa samochody przejechały mimo nas i zniknęły za drzewami. Wtedy i my ruszyliśmy na podwórze zagrody Makulskiego.

Tymczasem pojawił się Wielki Bóbr, a Winnetou uwolnił Baturę, który w więzach i z zakneblowanymi ustami tkwił w stodole. Gdy przyjechałem, Waldemar Batura rozcierał kostki rąk, które mu ścierpły od sznura.

— To tak wygląda twoja lojalność i współpraca? — zapytałem go z goryczą.

— Źle mnie osądzasz, Tomaszu — odparł Batura. — Dowiedziałem się, że Niewidzialni wpadli na trop Makulskiego i ukrytych u niego zbiorów. Nie było sposobności, aby cię o tym zawiadomić. Nie wiedziałem, gdzie cię szukać. I przyjechałem tutaj, aby im udaremnić plany. Ale oni okazali się szybsi ode mnie. Już tu byli i wpadłem im prosto w łapy. Związali mnie jak barana i wepchnęli do stodoły.

— A gdzie reszta twojej kompanii?

— Wysłałem ich do Łodzi, żeby odnaleźli Krostka. Jeśli trafią na jego ślad, oczywiście poinformuję cię o tym.

Zerknął na panią Herbst, która stała przy swoim mercedesie.

— Nie podoba mi się ta Niemka — szepnął do mnie. — Mam swojego człowieka w bandzie Niewidzialnych. Poinformował mnie, że otrzymują rozkazy od jakiejś kobiety. Może to od niej?

— Zapomniałeś o Monice, którą ty sam poznałeś ze Schreiberem — odrzekłem i odwróciłem się na pięcie.

Pomyślałem, że może młody Makulski zna adresy pozostałych dwóch przyjaciół swego ojca. Pozostawiwszy więc Baturę na podwórzu pomaszerowałem do domu, gdzie w kuchni obok dzieci i żony siedział ciągle przerażony Makulski. W jego wyobraźni byłem zapewne jakimś potężnym bandytą, silniejszym od tych, którzy go tu rano napadli.

— Proszę się niczego nie obawiać, panie Makulski — wyjaśniłem. — Jestem z Ministerstwa Kultury i Sztuki i zajmuję się poszukiwaniem dokumentów, które odnalazł pana ojciec i jego dwaj przyjaciele, Krostek i Wągrowski. Skrzynkę z papierami, która była na pana strychu, zarekwiruję, ale otrzyma pan ode mnie odpowiednie zaświadczenie.

— Czy czeka mnie jakaś kara? — Makulski był dalej niespokojny.

— Nie. Pana ojciec, Wągrowski i Krostek popełnili przestępstwo przywłaszczając sobie to, co znaleźli. Ale od tamtego czasu minęło już dwadzieścia pięć lat, przestępstwo uległo przedawnieniu. Tym bardziej pan nie może odpowiadać za błąd swojego ojca. Proszę nam jednak pomóc i wskazać adresy Wągrowskiego i Krostka. Może uda się odzyskać pozostałą część dokumentów.

Makulski bezradnie rozłożył ręce.

— Proszę mi wierzyć, że nie wiem, gdzie oni mieszkają. Byłem wtedy mały, nawet ich nie pamiętam. Ojciec mój opowiadał, że gdy znaleźli skarb, podzielili się nim i postanowili rozstać, a także nie spotykać się nigdy więcej.

Uwierzyłem mu, bo ta opowieść wyglądała na prawdopodobną.

— A czy ojciec nie opowiadał panu, jak wyglądał skarb? — wypytywałem.

— To były podobno trzy małe żelazne skrzynie, w których znajdowała się złota biżuteria, różne książki i wiele starych dokumentów. Biżuterię podzielili na trzy równe części, a co do reszty, każdy mógł sobie zabrać to, co chciał. Ojciec wziął tylko trochę polskich papierów. Po jakimś czasie przełożył je do zwykłej skrzynki, a tę żelazną przeznaczył na pudło do mieszania paszy treściwej dla świń. Skrzynia stoi u nas w chlewni.

Zwykła historia. Żadnych dramatycznych wydarzeń. Ileż takich skrzynek leży tu i ówdzie na strychach przeróżnych zagród, a ich posiadacze nawet nie mają pojęcia, że zawierają one niekiedy bezcenne skarby naszej kultury narodowej?

Pomyślałem, że niczego ciekawszego nie dowiem się już od młodego Makulskiego. Pozostawiłem mu zaświadczenie o odnalezieniu części zbiorów doktora Gottlieba. Skrzynkę z książkami i kompletami starych gazet zabrałem do wehikułu. Kawalkada wozów — wehikuł, turbo i mercedes — wyruszyła do Rucianego. Tutaj pożegnaliśmy Waldemara Baturę, który poinformował nas, że musi jeszcze dziś znaleźć się w Warszawie. Pani Herbst, ja i Monika zdecydowaliśmy zatrzymać się w hotelu w Rucianem i przenocować. Wszyscy bowiem czuliśmy się trochę zmęczeni. No cóż, minionej nocy niewiele spała zarówno pani Herbst, Monika, jak i ja.

W drodze do Rucianego zatrzymałem się na chwilę w Wojnowie, gdzie opuścił wehikuł Wielki Bóbr, aby przesiąść się na swój elektryczny wózek. Mój wehikuł porzucił także Winnetou.

— Mustang Wielkiego Bobra nie pędzi tak szybko jak blaszany koń Szarej Sowy — wyjaśnił Winnetou. — Ale nie wydziela trujących spalin i nie czyni hałasu. Dlatego Winnetou wyruszy z Wielkim Bobrem na szlak przygody.

Uściliśmy sobie prawice świadomi, że być może już wkrótce znowu się spotkamy. Albowiem Wielki Bóbr i on otrzymali ode mnie nowe zadanie. Bo tak naprawdę sądziliśmy, że wielka przygoda dopiero się zaczęła.

Wieczorem zadzwoniłem z hotelu do ministerstwa, a rano listonosz dostarczył mi telegram. Informacja zawarta w telegramie postawiła mnie natychmiast na nogi.

Ale tymczasem zdarzyło się także coś zastanawiającego i godnego uwagi. Dlatego pozwólcie, że o wszystkim opowiem po kolei.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

I ZNOWU KĘDZIOREK • „KATECHIZM”, „POSTYLLA”
I KARTKI Z PIOSENKAMI • DLACZEGO GIZEWIUSZ BYŁ
WIELKIM CZŁOWIEKIEM? • SKUTKI ZAMIANY POKOJÓW
• NOCNY GOŚĆ • MAŁŻEŃSKIE PLANY • CZY KOBIETA
DETEKTYW NADAJE SIĘ NA ŻONĘ? • DEPEZA • JESZCZE
JEDEN TROP

Kiosk „Ruchu” znajdował się o sto metrów od hotelu. Gdy wieczorem wyszedłem po papierosy, minąłem zaparkowanego przy chodniku czerwonego volkswagena, którego w południe udało mi się „zgubić” w drodze do Wojnowa. Wynikało z tego, że „kędziorek” — bo tak nazwałem młodego, kędzierzawego właściciela samochodu — zorientował się w końcu, że został wyprowadzony w pole i po jakimś czasie zawrócił do Rucianego. Zapewne zauważył tu zaparkowany przed hotelem mój wehikuł i domyślił się, że znowu jesteśmy w Rucianem, ba, mieszkamy w hotelu. Nie ulegało teraz wątpliwości, że Kędziorek znał Monikę, obserwował nas, a nawet śledził. Nie potrafiłem wyjaśnić, dlaczego to zrobił, ale już sam fakt takiego zainteresowania nakazywał ostrożność.

Volkswagen stał pod świecąca się latarnią, dlatego przechodząc mimo niego stwierdziłem, że Kędziorka w wozie nie ma. Może zamieszkał w tym samym co my hotelu? Może gdzieś z ukrycia wypatrywał, czy Monika nie opuści hotelu, bo byłem pewien, że zechce z nią nawiązać kontakt.

Czy Monika wiedziała, że Kędziorek jest znowu w Rucianem? Myślę, że nie miała o tym pojęcia. Od przyjazdu do Rucianego ani przez chwilę nie odstępowała ani mnie, ani pani Herbst, opiekując się skrzynką z drogocennymi dokumentami. Tylko na moment zostawiłem ją z panią Herbst idąc po papierosy i aby tego nie przedłużyć, pośpiesznie wróciłem do hotelu i zastałem je obydwie w moim numerze.

Zajęliśmy bowiem trzy kolejne jednoosobowe pokoiki na parterze hotelu, ale ponieważ to właśnie w moim numerze znajdowała się skrzynka z odzyskanymi papierami, u mnie przebywały obie panie. Zjedliśmy kolację w hotelowej restauracji, poprosiłem pokojową, aby przyniosła nam jeszcze po szklance herbaty. Roz-

siedliśmy się wokół stojącej na stole skrzynki i mogłem w towarzystwie Moniki i pani Herbst przejrzeć odzyskane papiery.

— Ciekawa jestem, jaka może być wartość odzyskanych dokumentów — zastanawiała się głośno pani Herbst.

— Myślę, że gdyby je wystawić na sprzedaż w którymś salonie aukcyjnym Frankfurtu — powiedziałem — to poza „Katechizmem” Seklucjana i „Postyllą” Małeckiego nie obudziłyby większego zainteresowania. Tylko te dwie książki, jako druki z szesnastego wieku, być może znalazłyby nabywcę, ale wątpię, czy za dużą cenę. Natomiast dla nas Polaków są to rzeczy niezwykle cenne. Doktor Gottlieb nie był pruskim szowinistą. Jako kolekcjonera interesowało go wszystko, co dotyczyło dawnych Prus Wschodnich. Znalazły się więc u niego stare książki i gazety, które mówią o kwitnącej od wieków na tych ziemiach polskiej kulturze. Te książki i te czasopisma ukazują dowodnie, że na Warmię i Mazury nie przyszliśmy dopiero w 1945 roku, ale byliśmy tu od wieków. Czy interesuje panią ta sprawa?

— Ależ tak, proszę mówić — poprosiła.

— Jak pani wie z historii, okres tak zwanego Odrodzenia to także czasy wielkich sporów religijnych, okres działalności Lutera i Kalwina, narodziny protestantyzmu. Rzecznicy zarówno Kościoła protestanckiego jak i katolickiego walczyli o zdobycie zwolenników dla siebie. Szukali ich nie tylko wśród możnowładców, szlachty czy mieszczaństwa, ale także i wśród prostego ludu. W Kościele katolickim panowała łacina, w tym też języku tworzyli ongiś polscy pisarze. Ale tak mieszczaństwo jak i prosty lud nie znały łaciny. Walczący więc o zwolenników zarówno protestanci jak i katolicy musieli zacząć pisać w języku polskim. Jan Kochanowski na polski język przełożył „Psalmy”, protestanci przełożyli Biblię. W ogóle w sporach religijnych i społecznych zaczęto posługiwać się językiem polskim. W tym czasie Prusy były podzielone na Królewskie, pozostające pod władzą polską i Prusy Książęce, należące do księcia pruskiego, który był lennikiem Polski. W Prusach Królewskich umacniały się wpływy katolickie, a w Prusach Książęcych zapanował protestantyzm. Ale wszędzie mieszkał ten sam polski lud. Dla umocnienia go w wierze potrzebowano wciąż nowych ksiązek. I tak w 1538 roku przyjechał z Krakowa do Ełku Jan Sandecki, zwany później Małeckim lub Maletiuszem. Przywiózł on ze sobą drukarnię z czcionkami gotyckimi, nazywanymi potem „krakowskim szriftem”. Jakie to zabawne, że gdy Mazurzy pisząc po polsku posługiwali się gotykiem, niektórzy uważali, że jest to wpływ niemiecki, gdy w rzeczywistości to przyzwyczajenie do gotyku przyszło nie z Niemiec, ale z Krakowa wraz z gotyckimi czcionkami. . . W 1545 roku ukazał się po polsku pierwszy katechizm do nauki religii: „Katechizm text prosti dla prostego ludu” Jana Seklucjana. Potem wyszły zbiory kazań w języku polskim, czyli tak zwana „Postylla”. Ma tu pani przed sobą zarówno „Katechizm” Seklucjana jak i „Postyllę” Małeckiego z 1574 roku. Zresztą podobnych ksiązek było bardzo wie-

le. „Wielki Katechizm” Jana Seklucjana, „Katechizm” Eustachego Trepki, „Po-
style” Orszaka, Seklucjana i Trepki, „Modlitwy nabożne” Wojciecha z Nowego
Miasta. Chyba nie sądzi pani, że autorzy tych książek pracowali tylko dla wła-
snej przyjemności, nie mając odbiorców dla swoich dzieł? Ich książki dowodzą,
że w Prusach Książęcych mieszkał lud, do którego trzeba było przemawiać po
polsku.

Sięgnąłem do skrzynki i wyjąłem owiązany wstążką plik pożółkłych mocno
kartek, zapisanych ręcznie. Na kartach widniały słowa i nuty piosenek.

— Panowie hobbyści — stwierdziłem z ironią — zlekceważyli te kartki. Ka-
zano im szukać listów wielkich ludzi. Pismo na tych kartkach wydaje mi się zna-
jome, widziałem je chyba na podobnych kartkach w muzeum w Olsztynie. Są to
piosenki ludu mazurskiego, które zapisywał pastor ewangelicki Gizewiusz, a ra-
czej Giżycki. Potem trafiły one do Oskara Kolberga, który w 1857 roku zaczął
publikować swoje potężne dzieło „Pieśni ludu polskiego”. Nazwisko Gizewiusz
być może owym hobbyistom także nic nie mówi, ale oświadczam pani, że to był
naprawdę wielki człowiek. Przypuszczam, że kartki pochodzą z jego notatnika
„Pieśni ludu znad górnej Drwęcy w parafiach Ostródzkiej i Kraplewskiej w latach
1836-1840 zebrane”. One dowodzą, że nie tylko w czasach Seklucjana i Małec-
kiego, ale i w dziewiętnastym wieku na tych ziemiach żył i pracował lud, który
śpiewał po polsku. Rękopisy Gizewiusza w większości zaginęły. To cudowne, że
udało nam się odnaleźć tych kilkanaście kartek. Powiększą nasze zbiory pamiątek
po ewangelickim pastorku z Ostródy, który przeciwstawiał się germanizacji ludu
polskiego na Mazurach. Panowie hobbyści zlekceważyli także pożółkłe komple-
ty gazet. Oto „Przyjaciół Ludu Łęckiego”, którego współredagował Gizewiusz
i gdzie znajdzie pani mnóstwo artykułów, ukazujących polskość tych ziem. A ten
tu pożółkły rocznik, to „Mazur” wydawany w Ostródzie w języku polskim w 1881
roku. Czyż to nie dowodzi, że już po Gizewiuszu, w tejże samej Ostródzie i w jej
okolicach mieszkał lud, który chciał czytać w polskim języku? Oto komplet „Ma-
zura” wydawanego w Szczytnie, ale już w 1910 roku. Czyż to nie dowód, że także
w okolicach Szczytna żyli Polacy? Te pożółkłe papiery są cenniejsze niż złoto. To
kawałek historii. Nasz akt prawny, który pozwala nam z podniesionym czołem
stąpić po skrawku mazurskiej ziemi. . .

— Rozumiem pana — skinęła głową pani Herbst. — I podzielam pana zdanie,
że o wartości rzeczy nie decyduje ilość pieniędzy, którą można za nią otrzymać.

Jeszcze jakiś czas rozmawialiśmy o odnalezionych u Makulskiego starych
książkach i dokumentach. Aż zrobiło się dość późno i zdecydowaliśmy się udać
na spoczynek.

Pani Herbst pierwsza opuściła mój pokój. Chciała to również zrobić Monika,
ale zatrzymałem ją na moment.

— Nastąpiła omyłka — powiedziałem. — Pokój, który zająłem, należy do
pani, zgodnie z przydziałem, który zrobiono w recepcji hotelu.

— Czy to nie wszystko jedno? — wzruszyła ramionami Monika. — To są zdaje się jednakowe pokoje.

— To nic — odparłem — ale ja lubię, gdy wszystko dzieje się zgodnie z przepisami.

Monika popatrzyła na mnie z niepokojem.

— Co z panem, szefie? Czyżby naprawdę był pan aż tak wielkim formalistą?

Mruknąłem coś niewyraźnie w odpowiedzi. Zabrałem ze stołu skrzynkę z dokumentami i przeniosłem się do sąsiedniego pokoju. Monice nawet przez myśl nie przeszło, że nie było żadnej omyłki, a zamiany pokoiów dokonałem z całkowitą premedytacją.

Gdy znalazłem się w swoim numerze, zanim zapaliłem światło, starannie zasunąłem zasłony w oknach, jednocześnie nieco uchyliłem okna, bo od maja lubię spać w nocy przy otwartym oknie. Schowałem skrzynkę pod stół. Chciało mi się spać, ale nie pozwalałem sobie na sen. Wiedziałem, że nie wolno mi zmrużyć oka, gdyż tej nocy musi zdarzyć się coś ważnego.

Czuwałem, wsłuchując się w dźwięki. Przez cieniutkie ściany słyszałem pisk odkręcanego kranu w pokoju Moniki, bulgotanie w rurach i znowu pisk zakręcanego kranu. Potem zapadła cisza, tylko gdzieś z góry dobiegała mnie muzyka z odbiornika radiowego. Okna naszych pokoiów wychodziły na niewielki ogród; zamiast więc szelestu opon samochodowych i kroków ludzkich, słyszałem kłaskanie słowików i czułem napływający z ogrodu zapach bzu.

Spojrzałem na zegarek — było dziesięć po dwunastej. W tym momencie usłyszałem pod oknem cichy szelest. Ktoś popchnął okno, które otworzyło się nieco szerzej. Po chwili ten ktoś wspiął się na parapet okienny, odsuwając story na oknie.

— Monika, śpisz? — usłyszałem szept Kędziorka.

Nie drgnąłem na swoim łóżku. Chciałem, żeby Kędziorek wszedł do pokoju i zaczął mówić do Moniki, byłem bowiem ciekaw, co też ma jej do powiedzenia.

— Monika, śpisz? — znowu powtórzył się szept.

Kędziorek wszedł na parapet, odsunął story i zajrzał do pokoju.

— Nie udawaj, że śpisz — stwierdził. — I niepotrzebnie się na mnie dąsasz. Nie mogę ciągle za tobą jeździć. Słyszysz mnie, Monika?

Milczałem, ale lekko poruszyłem się w łóżku, aby domyślił się, że Monika nie śpi.

Wszedł do pokoju i stanął przy oknie.

— Posłuchaj mnie jeszcze raz, Monika zaczął błagalnie. — Mówiłem ci przecież, że już skończyłem studia i w przyszłym miesiącu mam rozpocząć samodzielną pracę. Wiesz, że cię kocham. Chcę, żebyś była moją żoną, a nie pracowała w ministerstwie i ciągle gdzieś jeździła z jakimiś podejrzanymi typami. Zabrałem ojcu samochód bez jego wiedzy i czeka mnie potężna awantura. Ale musiałem

jechać za tobą, żeby ci jeszcze raz wyjaśnić, że najlepiej zrobisz, jeśli mnie posłuchasz: rzucisz pracę i wyjdiesz za mnie za męża. Wczoraj w nocy tłumaczyłem ci, że będę miał wkrótce samodzielne mieszkanie i dobrą pracę. Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie za męża? Ten ponury typ, z którym jechałaś, zaczął coś podejrzewać. A może on ci się podoba? Czym ty się właściwie zajmujesz, Monika? Na czym polega twoja praca? Dlaczego ja muszę się ukrywać i oni nie mogą wiedzieć, że jestem twoim narzeczonym? A może gniewasz się na mnie, że zamiast drzwiami, wlałem tutaj oknem?

— Nie, proszę pana — usiadłem na łóżku. — Nie o to chodzi, że pan wszedł oknem, ale że pan pomylił pokoje. Monika mieszka w sąsiednim.

Kędziorzek aż jęknął, tak go zaskoczyły moje słowa.

— Ja... ja... — zaczął się jąkać — bardzo pana przepraszam...

— Nie ma za co — stwierdziłem. — Niech pan wyjdzie tymi drzwiami i zapuka do sąsiednich. Nie gniewam się również, że nazwał mnie pan „ponurym typem”.

— Tak o panu powiedziałem? — zafrasował się młodzieniec. — Przepraszam, ale nie miałem nic złego na myśli. Kocham Monikę, pan rozumie i bardzo chciałbym, aby wyszła za mnie za męża. Zamierzałem jej o tym powiedzieć.

— Zdaje się, że już jej to pan mówił wielokrotnie...

— Tak — smutnie przyznał młodzieniec.

— No właśnie. Dlatego nie radzę panu budzić jej w środku nocy, aby powtórzyć jej to raz jeszcze. Obawiam się, że po prostu wyrzuci pana za drzwi.

— Więc co mam robić?

Wstałem z łóżka, zapaliłem światło, poczęstowałem młodzieńca papierosem.

— Ona prawdopodobnie nie chce wyjść za męża — powiedziałem oględnie. — Podoba jej się praca w Ministerstwie Kultury i Sztuki, a małżeństwo jej nie odpowiada. W każdym razie, w tej chwili. Może pan nieco później ponowi swoje propozycje.

— A jeśli ona mnie nie kocha? — przeraził się młodzieniec.

— Trzeba ją było o to zapytać.

— Pytałem wiele razy. Ona mówi, że nie wie.

— No cóż — zastanowiłem się. — Jeśli kobieta mówi, że nie wie czy kocha, to znaczy, ma pan pewne szansę.

— Wiem — młodzieniec zerwał się z krzesła. — Powinienem walczyć o jej miłość. Tak myślałem i dlatego wzięłem ojcu samochód, i pojechałem za nią. Ale ona ciągle się na mnie o to gniewa i złości.

— Nie dziwię się — stwierdziłem. — Pan jej przeszkadza pracować.

— A co to za praca, że ona musi jeździć z panem i innymi...

— „Ponurymi typami” — uzupełniłem pogodnie. — No cóż, nie mogę panu tego dokładnie wyjaśnić. W każdym bądź razie nie będziemy stawiać żadnych

przeszkód, jeśli panna Monika zechce opuścić swoje stanowisko pracy i wyjść za mąż. Za pana lub kogoś innego.

— Kogoś innego?! — przeraził się. — A czy jest ten „ktoś inny”?

— Nie wiem — ziewnąłem — ale ciągle za nami ktoś jeździ. Jak nie samochodem, to na motorowerze. To ładna dziewczyna, proszę pana.

— Ładna? — oburzył się Kędziorek. — Ona jest piękna. Niech mi pan doradzi, co powinienem robić.

Ziewnąłem, bo naprawdę chciało mi się spać.

— Nie mam wielkiego doświadczenia w tym względzie. Jestem starym kawalerem, jak się to mówi. Byłem kilkakrotnie w pana sytuacji. . .

— I co? I co? — zainteresował się.

— I nic. Jak panu powiedziałem, nie jestem żonaty.

— Więc co mam robić?

— Położyć się spać — ziewnąłem po raz trzeci.

— Spać?! — oburzył się. — W takim stanie ducha? Zresztą nie mam gdzie spać. Wy zajęliście ostatnie pokoje w hotelu. Chyba że pójde do samochodu.

Zastanowiłem się.

— Tu w pokoju jest wersalka. Niech się pan na niej położy i zdrzemnie. Mam tu dodatkowy koc. Jutro rano dogada się pan z Moniką.

— Nie będę panu przeszkadzał?

Podrapałem się w głowę.

— Jeśli pan nie będzie zbyt głośno wzdychał, to myślę, że potrafię zasnąć.

— Dobra. Dziękuję.

Wziął ode mnie koc i położył się na wersalce. Zanim zgasilem światło i wypaliłem do końca jeszcze jednego papierosa, on już spał jak suseł. Stałem nad nim i smutnie pokiwałem głową. Pomyślałem, że nie nastąpi żadna tragedia, jeśli znowu usłyszy od Moniki, że nie wyjdzie za niego za mąż. Wróci do domu i w tydzień później będzie tak samo zakochany w innej paniencie.

Pomyślałem także, iż przynajmniej jedną zagadkę udało mi się rozwiązać. Wiedziałem już, po co ubiegłej nocy Monika chodziła do lasu. Gdybym także wiedział, dokąd i po co chodziła pani Herbst!

Obudziło mnie pukanie do drzwi, które pozostawiłem na noc nie zamknięte. Po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich Monika.

— Już po dziewiątej, a pan śpi, szefie — zaczęła i urwała, zobaczywszy na wersalce śpiącego Kędziorka.

— A on skąd się tu wziął? — wytrzeszczyła oczy. A potem podeszła do wersalki i bezceremonialnie zaczęła młodzieńca potrząsać za ramię.

— Jacek, co ty tu robisz? Przecież kazałam ci wracać do Warszawy. Jacek, obudź się! — wołała.

Chłopak budził się z trudem.

— Muszę z tobą porozmawiać — mrucał, jeszcze nie całkiem przytomny.

— O czym? O małżeństwie? Przecież ci mówiłam, że stajesz się nudny. Nie ma nic gorszego dla dziewczyny niż chłopak, który nieustannie ją prześladowa z tym swoim „wyjdź za mnie za męża”. A ja nie mam ochoty. Nie mam ochoty! I w ogóle, jakim cudem znalazłeś się w pokoju mojego szefa?!

— Pomyliłem numery. Wybierałem się do ciebie, a trafiłem do tego pana.

— Co takiego? — oburzyła się Monika. — Wybierałeś się do mnie? Masz szczęście, że pomyliłeś pokoje, bo spałbyś na ulicy albo na korytarzu.

— Proszę pana — chłopak zwrócił się do mnie. — Miał pan się za mną wstać u Moniki.

— Ja? — zdumiałem się. — Nic takiego nie obiecywałem.

— Jest pan jej szefem. Tak czy nie? — zapytał.

— Owszem. Ale nie wtrącam się do prywatnego życia moich współpracowników.

Monika oświadczyła dobitnie:

— Jacek! Za piętnaście minut masz być w drodze do domu, do Warszawy.

I wyszła z pokoju trzasnąwszy drzwiami.

— Trudno — westchnął chłopak. — Zdaje się, że nie mam wyboru. Muszę wracać do Warszawy.

Wstał z wersalki i zaczął wygładzać swoje pomięte ubranie, spał w nim bowiem pod kocem.

Zrobiło mi się go żal, bo miał bardzo żalostną minę.

— My też jedziemy do Warszawy — poinformowałem go. — Może pan zje z nami śniadanie?

— Naprawdę? Będę mógł zjeść śniadanie w waszym towarzystwie? Może po śniadaniu będzie skłonna do rozmowy. . .

— Odradzam — powiedziałem szczerze. — Odradzam rozmowę z Moniką na tematy małżeńskie. Ona naprawdę ma już chyba dosyć pana nagabywać.

Wstałem z łóżka, ogoliłem się, umyłem, ubrałem. Młodzieniec zabawiał mnie rozmową.

— Jak pan myśli, dlaczego niektóre współczesne dziewczyny nie chcą wychodzić za męża? — spytał mnie.

— A kto panu powiedział, że nie chcą?

— Monika nie chce.

— Bo pan jej nie imponuje — wyjaśniłem.

— A czy inny chłopak wzięłby ojcu samochód i pojechał za dziewczyną aż na Mazury?

— Zrobił pan z siebie durnia — rzekłem. — Jeździ pan za nią i skamle, żeby wyszła za pana za męża. Po prostu przeszkadza jej pan w pracy.

— A co ona robi?

— To pan nie wie, czym zajmuje się dziewczyna, której proponuje pan małżeństwo? — zdumiałem się. — Myślałem, że pan wie o niej wszystko dobre i złe. A czy ona wie coś o panu?

— A co o mnie można wiedzieć? Mam na imię Jacek, skończyłem politechnikę i mam pracować w zakładach imienia Kasprzaka. Posiadam książeczkę mieszkaniową. To wszystko.

— Ona jest detektywem — powiedziałem.

— Co takiego? — aż usiadł, bo do tej pory chodził nerwowo po pokoju.

— Słyszał pan, co powiedziałem? Jest detektywem.

— Państwowym?

— Jak najbardziej.

— W milicji?

— W Ministerstwie Kultury i Sztuki.

— Tam też pracują detektywi?

— Oczywiście. Zajmują się wykrywaniem nielegalnego handlu dziełami sztuki, demaskowaniem fałszerstw i tym podobnymi sprawami.

— Monika? — kręcił głową. — Myślałem, że ona jest subtelną, delikatną panią, która pracuje w muzeum.

— Jest subtelna i delikatna — potwierdziłem. — Tacy muszą być detektywi w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Ja też jestem podobny.

Zastanowił się.

— Wie pan co? Nie chciałbym mieć za żonę detektywa, który wszędzie wściubia nos i szybko demaskuje każde kłamstewko. Ta sprawa w ogóle zmienia postać rzeczy.

— A co? Miłość panu przechodzi? — zaciekawilem się.

— Na to wygląda. Nawet nie mam ochoty iść z wami na śniadanie.

— Nie jest pan głodny?

— Jestem. Ale gdy pomyślę, że Monika mogłaby mi przed nosem wymachiwać pistoletem...

— Nie nosimy broni.

— A jednak ja się trochę zastanowię...

Podał mi rękę.

— Do widzenia panu. Dziękuję za nocleg.

— Cześć — powiedziałem.

I Kędziorek zniknął za drzwiami.

Skrzynkę z dokumentami wsunąłem pod łóżko, starannie zamknąłem okna i drzwi, i pomaszerowałem do małej restauracyjki, która mieściła się na parterze w drugim skrzydle hotelu.

Pani Herbst i Monika jadły już śniadanie.

— Pojechał? — zainteresowała się Monika.

— Tak.

— Chwała Bogu. A myślałam, że jeszcze zostanie — stwierdziła jakby z pewnym rozczarowaniem.

Rozmawialiśmy po niemiecku, pani Herbst patrzyła na mnie pytająco, więc jej wyjaśniłem przygodę z Jackiem.

— I pojechał? — zdziwiła się pani Herbst.

— Chwała Bogu — powtórzyła Monika.

— A jednak trochę jakby pani było żal, że pojechał — zauważyłem.

— To się panu tylko tak wydaje.

— No cóż, to bardzo przyjemnie móc imponować innym, jak to za nami biegają mężczyźni — stwierdziła pani Herbst. — Ale on jednak wrócił do Warszawy.

— Zdradziłem mu, że Monika jest detektywem — powiedziałem. — Jakoś nie bardzo odpowiadała mu myśl, aby mieć za żonę detektywa. Doszedł do wniosku, że musi zastanowić się nad tą sprawą i mimo że go zapraszałem na śniadanie, jednak pojechał.

— A to łajdak — mruknęła Monika. — Nie podoba mu się mój zawód. No, już ja z nim pogadam w Warszawie. . .

W tonie głosu Moniki brzmiało coś złowróżbnego dla Kędziorka, i dobrze chyba, że tego nie słyszał.

— Bo to rzeczywiście nie jest zawód dla kobiety — rzekła pani Herbst.

— A jednak pani jest detektywem — zauważyła Monika.

— Z musu. Po prostu prowadzę firmę po zmarłym mężu.

Dyskusja na ten temat mogłaby zdaje się trwać w nieskończoność, ale do sali wszedł doręczyciel i wywołał moje nazwisko.

— Depesza z Warszawy — oświadczył.

Proszę natychmiast przyjeżdżać do Łodzi. Stop. Pokoje w Grand Hotelu zarezerwowane. Stop. Rozmowy z Krostkiem są w toku. Stop. Marczak.

Treść depeszy przetłumaczyłem na niemiecki, aby była zrozumiała dla pani Herbst.

— Wynika z tego, że uprzedziliśmy Niewidzialnych — ucieszyła się.

— Przecież chyba nie znali jego adresu? — odezwała się Monika.

— Owszem — odpowiedziałem. — To znaczy wiedzieli, że przeniósł się do Łodzi. A w biurze adresowym nietrudno uzyskać informacje o miejscu czyjegoś zamieszkania.

I choć depesza brzmiała optymistycznie, zasępiłem się. Bo wprawdzie Niewidzialni, których spotkałem u Makulskiego, nie wydawali się groźni, to jednak nie oni kierowali całą akcją. Rządził nimi ktoś bardzo sprytny i inteligentny. A poza tym pozostawał jeszcze Batura. U Makulskiego był sam, co znaczyło, że reszta jego bandy jest na innym tropie. Być może właśnie szuka Krostka.

— Jedziemy natychmiast do Łodzi — oświadczyłem, wstając od stołu.

— Słusznie — przytaknęła pani Herbst.

Ale w Rucianem rozstaliśmy się z nią, bo ja musiałem jechać okreśną drogą, aby pozostawić w Warszawie skrzynkę z częścią odzyskanych zbiorów, a pani Herbst mogła ruszyć przez Szczytno, Nidzicę, Mławę i Wyszogród, znacznie skracając trasę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

DYREKTOR MARCZAK W AKCJI • PIĘKNA PANNA KROSTEK
• JAK ZATOPIONO W JEZIORZE ZBIORY DOKTORA GOTTLIEBA? • KTO USIŁUJE NAS OKŁAMAĆ? • CO ROBI PANI HERBST? • GDZIE JEST MONIKA? • DWIE INFORMACJE OD BATURY • W „CASANOVIE” • „FRAULEIN DOKTOR” • JAK MONIKA POŚWIECIŁA WŁASNE SZCZĘŚCIE?

Dyrektor Marczak podziękował mi za odnalezienie starych dokumentów i książek oraz z uwagą wysłuchał mojego sprawozdania.

— Wynika z tego, że Niewidzialni już rozpoczęli akcję — stwierdził. — Jeśli nie zlikwidujemy ich teraz i oni umocnią się u nas, może pan być pewien, że zaczną się mnożyć kradzieże i przemyt dzieł sztuki. Zrobił pan słusznie odbierając im skrzynkę Makulskiego. Ale może jednak należało ich od razu schwytać i oddać w ręce milicji?

— To były nic nie znaczące pionki. Trzeba schwytać tego, kto wydaje rozkazy.

— Zapewne ma pan rację — bez wielkiego przekonania przytaknął Marczak.

Ta rozmowa odbyła się w łódzkim „Grand Hotelu”, dokąd przyjechałem późnym wieczorem. Podróż — jak wspomniałem — nieco przedłużyła się, gdyż zdecydowałem się jechać przez Warszawę. W sejfie ministerstwa zabezpieczyłem dokumenty i książki odnalezione u Makulskiego. W Warszawie pozostawiłem także Monikę, polecając jej, aby nazajutrz wstąpiła do ministerstwa i zorientowała się, czy były do mnie jakieś telefony, listy i tym podobne sprawy urzędowe. Sam tego nie mogłem zrobić, ponieważ do Warszawy przybyliśmy już po godzinach urzędowania. Poleciałem Monice, aby nazajutrz popołudniowym pociągami przyjechała do Łodzi i zgłosiła się w „Grand Hotelu”. Miałem cichą nadzieję, że Monika skorzysta z okazji i porozumie się z Kędziorkiem. Wyobrażałem sobie radość Marczaka, gdyby panna Monika przybyła do Łodzi z wiadomością, że wychodzi za mąż i porzuca pracę w Referacie do Zadań Specjalnych.

Były to jednak zdaje się płonne nadzieje, ponieważ przy pożegnaniu Monika oświadczyła mi:

— Wiem, że nie jest pan zadowolony z mojej dotychczasowej działalności, szefie. Ale ja panu wkrótce udowodnię, że potrafię być dobrym detektywem.

Zabrzmiało to groźnie i zareagowałem natychmiast:

— Zabraniam pani działać na własną rękę. Surowo zabraniam.

— W porządku, szefie — zawołała wysiadając z wehikułu.

Ale od tej chwili zaczął mnie trawić niepokój, który narastał w miarę, jak upływał czas.

Skoro oceniliśmy moją działalność, mój zwierzchnik nie okazałby się chyba prawdziwym szefem z krwi i kości, gdyby nie usiłował udowodnić swemu podwładnemu, że i on także — jak to się mówi — nie zasypiał gruszek w popiele.

— Pracował pan bardzo ofiarnie — przyznał Marczak. — I odniósł pan pewne sukcesy. Ale moim zdaniem najważniejsza sprawa rozstrzygnie się tutaj, w Łodzi, dzięki temu, że trafiłem na ślad Krostka.

Pomyślałem, że zdobycie adresu nie było aż tak skomplikowane. Nie powiedziałem tego jednak głośno, bo w podobny sposób nie należy mówić do zwierzchnika. Choćby najlepszego.

— Nawiązał pan kontakt z Krostkiem?

— Tak. I jak mi się zdaje, to u niego znajduje się najcenniejsza część zbiorów Gottlieba.

— Powiedział to panu?

— Nie. Nawet zaprzeczał zdecydowanie, jakoby miał coś wspólnego z rozbórką domu na Czarcim Ostrowie. Ale mnie się tak łatwo nie wyprowadzi w pole. Wystarczyło mi zobaczyć jego willę na przedmieściu Łodzi. Piękna, bardzo kosztowna willa, zaraz widać, że ten człowiek żyje na bardzo wysokiej stopie. A skąd ma na to? Myślę, że dzięki biżuterii Dobenecków. Jeśli mu to udowodnimy, Krostek będzie skłonny wydać nam część zbiorów Gottlieba.

— A jeśli nie? — zapytałem z niewinną miną.

Marczak aż poczerwieniał z oburzenia.

— Poinformuję o wszystkim milicję. Już ona dobierze mu się do skóry. Zapytaj Krostka, skąd miał pieniądze na willę i tak go nastraszą, że wyda nam zbiory.

— To było prawie trzydzieści lat temu — zwróciłem mu uwagę. — Jeśli Krostek choć trochę zna prawo, wie, że nic mu nie grozi.

— Hm — zakłopotał się Marczak — więc co pan radzi?

— Trudno mi coś radzić, skoro go nie oglądałem na oczy, nie rozmawiałem z nim. Jakie sprawił na panu wrażenie?

— Nie jest człowiekiem wykształconym, ale wygląda na wielkiego spryciarza. Ot, sprytny prostak. Łatwo zorientował się co do wartości biżuterii Dobenecków, ale myślę, że nie jest w stanie ocenić wartości, jaką mają zbiory Gottlieba.

Rozumowanie Marczała wydawało mi się trochę naiwne.

— A czy nie sądzi pan, że ktoś może mu pomóc w ocenie zbiorów?

— Na przykład kto?

— Batura albo Niewidzialni.

— A skąd mogą mieć jego adres?

— Z tego samego źródła co i pan. Z biura adresowego, panie dyrektorze — wypaliłem. — I zapewniam, że będą rozmawiali z nim zupełnie innym językiem niż pan. Bez pogroźek. Po prostu zaproponują mu sprzedaż zbiorów. Wytlumaczą mu, że gdy wiemy o zbiorach Gottlieba, już ich się teraz nie będzie mógł pozbyć bez wielkiego ryzyka. Może jest prostakiem, ale to na pewno zrozumie.

— Więc co pan sądzi? — zapytał zbity z tropu Marczak.

— Myślę, że i my musimy zastosować podobną taktykę. Bez pogroźek. Powinniśmy grzecznie wyklarować mu, że jeśli nie przekaże nam zbiorów, trudno mu będzie ich się pozbyć bez narażenia się na poważne kłopoty.

— Tak, tak właśnie zrobimy — przytakiwał Marczak. — Bardzo jestem zadowolony, że w jutrzejszej rozmowie z Krostkiem i pan weźmie udział. Bo co do mnie, aż mnie krew zalewa, gdy pomyślę, że ten człowiek być może trzyma gdzieś ukryte bezcenne skarby kultury i gotów się z nami o nie targować, jak przekupka o jabłka na straganie. Nie potrafię z takim człowiekiem bawić się w dyplomację.

Albowiem dyrektor Marczak był człowiekiem, który wyobrażał sobie, że podobnie jak i on, każdy w naszym kraju powinien kochać pamiątki historyczne. Gdyby to zależało od niego, sklepy „Desy” zostałyby zamknięte, każdy cenny obraz znajdowałby się w muzeum, a na muzea zamieniono by wszystkie stare domy, zamki i pałace.

— O której jest pan jutro umówiony z Krostkiem? — zapytałem.

— O jedenastej przed południem, w jego willi. Niechże pan idzie teraz spać, odpocznie, a jutro do dzieła.

Opuszczając pokój Marczaka zagadnąłem go jeszcze od drzwi:

— Dlaczego pan sądzi, że Krostek ma najpoważniejszą część zbiorów Gottlieba? Może właściwy trop to nie Krostek, ale Wągrowski?

— Z trzech osób, które odnalazły zbiory Gottlieba, tylko Krostek wyemigrował do miasta i urządził się tu znakomicie.

— Być może ma pan rację — zgodziłem się — ale kto wie, czy Wągrowski nie mieszka w jeszcze okazalszej willi?

Zabiłem Marczakowi porządnego ćwieka i poszedłem spać. Przedtem jednak zszedłem na dół do recepcji i zapytałem o panią Herbst, dla której dyrektor Marczak również zarezerwował pokój. Recepcjonista zerknął na tabliczkę z kluczami i stwierdził:

— Nie ma tej pani w pokoju. Przyjechała dziś w południe, ale wyszła.

— Czy nie pytała o dyrektora Marczaka lub o mnie? — podałem swoje nazwisko.

— Nie. Interesowało ją tylko, gdzie mieści się w Łodzi biuro adresowe.

Uśmiechnąłem się gorzko. Pani Herbst zamiast skontaktować się z Marczakiem, a potem ze mną — wolała na własną rękę wywiedzieć się o adres Krostka.

W jakim celu? Czyżby chodziło o to, aby z nim porozmawiać na osobności i to jeszcze dzisiaj, zaraz?

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że pani Herbst opuściła Łódź bardzo wczesnym rankiem.

— Coś mi się zdaje, że nasza wizyta u Krostka — powiedziałem do Marczaka — jest już zbyteczna. Pani Herbst prawdopodobnie uprzedziła nas i mówiła z nim nieco innym niż pan językiem.

— Po niemiecku? — rzekł Marczak.

— Nie. Po kupiecku.

W jakiś czas później czarna wołga Marczaka zawiozła nas na Julianów, w willową dzielnicę wielkiej Łodzi.

Willa Krostka robiła imponujące wrażenie. Była duża, z pięknym podjazdem dla samochodów, z dwoma podziemnymi garażami i niewielkim ogródkiem, gdzie tryskała mała fontanna i kaskada wody spływała po kamieniach, strumyczkiem strzeżonym przez kilka gipsowych krasnali.

Otworzyła nam drzwi dość ładna dziewczyna, najwyżej dwudziestodwuletnia, w zamszowej kurteczce z „Peweksu” i sukience mini, którą nosiła wbrew modzie. Zapewne szkoda jej było ukrywać długie i zgrabne nogi.

— Proszę do saloniku — oświadczyła nam. — Właśnie czekamy na panów.

— Umówiliśmy się z pani ojcem — rzekł Marczak.

— Ojciec musiał nagle wyjechać — wyjaśniła, prowadząc nas przez mały hall o ścianach wyłożonych jesionową boazerią. — Zostałam jednak przez niego wprowadzona w całą sprawę.

— Umówiliśmy się z pani ojcem i tylko z nim chcemy rozmawiać — stwierdził Marczak, którego oburzyło postępowanie Krostka.

Uśmiechnęła się do dyrektora, a miała ładny uśmiech.

— Zaręczam panu, że ze mną będzie się łatwiej dogadać niż z ojcem. On jest człowiekiem starej daty, a ja kończę germanistykę i jako osoba kulturalna o wiele lepiej rozumiem, o co panom chodzi. Wczoraj wydobyłam z ojca całą prawdę o historii na Czarcim Ostrowie. Obawiam się, że wobec panów ojciec nie przyznałby się do niczego, kręciłby, kluczył, jak to zdaje się już robił w poprzedniej rozmowie.

Wprowadziła nas do dość dużego pokoju na parterze, umeblowanego fałszywymi ludwikami, co dla fachowca było widoczne już na pierwszy rzut oka. Usiedliśmy na fotelikach, panna Krostek założyła nogę na nogę i poczęstowała nas papierosami marlboro.

— Jak panowie wiedzą — zaczęła robiąc mądrą minę — zaraz po wojnie mój ojciec przeniósł się na ziemie północne, a ponieważ wyremontował traktor, zajął się rozbiórką i przewozem starych cegieł. Pewnego razu razem z niejakim Wągrowskim i Makulskim, których adresów obecnie nie zna, dokonał rozbiórki zrujnowanego domu na wyspie na Śniardwach i w podziemiach domu trafił na trzy

skrzynie. Były w nich przeważnie niemieckie książki i trochę biżuterii. Nie powiadomili o tym władz, co było niesłuszne i przestępcze. Ale zwyciężyła w nich chciwość. Biżuterią podzielili się po równo i rozstali. Biżuterii nie było zresztą aż tak wiele. Ojciec sprzedał swoją część i postawił mury tej willi, kupił także maszyny dziewiarskie. Na tyle starczyło mu pieniędzy. To dopiero z zysków, jakie przynosił mu warsztat dziewiarski, dokończył willę i wyposażył ją. Po kilku zresztą latach na skutek wysokich podatków ojciec zlikwidował warsztat i przez jakiś czas żyliśmy tylko z oszczędności. Dopiero teraz ojciec chce otworzyć małą wytwórnię zamków błyskawicznych i właśnie w tej sprawie wyjechał do Warszawy.

— Rozumiem — powiedziałem — ale nas nie interesuje ani biżuteria odnaleziona przez pani ojca, ani dzieje pani rodziny, a właśnie te stare książki, które były w trzech skrzyniach na Czarcim Ostrowie.

— Wiem o tym — skinęła głową panna Krostek — i właśnie chcę przystąpić do tej sprawy. Otóż ojciec mój, jak to się mówi, ma głowę do przeróżnych interesów. Jest to człowiek prosty, zaledwie umie czytać i pisać, a także rachować. Wie, jak wygląda złoto i drogie kamienie, ale nie orientuje się, jaką wartość przedstawiają książki i dokumenty. Gdy znaleźli trzy skrzynie, biżuterię oczywiście zabrali, ale wszystkie papiery i stare książki zaraz zniszczyli, żeby zatrzeć ślady przestępczego czynu.

— Zniszczyli je? — przeraził się Marczak. — Ależ to okropne!

— Wiem o tym. I zgadzam się z panem — szczere zmartwienie i potępienie ukazało się na ładnej buzi panny Krostek. — Ale pan rozumie, co oni czuli. Wiedzieli, że o skarbie powinno się zawiadomić władze. Nie zrobili tego i ogarnął ich strach; zabrali biżuterię, a pozostałą zawartość wraz ze skrzyniami utopili na środku Śniardw. Jak powiedział mi mój ojciec: „postanowili końce puścić w wodę”.

— A jednak u Makulskiego znaleźliśmy trochę starych książek i dokumentów — zauważyłem.

Panienka zmieszana się.

— Może Makulski zabrał jednak kilka książek i trochę dokumentów? Ale na pewno nie wziął nic mój ojciec. Trzy skrzynki wrzucili do Śniardw.

Mogłem powiedzieć, że obita blachą skrzynka znajduje się w zagrodzie Makulskiego i służy do mieszania paszy dla świń. Ale te informacje postanowiłem zachować dla siebie. Zdawałem sobie sprawę, że panienka albo kłamie świadomie, albo okłamał ją jej sprytny ojciec. Nie należało wyklądać na stół wszystkich swoich kart, dopóki nie miało się pewności, do jakiego celu zmierza przeciwnik i jakimi kartami chce z nami grać.

— To straszne. Bezcenne starodruki i dokumenty, listy i pamiątki spoczęły na dnie jeziora — biadolił Marczak i sprawiał wrażenie, że za chwilę się rozpłaczę.

Panna Krostek też miała smutną minę.

— Niestety, to prawda. Ojciec mój nigdy by się wam do tego nie przyznał. Ale mnie powiedział prawdę, a ja zasięgnąwszy opinii prawnika zdecydowałam się ją wam ujawnić.

Było dla mnie jasne od początku, że Krostek i jego córka poradziła się prawnika i mieli świadomość, że za to, co się kiedyś stało, nie poniosą żadnej odpowiedzialności. Stąd rzekoma szczerść jego córki. Rzekoma, ponieważ panienka — a byłem tego niemal całkowicie pewien — kłamała. Krostek pozostawił sobie przynajmniej jedną skrzynkę z książkami i dokumentami. Albo nawet zabrał dwie skrzynie i jeszcze na dodatek te rzeczy, którymi pogardził Makulski, jako że nie znał niemieckiego.

Panna Krostek była chyba bardzo spostrzegawcza albo zbyt wyraźnie moje wątpliwości uwidoczniły się na mej twarzy. Nieoczekiwanie oświadczyła:

— Panowie nie muszą mi wierzyć. Możecie poinformować milicję i przeprowadzić w naszym domu poszukiwania. Rewizje już u nas były i to nie raz. Bo gdy ojciec prowadził warsztat dziewiarski, kilkakrotnie szukano kradzionej przędzy. I milicja niczego nie znalazła.

Uśmiechnąłem się przepraszająco.

— Nie mamy zamiaru przeprowadzać rewizji, ja pani wierzę. Byłem pewien, że w willi Krostka zapewne nie było nic takiego, co mogłoby obudzić zainteresowanie organów ścigania. Jeśli miał on coś do ukrycia — a zapewne miał do ukrycia niejedno — to znajdowało się to daleko od jego willi.

— Straszne! Okropne! — jęczał Marczak, wciąż mając w oczach wizję skrzyń ze starodrukami topionych w falach Śniardw.

— No cóż, trudno. Stało się — bezradnie rozłożyłem ręce. — Nie będziemy pani zabierać czasu.

I wstałem z krzesła. A dyrektor Marczak piorunował mnie wzrokiem. Był oburzony, że tak lekko przyjąłem wiadomości o zbiorach zatopionych w jeziorze. Ale i on zdawał sobie sprawę, że dłużej nie ma co tracić czasu na rozmowę z panną Krostek.

Wsiadliśmy do służbowej wołgi i wróciliśmy do hotelu. Marczak sprawiał wrażenie bardzo przygnębionego i chciał natychmiast jechać do Warszawy. Lecz ja byłem zdania, że nie wyczerpaliśmy w Łodzi wszystkich naszych możliwości.

— Nie wierzę, aby zbiory zatopiono w jeziorze — oświadczyłem Marczakowi. — Gdyby tak rzeczywiście się stało, Krostek powiedziała by to panu podczas pierwszego spotkania. A tymczasem kluczył, wypierał się, a potem do rozmowy z nami przygotował swoją córkę.

Zjedliśmy z dyrektorem obiad w restauracji „Malinowa”.

— Nie bardzo rozumiem, po co nadal siedzimy w Łodzi — pomrukiwał z odrobiną niezadowolenia. — Należy chyba szukać Wągrowskiego. Może on wyzna, co naprawdę zrobili ze skrzyniami?

— Czekam na Monikę, która miała tu przyjechać popołudniowym pociągami — wyjaśniłem. — Mam pewien plan, w którym Monika będzie mogła nareszcie odegrać jakąś rolę. Chcę, żeby pozostała w Łodzi i w jakiś sposób zaprzyjaźniła się z panną Krostek. Odniosłem wrażenie, że panna Krostek lubi obracać się w podobnych kręgach, co i nasza Monika. Zapewne znajdą wspólny język i w ten sposób będziemy mieli baczenie na dom Krostków.

— Bardzo to wszystko zawile — pomrukiwał Marczak — ale niech pan robi, jak pan uważa.

Zapadł zmierzch, a Monika nie zgłosiła się do hotelu.

— Nie ma co mówić, panie Tomaszu — sarknął mój zwierzchnik. — Okazał się pan znakomitym kierownikiem. Pańscy współpracownicy odznaczają się „wybitną” dyscypliną.

Szydził ze mnie, kpił, w ten sposób odbijając sobie ranną porażkę. O jedenaściej w nocy, gdy Marczak udał się nareszcie do swego pokoju, odezwał się telefon.

— Jak się masz, Tomaszu? — usłyszałem głos Batury. — Postanowiłem okazać ci wdzięczność za uwolnienie mnie z więzów Niewidzialnych i chcę przekazać ci dwie informacje. Interesują cię?

— Oczywiście.

— Otóż panna Krystyna Krostek wkrótce otrzyma zaproszenie od narzeczonego z Frankfurtu nad Menem. Czy ciekawi cię, jak się nazywa ów narzeczony, którego nigdy na oczy nie widziała?

— Słucham. . .

— Heinrich Bucher.

— Co takiego?

— A tak, przyjacielu, Bucher.

Zdumienie pozbawiło mnie tchu. Batura też nic nie mówił, dlatego w słuchawce wyraźnie zabrzmiały dźwięki muzyki, dolatujące z pomieszczenia, skąd dzwonił.

— A druga informacja? — zapytałem.

— Przyjdź do restauracji „Casanova”. To dość podły lokal, ale można się tu dobrze zabawić. Jestem w bardzo miłym towarzystwie. Nie podchodź do nas, ale obserwacja sprawi ci wielką przyjemność.

Batura odłożył słuchawkę. A ja natychmiast poszedłem do dyrektora Marczaka, który na szczęście jeszcze nie położył się spać. I mimo jego protestów, wyciągnąłem go na spacer do „Casanovy”.

Dyrektor Marczak nie należał do bywalców nocnych lokali, ja także odwiedzałem je rzadko, co najwyżej służbowo, gdy obserwowałem jakiegoś handlarza antykami lub fałszerza dzieł sztuki. Tego pokroju ludzie lubili bowiem właśnie w nocnych lokalach zawierać podejrzaną transakcje i tracić nieuczciwie zarobione pieniądze.

„Casanova” nie wyglądał na lokal wykwintny, przeciwnie, niemal siłą musiałem wciągnąć do niego Marcza. Mierziła go atmosfera pijackich śpiewów i widok podejrzanych typów, snujących się między stolikami, tańczących na obszer- nym parkiecie. Ale wielu jest ludzi, którzy lubią podobną atmosferę, bo okazało się, że nie ma ani jednego wolnego stolika.

— To nic — oświadczyłem grubemu portierowi. — Tylko rzucimy okiem na salę, bo szukamy przyjaciela.

I jak myślicie, kogo ujrzeliśmy?

Przy sześćoosobowym stoliku obok orkiestry siedzieli: elegancko ubrany Waldemar Batura, Piękny Lolo z gangu Niewidzialnych, Kędziołek, jakaś ładna brunetka, panna Krostek i... Monika w platynowej peruce.

— Czy to naprawdę nasza Monika? — Marczak nie dowierzał własnym oczom.

— Tak jest, panie dyrektorze. To Monika.

— Razem z Baturą i panną Krostek?

— Tak jest, panie dyrektorze.

Waldemar Batura zauważył nas, dyskretnie trącił łokciem Monikę. Po chwili Monika wzięła torebkę i wstała od biesiadnego stołu, kierując się ku toalecie, która znajdowała się obok szatni w korytarzu. Idąc tam musiała przejść obok nas.

— Przepraszam panią, ale my się skądś znamy — zaczepiłem dziewczynę w korytarzu.

Zmierzyła mnie pogardliwym spojrzeniem.

— Nie rozumiem po polsku — rzekła w języku niemieckim. — A poza tym nie zawieram znajomości w korytarzach nocnych lokali.

To mówiąc dumnie zniknęła w drzwiach toalety. Wolnym krokiem wracaliśmy do hotelu ulicami pograżonymi w półmroku. Łódź bowiem nie należy do najlepiej oświetlonych.

— Jak pan sądzi, Tomaszu, czy Monikę należy zwolnić w trybie natychmiastowym? Żal mi jej, bo nie wolno człowieka wyrzucać na bruk — medytował głośno dyrektor Marczak.

— O ten „bruk” może się pan nie obawiać, dyrektorze. Monika ma propozycję małżeństwa. A poza tym bardzo pragnie zatrudnić ją gang Waldemara Batury. Wydaje mi się jednak, że ona w „Casanovie” była służbowo. Postanowiła działać na własną rękę. I zrobiła to samo, co pragnąłem, aby uczyniła, to znaczy zaprzyjaźniła się z panną Krostek. Jednym słowem uprzedziła nasze życzenia, co świadczy o dużej inteligencji i detektywistycznym sprycie.

— Chwała Bogu — odetchnął z ulgą Marczak. — Bardzo nie lubię, gdy popełniam omyłkę w ocenie pracownika. A na początku miałem o niej jak najlepsze zdanie.

Nazajutrz rano, gdy gotowałem się do wyjazdu, w hallu hotelu spotkałem Monikę w różowej peruce na głowie.

— Guten Tag, Fräulein Doktor — powitałem ją, kłaniając się z wielką galanterią.

To „Fräulein Doktor” było aluzją do słynnej kobiety-szpiega z okresu pierwszej wojny światowej.

— Nie musi się pan wysilać, panie Stirlitz — odparła wesoło. — Jestem na powrót Polką i pańską współpracowniczką. Domyśliłam się, że zapewne zaraz wyruszamy na Mazury. Mam przy sobie spakowaną walizkę — wskazała podróżny neseser, który stał przy jej fotelu w hallu.

— Hm — chrząknął dyrektor Marczak zaskoczony przenikliwością Moniki, dopiero przed chwilą bowiem ustaliliśmy, że on wróci do Warszawy, a ja pojedę na poszukiwanie Wągrowskiego.

— Robi zadziwiające postępy, nieprawdaż? — zwróciłem się do Marczaka.

— Owszem — przyznał z odrobiną wahania.

— Wyruszamy zaraz na Mazury, ale bez Kędziorka — zaznaczyłem surowo Monice. — W ogóle nie chcę mieć na karku żadnego z pani narzeczonych.

— Proszę nie być zazdrosnym, szefie — uśmiechnęła się Monika. — Zresztą Jacek powrócił już do Warszawy. Nie lubię osobników, którzy propozycje małżeńskie składają coraz to innej kobiecie.

— Ach tak?

— Minionej nocy oświadczył się pannie Krostek i z nią pojechał do Warszawy, by przed oczekującym ją w przyszłości wyjazdem do RFN-u pomóc jej w zakupach. Jak pan słyszy, szefie, dla dobra sprawy jestem gotowa poświęcić nawet własne szczęście.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

CO KRYŁA STARA DZIUPLA? • JAK CZYTAĆ PISMO OBRAZKOWE? • U GROBU GIZEWIUSZA • PIĘKNO OSTRÓDY • DLA KOGO PRACUJE PIĘKNY LOLO? • DOBRY HUMOR WINNETOU • WYNAJĘCIE WIGWAMU • NA PÓŁWYSPIE • NOCNA WĘDRÓWKA DO WSI • „GDY MI CIEBIE ZABRAKNIE” • NIEWIDZIALNI IDĄ PO SKARB

Tuż za Ostródą w stronę Piławek, w wielkim lesie rozciągającym się nad Jeziorem Drwęckim, rośnie stary, spróchniały dąb z niewielką dziuplą o dwa metry nad ziemią. Pewnego majowego popołudnia zajechałem pod stary dąb i wysiadłem z wehikułu sięgnąłem ręką do dziupli.

— Czego pan tam szuka, szefie? — zdziwiła się Monika. — Chyba nie zamierza pan wybierać ptakom jajek?

W dziupli nie było jednak ani gniazda, ani jajek ptasich. Leżał tam zwinięty w rulonik kawałek brystolu. Rozwinąłem go, obejrzałem i podałem Monice.

— Winnetou i Wielki Bóbr mają już adres Wągrowskiego — oświadczyłem. — Wielki Bóbr pojechał do Wągrowskiego swoim elektrycznym wózkiem, a Winnetou będzie dziś na nas czekał o dziewiętnastej trzydzieści w restauracji „Drwęckiej” w Ostródzie. Pozostało nam sporo czasu i możemy zwiedzić miasto.

— I to wszystko wyczytał pan z tego kawałka papieru? Ależ widnieje na nim tylko kilka dość zabawnych rysuneków. Skąd pan na przykład wie, że Winnetou będzie na nas czekał o dziewiętnastej z minutami, skoro tu nie ma żadnej cyfry? Czy to w ogóle list od Winnetou?

Teraz ja okazałem zdziwienie.

— Nie słyszała pani, że Indianie posługują się pismem obrazkowym? Nasz przyjaciel, Winnetou, jest rysownikiem. Zazwyczaj pisze do mnie listy pismem obrazkowym, a spostrzegawczy człowiek potrafi doskonale zrozumieć ich treść. Co pani widzi na pierwszym rysunku? Czyjeś ślady na drodze. Innymi słowy, Winnetou i Wielki Bóbr trafili na czyjś trop. A ponieważ szukali Wągrowskiego, wywnioskować można, że trafili na ślad tego osobnika. Na drugim rysunku widnieje sylwetka kościoła, charakterystycznego dla Ostródy, a w bok odchodzą

czarne ślady, po których wędruje małe zwierzątko, bóbr. Innymi słowy, trop Wągrowskiego prowadzi z Ostródy gdzieś na północny zachód i tym tropem ruszył Wielki Bóbr. Na trzecim rysunku widać coś w rodzaju fal jeziora, zachodzące słońce, mały domek, w którym pije ze szklanki człowiek w stroju Indianina. O tej porze roku słońce zachodzi o dziewiętnastej trzydzięci, a więc o tej godzinie w restauracji nad jeziorem będzie na nas czekał Winnetou. Jasne?

— Teraz to rzeczywiście wygląda przejrzyście — stwierdziła Monika. — Ale nie rozumiem, dlaczego nie można było tego wszystkiego po prostu napisać. Zachowujecie się jak duże dzieci.

— Być może — zgodziłem się z nią. — Ale pismo obrazkowe wymaga inteligencji i spostrzegawczości, nie każdego na nią stać i dlatego, gdyby list wpadł w niepowołane ręce, to i tak informacja nie zostanie odczytana. Ludzie są różni, panno Moniko. Jedni wolą dyskoteki, a inni lubią się zabawiać nieustannym sprawdzaniem swojej spostrzegawczości.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że ja nie jestem spostrzegawcza?

— Tak nie myślałem. Ale wydaje mi się, że zbyt dużo przebywała pani wśród ludzi, którzy chcą połykać gotową i przeżutą przez kogoś papkę. Sami zaś nie są zdolni samodzielnie myśleć ani wyciągać wniosków z tego, co spostrzegają. Niekiedy odnoszę wrażenie, że niektórzy ludzie nic nie widzą wokół siebie, jeśli im się czegoś nie wskaże palcem.

Tak rozmawiając powróciliśmy do Ostródy, gdzie pozostawiłem samochód na parkingu przed restauracją. Zjedliśmy obiad, a następnie poprowadziłem Monikę na stary cmentarz w mieście.

— Wolałaby pani zapewne raczej pospacerować po bulwarze nad Jeziorem Drwęckim, prawda? — zapytałem Monikę. — Pięknie świeci słońce, na jeziorze widać już pierwsze żaglówki. Latem aż się roi tutaj od turystów, bo Ostróda to wielki ośrodek rekreacyjny. Stąd rozpoczyna się długi szlak wodny, słynny kanał Ostróda — Elbląg, który zbudowano w latach 1844-1858. Ma on 81 kilometrów długości. A ponieważ Jezioro Drwęckie leży 95 metrów nad poziomem morza, a jezioro Drużno zaledwie pół metra, należało zbudować aż dwie śluzy i pięć pochylni lądowych dla pokonania różnicy wzniesień. Spływ tym szlakiem, a nawet sama przejażdżka statkiem przez pochylnie, śluzy i liczne jeziora, jest wspaniałą przygodą. A kanał Ostróda — Elbląg ma jeszcze odgałęzienia do Hawy i Zalewa przez Jeziorak.

— Nigdy tu nie byłam — przyznała Monika.

— A właśnie. Ale z tego, co od pani słyszałem, wiem, że dwukrotnie była pani z rodzicami w Jugosławii, nad Balatonem, nawet we Włoszech. Rozumiem, że jedzie tam ktoś, kto już poznał piękno swojego kraju. Tak się jednak składa, że wielu naszych turystów w ogóle nie zna własnego kraju. A tymczasem do Polski, tu właśnie nad Jezioro Drwęckie i nad Jeziorak, ściągają tłumy turystów z Republiki Federalnej Niemiec, ze Szwecji i z Francji i wszyscy są zachwyceni pięknem,

jakiego podobno nie znajdzie się gdzie indziej. Powiem pani, że taki Balaton, to sadzawka w porównaniu ze Śniardwami, Mamrami, Wigrami czy Jeziorakiem. Owszem i tam warto pojechać. Ale najpierw powinno się chyba zwiedzić własny kraj.

— Może i ma pan rację — zgodziła się Monika, przypominając sobie bezmiar Śniardw i Czarci Ostrów.

— Czy wie pani, co mnie niekiedy bardzo zastanawia? — ciągnąłem dalej. — Otóż każdego roku przybywają tu setki tysięcy młodych ludzi, aby cieszyć się słońcem, wodą, wypoczynkiem. Ale tylko nielicznym nasuwa się pytanie: kto nam dał prawo przebywać na tych ziemiach, cieszyć się ich pięknem? Kto utrwał polskość tych terenów? Rzadko kto idzie na grób Gizewiusza, ewangelickiego pastora, który przez wiele lat walczył z germanizacją tych ziem.

— Powinien pan zostać nauczycielem, a nie detektywem — żartobliwie stwierdziła Monika.

— Może — przytaknąłem — ale prawdopodobnie po prostu należę do ludzi dociekliwych. Nie lubię przyjmować gołych faktów, ale interesuje mnie, jak się one narodziły, gdzie są ich źródła. Jeśli coś jem, chcę wiedzieć dlaczego to ma smak taki a nie inny. A smak tej ziemi dopiero wtedy jest naprawdę wyczuwalny, gdy zna się jej historię.

Zatrzymaliśmy się przy grobie, na którym leżał pomnik w kształcie otwartej księgi. Na nagrobku napisano: *Tu spoczywa Gustaw Gizewiusz. 21.V.1810 — 7.V.1848. Bojownikowi o polskość i ludowładztwo na Mazurach. W setną rocznicę Wiosny Ludów — Rodacy.*

— Urodził się w Piszcu — opowiadałem Monice — w rodzinie Giżyckich, którzy ówczesnym zwyczajem zlatynizowali swoje nazwisko na „Gizewiusze”. Z domu wyniósł umiłowanie polskiej mowy, ale jak mówi legenda, ideami niepodległościowymi zaraził się od swej żony, Żydówki, Anny Rebeki Fürst, która była wielką patriotką polską. W 1835 roku został Gustaw Gizewiusz pastorem w Ostródzie i odtąd toczył upartą walkę z pruskimi władzami w obronie szkoły polskiej. Do tego celu wykorzystywał swój talent krasomówczy i pisarski, słał pisma do władz niemieckich, odwoływał się do opinii publicznej w Niemczech. Zbierał źródłowe materiały, udowadniające polskość ludu mazurskiego, słał memoriały do wybitnych osobistości. Do jego przyjaciół zaliczał się Celestyn Mrongowiusz, również urodzony na Mazurach. On także bronił polskiego języka w Prusach, a jego książkami zachwycił się Adam Mickiewicz, który zresztą z Mrongowiuszem korespondował. W 1842 roku Mrongowiusz opracował memoriał do władz niemieckich wskazujący, że odbieranie ludowi mazurskiemu jego ojczystej mowy jest bardzo szkodliwe. A że był to okres nadchodzącej Wiosny Ludów, okres buntów i niepokoju, Gizewiusz, który doręczył władzom ów memoriał osiągnął wielki sukces: odtąd dzieci mazurskie mogły się uczyć po polsku. Ale germanizatorzy nie ulegli, podjęli z Gizewiuszem dalszą walkę. Wtedy Gizewiusz zrozumiał, że

batalię o polskość trzeba powiązać z walką o wyzwolenie społeczne i narodowe. Wybuchła właśnie Wiosna Ludów. Gizewiusz, który cieszył się na Mazurach ogromną popularnością, stał się najpoważniejszym kandydatem na posła ludności mazurskiej do parlamentu we Frankfurcie. Niestety, wtedy to zmarł, przeżywszy zaledwie trzydzieści osiem lat. A gdy go nie stało, germanizatorzy znowu zaczęli tępić polskość. Lecz, jak pani wie, nigdy im się to nie udało. Mowa polska na tych ziemiach nie przestała rozbrzmiewać...

Wspominając dzieje Gizewiusza odwiedziliśmy jeszcze kościół przy ulicy Czarnieckiego, zachwycając się gotycką rzeźbą z XIV wieku, drewnianą Pietą przeniesioną tutaj z Gietrzwałdu, a wykonaną przez nieznanego artystę.

Obejrzelismy także ruiny kościoła parafialnego przy ulicy Filtrowej, zbudowanego w XIV wieku, oraz ruiny zamku krzyżackiego, położone nad Jeziorem Drwęckim. W styczniowych walkach, jakie w 1945 roku z hitlerowcami toczyła armia II Frontu Białoruskiego, Ostróda, a przede wszystkim jej Stare Miasto i zabytki legły w gruzach. Dziś miasto jest odbudowane, ma nowoczesne dzielnice, przystań żeglugi i brzegi jeziora zwabiają tu rokrocznie tysiące gości z całej Europy. To naprawdę piękne miasto z dobrze rozwiniętym przemysłem, zakładami naprawy taboru kolejowego, zakładami szkutniczymi, z ogromną fabryką przetworów mięsnych.

Monice podobała się Ostróda, toteż dopiero zachodzące słońce spędziło nas z ulic miasta i kazało wejść do restauracji „Drwęckiej”, gdzie mieliśmy się spotkać z naszym przyjacielem.

— Czy Winnetou będzie punktualny? — zainteresowała się dziewczyna. — Wyznaję panu, że ten człowiek stanowi dla mnie zagadkę.

— Radzę pani nie próbować na nim swoich uwodzicielskich sztuczek. On chyba nie przepada za kobietami, które co godzina zmieniają skalpy. Ta pani różowa peruczka jest po prostu przerażająca. To dobre dla panny Krostek.

— Znowu mi pan dokucza? — oburzyła się Monika. — Poświęciłam siebie i Jacka na ołtarzu naszej sprawy, a pan ciągle robi złośliwe uwagi.

Bo też przez całą drogę do Ostródy nieustannie czyniłem dziewczynie docinki z powodu jej „przyjaźni” z panną Krostek. A cała sprawa przedstawiała się bardzo prosto. Waldemar Batura zadzwonił w Warszawie do mojego samodzielnego referatu i zastał Monikę. Poinformował ją, że jego ludzie trafili na ślad Krostka, który wydał się im człowiekiem bardzo sprytnym i nieskorym do zwierzeń. Ale przecież miał córkę, Krystynę, dość znaną osobkę w klubie studenckim „Pod Siódmkami” i w nocnych lokalach. Panna Krostek lubiła zabawy i wesołe towarzystwo. W tej sytuacji Batura zaproponował Monice, aby zabrała z sobą jakiegoś interesującego, młodego człowieka i przyjechała do Łodzi, a on już postara się nawiązać znajomość z panną Krystyną i zorganizować zabawę w „Casanovie”, na którą zapewne skusi się panna Krysia. Jeden telefon Moniki do Kędziorka wystarczył, aby ten znowu zdecydował się zabrać samochód swemu tacie i wyruszyć z Moniką do

Łodzi. Tak doszło do spotkania w „Casanovie”, gdzie Monika zaprzyjaźniła się z panną Krostek, a Kędziorek zyskał sobie jej sympatię. To Monika i Kędziorek wyciągnęli od niej informacje, którymi potem pochwalił się przede mną Batura, że panna Krostek zamierza wyjechać do RFN-u, na zaproszenie Buchera.

Wyznaję, że tempo, w jakim Batura, Monika i Piękny Lolo oraz Kędziorek zawarli przyjaźń z panną Krostek, napępniało mnie zdumieniem.

— Bo pan jest staroświecki — stwierdziła Monika. — I zupełnie nie zna pan pewnego gatunku młodych ludzi, szczególnie z dobrze sytuowanych domów. Panu się wydaje, że trzeba zostać komuś przedstawionym i tym podobne. Batura lepiej się w tych sprawach orientuje. Po prostu dowiedział się, jak ma na imię jeden ze znajomych panny Krostek i gdy przybyliśmy do Łodzi, zadzwonił do Kryśki, powołał się na znajomość z tamtym człowiekiem i oświadczył: „Przyjechaliśmy z Warszawy całą bandą, żeby się zabawić. Przyjdzie pani do «Casanovy»? Słyszałem od Iksa, że pani świetnie tańczy, my też, więc jak będzie? Wpadnie pani do «Casanovy»? Będzie Monika, córka znanego aktora, będzie Kędziorek volkwagenem, i ja, Batura z «Turbo», najnowszy model”. I oczywiście panna Krostek, bez żadnych ceregieli, przystała na propozycję. Taki jest współczesny świat, szefie.

— Na szczęście niecały — burknąłem. — A skąd się tam wziął Piękny Lolo?

— Przyszedł trochę później i o czymś szeptali z Baturą.

— Piękny Lolo jest w bandzie Niewidzialnych. Jeśli spotyka się także z Baturą, to znaczy, że zgodził się grać podwójną rolę. Należy do Niewidzialnych, ale o ich poczynaniach informuje Baturę. Czy pani wie, że u Makulskiego, mimo kaptura, poznałem Pięknego Lolo? Brał udział w uwięzieniu Batury.

— Zapewne musiał to zrobić, aby nie zdradzić się, że z nim współpracuje. I Batura chyba nawet okiem nie mrugnął, gdy Piękny Lolo pomagał go wiązać i wsadzić do stodoły Makulskiego.

— Bardzo to wszystko zawile — westchnąłem. — Najgorsze, że nie wiadomo, kto z kim trzyma i dla kogo pracuje.

— Batura pracuje dla siebie. Piękny Lolo dla Batury. A pani Herbst? Czy ma pan wątpliwości, że przyjechała tu z ramienia Niewidzialnych?

— Tak, mam wątpliwości — wyznałem szczerze.

— Batura mi mówił, że Niewidzialnymi rządzi jakaś kobieta. Czy zna pan inną kobietę, która może odgrywać tego rodzaju rolę?

— Owszem, znam — odpowiedziałem i spojrzałem na nią.

Żachnęła się.

— Chyba pan nie myśli o mojej osobie, szefie?

— Nic nie myślę. Dyrektor Marczak ciągle rozmyśla i dlatego skarży się na ból głowy. Wolałbym tego uniknąć.

Monika chciała powiedzieć coś złośliwego, ale w tym momencie do restauracji wkroczył Winnetou ubrany w nową, beżową kurtkę z welwetu, wąskie spodnie,

wsunięte w wysokie zamszowe kozaki, w których chodził niemal bezszelestnie. Na plecach niósł swoją podróżną torbę i zrolowany śpiwór, w ręku trzymał sztucer ukryty w skórzanym futerale. Ciemne włosy gładko przylegały do głowy, a na opalonej, śniadej twarzy gościł pogodny uśmiech.

— Mój brat wygląda bardzo radośnie — stwierdziłem, witając się z nim. — Czy przydarzyła mu się jakaś miła przygoda?

— Nie. Ale nareszcie na jakiś czas skończyły się moje troski — odparł, przysiadając się do naszego stolika.

— Myślałam, że Indianie nie mają trosk finansowych — powiedziała Monika. — Znają żyły złota. Zabierają z nich, ile chcą i wymieniają na banknoty.

Nie lubiłem, gdy ktoś drwił z Winnetou. Pośpieszyłem z odsieczą:

— Mój przyjaciel zna wiele wspaniałych skarbów krajobrazowych, ale nie wymieni ich na pieniądze.

— Tak — przyznał Winnetou — bo blade twarze wszędzie zostawiają puszkę po konserwach i śmieci, napełniają lasy wrzaskiem radiowych pudełek. Ale to się już wkrótce skończy.

To mówiąc wyciągnął gazetę, w której widniała notatka, że Urząd Wojewódzki w Olsztynie ustanowił strefy ciszy na ponad czterdziestu jeziorach i szlakach wodnych, między innymi obejmując szlak kajakowy rzeki Krutyni i jeziora w Puszczy Piskiej oraz Jeziorak i Jezioro Płaskie. W wyznaczonych strefach w okresie od 1 maja do 30 września zakazano używania łodzi motorowych, pojazdów mechanicznych o napędzie spalinowym, głośnych urządzeń muzycznych.

— Zdarzyło mi się jeszcze coś przyjemnego — dodał Winnetou. — Gdy pożegnałem się z wami w Wojnowie, Wielki Bóbr pojechał do Ostródy, a ja zająłem do pana Eugeniusza, aby zabrać od niego swoje rzeczy. Czekala tam na mnie wiadomość, że mój wigwam został wynajęty na kilka miesięcy przez jakiegoś cudzoziemca. Będzie on co miesiąc przekazywał na moje nazwisko do banku PeKaO aż osiemdziesiąt dolarów.

— Osiemdziesiąt dolarów! — zawołałem zdumiony. — Ależ to mnóstwo pieniędzy!

— Tak. Pierwsza wpłata została już dokonana.

— I stąd ta twoja nowa kurteczka — domyśliłem się.

— Owszem. Kupiłem to i owo — przyznał Winnetou — ale nie zaniedbałem naszych spraw, Szara Sowo. Wielki Bóbr przybył w tym czasie do Ostródy i ustalił, że Wągrowski przez jakiś czas pracował w tutejszym nadleśnictwie jako gajowy, ale potem, ponieważ za dużo pił, zwolniono go. Został robotnikiem w Nadleśnictwie w Suszu. Obecnie jest już na rencie i mieszka we wsi Bądze na drodze do Starego Dzierzgonia. Wielki Bóbr wyruszył dziś rano, a my możemy tam jechać choćby zaraz. To tylko jakichś sześćdziesiąt kilometrów stąd. Znam dobrze tamtejsze lasy, bo kilkakrotnie brałem udział w polowaniach. Wyrysowałem Wielkiemu Bobrowi dokładny szlak podróży i wskazałem miejsce na biwak.

Zjedliśmy kolację i zajęliśmy miejsca w wehikule. Zapadła noc, ale mój samochód miał mocne reflektory.

Minęliśmy Piławki i w Miłomłynie skierowaliśmy się na Boreczno, a potem przez Zalewo i Dobrzyki dojechaliśmy do wielkiego lasu. Minęliśmy drogowskaz z napisem „Bądze — 5 km” i po kilkunastu minutach jazdy kamienistą drogą Winnetou dał mi znak, aby zatrzymać wehikuł.

— Teraz powinniśmy pojechać na lewo — powiedział. — Widzę młodnik, a pamiętam, że droga przed młodnikiem prowadzi aż do jeziora Bądze, które kształtem swym przypomina pęcherz pławny leszcza. Są to jakby dwa jeziora połączone przesmykiem zarośniętym trzcinami. Nad jednym znajduje się wioska, nad drugim rozciąga się las. Brzegi są wysokie, a od strony wschodniej wchodzi w wodę niewielki półwysep. Poleciałem Wielkiemu Bobrowi, aby tam przenocował. Stamtąd do wioski są jakieś dwa kilometry. Możemy pieszo uczynić wypad do domu Wągrowskiego.

Po jakimś czasie otworzyła się przed nami jak gdyby ogromna polana. Kiedyś rósł tutaj stary bukowy las, na co wskazywały pozostawione w ziemi ogromne pieńki. Wycinając stare buki nie zniszczono młodych drzew i poszycia, dlatego las zdążył się odnowić w sposób naturalny, tworząc teraz gęstą knieję. Prowadziło przez nią kilka dość szerokich traktów. Nigdzie nie dostrzegłem zakazu wjazdu i dlatego jednym z tych traktów dojechałem na mały półwysep. Stał tam elektryczny wózek Wielkiego Bobra, ale jego samego przy nim nie było.

— Poszedł na zwiady do wioski — domyślił się Winnetou.

Wziąłem latarkę i przedarłszy się przez knieję, z wysokiej skarpy zszedłem nad brzeg jeziora. Stwierdziłem, że jest to miejsce bardzo ładne, z maleńką plażą i łatwym dostępem do wody. W przybrzeżnych trzcinach głośno gawędziły kaczo-ry, ledwie odczuwalny wiatr marszczył powierzchnię wody i niskie fale cichutko szemrały na piasku.

Zwiedziłem brzeg jeziora i utwierdziłem się w przekonaniu, że miejsce jest bezludne i świetnie się nadaje na biwak. Niestety, biwaki można teraz organizować tylko na terenie wyznaczonym, nie było więc mowy o rozstawieniu namiotu. Należało rozejrzeć się za jakimś innym miejscem na obozowisko.

Wszedł księżyc i zrobiło się bardzo jasno. Usłyszeliśmy z lasu głos puszczyka. Winnetou odpowiedział podobnym okrzykiem. Po chwili pojawił się Wielki Bóbr.

— Przyjechałem tu po południu — opowiadał — i natychmiast wyruszyłem do wioski, aby zorientować się, czy rzeczywiście mieszka tam Wągrowski. Wioska jest mała, rozciąga się wzdłuż brzegu jeziora i otaczają ją lasy. We wsi jest sklep, tam więc poszedłem, aby zasięgnąć języka. Miałem szczęście. Kupiłem butelkę piwa i stojąc w sklepie piłem je wolno, gdy nagle pojawił się jakiś stary, niechlujnie ubrany mężczyzna. „Poproszę dziesięć butelek wina. Najdroższego” — zażądał i postawił na ladzie wiklinowy koszyk. „Co się stało, panie Wą-

growski?” — zapytała sklepowa. — „Czyżby wygrał pan w toto-lotka?”. „Turyści do mnie przyjechali — wyjaśnił chłop. — Wynajęli dwa pokoje w mojej chałupie i wysłali mnie po wino”. Sklepowa włożyła mu do koszyka dziesięć butelek wina i Wągrowski opuścił sklep. Nie chciałem iść za nim, żeby nie nabrał podejrzeń. Nawiązałem rozmowę ze sklepową i dowiedziałem się, że Wągrowski jest od trzech lat wdowcem, mieszka sam w ostatniej chałupie nad jeziorem, słynie jako wielki pijak, który szybko wydaje rentę, a potem wszędzie pożycza pieniądze. Kiedy się ściemniło podkradłem się pod jego chałupę. Na podwórku stał wiśniowy „Fiat 126p” z warszawską rejestracją, a z okien rozchodził się chóralny pijacki śpiew: „Szła dziewczeczka do laseczka”. Żadnego z gości Wągrowskiego nie widziałem, bo okna, choć otwarte, były zasłonięte firankami.

— Coś mi się zdaje, że Niewidzialni znowu nas uprzedzili — stwierdziłem z przykrością. — Pójdziemy na zwiady z Winnetou i upewnimy się w tej sprawie.

Wydałem dyspozycje co do noclegu. Monika miała spać w bardzo wygodnym pudle wózka Wielkiego Bobra, a jego zaprosiłem na rozkładane siedzenie wehikułu. Winnetou wolał spać na świeżym powietrzu. Wyjął ze swego worka nadmuchiwany materac i ciepły śpiwór.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga.

— Już idziecie? — zmartwiła się Monika. — Taka piękna majowa noc, kłaskającą słowiki. Myślałam, że spędzimy razem romantyczny wieczór nad jeziorem. Ale wy wolicie zabawy w Indian, czołganie, podchodzenie rzekomego przeciwnika.

— Czy pani zapomniała, po co tu przyjechalіśmy? — upomniałem ją surowo. Zaśmiała się beztrąsko.

— A czy to nie można jutro rano pójść do Wągrowskiego, wylegitymować się i porozmawiać o jego udziale w odkryciu schowka doktora Gottlieba? Tylko że to zbyt proste, prawda?

— Tak właśnie zrobiliśmy u Makulskiego. I o mało, podobnie jak Batura, nie wpadliśmy w łapy Niewidzialnych.

— Historia rzadko się powtarza — sentencjonalnie stwierdziła Monika.

— To prawda — przyznałem. — Ale i ja, i Winnetou lubimy chodzić nocą po lesie. Ale skoro pani tęskni za towarzystwem, radzę jutro udać się na najbliższą pocztę i zadzwonić do Warszawy. Kędziorek zapewne zgodzi się tu przyjechać. Chciałem z nim porozmawiać, a pani będzie miała nareszcie miłe towarzystwo do spędzania romantycznych wieczorów.

— Rozkaz, szefie! Ściągnę tu Kędziorka. Ale mógł pan po prostu powiedzieć, że zależy panu na rozmowie o pannie Krostek.

Skinałem głową na Winnetou i przepadliśmy w lesie. Winnetou jak zwykle zdawał się zgadywać moje myśli.

— Biała skwaw jest sprytna i nadaje się na detektywa — rzekł. — Ciekawe czy zauważyła, że mój brat, Szara Sowa, za każdym razem przybywa później od Niewidzialnych. Winnetou to dostrzegł, ale pomyślał, że Szara Sowa udaje

niedźwiedzia, który stracił węch i słuch. Wszyscy myślą, że łatwo go podejść, a on raptem obudzi się, wyciągnie łapy i schwyci zbyt pewnych siebie przeciwników.

— Obyś się nie pomylił — mruknąłem, bo wcale nie byłem pewien, czy moje misterne plany zrodzą owoce. — Zapewniam cię jednak, że nie jestem niedźwiedziem, który udaje ślepego, głuchego i pozbawionego węchu. Jestem raczej jak rybak, który rozstawia w jeziorze niewód. Oka sieci są duże, małe rybki mogą swobodnie przepływać. Chodzi mi bowiem o wielką rybę. O szczupaka.

— Szczupak jest rodzaju męskiego — zauważył Winnetou — a sądziłem, że to ma być kobieta.

— Nie, przyjacielu, chodzi o mężczyznę. Niebezpiecznego, wielkiego dra-
pieżnika.

W milczeniu i bezszelestnie szliśmy ledwie dostrzegalną ścieżką wzdłuż brze-
gów jeziora Bądze. Za nami została połać młodych buków, zaczął się wysoko-
pienny sosnowy bór. Wypełniony ciemnością pachniał wonią wiosny — surowym
zapachem mchów i porostów. Kochałem ten zapach i nocną ciszę, bo przynosi
szum drzew, szelest myszy buszujących w igliwiu i suchych liściach. Ileż bym dał
za to, aby móc wiele takich nocy spędzić u boku Winnetou w mazurskich puszc-
zach, nad niebieskawo-zielonymi toniami jezior. Ale nie mogłem porzucić swej
pracy w ministerstwie, kochałem bowiem także i piękno zawarte w starych dzie-
łach sztuki i książkach. Kochałem przeszłość tak samo jak terażniejszość, jak las
i wodę.

Ścieżka oddaliła się nieco od brzegu jeziora i wprowadziła nas w młodszy,
trzydziestoletni bór sosnowy. Po chwili usłyszeliśmy szczekanie psów, co zna-
czyło, że wioska jest blisko. Bór skończył się raptownie, ujrzeliśmy niewielki
obszar pól i zarys zagrody z domem o oświetlonych oknach. Dom znajdował się
w pobliżu jeziora, po którym pełzła struga księżycowego światła. Z lasu wybie-
gała piaszczysta droga, poryta kołami wozów. Wiła się brzegiem jeziora, łącząc
zagrody i kierując się ku kamienistej szosie do Starego Dzierzgonia.

— *Myśliweczku, kochaneczku bardzo ci rada* — dochodził nas śpiew
z oświetlonej chałupy i domyśliliśmy się, że to tam właśnie mieszka Wągrowski.

Trudno było odgadnąć, ile osób bierze udział w libacji, bo otwarte okna za-
słaniały firanki. Na podwórzu stał wiśniowy fiat, zgodnie z informacją Wielkiego
Bobra.

— Winnetou poznaje ten samochód — szepnął mi przyjaciel, gdy podeszliśmy
cicho do walącego się płotu. — Takim samym wiśniowym mustangiem przyjecha-
ła do Makulskiego banda hobbystów?

— Tak, to chyba oni — potwierdziłem szeptem. — Tylko że tym razem inną
zastosowali metodę. Makulskiego straszili, a Wągrowskiego poją winem.

Z okien chałupy dobiegał nas głęboki, nieco zachrypnięty bas, który śpiewał:

Gdy mi ciebie zabraknieeeee...

Gdy zabraknie mi ciebieeee...

Nagle z półotwartych drzwi domu wybiegł mały kundelek, dopadł płotu i zaczął na nas gwałtownie i piskliwie ujadać. Ktoś odsunął firankę i na podwórze wyrzała rozczochrana głowa, zapewne Wągrowskiego. Nie wiem, czy nas nie zauważył, bo nie dość szybko ukryliśmy się za krzakiem bzu po drugiej stronie drogi. Ale chyba nic go nie obchodziła czyjaś obecność. Krzyknął na psa:

— Maks, do domu! Nie rób hałasów! Do domu!

Piesek posłusznie wrócił do mieszkania, firanka znowu zasłoniła okno, zachrypnięty bas podjął piosenkę:

Gdy mi ciebie zabraknieeee...

Gdy zabraknie mi ciebieeee...

— Ujadanie pieska im przeszkadza, ale te okropne śpiewy pijackie są dla ich uszu jak najpiękniejsza muzyka — mruknąłem.

Zaledwie wypowiedziałem te słowa, w mieszkaniu ktoś wrzasnął piskliwie:

— Cichooo! Proszę o ciszę! Nasz przyjaciel, pan Wągrowski, zaprowadzi nas do skarbu. . .

— Tak. Zaprowadzę was do skarbu! — wrzeszczał Wągrowski. — Zaprowadzę was do wielkiej żelaznej skrzyni. Wy jesteście moimi przyjaciółmi. Tylko was zaprowadzę!

Ktoś zaintonował *Szła dziewczeczka do laseczka*, ale inni go uciszyli i po chwili na podwórze wytoczyła się gromadka mężczyzn. Rozpoznałem grubasa — przywódcę hobbystów — i towarzyszących mu dwóch kompanów, którzy u Makulskiego nosili kaptury na głowach. Brakowało jedynie Pięknego Lola.

— Przyjaciele i bracia! — wołał Wągrowski. — Szpadle są pod szopą. Weźcie je, a ja zaświecę latarnią. Idziemy po skarb. Po wielką, żelazną skrzynię. . .

Wszyscy robili wrażenie podpitych. Ruchy mieli nieskładne, zataczali się. Wzięli szpadle spod szopy, Wągrowski zapalił knot w naftowej latarni i poprowadził hobbystów piaszczystą drogą do lasu.

— Cicho! Cicho! — upominał wszystkich grubas, ale nikt sobie z tego nic nie robił. Wino przytępiło ich ostrożność i rozwagę. *Szła dziewczeczka do laseczka* — śpiewał głośno Wągrowski, radośnie podskakując w jakimś dziwnym tańcu i wymachując latarnią. Pozostali nieśli szpadle jak karabiny na ramieniu i śpiewali *Gdy mi ciebie zabraknieeee...* Wrzask rozchodził się szeroko po polach i wodzie. W całej wsi głośno ujadały psy łańcuchowe.

Winnetou i ja ostrożnie skradaliśmy się za nimi, wykorzystując dla ukrycia się sterty kamieni, przydrożne krzaki i samotnie rosnące drzewa. Ale gromadkę idącą po skarb nic nie obchodziło, poza celem ich wędrówki i okazywaniem wesołości.

Tak doszli do skraju lasu.

— Tu kopcie, przyjaciele — wrzeszczał Wągrowski. — Tu kopcie wytrwale. Tu jest skrzynia żelazna.

Śpiewy i wrzaski urwały się. Z wyjątkiem Wągrowskiego wszyscy zabrali się do kopania we wskazanym im miejscu. Wągrowski postawił na ziemi latarnię naftową, a sam sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej butelkę wina. Przysiadł na skraju lasu i pił, głośno mlaskając.

Kopali najwyżej dziesięć minut. Grubas pierwszy przerwał robotę.

— Nic tu nie ma. Ty nas oszukujesz, stary. Gdzie jest żelazna skrzynia?

Wągrowski zakorkował butelkę i schował ją do kieszeni. Wierzchem dłoni otarł usta.

— Nic tu nie ma? — zdziwił się. — Może zapomniałem, gdzie zakopałem skrzynkę. Za dużo wypilem i pamięć mi osłabła. Wybaczcie, panowie.

— Nie pamiętasz? — zmartwił się grubas.

— Jak Boga kocham, nie pamiętam. Za dużo wypilem, rozumiecie? Dajcie mi się wyspać. Jutro znów pójdziemy szukać skrzynki.

To mówiąc wziął do ręki latarnię i ruszył w stronę domu, śpiewając *Szła dziewczeczka do laseczka*. Pozostali wracali w ponurym milczeniu, sprawiając wrażenie niezadowolonych z postępu Wągrowskiego.

Ale gdy znaleźli się w jego mieszkaniu, znowu usłyszeliśmy chóralne śpiewy, które trwały jeszcze dobre pół godziny. Potem nastąpiła cisza, zgasły światła w oknach. Zapewne wszyscy położyli się spać.

— Czy mój brat Szara Sowa nie sądzi, że to wszystko było bardzo zabawne? — odezwał się Winnetou.

— Nie — odparłem zdecydowanie. — Wcale mnie to nie bawiło.

Albowiem przypomniałem sobie artykuł w zagranicznej gazecie, z którego wynikało, że łupem włoskich gangsterów zorganizowanych w gang Niewidzialnych padają rokrocznie dzieła sztuki i zabytki wartości dziesięciu milionów dolarów. Podobnie i we Francji — z roku na rok powiększa się liczba skradzionych zabytkowych przedmiotów. O ile w 1968 roku skradziono tylko 899 takich przedmiotów, to w 1974 roku cztery tysiące. Niewidzialni przenieśli swoją działalność także i na kraje Ameryki Łacińskiej. W niewiadomy sposób znikają tam nawet ważące po kilka ton rzeźby kamienne Majów i Azteków, dzieła sztuki epoki prekolumbijskiej. Tajemniczy i niemal już legendarny przywódca gangu — Marlon Mendoza — niewidzialną siatką swoich gangsterów otoczył prawie cały świat.

Trzej podchmieleni osobnicy, którzy w towarzystwie Wągrowskiego maszerowali ze szpadlami pod las — byli śmieszni. Ale stała za nimi potężna i ponura machina, którą należało zniszczyć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

UCIAŻLIWE DYŻURY • POLOWANIE NA GRUBEGO ZWIERZA • KTO KOGO ZA NOS WODZI? • CZY NIEWIDZIALNI POWINNI ZMIENIĆ MUZYCZNY REPERTUAR? • MONIKA SIĘ NUDZI • WYCIECZKA DO NAPOLEONA I PANI WALEWSKIEJ • KONIEC KOMEDII • PRZYJAZD KĘDZIORKA • REWELACYJNA WIADOMOŚĆ • GDZIE JEST DOM KROSTKA? • ŚLEDZĘ BATURE

Biwak złożony z dwóch namiocików (dla Moniki i dla Winnetou) oraz dwóch samochodów — wehikułu i elektrycznego wózka — zorganizowaliśmy na małej polanie nad Jeziorem Płaskim. Było to miejsce do tego celu specjalnie przeznaczone, ale o tej porze roku jeszcze tu nikogo nie spotkaliśmy. Polanę otaczał las mieszany, brzeg jeziora był zarośnięty i mulisty. Niewielki pomost z żerdzi pozwalał jednak dojść aż do lustra wody. Niedaleko biegła szosa z Iławy oraz znajdowały się rozstaje dróg w kierunku Susza, Zalewa i Starego Dzierzgonia. Do Bądza mieliśmy pięć kilometrów kamienistej drogi, co trochę utrudniało obserwację Niewidzialnych. Ustaliliśmy więc dwudziestoczerogodzinne dwuosobowe dyżury w pobliżu domu Wągrowskiego. Każdego ranka albo Winnetou i Wielki Bóbr swym elektrycznym wózkiem, albo też Monika i ja moim wehikułem wyruszaliśmy na znane nam miejsce na półwyspie i stamtąd podkradaliśmy się do wioski.

Nazajutrz po opisanych uprzednio wydarzeniach przyjechałem wehikułem pod dom Wągrowskiego. Stwierdziłem, że wiśniowy fiat został przezornie schowany do szopy, ale butelki wina w kuchni oraz walające się płaszcze i kapelusze świadczyły, że hobbyści nie opuścili domu.

— Ma pan gości? — zapytałem Wągrowskiego.

— Przyjechali wczasowicze. Bardzo mili panowie z Warszawy — wyjaśnił, wcale nie zmieszany faktem, że odkryłem w jego domu czyjaś obecność.

Wylegitymowałem się, wyłuszczyłem sprawę zbiorów doktora Gottlieba. Wy tłumaczyłem, że za przestępstwo dokonane z Makulskim nie grozi mu już w tej

chwili żadna kara. Ba, jeśli odda żelazną skrzynkę, zapewne otrzyma nawet nagrodę.

Wągrowskiemu szumiało jeszcze w głowie wypite minionej nocy wino, sprawiał odpychające wrażenie, oczy miał czerwone, twarz nie umyta i nie ogolona. Uśmiechnąwszy się do mnie chytrze, oświadczył szeptem:

— Panu jednemu powiem jak na spowiedzi całą prawdę. Wielu już było u mnie po tę żelazną skrzynię. Ci moi nowi goście też chyba w tej sprawie tu przyjechali. Ale panu, jako osobie urzędowej, powiem prawdę: ja nie mam tej skrzyni. Głupi byłem i nie wiedziałem, że papiery, które w niej się znajdowały, miały jakąś wartość. Koło Ostródy wtedy pracowałem jako gajowy, ale tak się złożyło, że załatwiłem komuś nieformalnie sprzedaż tartaczego drzewa, ktoś doniósł milicji i spodziewałem się rewizji. Wtedy to bojąc się, że znajdą u mnie tę skrzynkę i zapytają, skąd ją mam, zaniósłem ją nad Jezioro Drwęckie, wpakowałem do łódki, wypłynąłem na głębszą wodę i wrzuciłem do jeziora. Za historię z drzewem dostałem wyrok w zawieszeniu, ale mnie zdegradowali, potem zatrudnili w Bądzu. To caluśka prawda, szanowny panie. Nie będę kręcił ani pana zwodził, bo pewnie i tak mi pan winka nie postawi.

Pokiwalem z ubolewaniem głową, westchnąłem kilka razy, pożegnałem starego i odjechałem.

— Pan mu wierzy, szefie? — zapytała Monika.

— Błada twarz beczelnie łże — skomentował całą sprawę Winnetou i tego samego zdania był Wielki Bóbr.

— A dlaczego myślicie, że kłamie?

— Utopił skrzynkę w jeziorze? — powtarzała z ironią Monika.

— Jeśli zamierzał pozbyć się skrzynki na czas rewizji, to jako gajowy po prostu wyniósłby skrzynkę w krzaki i zakopał.

— Widziałem Wągrowskiego — stwierdził Wielki Bóbr. — Taki człowiek jak on przenigdy nie rzuciłby skrzynki do jeziora, bo myślałby: „A nuż ona mi się kiedyś na coś przyda”. Sądzę, że raczej zrobiłby tak, jak to mówi panna Monika.

Tak więc moi towarzysze byli przekonani, że Wągrowski kłamie. Doskonale wie, gdzie jest skrzynka. I albo już ją komuś sprzedał — wspomniał przecież, że przed obecnymi „gośćmi” byli jacyś inni — albo czeka, aż ktoś ofiaruje mu sumę, która go zadowoli. Nagroda, o której wspomniałem, nie wydawała mu się atrakcyjna. Być może ktoś go już poinformował, że otrzymać może od państwa co najwyżej dziesięć procent wartości skarbu.

Postanowiłem w dalszym ciągu prowadzić obserwację poczynąń Wągrowskiego i bandy grubasa. Mijały więc dni, jeździliśmy nad jezioro Bądze, podkradaliśmy się pod dom Wągrowskiego i dzień i noc wypatrywaliśmy, co się u niego dzieje. A tymczasem Wągrowski chodził codziennie po wino, potem śpiewano chóralnie i pojedynczo „Szła dzieweczka do laseczka” i „Gdy mi ciebie zabraknie”. Co noc Wągrowski wyprowadzał z domu bandę grubasa i szedł z nią w coraz

inne miejsce do lasu, gdzie kazał kopać. Potem stwierdzał, że być może jutro przypomni sobie właściwe miejsce. Cierpliwość grubasa i jego ludzi zdawała się być niewyczerpalna. Ja także powściągnąłem swoje zniecierpliwienie, mając świadomość, że pośpiech jest złym doradcą. „Kto chce upolować grubego zwierza, musi umieć cierpliwie czekać w zasadzce” — powtarzał Winnetou. Monika zaczęła mieć wątpliwości.

— Na co właściwie czekamy? Czego się pan spodziewa?

— Nie wiem — odparłem szczerze. — Sądzę, że czekamy na „rozwój sytuacji”.

— A jeśli sytuacja wcale się nie rozwinie? Nie jesteśmy wprawdzie z cukru, ale chodzimy zakatarzeni i przemoknięci.

Bo warto wiedzieć, że skończyła się piękna pogoda i zaczęły padać deszcze. Lało przez całe dni, padało w nocy. Mieliśmy katar, a Wielki Bóbr zaczął nawet kaszleć. Poiliśmy się gorącą herbatą z sokiem malinowym, łykaliśmy asprocole i antygrypiny.

— Po jakie lichy tu siedzimy? — coraz częściej pomrukiwała niezadowolona Monika.

A ja odpowiadałem:

— Może się wybierze pani do grubasa i zapyta go, dlaczego daje się wodzić za nos?

— A czy nie przyszło panu na myśl, że oni wodzą za nos właśnie pana i nas, szefie?

Uśmiechnąłem się i nic nie powiedziałem. Ale dostrzegając rosnące zniecierpliwienie Moniki pewnego dnia zabrałem ją na wycieczkę.

Mieliśmy akurat kolejny dyżur w pobliżu domu Wągrowskiego. Zajechaliśmy wehikułem na półwysep i pieszo, pod niebem pochmurnym i kapiącym rzadkim deszczem, pomaszerowaliśmy w stronę wioski. Banda grubasa smacznie spała po nocnej libacji, tylko Wągrowski poruszał się ospale na podwórzu. Narąbał drewna, a potem z komina domu popłynęła smuga dymu — zapewne rozpoczął przygotowywanie śniadania dla siebie i swych gości.

Monika głośno ziewnęła.

— Okropna nuda — stwierdziła. — Nigdy nie przypuszczałam, że praca detektywa jest tak monotonna. Szefie, ma pan dla mnie jakieś zajęcie w Warszawie? Już wolę siedzieć w biurze i odbierać telefony.

W milczeniu ująłem ją za rękę i poprowadziłem z powrotem w las. Nie wróciliśmy jednak do wehikułu, tylko omijając jezioro Bądze leśną drogą maszerowaliśmy do wsi Dolina i dalej, również leśnymi drogami — aż nad jezioro Gaudy. Deszcz przestał siąpić, od czasu do czasu w szarej powłoce chmur powstawały szczeliny i przebłyskiwało słońce. Monika nie pytała, dokąd i po co idziemy — zdaje się gotowa była pójść nawet do piekła, byle tylko nie tkwić przez cały dzień w krzakach i obserwować Wągrowskiego.

Zrobiliśmy chyba z siedem kilometrów, zanim ścieżka wzdłuż północnego brzegu jeziora Gaudy doprowadziła nas do asfaltowej szosy i zabudowań dużego pegeeru. Zatrzymałem się w pobliżu wypalonego podczas wojny pałacu, po którym zostały tylko mury i wspaniały fronton, świadczący o dawnej świetności.

— Co to za pałac? — zainteresowała się Monika. — Gdzie jesteśmy?

— Pamięta pani mały dworek w Gardzieniu, gdzie mieszkała Jenny von Gustedt? Ten pałac leży o trzydzieści kilometrów od tamtego dworku i także upamiętnił się pobytom niezwykle interesującej kobiety. Nazwisko jej brzmiało Maria Walewska. Jak pani wie, była ona przyjaciółką cesarza Francuzów, Napoleona. Przebywał on w tym pałacu przez wiele tygodni, gdy prowadził walki na terenie Prus, zdobywał Malbork i Gdańsk. W tym to okresie zaprosił do tego pałacu Marię Walewską i spędził z nią tutaj, jak to sam określał, wiele szczęśliwych chwil. Ta miejscowość i pałac nazywały się wtedy Finckenstein i były rezydencją pruskich junkrów von Finckensteinów. Patrzy pani tu na wypalone okna, na mury bez dachu i gruzy porośnięte trawą. Zapewniam panią, że może już za kilka lat pałacowi temu zostanie przywrócony dawny wygląd. Proszę jednak trochę ruszyć swoją wyobraźnię i na chwilę zapomnieć o wypalonych oknach, o murach bez dachu, o gruzach porośniętych trawą. Niech pani sobie przedstawi, że jest wiosna 1807 roku, do rezydencji Finckensteinów przybywa Napoleon, imperator i cesarz Francji. Jak pisze Marian Brandys w swej biograficznej książce o Marii Walewskiej *rezydencja pruskich junkrów stała się na dziesięć tygodni ośrodkiem dyspozycyjnym władzy dla połowy Europy. Każdego dnia odprawiano stąd dziesiątki kurierów z listami do królów i cesarzy. Napoleon grając w oczko ze swymi marszałkami, ustalał tu z nimi przyszłe losy ludzkości. W dawnej sali balowej pałacu podejmowano egzotyczne poselstwa z Turcji i Persji, a wieczorami oglądano przedstawienia dawane tutaj przez koryfeuszy teatru francuskiego. W pokojach przylegających do apartamentów cesarza wyczekiwali na posłuchanie najwyżsi dygnitarze z Paryża i ze stolic alianckich. W antyszambkach kłębił się różnorodny tłum pomniejszych aktorów politycznych. W Finckensteinie wytyczano granice nowej Europy, spierano się o stanowiska w nie istniejących jeszcze państwach, zawierano koniunkturalne sojusze i układano skomplikowane intrygi, zabiegano o protekcje i oczerniano się nawzajem...*

Patrzyłem na pomarańczowe mury o wypalonych oknach, z zaciekami wilgoci i śladami odpadniętego tynku, na trawę porastającą gruzy. Naprawdę trudno było sobie wyobrazić, że przed stu pięćdziesięciu laty wnętrza murów wypełniały komnaty, po których chodził dumny cesarz i jego marszałkowie, brzmiały tu głosy komend wydawanych dziesiątkom tysięcy francuskich i polskich żołnierzy. Maria Walewska przyjechała pełna nadziei, że Napoleon dotrzyma przyrzeczenia danego Polakom i pomoże im odbudować dawną potęgę polskiego państwa. Niestety, cesarz nie dotrzymał swego przyrzeczenia...

Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się dwunasta w południe.

— Czekasz pan na kogoś? — zainteresowała się Monika. — A może umówił się pan tu z Napoleonem? Po panu, szefie, wszystkiego można się spodziewać.

Zdjąłem nieprzemakalną pelerynę i rozłożyłem ją na trawie przed głównym wejściem do wypalonego pałacu. Zaprosiłem na pelerynę Monikę, sam także usiadłem obok niej i zapaliłem papierosa.

— A Wągrowskiego nikt nie obserwuje — stwierdziła Monika. — Czyżby jego postępowanie nie miało już dla pana żadnego znaczenia?

— Nie wiem — westchnąłem zamyślony. — Być może przekonamy się o tym za chwilę...

Szosa od strony Susza nadjechała czarna wołga i zatrzymała się przed wypalonym pałacem Finckensteinów. Wsiadł z niej dyrektor Marczak.

— Witam was, moi drodzy — powiedział krótko, jakby to spotkanie nie zdarzyło się trzysta kilometrów od Warszawy, ale w parku Łazienkowskim. — Prawda, że ten pałac jest piękny? Gdyby się znalazła instytucja, która przejęłaby na siebie zobowiązanie utrzymania tego pałacu, wyremontowalibyśmy go już w najbliższym czasie.

Monika wyjęła chusteczkę i ostentacyjnie zaczęła w nią głośno wycierać nos.

— Niech pani tak głośno nie trąbi, bo te stare mury gotowe się rozpaść jak legendarne mury Jerycha od dźwięku trąb — oświadczyłem z przekąsem.

— A właśnie że będę trąbić. Niech pan dyrektor wie, że od paru dni chodzę bez przerwy przemoknięta.

— Tak, tak, wiem o tym — z roztargnieniem pokiwał głową Marczak. — Wczoraj dzwonił do mnie pan Tomasz i poinformował mnie, że u was ciągle pada. Natomiast w Warszawie, proszę sobie wyobrazić, świeci słońce.

— Czy mogę to traktować jako zaproszenie do Warszawy? — rozpromieniła się Monika.

— Nie wracam do Warszawy — rozczarował ją Marczak. — Jadę na inspekcję do muzeum w Gdańsku. Po drodze chciałem się spotkać z panem Tomaszem i omówić z nim rozwój wydarzeń.

— Kiedy w tym sęk, że nie ma żadnych wydarzeń. Jest po prostu strasznie nudno i nic się nie dzieje — jęknęła dziewczyna. — A może pan, dyrektorze, przywiózł jakieś ciekawe wiadomości?

— Niestety, w sprawie Krostka nie posunęliśmy się ani o krok naprzód — powiedział Marczak. — Krostek prawdopodobnie domyśla się, że każdy jego krok jest śledzony. Przesiaduje w swoim domu i zajmuje się majsterkowaniem. Wiadomo nam tylko, że jego córka Krystyna otrzymała zaproszenie do RFN-u i wystąpiła o paszport. A co u was?

— Nudno — po raz któryś stwierdziła Monika. — Mój szef jak zwykle przybył spóźniony, uprzedzili go osobnicy, których on uznaje za Niewidzialnych, choć przysięgam panu, dyrektorze, że są równie widzialni jak pan lub ja. Towarzystwo

pije bez przerwy, śpiewa, odgrywa nieudolne komedie z poszukiwaniem skarbu, a my mokniemy.

— W ten sposób pani się wprawia w zawodzie detektywa — rzekł Marczak.

— A czy słusznie mój szef zrobił ze mnie kucharkę? — zapytała. — Niemal codziennie muszę przyrządzać obiad z puszek turystycznych. Podejrzewam, że mój szef trzyma mnie tutaj, bo pragnie mieć kogoś, kto gotuje obiady, robi śniadania i kolacje, a także zmywa naczynia.

— Tak, tak, tak — powtarzał w zamyśleniu dyrektor Marczak. A potem odjechał w stronę Malborka, a my piechotą powróciliśmy do wioski Bądze, gdzie się zakradliśmy pod dom Wągrowskiego.

Z komina dymiło się, przez otwarte okno aż pod las rozchodził się zapach mięsa. Zapewne banda grubasa i Wągrowski smażyli na obiad kotlety. Wypili chyba niejedną butelkę wina, bo dom rozbrzmiewał radosnym: *Gdy mi Ciebie zabraknie...*

— Szefie — mruknęła Monika — czy nie może pan na nich wpłynąć, żeby zmienili repertuar? Można się wściec od tego *Gdy mi Ciebie zabraknie*.

— A co ostatnio zwycięża na „liście przebojów”?

— Nie mam pojęcia. Przecież pan nawet radia nie pozwala słuchać, ponieważ w lesie musi być cicho... Wie pan co, szefie? — odezwała się z nagłą determinacją — ja chyba jednak wyjdę za mąż.

— Wiwat młoda para! — krzyknąłem tak głośno, że być może usłyszano mnie w domu Wągrowskiego. Ale w tej sytuacji zapomniałem o wszelkiej ostrożności. Chwyliłem Monikę pod rękę i oświadczyłem gromko:

— Musimy pani decyzję jakoś uczcić, Moniko. Wracamy natychmiast do obozu. Co mi tam Niewidzialni, skoro pani wybrała nową drogę życia.

I rzeczywiście powróciliśmy do wehikułu. A w kilkanaście minut później zajechałem na polanę nad Jeziorem Płaskim.

Winnetou i Wielki Bóbr odgrzewali na maszynie gazowej wołowinę z puszek, a pomagał im w tym Kędziorek, który przed godziną przybył do nas ojcowskim volkswagenem.

Już otwierałem usta, aby go poinformować, że wkrótce wstąpi w związek małżeński z Moniką, gdy dziewczyna trąciła mnie łokciem i szepnęła:

— To nie jest takie pewne, czy miałam na myśli Kędziorka...

A do młodzieńca, który aż się rozpromienił na jej widok, powiedziała ujmując się pod boki:

— Dlaczego dopiero dzisiaj przyjechałeś? Dwukrotnie kilka godzin czekałam na pocztę, aby dostać połączenie z Warszawą. Za każdym razem nie było cię w domu.

— Ale rodzice przekazali mi twój adres na Mazurach — wyjaśnił pokornie Kędziorek. — Przyjechałem jak tylko Krystyna Krostek złożyła podanie o paszport i obsprawiła się w Warszawie na zagraniczną podróż.

— Czy mam rozumieć, że przez cały ten czas zajmowałeś się panną Krostek?
— To przecież ty i twój szef kazaliście mi się nią zajmować — bronił się Kędziorek.

— Ale nie aż do tego stopnia — zawołała Monika. — Na czym polegały te twoje zajęcia?

— Towarzyszyłem jej. Rozmawiałem z nią. Wypytywałem ją o wszystkie sprawy. Trzykrotnie przyjeżdżała do Warszawy po najrozmaitsze sprawunki i wówczas towarzyszyłem jej w wędrówkach po sklepach. Potem odwoziłem ją do domu w Łodzi, aby poznać jej ojca, bo tak mi poleciliście. . .

— No, proszę, proszę — ironizowała Monika. — Ciekawe, co też za odkrycia nam przywiozłeś?

— Nie dokonałem żadnych odkryć — przyznał Kędziorek — ale przecież z góry uprzedzałem, że nie nadaję się na detektywa. . .

Monika pogardliwie wzruszyła ramionami, a Kędziorek zaraz posmutniał. Nie zdawał sobie sprawy, że miał do czynienia z dziewczyną, którą rozpieszczano od dzieciństwa i zachwycono się jej urodą i inteligencją. Była przyzwyczajona do zachwyty, ale w gruncie rzeczy trochę lekceważyła człowieka, który to okazywał. Wątpiłem, czy Monika była zdolna odwzajemnić uczucia Kędziorka, który zbyt o nie zabiegał.

Nastał pogodny, ciepły wieczór, ziemia parowała po deszczach, jezioro pokryła lekka mgiełka. Kędziorek zaproponował Monice spacer po lesie albo nad brzegiem jeziora, ale go ofuknęła, że ma już na całe życie dość chodzenia po lesie.

— A co z Niewidzialnymi? Nie będziemy ich już dłużej śledzić? — zapytał zdziwiony Wielki Bóbr.

— Nie — odparłem — czas już skończyć komedię z poszukiwaniem skarbów. Grubas i jego ludzie robią wszystko, aby nas zatrzymać tutaj jak najdłużej. To oczywiste, że prawdziwi Niewidzialni działają daleko stąd.

— Więc po co tutaj siedzimy, mokniemy, tracimy czas? — zawołała oburzona Monika.

— Bo właśnie o to chodzi, aby prawdziwym Niewidzialnym pozostawić pole do działania. Niech myślą, że daliśmy się nabrać.

— Ale pan wie, gdzie odbywa się prawdziwa akcja? — zaciekawiał się Kędziorek.

— Niestety, nie wiem. Nikt z nas tego nie wie. To jest właśnie cała trudność. Monika poczerwieniała ze złości.

— Innymi słowy nasz pobyt tutaj to była także tylko komedia?

— Tak. . .

— Szefie, to oburzające. Dlaczego nie powiedział pan nam tego zaraz po przyjeździe w te okolice?

— Bo nie dość gorliwie odgrywalibyście swoje role.

A Winnetou stwierdził:

— Biała skwaw, która zmienia skalpy, niesłusznie oburza się na Szarą Sowę. On jest jak ptak, którego imię nosi. Widzi w ciemnościach każdy krok Niewidzialnych i we właściwej chwili spadnie na nich jak spada sowa na mysz, buszującą wśród liści.

— A jeśli nie? — zapytała ironicznie Monika. — Jeśli Niewidzialni okażą się sprytniejsi i bardziej przewidujący?

Oburzona i obrażona na cały świat zaszyła się w swoim namiocie. Kędziorek ze smutną twarzą zasiadł nad brzegiem jeziora, usiłując zapewne zgłębić tajemnicę duszy kobiecej.

Zrobiło mi się go żal i postanowiłem odciągnąć od tego rodzaju jałowych rozważań, którym z ogromną lubością oddają się niekiedy młodzi ludzie. Przykucnąłem obok niego i jakiś czas trwaliśmy tak patrząc na mgłę gęstniejącą na jeziorze.

— Niech mi pan opowie o pannie Krostek — poprosiłem go.

— O Krystynie? — zdumiał się. — A co chciałby pan o niej wiedzieć? Kazaliście mi przebywać w jej towarzystwie, a teraz Monika ma do mnie pretensje. Powiem panu tylko tyle: panna Krostek jest zupełnie podobna do Moniki. Chcą się nieustannie wszystkim podobać. Bez przerwy mi opowiadała, jak to ona wspinała się urządzi, gdy wyjedzie za granicę. . .

— A nie wspomniała, za czyje pieniądze tak świetnie się urządzi?

— Też ją o to zapytałem. Powiedziała, że za granicą będą na nią czekały pieniądze.

— Za co?

— O to już nie pytałem. To byłoby nietaktowne.

I taka była z nim rozmowa o pannie Krostek. Młody człowiek nie miał daru spostrzegawczości, nie potrafił oceniać i charakteryzować ludzi na podstawie drobnych niekiedy szczegółów w ich zachowaniu, wypowiedziach, sposobie bycia. Nic nie wiedział o pannie Krostek, tak jak nie wiedział nic o Monice. Był zbyt zaabsorbowany sobą, swoimi myślami i uczuciami. Miał też fałszywe wyobrażenie o dobrym wychowaniu. Przypominał mi pod tym względem pewnego znajomego, który nagle stanął zdumiony wobec faktu, że jego najbliższy przyjaciel zasiadł na ławie oskarżonych pod zarzutem poważnych nadużyć. Widział wystawny tryb życia przyjaciela, wydatki przewyższające dochody, ale za nietakt uważał pytanie, skąd jego przyjaciel, przy skromnej pensji urzędnika, bierze na piękne auto, willę, jacht, kosztowne wycieczki zagraniczne. Takich „taktownych” ludzi jest w naszym kraju dość dużo, dlatego zdarza się, że pospolicci złodzieje i oszuści niekiedy dość długo cieszą się przyjaźnią i szacunkiem otoczenia.

Zapadł zmierzch, na polanie zapłonęło ognisko rozniecone przez Winnetou. Monika — ubrana w ciepły sweter i wełniane spodnie wpuszczone w wysokie kalosze — wyszła z namiotu i zajęła przy ognisku wygodne miejsce na kłodzie

drzewa. Wielki Bóbr dorzucał do ogniska suche gałęzie i wkrótce w czajniku zawieszonym nad płomieniem zagotowała się woda na herbatę.

— Szkoda, że nie mamy kiełbasy — odezwał się Kędziorek. — Nigdy w życiu nie jadłem kiełbasy pieczonej na ognisku. Panna Krostek kilkakrotnie narobiła mi apetytu opowiadając, że nie ma nic wspanialszego nad taką kiełbasę. Ona często ją jadła, bo mają domek letni w okolicach Siemian i często tam palą ognisko. Czy naprawdę nie macie kawałka kiełbasy?

Zerwałem się z ziemi tak raptownie, jak bym nagle stwierdził, że siedzę na jeżu. Tak jak stałem, skoczyłem do wehikułu i uruchomiłem silnik. Słyszałem okrzyki moich przyjaciół, ale nie zwracałem na nie żadnej uwagi. Wrzuciłem bieg i wyjął silnikiem na najwyższych obrotach, wyjechałem z polany na szosę. Od wielu dni czekałem na jakąkolwiek informację, która pozwoliłaby mi rozwiązać zagadkę dziwnego zachowania się Krostka. I dopiero w tej chwili, gdy zniknęła we mnie wszelka nadzieja, Kędziorek podrzucił mi nieświadomie ważny szczegół.

Domek letni mógł być najwspanialszym miejscem do pozostawienia rzeczy zbędnych lub mogących narazić na kłopoty. Czyż i doktor Gottlieb nie wybrał letniego domu, aby w nim ukryć swoje zbiory? Do skrzynek ze zbiorami Krostek dość długo chyba nie przywiązywał większej wagi, nie sądził też, aby na stare książki i papiery złakomił się włamywacz lub złodziej. Z letniego domku raczej ukradłby pościel, zastawę, jakieś garnki czy kuchenkę gazową. Stare papiery były bezpieczne i nie wadziły nikomu. . .

Po siedmiu kilometrach jazdy z lewej strony otworzyła się przede mną połać Jezioraka, szosa skręciła gwałtownie i wjechałem w zabudowania wsi, rozciągające się po obu stronach drogi. Minałem wieś i ujrzałem rozległą kolonię domków letnich, przeważnie zbudowanych z białej cegły i krytych eternitem. Domki były w różnym stylu, na ogół małe, ale niektóre z nich miały dość wysokie podpiwniczenie, coś w rodzaju podziemnego garażu. Wokół domków znajdowały się mikroskopijne ogródki, cała kolonia sprawiała wrażenie ciasnoty. Nie przepadam za tego rodzaju budownictwem. Uważam, że szpeci ono brzegi jezior, ale dziesiątki podobnych kolonii powstają obecnie w najpiękniejszych miejscach i chyba nie ma siły, aby się temu przeciwstawić.

Osadę letnich domków okrywał mrok, w żadnym okienku nie pobłyskiwało światło. O tej porze roku właściciele „chałupek” przyjeżdżali co najwyżej na wolną sobotę i niedzielę. Dopiero w miesiącach letnich było tu zapewne gwarno jak na sopockim moło.

O trzysta metrów za kolonią stała zwarta ściana lasu. Wprowadziłem wehikuł między drzewa, wyjąłem ze skrytki na desce rozdzielczej latarkę i pomaszerowałem z powrotem do wioski. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że bez dokładnej wskazówki odnalezienie domku Krostka było nieprawdopodobieństwem. Właściciele domków nie przybijali swych wizytówek na drzwiach, nie wypisywali nazwisk na frontonach. Informacje w tej sprawie należało zdobyć w wiosce.

Szedłem dość szybkim krokiem skrajem asfaltowej szosy. Do pierwszych zabudowań pozostawało mi najwyżej sto metrów, gdy nagle na szosie pojaśniało. Od strony Hawy nadjechał samochód z silnymi reflektorami. Detektywistyczny nawyk kazał mi natychmiast ukryć się za pnem drzewa rosnącego przy szosie i zaczekać, aż samochód pojedzie dalej. Rozpoznałem piękne turbo Waldemara Batury i serce zabiło mi gwałtownie. A więc Batura dowiedział się także o letnim domku Krostka i podobnie jak ja domyślił się, że tutaj, być może, Krostek ukrył zbiory Gottlieba. „A miał mnie o wszystkim informować, łajdak” — syknąłem ze złością.

Byłem zły. Nie obawiałem się, że Batura sprzątnie mi sprzed nosa zbiory Gottlieba, bo bez większego trudu mogłem mu je potem odebrać. Byłem zły przede wszystkim z tego względu, że nie uzgodniwszy ze mną swoich poczynań mógł porwać misterną sieć, którą zastawiliśmy na Niewidzialnych.

Samochód Batury podjechał pod gospodę, zawrócił i z wygaszonymi światłami zatrzymał się na poboczu. Potem usłyszałem trzask zamykanych drzwiczek i domyśliłem się, że za chwilę Batura ruszy pieszo ku kolonii domków kempingowych. Nie ukrył samochodu w lesie, ale uznał, że najlepszym miejscem, gdzie jego wóz nie będzie budził podejrzeń, jest podjazd przed gospodą. Przechodzący obok samochodu ludzie ze wsi mogli sądzić, że właściciel turbo je kolację w gospodzie, nikomu na myśl by nie przyszło, że kręci się on między domkami kempingowymi.

W pobliżu szosy, ale już na polu, stała sterta białych cegieł, przygotowanych zapewne do budowy kolejnego letniego domku. Skryłem się za cegłami i wbiłem oczy w gęstą ciemność.

Batura nadchodził od strony wsi bardzo cicho, bo nie usłyszałem nawet jego kroków. Zaskoczył mnie tylko niespodziewany błysk światelka o kilkadziesiąt metrów od mojego schowka. Batura zapalał papierosa za pomocą zapalniczki gazowej, niebieskavo-żółty płomyk oświetlił na moment jego twarz. Potem z żarzącym się ognikiem przy ustach zrobił jeszcze kilkadziesiąt kroków i przysiadł w rowie przydrożnym zaledwie o kilkadziesiąt metrów ode mnie. Spodziewałem się, że będzie szukał domku Krostka, włamie się, spróbuje odnaleźć skrzynię ze zbiorami. A on po prostu usiadł na skraju rowu i sprawiał wrażenie, że na kogoś czeka.

Mijały minuty. Batura zgasił papierosa, później jakiś czas nieruchomo siedział na skraju rowu i znowu zapalił papierosa. A ja w dość niewygodnej pozycji, skurczony we dwoje, sterczałem za cegłami i tałem oddech w piersiach, choć z tej odległości nawet głośnego westchnienia by nie usłyszał. Ale temu, kto siedzi na czatach, zawsze się wydaje, że zdradzi go najdrobniejszy szmer. W pewnej chwili miałem ochotę kichnąć, ale w porę chwyciłem się za nos i ścisnąłem mocno, aż uczucie swędzenia ustąpiło. Ten jeden moment wystarczył, abym spociał się z niepokoju.

Minuty wlokły się — nogi mi ścierpły, odczułem ból w okolicy kręgosłupa, ale nie mogłem zmienić pozycji, żeby nie wywołać szmeru.

Batura też się niecierpliwił — zapalił trzeciego papierosa i raptem szybko go zgasił. Szosa pojaśniała, zza zakrętu drogi wyjechał powoli jakiś samochód. Czy to na ten wóz czekał Batura? Przezornie schował się za pień drzewa przy drodze. Ale samochód zatrzymał się daleko przed nami, w najbliższym sąsiedztwie kolonii domków letnich. Zgaszono reflektory wozu, potem dwukrotnie trzasnęły drzwiczki, więc co najmniej dwie osoby go opuściły. Znowu nastąpiła cisza, a po kilku minutach, w jednej z wąskich uliczek, które rozdzielały kolonię, zabłysło nagle światło elektrycznej latarki.

Teraz Batura ostrożnie podniósł się ze swego miejsca i wolno ruszył w kierunku kolonii, a ja — odczekawszy chwilę — poszedłem jego śladem. Waldek wyminął stojący na poboczu samochód i skręcił w tę samą uliczkę, w której zniknęli przyjezdni. Wkrótce i ja znalazłem się obok samochodu i mogłem stwierdzić, że jest to... czarny mercedes Grety Herbst.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

PODWÓJNA GRA • GRETA HERBST W POTRZASKU • JESTEM
JEDNYM Z NIEWIDZIALNYCH • KTO CHCE MNIE UNIESZ-
KODLIWIĆ? • NIESPODZIEWANA POMOC • DALSZE DZIEJE
SKRZYNEK ZE ZBIORAMI • PUŁAPKA W NIDZICY • NIESPO-
DZIANKA NA SZOSIE • GŁOSY Z KRYJÓWKI • WYJAŚNIENIE

Letni domek, przed którym zatrzymał się Waldemar Batura, stał na końcu wąskiej uliczki, zbiegającej po niewysokiej skarpie do jeziora. Zbudowano go podobnie jak inne — z białej cegły i pokryto eternitem. Wydawał się wysoki, bo podmurówka kryła podziemny garaż. Nad garażem było chyba niewiele pomieszczeń — najwyżej mikroskopijna kuchenka i niewielki pokoik, ale domek wzbogacono o oszklony taras, który w lecie mógł stanowić doskonałe miejsce do spania. Trzy okienka zakrywały grube, zamykane od wewnątrz okiennice, ogródek wokół domku ogradzają wysoka siatka z furtką i żelazną bramą wjazdową. Tuż za domkiem rozlewało się jezioro, niewidoczne teraz w mroku ciemnej nocy. Czuło się jednak zapach wody i wodorostów, słysząc było cichutki szmer fal, wybiegających na piaszczysty brzeg.

Do tego to domku weszła pani Herbst i ten lub ci, którzy z nią przyjechali. Przez szczeliny w deskach okiennic sączyło się światło elektryczne.

Batura krótką chwilę stał przy furtce, potem ostrożnie nacisnął klamkę. Furtka otworzyła się z lekkim zgrzytem i Batura ruszył po dróżce wyłożonej betonowymi płytkami. Ale nie podszedł od razu do drzwi, tylko najpierw zajrzał do środka przez szpary w okiennicach. Rozpoznawszy zapewne osoby, które przyjechały, już śmiało postąpił do drzwi i otworzył je gwałtownie. Potem szybko wszedł do wnętrza i zamknął za sobą drzwi. A wtedy ja jednym skokiem dopadłem furtki i po kilku sekundach zerknąłem przez szparę w okiennicy.

Ujrzałem wewnątrz niedużego pokoju z turystycznymi mebelkami. Na środek wyciągnięto żelazną skrzynkę, która już została otwarta. Obok skrzynki stał Piękny Lolo i obrócona twarzą do drzwi Greta Herbst, której mina wyrażała zdumienie i przestraszony widok Batury. Tego ostatniego nie widziałem, zapewne znajdował się blisko drzwi i zasłaniał mi go narożnik szafy.

— Pani jest zdumiona? — odezwał się po niemiecku Waldemar Batura.

Słyszałem dokładnie każde słowo, okno było pojedyncze, jedna z szyb została stłuczona i kawałek szkła wypadł z ramy.

— Czy naprawdę wyobraża sobie pani, że można mnie wystrychnąć na dudka? — ciągnął ironicznie Batura. — Od pierwszej chwili domyślałem się, że przybyła pani z ramienia Niewidzialnych, aby odnaleźć zbiory Gottlieba i założyć siatkę Niewidzialnych. Piękny Lolo, którego w Warszawie zwerbował Schreiber, z pani polecenia zorganizował bandę złożoną z samych głupców. Ale Piękny Lolo pracował nie tylko dla pani, schwytałem go w Gardzieniu i kazałem informować mnie o każdym pani posunięciu. Wiem od niego, że pani banda siedzi u Wągrowskiego w Bądku i wodzi za nos Tomasza, aby pani miała swobodę działania. Przrzekła pani Krostkowi ogromną sumę pieniędzy, które jego córka ma odebrać po przyjeździe do Frankfurtu. I wczoraj Krostek przekazał pani klucze od swego letniego domku, gdzie ukrył skrzynkę ze zbiorami. To dyrektor Marczak, a potem pani, uświadomiliście Krostkowi, jakie skarby zawierają skrzynie z Czarciego Ostrowu. I Krostek zabrał od Wągrowskiego resztę papierów, obiecał mu później wypłacić dużą sumę pieniędzy i pouczył, jak powinien mówić i jak się zachować, gdyby ktokolwiek okazał zainteresowanie tą sprawą. W ten sposób Krostek zgromadził w swoim letnim domku cały zbiór doktora Gottlieba, spisał naprędce zawartość skrzynek i powrócił do Łodzi. Gdy pani ponownie zjawiała się u niego, dał pani spis i zażądał pół miliona marek zachodnioniemieckich, płatnych w RFN-ie. Porozumiała się pani telefonicznie ze swymi mocodawcami we Frankfurcie, przystali na tę kwotę. Przesłali zaproszenie dla córki Krostka, co zgodnie z waszą umową było sygnałem, że Krostek powinien wskazać pani miejsce ukrycia skarbów, aby mogła je pani przenieść do innego schowka i dokładnie wycenić wartość zbiorów. Potem Krostek miał otrzymać wiadomość z banku, że na nazwisko jego córki wpłacono pół miliona marek. Ale to nie nastąpi, pani Herbst. To nie pani, ale ja zabiorę do swojego samochodu obydwie skrzynki ze zbiorami. Zamiast do mieszkania Pięknego Lolo, jak to pani planowała, pojedą do mojej kryjówki. A Piękny Lolo pomoże mi je zanieść do mego wozu, którym tu zaraz podjadę.

W miarę jak mówił, a trwało to dość długo, wyraz zdumienia i strachu zniknął z twarzy pani Herbst, a pojawił się na nim drwiący uśmieszek.

— Czy to prawda, co mówi pan Batura? — zwróciła się do Pięknego Lolo.

— Niestety tak, droga pani — skłonił się Lolo, bez śladu zmieszania na twarzy, choć tak wredną odegrał rolę. — Bliższa koszula ciału, jak mówi nasze przysłowie. Niewidzialni są daleko, a Waldemar blisko, więc wołałem informować go o wszystkim. Powiedziałem mu wczoraj, że przyjedziemy tu po zbiory i pomogę mu panią unieszkodliwić. O, proszę się nie obawiać. Tylko zwiążemy panią, nawet nie kneblując ust, bo i tak chyba nie będzie pani wołała o pomoc. Jutro rano osobiście uwolnię panią i będzie pani mogła powrócić do Niemiec. Proszę ostrzec Niewidzialnych, że tutaj królem jest Batura.

— Czy przekażecie zbiory panu Tomaszowi? — zapytała pani Herbst.

— Uważa mnie pani za sentymentalnego głupca? — roześmiał się Batura. — Dość się chyba napracowałem, żeby otrzymać jakąś nagrodę? Łup wpadł w moje ręce i pozostanie w nich, szanowna pani. Tomasz musi się zadowolić świadomością, że pomogłem mu przepędzić Niewidzialnych. A to przecież i tak bardzo dużo.

Greta Herbst wzruszyła ramionami i znowu ironiczno-drwiący uśmiezek pojawił się na jej ustach.

— Pan nie docenia Niewidzialnych, panie Batura. Obawiam się, że pakuje się pan w bardzo kiepską historię. Szefowie Niewidzialnych nikomu nie ufają. Nie przybyłam tu sama. Jestem nadzorowana przez kogoś, kto stoi znacznie wyżej ode mnie. Oni mają długie ręce i potrafią być mściwi. Wiem coś o tym, bo mój mąż zginął, gdy nawiązał kontakt z policją. Mnie także szantażem zmusili do współpracy. Zlecili mi zadanie odnalezienia skarbu Gottlieba, bo wiedzą, że jestem sprytna; jeśli wpadnę, rozstaną się ze mną bez żalu. Ale chyba zdaje pan sobie sprawę, że wyznaczili także kogoś, kto nie bierze udziału w całej akcji i pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami, ale jednocześnie kontroluje moją działalność i w każdej chwili może wkroczyć do akcji.

— A któż to taki? — z niedowierzaniem zapytał Batura.

— Nie wiem. Nawet ja tego nie wiem, panie Batura. Nigdy go na oczy nie widziałam i nigdy z nim nie rozmawiałam.

— Ale porozumiewała się z nim pani. . .

— Owszem. Rozkazano mi informacje kłaść każdego wieczora pod pokrywę na lewym tylnym kole mojego samochodu. Tam także znajdowałam dla siebie dyspozycje. A ponieważ niemal każdej nocy list znikał spod pokrywy i znajdowałam rozkazy, wnioskuję, że ten ktoś pilnuje każdego mojego kroku. Poinformowałam go również, że jadę tutaj po zbiory, więc kto wie, czy w tej chwili nie znajduje się za tymi drzwiami. . .

— Pani kłamie! — krzyknął Batura.

W tym momencie zdecydowałem się wkroczyć do akcji i stanąłem w drzwiach domku Krostka.

— To ty? Ty, Tomaszu?! — jęknął Batura — ty jesteś Niewidzialny? . . .

— To ja we własnej osobie — skinąłem głową i zamknąłem za sobą drzwi. — Przykro mi, że próbowałeś mnie oszukać. Raz jako Tomasza, któremu przyrzekłeś lojalność i współpracę, a drugi raz jako Niewidzialnego. Podczas pobytu we Frankfurcie przystałem do gangu i wyznaczono mnie szefem na Polskę.

Oczy pani Herbst aż pociemniały ze zdumienia.

— Ach, więc to tak? Teraz już wszystko rozumiem. . . Nawet w Sowirogu ktoś wyjął w nocy list pozostawiony przeze mnie pod pokrywą. Nikt obcy nie zbliżał się do naszego obozowiska.

Skinąłem głową.

— Słusznie pani rozumuje. A teraz — zwróciłem się do Batury — zabierz swojego kompana i zmiataj stąd. Natychmiast!

Waldemar Batura popatrzył na mnie jak na wielogłowego smoka.

— Więc ty, Tomaszu, stałeś się Niewidzialnym — bełkotał, zapewne z trudem zbierając myśli. — Nieprzekupny Tomasz, zaufany człowiek Marczaka, okazał się jednym z Niewidzialnych. . .

— Tak — przyznałem bez żenady. — I pozostałem nieprzekupnym. Wykorzystano moją wrażliwość na urodę kobiecą. Monika, rozumiesz?

— Monika? — powtórzył Batura.

— No tak, sam przecież podejrzewałeś, że ona jest na usługach Niewidzialnych. To piękna dziewczyna. Omotała mnie i zachęciła do współpracy z gangiem. A teraz, jeszcze raz powtarzam, zmiataj stąd razem z Pięknym Lolem.

I zwróciłem się do pani Herbst:

— Dlaczego była pani tak nieostrożna i poinformowała Lola o celu waszego wyjazdu? Czy nie nauczono pani strzec tajemnicy?

— Nie miałam pojęcia, że on współpracuje z Baturą. A poza tym, nie wspominałam, że jedziemy po zbiory. Kazałam mu tylko znaleźć na mapie wieś Siemiany i ustalić trasę. A on domyślił się wszystkiego. . .

Zapytałem Baturę:

— Skoro jeszcze wcześniej domyśliłeś się, gdzie są zbiory, czemu nie zająłeś się nimi przed przybyciem pani Herbst?

— Nie wiedziałem, który domek należy do Krostka. Obawiałem się, że może ktoś z Niewidzialnych jest tu na straży.

Baturą zdążył ochłonać z wrażenia, jakie na nim uczyniła wiadomość, że jestem Niewidzialnym.

— Przybyłeś tu zapewne sam, Tomaszu — stwierdził ostrożnie. — Przecież nie mogłeś nikogo wtajemniczyć w swoją podwójną rolę. . .

I ruszył do przodu, odcinając mi drogę do drzwi. Jednocześnie i Lolo zrobił krok w moim kierunku.

— Jak wiesz, nie lubię używać siły — stwierdził Batura — ale sytuacja jest wyjątkowa. Detektyw z Ministerstwa Kultury i Sztuki okazał się Niewidzialnym. Należy cię aresztować.

Miałem świadomość, że za chwilę będę leżał na podłodze związany jak baran. To samo zrobiją z panią Herbst. I odjadą ze zbiorami. Rozpaczliwie szukałem w myślach jakichś forteli, lecz jak na złość żaden pomysł nie przychodził mi do głowy. Bo faktem było, że znalazłem się tu sam i oni tego się domyślili.

— Bądź grzeczny, Tomaszu — powiedział Batura. — Zwiążemy cię sznurem, który przygotowałem dla pani Herbst.

To mówiąc odsłonił poły płaszcza i okazało się, że ma sznur owinięty wokół pasa.

— Pożałujesz tego. Gorzko tego pożałujesz.

On jednak niewiele sobie robił z mych pogroźek. Odwinął sznur i skinął głową na Lola, aby ten chwycił mnie za ramiona i przytrzymał.

Lecz raptem uchyliły się nieco drzwi domku i w szparze ukazał się zdeformowany kapelusz Wielkiego Bobra.

— W Paryżu najlepsze kasztany są na placu Pigalle — wyrecytował Wielki Bóbr⁴.

— Ici, Szakal — odkrzyknąłem wesoło.

Drzwi uchyliły się jeszcze szerzej i zobaczyłem głowę Winnetou. Przestraszony Batura odsunął się aż pod ścianę i to samo zrobił Piękny Lolo. Teraz nas było trzech a ich tylko dwóch.

— Co to za komedia? — burknął Batura. — Bawicie się w kapitana Klossa i Szakala?

Drzwi uchyliły się na całą szerokość i ujrzałem jeszcze Monikę i Kędziorka. A więc moi przyjaciele domyślili się, jaki był powód, że nagle zerwałem się od ogniska, wskoczyłem do wehikułu i odjechałem. Zapewne wsiedli do volkswagena Kędziorka i ruszyli za mną do Siemian. Zobaczyli przed gospodą samochód Batury i zakradli się do kolonii domków letnich. Odnalezienie miejsca, w którym się znajdowałem, było kwestią krótkiego czasu, bo tylko z jednego domku sączyło się światło.

Batura zrozumiał, że przegrał.

— To my... już sobie pójdziemy — odezwał się zdławionym głosem.

— Słusznie. Bardzo słusznie — szerokim gestem pokazałem im drzwi.

— A wy, przyjaciele — zwróciłem się do Kędziorka, Winnetou, Wielkiego Bobra i Moniki — odprowadźcie tych panów aż do samochodu i eskortujcie ich przez pięćdziesiąt kilometrów. Muszę mieć pewność, że naprawdę pojedą do Warszawy. Ja zaś zajmę się zbiorami i przetransportuję je w bezpieczne miejsce. Spotkamy się na biwaku.

Batura i Piękny Lolo z ponurymi minami opuścili domek, a za nimi poszli moi przyjaciele. Tylko Monika na chwilę pozostała w pokoju.

— Szefie — powiedziała — a jeśli zjawią się tu prawdziwi Niewidzialni? Zostaje pan tutaj tylko sam z panią Herbst. Czy to bezpieczne dla zbiorów?

Uśmiechnąłem się wyrozumiale.

— A może właśnie chodzi o to, aby się tu zjawili?

— Rozumiem, szefie — skinęła głową i poszła za innymi.

Greta Herbst stała wciąż nieruchoma przy otwartych skrzyniach. Podczas rozmowy z Baturą w pewnej chwili przeszliśmy na język polski, którego ona nie rozumiała. Potem także rozmawialiśmy już po polsku. Ale sens tego, co się zdarzyło, był dla niej jasny.

⁴Bohaterowie żartują sobie z hasła popularnego serialu telewizyjnego i słynnej książki sensacyjnej — „Stawka większa niż życie” oraz książki „Dzień szakala”.

— Pan nie jest Niewidzialnym — stwierdziła.

— I pani także do nich nie należy — uśmiechnąłem się przyjaźnie. — Dlatego wypełniamy dalej swoje zadania. Proszę iść po swój samochód i sprowadzić go tutaj. Przeładujemy do niego skrzynie ze zbiorami.

Bez słowa opuściła domek, a ja zacząłem gorączkowo przeglądać zawartość skrzyniek.

Tak, to były zbiory doktora Gottlieba. Chyba całość tego, co zdołał zgromadzić przez całe swoje życie. Zobaczyłem powiązane w paczuszki listy Goethego, Herdera, manuskrypt pracy Schopenhauera, list Adama Mickiewicza do Mrongowiusza, rękopis niemieckiej pracy Gizewiusza, kilkadziesiąt starodruków polskich i niemieckich, jedno z pierwszych wydań dzieł Kopernika, pierwsze wydanie poezji polskiego biskupa warmińskiego, Dantyszka. Wśród papierów, książek i dokumentów odnalazłem zrobiony węglem, poźółkły szkic profilu głowy Adama Mickiewicza, wykonany ręką słynnego rzeźbiarza i domownika Goethego, Davida d'Angers.

Musiałem przerwać przegląd zbiorów, usłyszałem bowiem szum silnika samochodu pani Herbst. Starannie zamknąłem skrzynki, założyłem kłódki. Potem wraz z panią Herbst zaniósłem je do bagażnika mercedesa.

— Gdzie ma pani dostarczyć zbiory? — spytałem. — Chyba nie mówiła pani prawdy, wspominając o mieszkaniu Pięknego Lola?

— Otrzymałam rozkaz, aby zanocować w hotelu w zamku w Nidzicy. Mam swój wóz zostawić przed zamkiem, z nie zamkniętym bagażnikiem. Zapewne podjadą swoim samochodem i przeładują skrzynie, gdy ja będę w hotelu. Powiadomiłam o tym milicję. Myślę, że hotel i parking przed hotelem zostały obstawione.

— W porządku — uśmiechnąłem się lekko, bo pani Herbst nagle wydała mi się osobą bardzo naiwną. — Pozwoli pani jednak, że będę jej towarzyszył. Miała pani tę podróż odbyć w towarzystwie Pięknego Lola i mogłoby obudzić podejrzenie, że jedzie pani sama.

— A jeśli w Nidzicy rozpoznają pana? — zaniepokoiła się.

— Jestem blondynem tak jak i on. Pozostawił w pani samochodzie swój czarny kapelusz. Zdejmę okulary i kapelusz nasunę głęboko na oczy. Postaram się nie rzucać w oczy. A pani samej nie mogę puścić.

— Nie ufa mi pan. . . — stwierdziła z goryczą.

— Myli się pani, Niewidzialni są groźni. . .

Zamknęła drzwi domku, a potem furtkę. Zajęła miejsce za kierownicą, a ja siedłem obok niej i nasunąłem na czoło czarny kapelusz Pięknego Lola. Ruszyliśmy ostro w kierunku na Hławę, a potem na Ostródę.

— Jak to się stało, że Niewidzialni zaproponowali pani przejęcie poszukiwań zbiorów Gottlieba? — zapytałem.

— Moja osoba sama im się narzucała — wyjaśniła pani Herbst. — Gdy spotkałam się z wami u doktora Guntera i zapoznałam się ze sprawą, stało się dla mnie jasne, że maczają w niej palce Niewidzialni. I natychmiast poszłam do Buchera, aby wysondować, jakie są ich zamiary względem zbiorów doktora Gottlieba. O dziwo, przyjęli mnie z otwartymi ramionami. Zapewne tego dnia otrzymali telefoniczną wiadomość z Warszawy od Schreibera, że na Czarcim Ostrowie skrytka została dawno opróżniona. Bucher zabrał mnie do swego wozu i osobiście pojechał do Dobenecka, rozkazując mu zmienić taktykę postępowania z wami. Nakazał mu podpisać umowę i zażądać, aby w poszukiwaniach mógł wziąć udział Dobeneck wraz z narzeczoną i ja, z ramienia Guntera. Uważali, że macie do mnie zaufanie, skoro zostałam wynajęta przez was jako detektyw prywatny. Miałam niby to wam pomagać, w rzeczywistości jednak pracować dla Niewidzialnych. I przyjął to zadanie, bo pragnę zemścić się na nich. Po przyjeździe do Polski zgłosiłam się do milicji i ujawniłam swoją rolę. Powiedziałam, że prawdopodobnie Niewidzialni przysła tu jakąś ważną osobę z gangu, która odbierze ode mnie zbiory. Pragnęłam, aby ta osoba została zdemaskowana i schwyta. Czyż to nie najwspanialsza zemsta? Tej nocy przed zamkiem w Nidzicy prawdziwy przedstawiciel Niewidzialnych zostanie schwytany.

— A pani po powrocie do Frankfurtu odpowie przed Niewidzialnymi za zdradę — stwierdziłem.

— No cóż, muszę ryzykować — wzruszyła ramionami pani Herbst.

W tym momencie na szosie w pobliżu Olsztynka wyprzedziliśmy stojący na poboczu samochód z wygaszonymi światłami. I zaledwie wysforowaliśmy się do przodu, wóz dogonił nas świecąc szosowymi reflektorami.

— Pirat drogowy — mruknęła.

Wóz wysforował się do przodu, potem nagle zwolnił i zagroził nam drogę. Z samochodu wyskoczył ubrany na czarno niski mężczyzna w kapturze na twarzy i nakazał pani Herbst zjechać na pobocze.

— Nie wychodzić! — usłyszałem rozkaz po niemiecku. — Czy bagażnik jest otwarty?

I zaświecił nam w oczy silnym światłem elektrycznej latarki. Zdążyłem jeszcze zdjąć okulary i nasunąć kapelusz na czoło, wyglądałem więc jak Piękny Lolo. Bałem się jedynie, że każą mi wyjść z wozu, aby im pomóc w przenoszeniu skrzynek. Ale nic takiego nie nastąpiło. Pierwszy z mężczyzn otworzył bagażnik mercedesa, a drugi zgasił latarkę i zaczął dźwigać skrzynki. Stwierdziłem, że numer rejestracyjny samochodu Niewidzialnych był określony szmatą. Ale przecież rozpoznałem volvo. Takie samo, jakie miał Alfred von Dobeneck. I mimo męskiego przebrania i kaptura przysadzista sylwetka jednego z osobników przypominała mi pannę Bertę von Strachwitz.

— Dlaczego pan nic nie robi? — syknęła na mnie pani Herbst. — Przecież to jest Berta Strachwitz i ten głupiec, Dobeneck. Na co pan czeka? Pozwoli pan, żeby umknęli ze zbiorami?

Chwyciłem dłoń pani Herbst i ścisnąłem ją mocno.

— Proszę panią o spokój — szepnąłem.

Skrzynki ze zbiorami znalazły się w drugim samochodzie. Czarno ubrana, przysadzista postać panny Strachwitz zbliżyła się do mercedesa i wydała rozkaz pani Herbst.

— Wyplacić naszym ludziom umówioną gażę. Niech czekają w domu na dalsze rozkazy. A pani powinna natychmiast wracać do Frankfurtu.

Samochód odjechał, pozostaliśmy na pustej szosie pod Olsztyńkiem. W milczeniu patrzyliśmy, jak rozplývają się nam w oczach czerwone tylne światła volvo, a później znikają pochłonięte przez blask reflektorów jakiegoś nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu.

— Wszystko na nic! — zawołała ze złością pani Herbst. — Cały mój wysiłek poszedł na marne. Nie ufali mi i postanowili odebrać zbiory nie w Nidzicy, ale wcześniej. Dlaczego pan nawet ręką nie ruszył? Czy nie pojmuję pan, że oni ukryją skrzynki w sobie tylko wiadomym miejscu? Wyjadą bezpiecznie z Polski, a za jakiś czas przyślą tu kogoś zupełnie nieznanego, aby zajął się przemyceniem zbiorów. Bał się pan Dobenecka i panny Strachwitz?

— Owszem, bałem się — przytaknąłem — ale nie o siebie, tylko o panią.

— A cóż oni mogli nam zrobić? Nie narażaliby się przecież na ryzyko przyjazdu do Polski z bronią.

Odparłem z powagą:

— Nie chcemy, aby po powrocie do Frankfurtu odpokutowała pani za zdradę Niewidzialnych. Zdecydowano, że zbiory muszą wpaść w ręce panny Strachwitz i Dobenecka. Pozwolimy im także odjechać stąd bez żadnych trudności. Nie wywozą stąd zbiorów, a to najważniejsze. Przybędzie po nie ktoś nowy, pozostający poza wszelkimi podejrzeniami. Przypuszczamy, że będzie to człowiek o wiele ważniejszy niż panna Strachwitz. Czy nie mówiła mi pani, że nieuchwytny dotąd Marlon Mendoza lubi osobiście brać udział w niebezpiecznych końcowych akcjach? A poza tym interesuje nas, w jaki sposób Niewidzialni zechcą przemyścić zbiory za granicę. Być może odkryjemy nareszcie drogę, którą niekiedy przesączają się nasze dzieła sztuki i zabytki do innych krajów.

— Znacie więc miejsce, do którego panna Strachwitz wywozła zbiory?

— Kryjówka została podsunęta pannie Strachwitz. Wróci pani do Frankfurtu wypełniwszy doskonale zadanie, które pani dał Bucher. Być może po tym, co pani zrobiła, zdobędzie pani zaufanie Niewidzialnych i powierzą pani następne zadanie. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby powiadomiła pani o tym zachodniemiecką policję i w ten sposób znowu zemściła się na Niewidzialnych.

— Rozumiem — skinęła głową.

— I pomyśleć — westchnąłem — że gdyby nie przypadek, Batura poprzez swoją zachłanność pokrzyżowałaby te misterne plany. A teraz proszę odwieźć mnie do Siemian, gdzie pozostawiłem swój wehikuł. Należy chyba także zgodnie z poleceniem panny Strachwitz rozpuścić zorganizowaną przez panią bandę hobbyistów. Nie ma sensu, żeby dłużej pili i śpiewali te same piosenki.

— Czy ci ludzie zostaną ukarani?

— Nie sądzę — odparłem. — Dopóki nie przeprowadzimy do końca całej akcji, nikt z tych ludzi nie może zostać aresztowany, aby nie obudzić czujności Buchera. Gdyby przyszło ich postawić przed sądem, trzeba by ujawnić misterną sieć, którą zastawiliśmy na Niewidzialnych. A przecież nie wiadomo, czy kiedyś jeszcze Niewidzialni nie spróbują u nas działać i ta sieć znowu się okaże przydatna.

Nazajutrz rano zlikwidowaliśmy biwak nad Jeziorem Płaskim. Serdecznie podziękowałem Winnetou i Wielkiemu Bobrowi za ich pomoc w walce z Niewidzialnymi i pożegnałem się z nimi. Obydwaj postanowili wyruszyć elektrycznym mustangiem na szlak nowej przygody, a Monika, Kędziorek i ja powróciliśmy do Warszawy.

Kędziorek był bardzo dumny z roli, jaką odegrał w sprawie zbiorów.

— Nie jestem znowu taki do niczego, jak to mi wmawiałaś — puszył się przed Moniką. — To przecież tylko dzięki mnie dowiedzieliśmy się, że Krostek ma letni dom w Siemianach.

— Słusznie — przytaknęła dziewczyna — ale mój szef musiał od ciebie wyciągać tę informację. Sam nam o tym nie powiedziałeś.

— Nie twierdzę, że nadaję się na detektywa — zgodził się z nią Kędziorek. — Ale czy naprawdę wierzysz, że taka dziewczyna jak ty powinna być detektywem? Może jednak wyjdiesz za mnie za mąż i porzucisz to swoje zajęcie?

— Nie wiem, jeszcze się zastanowię — odrzekła Monika.

Następnego dnia już w Warszawie spełniło się to, o czym marzyłem jeszcze we Frankfurcie. W mojej kawalerce na Starym Mieście odwiedziła mnie pani Herbst.

— Przyszłam się pożegnać — oświadczyła. — Jutro wracam do Frankfurtu, aby zdać sprawozdanie Bucherowi. Nigdy nie zapomnę tych pełnych napięcia chwil, które przeżyłam w Polsce. Jeśli wybierze się pan do RFN-u, proszę pamiętać o moim adresie.

Zostałem przez nią telefonicznie uprzedzony o wizycie, kupiłem ciastka, zaparzyłem aromatyczną herbatę „Earl Grey”, którą udało mi się kupić w „Delikatessach”. Było mi trochę przykro, że Greta Herbst wyjeżdża i być może nie zobaczę jej nigdy w życiu, bo jak wspominałem wielokrotnie, ten typ kobiety robi na mnie silne wrażenie. Ale każde z nas miało swoje własne życie i swoje własne sprawy, do których musiało powracać. Praca muzealnego detektywa wymagała ode mnie całkowitego oddania, w moim życiu nie było miejsca na sentymenty. Dyrektor Marczak wprawdzie uważał, że powinienem się ożenić i założyć rodzi-

nę, ale w praktyce zupełnie mi to uniemożliwił. Za ledwie powróciłem z biwaku w Siemianach i zameldowałem o wykonaniu zadania, już otrzymałem polecenie przygotowania się do dalekiej podróży. W stolicy Kolumbii, w odległej Bogocie miał się odbyć pod patronatem UNESCO wielki kongres poświęcony walce ze złodziejami dzieł sztuki. Ostatnio bowiem łupem złodziei padło kilka ogromnych i bezcennych rzeźb sztuki prekolumbijskiej. Na kongresie mieliśmy podzielić się swymi dotychczasowymi doświadczeniami w dziedzinie ochrony zabytków, oraz opracować międzynarodowy system wymiany informacji na temat skradzionych dzieł sztuki i sprawców kradzieży. Po owym kongresie zostałem w Kolumbii jeszcze na miesiąc i pomogłem tamtejszym muzealnikom w zdemaskowaniu niezwykle niebezpiecznej międzynarodowej szajki handlarzy zabytkami, przeżyłem fascynujące przygody, o których, być może — kiedyś wam opowiem. Lecz tymczasem powróćmy do Warszawy i wizyty, jaką mi złożyła Greta Herbst.

— Ciekawe, gdzie panna Strachwitz i Dobeneck ukryli zbiory? — zastanawiała się pani Herbst.

— Być może za chwilę zaspokoję pani ciekawość — odparłem. — Ma tu zaraz wpaść mój przyjaciel, który z ramienia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych prowadzi tę sprawę. Panna Strachwitz i Dobeneck już dzisiaj przekroczyli granicę. Nie znaleziono przy nich niczego podejrzanego, a więc jak z tego wynika, zbiory pozostały w Polsce. Dowiedziałem się również, że panna Krostek otrzymała paszport na wyjazd do RFN-u. Zapewne niedługo zobaczy ją pani we Frankfurcie.

Odezwał się dzwonek i wkrótce przedstawiłem pani Herbst starszego pana, którego Winnetou poznał u mnie jako pośrednika w wynajmie nieruchomości.

Pośrednik chyba dość dużo wiedział o pani Herbst, bo zaraz po zjedzeniu ciastka i wypiciu szklanki herbaty wyjął z teczki mały magnetofon.

— Zwierzchnicy polecili mi zapoznać was z pewną interesującą audycją, nagrą na taśmie. Chodzi o to, aby pani Herbst opuszczając Polskę miała przekonanie, że dobrze spełniła swoje zadanie i była spokojna o los odnalezionych przez nią zbiorów doktora Gottlieba. Dla wyjaśnienia dodam, że w pewnym samotnym i pustym domu, gdy włoży się klucz do zamka, włącza się system alarmowy, który daje znać osobie mieszkającej w najbliższym sąsiedztwie. Włożenie klucza uruchamia także magnetofon oraz ukrytą tam kamerę telewizyjną. A oto pierwsza próba sprawności tej aparatury.

Przycisnął guzik magnetofonu i usłyszeliśmy zgrzyt klucza przekręcanego w zamku, a potem dialog.

„Zapał latarkę elektryczną, bo w tym domu nie ma światła... — mówiła panna Strachwitz. — Na stole stoi lampa naftowa... No, dobrze, tylko dlaczego tak się guzdrzesz?... Teraz wróć do samochodu po skrzynki. Musimy się śpieszyć. Jeszcze dziś wyruszamy do Frankfurtu...”

Usłyszeliśmy łoskot kroków na drewnianej podłodze, potem nastąpiła cisza.

„Skrzynki postaw tam pod ścianą i nakryj je starym pledem — rozkazywała panna Strachwitz. — Nikt tu na nie nie zwróci uwagi i będą czekały na odbiór”. „A kto je odbierze? — zapytał Dobeneck. — I kiedy?” „Nie bądź zbyt ciekawy, chłopcze”. „Mam chyba prawo wiedzieć, kiedy te zbiory znajdą się w moim domu? — oburzył się Dobeneck. — Te rzeczy w skrzynkach zbierał mój pradziad.” „Nie bądź głupcem, Dobeneck — wzgardliwie oświadczyła panna Strachwitz. — Nigdy już nie zobaczysz tych skrzynek, ani ich zawartości, co najwyżej gdy wszystko pójdzie pomyślnie, otrzymasz trochę pieniędzy. Ale nie spodziewaj się za dużo.” „Oszukaliście mnie!” — wrzasnął Dobeneck. „Ciszej, głupcze — syknęła panna Strachwitz. — Organizacja nasza zaangażowała w odnalezienie tych zbiorów bardzo dużo pieniędzy. Musi je nie tylko odzyskać, ale także dobrze zarobić. Gdyby nie my, nie otrzymałbyś ani feniga. Odgrywałam rolę twojej narzeczonej na podobnej zasadzie, jak grałam rolę twojej babki, ale mam nadzieję, że tego nie traktowałeś zbyt poważnie. Nie sądzisz chyba, że zgodziłabym się zostać żoną człowieka bez zawodu, bez charakteru, bez wykształcenia, zwykłego utracjusza, który gra w karty i robi długi? Wiesz o kim marzę? O Mendozie. Ty go nie znasz, ale to niezwykle człowiek. Kocha niebezpieczeństwo, lubi ryzyko, a tylko tacy ludzie mi imponują. Jestem pewna, że przyślą go tutaj, aby zorganizował przerzut zbiorów za granicę. Bucher nie pozwoli mi przybyć tutaj z nim, bo mój ponowny przyjazd mógłby wzbudzić podejrzenia. Ale wiele dałabym za to, aby mu towarzyszyć. A teraz zamknij dobrze drzwi i wracajmy do samochodu. Już wkrótce zacznie świtać, a nie chciałabym, aby ktoś zwrócił uwagę na nasze volvo. . .”.

Usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi i zgrzyt klucza w zamku, a potem znowu nastąpiła cisza. Mikrofony samoczynnie wyłączyły się.

— Jesteście nadzwyczajni! — oświadczyła pani Herbst. — Zdradźcie mi jednak, jakim sposobem wybrana przez nich kryjówka już z góry była wam znana do tego stopnia, że mogliście zainstalować w niej skomplikowaną aparaturę?

Roześmiałem się.

— To nie my szukaliśmy ich kryjówek, ale oni przyjęli od nas kryjówkę na zbiory.

— Nie rozumiem. . .

— To proste — wyjaśniłem. — Od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę, że aby dobrze zorganizować gang na terenie naszego kraju, Niewidzialni będą musieli postarać się u nas o jakąś bezpieczną „meline”, nie tylko po to, aby ukryć w niej zbiory, ale także by w przyszłości mieć miejsce na swoje tajne spotkania. Miasto i zwykły blok mieszkalny nie mógł być brany pod uwagę, ponieważ wizyty cudzoziemców wzbudziłyby zainteresowanie. Przez dziesięć dni we wszystkich gazetach ukazywało się ogłoszenie o domu na uboczu, który ktoś z powodu wyjazdu za granicę gotów jest odnajdować. Byliśmy przekonani, że Niewidzialni zainteresują się tego rodzaju ogłoszeniami w prasie. I tak się stało. Panna Strachwitz

zwróciła w końcu uwagę na podane przez nas zawiadomienia i złożyła ofertę w biurze ogłoszeń. Było tych ofert bardzo wiele, ale my wybraliśmy tylko jej. I wynajęliśmy piękny domek na uboczu za osiemdziesiąt dolarów miesięcznie, przekazywanych na Bank PeKaO. Panna Strachwitz oświadczyła przy wynajęciu, że zamierza do domku przyjechać latem, ale postanowiła wynająć go już teraz i chce mieć do niego klucze. Spełniliśmy ten warunek i odtąd wiadomo było, że, prędzej czy później, odnalezione przez nich zbiory trafią do tego domu. A pewien sympatyczny człowiek, który był w kłopotach finansowych, nagle dzięki Niewidzialnym znacznie podreperował swój budżet. Jego domek zajmują niekrępujący, bo nieobecni goście.

— Na jak długo panna Strachwitz wynajęła domek? — zapytała pani Herbst.

— Do października — odparł pośrednik — ale z prawem przedłużenia wynajmu.

— Hm — zmartwiła się — w takim razie nie wiecie, kiedy przyjedzie ktoś po te zbiory? Latem do Polski przybywa wielu turystów zagranicznych. Wśród nich bez trudu przemknie się ktoś z Niewidzialnych, może nawet sam Mendoza. Pamiętajcie, że posługuje się on wieloma fałszywymi paszportami. Z całą pewnością nie pojawi się tu jako Niemiec z RFN-u, ale być może jako Francuz, Włoch, Anglik, Duńczyk. Musicie być bardzo czujni.

— Ach, nie ma powodu, aby każdego przybywającego do nas obcokrajowca traktować jako ewentualnego Mendozę. Aparatura w domu powiadomi nas o nim. Być może pozwolimy mu nawet zabrać zbiory. To ciekawe, na jaki pomysł wpadną Niewidzialni, aby wywieźć z Polski bądź co bądź aż dwie skrzynki z dokumentami i książkami. Sądzymy, że zastosują jakiś wypróbowany już gdzie indziej sposób. Demaskując, przyczynimy się do ujawnienia procedury przemytu skradzionych dzieł sztuki we Francji czy we Włoszech, gdzie gang Niewidzialnych od dawna działa niemal bezkarnie.

Pośrednik wkrótce pożegnał mnie i panią Herbst, dziękując jej za udział w walce z Niewidzialnymi, a ja i Greta rozmawialiśmy jeszcze długo, wspominając chwile naszego poznania we Frankfurcie, przygody w Weimarze i na Mazurach. Potem — w ciepły wiosenny wieczór — odprowadziłem ją aż do „Hotelu Europejskiego”, w którym nocowała.

Pięknie wyglądało Krakowskie Przedmieście w blasku ulicznych latarni. Ładna wydawała mi się także ta młoda kobieta, tak odważna, przedsiębiorcza i inteligentna.

Gdy na pożegnanie pocałowałem jej dłoń, powiedziała z nikłym uśmiechem:

— Szkoda, że wówczas na moim biurku znalazł pan swoją charakterystykę, przekazaną mi przez Niewidzialnych. I naprawdę uwierzył pan, że jedyna pańska słaba strona, to wrażliwość na urodę kobiecą? To przecież taka miła i piękna słabość. Może niekiedy warto jej ulec?

ZAKOŃCZENIE

Mijały dni i tygodnie, a tajemniczy wysłannik Niewidzialnych nie pojawiał się u drzwi wigwamu, gdzie czekały na niego dwie skrzynki ze zbiorami doktora Gottlieba. Niecierpliwiłem się i raz po raz dzwoniłem do swego przyjaciela, pytając, kiedy nareszcie będę mógł zapoznać się bliżej z zawartością skrzynek, dokonać dokładnego przeglądu i inwentaryzacji zabytków. Zgodnie z listem pani Dobeneck zdecydowani byliśmy część zbiorów, dotyczących kultury niemieckiej, przekazać muzeum we Frankfurcie, a pozostałymi książkami i dokumentami chcieliśmy wzbogacić nasze księgozbiory i Muzeum Herdera. Ale mój przyjaciel z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ciągle powiadał mi, że jeszcze nie przysłała na to pora i powinienem zachować większą cierpliwość.

Okazało się, że aparatura, zainstalowana w domku Winnetou, dwukrotnie powodowała alarm u strażnika, ukrytego w pobliskiej leśniczówce. Przedłużająca się nieobecność Winnetou i fakt, że domek tak długo stoi zamknięty, zainteresował dwóch łobuzów ze Złotego Rogu, którzy usiłowali się tam włamać. Jakie było ich zdumienie, gdy — zaledwie dotknęli zamka w drzwiach samotnego domu w lesie — podjechał milicyjny radiowóz i zostali zamknięci w areszcie. Podobna historia zdarzyła się kilku autostopowiczom, którzy przyjechali do Złotego Rogu na wczasy. Zobaczyli opuszczony nad jeziorem dom i postanowili zakraść się do niego. W kilka minut później jechali na posterunek milicji. Dom Winnetou stał więc bezpiecznie, a zbiorom w skrzynkach nie groziła kradzież.

Skończył się maj, minął czerwiec. Z początkiem lipca zjawił się u mnie Winnetou. Przyjechał do Warszawy na zaproszenie wydawców, którzy przypomnieli sobie o nim i zaproponowali mu zilustrowanie kilku książek.

— Regularnie co miesiąc otrzymuję osiemdziesiąt dolarów — powiedział mi Winnetou. — To sporo pieniędzy. Ale tęsknię już za swoim wigwamem. Teraz, gdy mam zamówienia z wydawnictw, chętnie powróciłbym nad jezioro, do swojego mieszkania.

— No cóż, musisz uzbroić się w cierpliwość — powtarzałem słowa mojego przyjaciela. — Być może wkrótce powrócisz do siebie, a ja nareszcie zanurzę ręce w skrzyniach pełnych starych, bezcennych papierów.

Pewnej nocy, w pokoju w leśniczówce, gdzie przez całą dobę na zmianę czuwali specjaliści strażnicy, odezwał się dzwonek alarmowy — sygnał, że ktoś przekręca klucz w drzwiach domku Winnetou. A potem ukryta w ścianie kamera telewizyjna przekazała na monitor w leśniczówce obraz przystojnego bruneta, który świecąc sobie latarką wszedł do mieszkania i pochylił się nad pozostawionymi w izbie skrzynkami.

Było to w nocy z 19 na 20 lipca, gdy cały nasz kraj przygotowywał się uroczysto do obchodu rocznicy PKWN-u, na Mazurach przebywały tysiące zagranicznych turystów — Niemców, Włochów, Skandynawów, Francuzów, a także setki tysięcy Polaków, spragnionych wypoczynku.

Nocna wizyta w domku Winnetou nie trwała dłużej niż kwadrans. Był silny, sprawny fizycznie. Bez trudu przeniósł skrzynki do samochodu z włoską rejestracją, co ustalono już po krótkim czasie, gdyż od domku Winnetou prowadziła tylko jedna droga przez las, a ta mijała leśniczówkę, w której siedzieli zaalarmowani strażnicy. To oni przez radiotelefon przekazali wszystkim radiowozom w tej okolicy markę samochodu i numer rejestracyjny. Odtąd trasa przejazdu wysłannika Niewidzialnych była dokładnie kontrolowana.

Wyruszył on w stronę Wybrzeża i nad ranem przejechał Gdańsk kierując się do Gdyni. Potem wrócił i o świcie zaparkował swój samochód w pobliżu portu jachtowego w Górkach Wschodnich.

A były to bardzo gorące dni dla mieszkańców Gdyni, Gdańska, Sopotu i całego Wybrzeża. Odbywała się właśnie słynna impreza, która nosiła nazwę: „Operacja Żagiel 74”. Z całego świata przyłynęły do Gdyni największe żaglowce i setki jachtów. „Operacja Żagiel 74” zwała do Gdyni tysiące wielbicieli jachtingu z wszystkich krajów. Na Wybrzeżu pełno było ciekawych, porty jachtowe wypełniały jednostki pływające pod najróżniejszymi banderami.

Przez cały dzień biały włoski „Fiat 1600” stał na parkingu, a w jego bagażniku leżały dwie skrzynki ze zbiorami doktora Gottlieba. Zauważono, że przystojny brunet spotkał się z czteroosobową załogą jachtu włoskiego „Beatrix”.

21 lipca wszystkie żaglowce i jachty miały wyruszyć w morze na wspólną paradę, po której wiele z nich odpływało już do swoich macierzystych krajów. „Operacja Żagiel 74” była tak piękną i tłumną imprezą, tylu ciekawych odwiedzało jachty stojące w portach, że celnicy nie byli w stanie dokładnie zlustrować wszystkich jachtów. Przecież setki ich o jednej niemal godzinie miały wyjść w morze...

W nocy z 20 na 21 lipca przystojny brunet przełożył zawartość skrzynek do czterech worków żeglarskich. W godzinę później czterech członków załogi jachtu „Beatrix” podeszło do białego fiata i zabrało z niego worki, aby je przenieść na jacht. W tym momencie zatrzymała ich portowa straż celna, przystojnego bruneta aresztowała milicja pod zarzutem usiłowania przemytu rzeczy o wartości zabytkowej. Paszport bruneta mówił, że jest Włochem i nosi nazwisko Marino Orlandi,

ale jego rysopis wskazywał, że pod tym nazwiskiem ukrywa się Marlon Mendoza, poszukiwany przez policję w Europie Zachodniej. Aż do rana trwało przesłuchiwanie czterech członków załogi „Beatrix”, a gdy się okazało, że zostali oni zwerbowani w Genui na ten jeden rejs, zwolniono ich i rankiem opuścili port na „Beatrix” wraz z innymi jachtami. Nikt z obserwatorów „Operacji Żagiel 74” nie domyślił się, co zdarzyło się tej nocy.

Marlona Mendozę odtransportowano do Warszawy. Przez krótki czas zastanawiano się, czy nie oddać go pod sąd, ale władze doszły do wniosku, że wyrok, jaki go czekał u nas, byłby niewspółmiernie niski do liczby przestępstw, które ten człowiek popełnił w swoim życiu w innych krajach. Z tego też względu uznano go tylko za „osobę niepożądaną” i ukarano go wydaleniem z Polski. Marlon Mendoza był uszczęśliwiony tą decyzją, ale jego radość trwała krótko. Z Londynu przyleciał Raymond Connor ze Scotland Yardu, przywożąc ze sobą nakaz aresztowania. Władze brytyjskie oskarżały Mendozę o włamanie do British Museum i zabójstwo strażnika. I tak oto Marlon Mendoza odleciał do Londynu w towarzystwie Raymonda Connora i został skazany na dożywotnie więzienie.

Z uwagi na toczące się w innych krajach batalie z Niewidzialnymi, a także ze względu na bezpieczeństwo Grety Herbst, która przeniknęła do gangu złodziei dzieł sztuki i oddawała policji zachodnioniemieckiej nieocenione usługi, władze polskie postanowiły tej sprawie nie nadawać żadnego rozgłosu. W prasie naszej ukazała się tylko sucha informacja:

Po długich poszukiwaniach polskim muzealnikom udało się trafić na zaginione zbiory starych książek, listów wielkich ludzi i manuskryptów dotyczących polskiej i niemieckiej kultury. Część tych zbiorów zostanie wkrótce przekazana muzeum we Frankfurcie nad Menem.

Od tamtych dni minęło kilka lat. Teraz uzyskałem zgodę, aby ujawnić prawdę, nie podając jednak dokładnych nazwisk i miejscowości.

Cóż dodać do tej historii? Wkrótce prasa zachodnioniemiecka przyniosła informacje o aresztowaniu Buchera i grupy Niewidzialnych we Frankfurcie. Jestem pewien, że stało się to przy udziale Grety Herbst.

Warto także wspomnieć o panu Krostku i jego córce, Krystynie. W dwa miesiące po zatrzymaniu Mendozy zgłosił się do milicji pan Krostek skarżąc się, że został oszukany. Jego córka wyjechała do Frankfurtu na zaproszenie niejakiego Buchera, od którego miała otrzymać jakąś kwotę pieniędzy, ale Bucher dał jej tylko sto marek i odesłał do domu. „Obrabowali mnie” — żalił się pan Krostek, ale nie chciał wyjawić, na czym ten rabunek polegał.

Nie znam dalszych losów Krostka i jego córki, jak również Wągrowskiego, grubasa i innych. Co do Waldemara Batury — to przez jakiś czas odnosił się do

mnie bardzo podejrzliwie, aż w końcu napisał do Marczaaka obszerny memoriał, w którym powiadał go, że jestem na usługach Niewidzialnych. Marczak odpi-sał mu uprzejmie, że owszem — współpracowałem z nimi, ale już przestałem.

Winnetou znowu mieszka w swoim wigwamie nad jeziorem Zmierzchun. Jeszcze przez pół roku od schwytania Mendozy otrzymywał regularnie wpłaty na Bank PeKaO. Jak z tego wynika, nawet w bandzie Niewidzialnych panowała biurokracja i raz wydane polecenie księgowi realizowali siłą bezwładu. Wyznaję, że myśl o tym, iż to Niewidzialni podreperowali finanse Winnetou, sprawia mi zawsze ogromną przyjemność.

Aha, jeszcze jedno. Monika wyszła za mąż za Kędziorka i ma już dwoje uro-czych dzieci. Tak jest zajęta ich wychowywaniem, że rozstała się z posadą. O ile wiem, dyrektor Marczak nosi się ciągle z zamiarem przyjęcia nowego pracownika na jej miejsce, ale jakoś nie może znaleźć odpowiedniego kandydata lub kandy-datki.

Ale właśnie dziś wniesiono drugie biurko do mego pokoju. . .